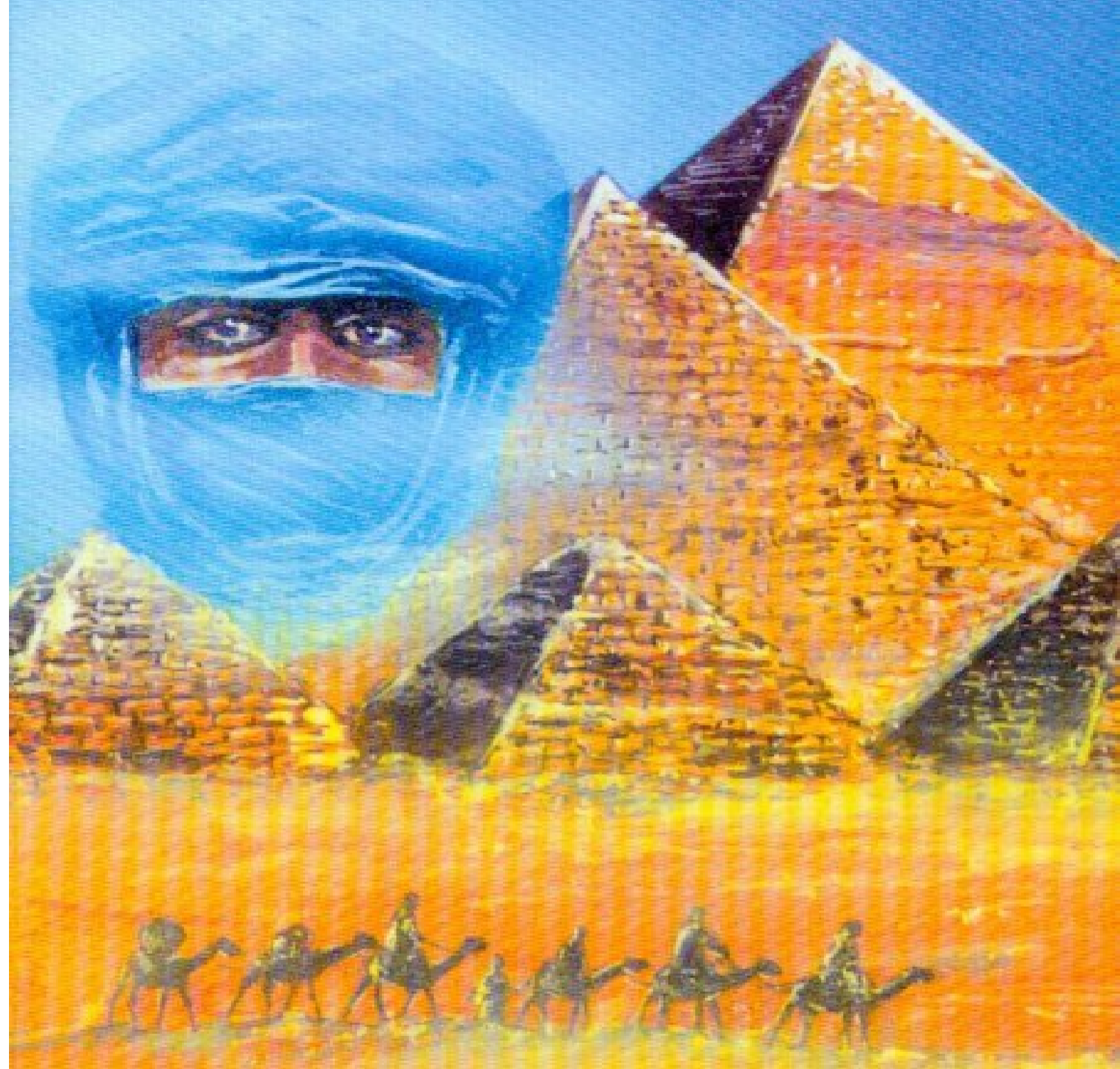


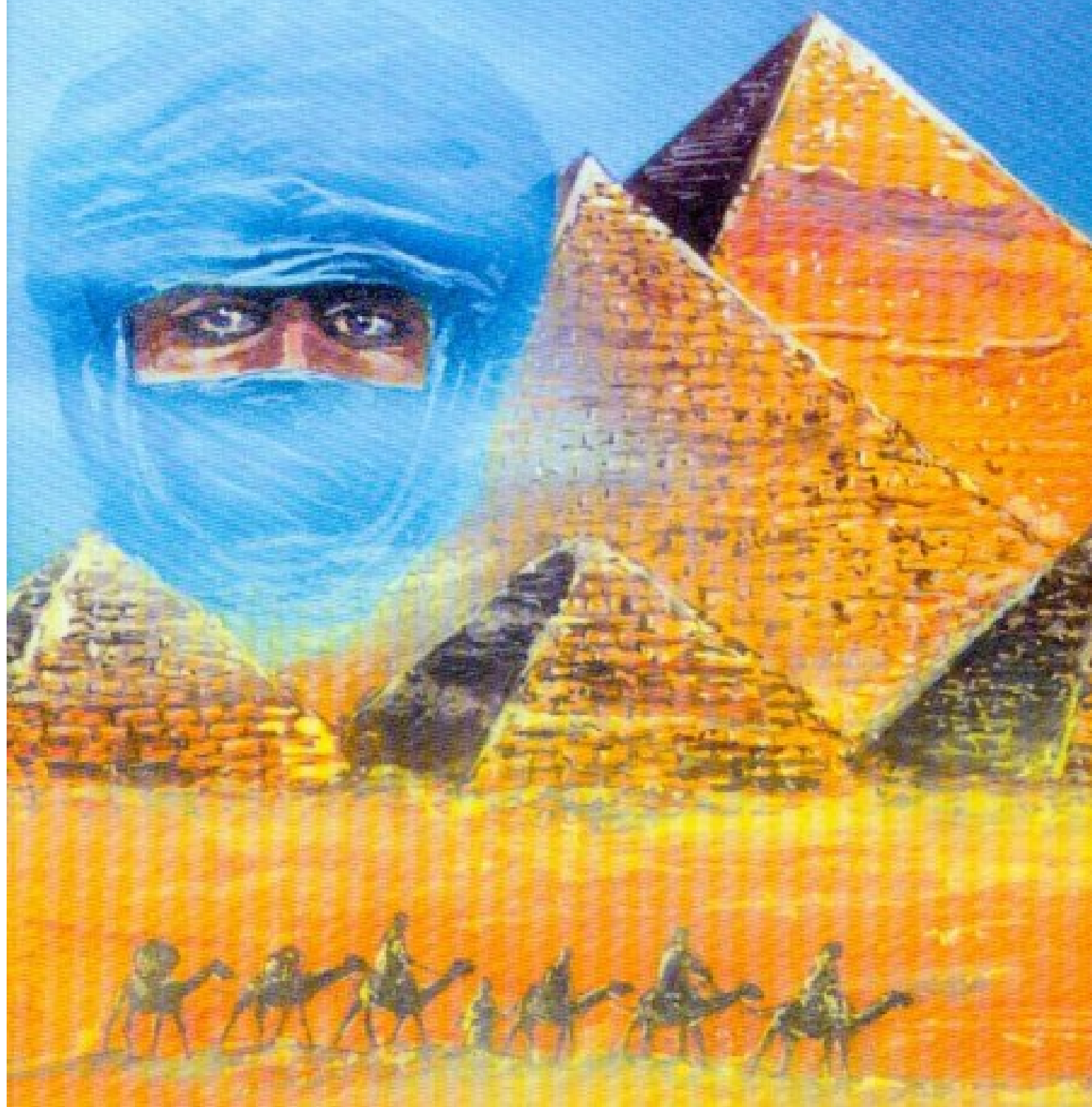
ALFRED SZKLARSKI

**TOMEK**  
**W GROBOWCACH FARAONÓW**



ALFRED SZKLARSKI

# TOMEK W GROBOWCACH FARAONÓW



Alfred Szklarski

# Tomek w grobowcach faraonów

Konwersja do formatu Epub:



## NOC POD PIRAMIDAMI

Słońce pogrążyło się powoli w bezkresnych piaskach Pustyni Libijskiej u progu Sahary, największej pustyni świata. Na wapiennych, urwistych wzgórzach Mokattam, okalających południowo-wschodnie krańce Kairu, gasły ostatnie różowe refleksy zachodu.

*Allah akbar!* "Allah jest wielki...". Przenikliwe, zawodzące wezwanie do modlitwy, odmawianej przez wyznawców islamu po zachodzie słońca, płynęło ze smukłych minaretów, wystrzelających ponad płaskie dachy domów i docierało przez wzmożony o tej porze gwar uliczny do wszystkich zaułków wielkiego miasta. Śpiewny, sugestywny głos muezzina [1] odrywał od codziennej krzątaniny. Jedni podążali do meczetów, żeby pod przewodnictwem imama [2] dopełnić obrzędu *salat* [3] w świątyni, inni odmawiali *salat* w miejscu, gdzie zastała ich pora modlitwy. Zwróceniem w kierunku Mekki, klękali na dywaniku lub macie wprost na ulicy, w domu, sklepie czy na targowisku i bili korne pokłony, szepcząc święte formuły.

Podczas gdy Kair rozbrzmiewał, mimo późnej pory, gwarem modłów, na przeciwnym brzegu Nilu, zaledwie o kilkanaście kilometrów od miasta, zapadła już nocna cisza. Wąski tutaj nadrzeczny pas zieleni, z ogrodami, polami, palmami i domkami, przechodził nagle w groźną, posępną pustynię. W mroku, na szarym, kamienistym płaskowyzu, niczym na szerokiej, skalistej wyspie w morzu żółtawych, miękkich piasków, majaczyły zarysy trzech olbrzymich piramid [4]. Owiane legendą od niepamiętnych czasów wabiły swą tajemniczością turystów i uczonych z całego świata. Toteż za dnia u stóp piramid, na rozległej, kamienistej równinie zawsze było tłoczno i gwarno. Wyróżniali się ruchliwi egipscy Arabowie ubrani w obszerne, długie galabije, chętnie noszone przez mieszkańców wybrzeży Morza Śródziemnego, i bawełniane chusty, czyli kofije, upięte w zawój, przytrzymywane czarnym krążkiem, zwanym *ikal*. Narzucali się turystom jako przewodnicy, proponując w różnych językach swe usługi, zachęcali do przejażdżki na nakrytych barwnymi czaprakami wielbłądach, koniach lub osłach. Sprzedawali napoje, owoce, słodczyce i drobne pospolite pamiątki, a gromady wyrostków napraszały się o wszechobecny w Egipcie bakszysz [5]. Jarmarczny rozgardiasz skutecznie niweczył delikatny urok tego miejsca i dopiero po zachodzie słońca grobowce faraonów spowijała cisza.

Noc nadeszła bardzo szybko, nieomal gwałtownie. Jasny zmierzch zaledwie w parę chwil zmienił się w przysłowiowe egipskie ciemności. Dzień oddawał świat w panowanie mroku. Na bezchmurnym, ciemnogrnatowym niebie migotały gwiazdy. Powoli wynurzały się olbrzymi księżyc. W srebrzystej poświacie zarysowały się ciemne, lekko przymglone bryły piramid i kamienne cielsko sfinksy - lwa z królewską głową. A ścieląca się nad piaskami pustyni mgiełka łudziła wrażeniem, że potężne wierzchołki piramid zawieszono w powietrzu.

O tej właśnie porze, dla turystów bardzo już późnej, do podnóża piramid zbliżali się dwaj mężczyźni z twarzami osmalonymi tropikalnym słońcem, ubrani w galabije z pasiastej bawełny i ciemnoczerwone fezy, w towarzystwie kobiety w długiej, ciemnej sukni, otulonej na wzór muzułmanek szerokim czarnym szalem. W tych strojach i

scenerii łatwo mogli uchodzić za tubylców. Była to jednak trójka przyjaciół i podróżników, zahartowanych w wielu przygodach na różnych kontynentach; Polacy: Tomasz Wilmowski i kapitan Tadeusz Nowicki - obaj od dawna nierozłączni, oraz żona Tomka, Sally, Australijka z pochodzenia.

Wszyscy troje zatrzymali się u stóp monumentalnych grobowców. W srebrzystej poświacie księżyca, w liliowej mgiełce znad szybko wychładzających się piasków, mieli przed sobą niezwykle urokliwe, niezapomniane zjawisko. Pierwszy nie wytrzymał milczenia, jak zwykle, kapitan Nowicki, który od czasu do czasu nieufnie rozglądał się wokoło, choć trudno byłoby powiedzieć, że właśnie piramidy oglądał z taką uwagą.

- Nad czymże się tak zadumaliście? - zagadnął niecierpliwie.

- Widok piramid rozbudził moją wyobraźnię i ożywił wspomnienia - odrzekł Tomek. - Bo tylko pomyśl, kapitanie: kiedy Herodot, grecki historyk i podróżnik zwany ojcem historii, oglądał, podobnie jak my dzisiaj, grobowce faraonów, a działo się to czterysta pięćdziesiąt lat przed naszą erą, stały one już tutaj ponad dwadzieścia wieków! Ale nie fakty, najbardziej nawet zdumiewające, są powodem mego wzruszenia. To światło, ten nastrój przypomniały mi naszą pierwszą wspólną wyprawę łowiecką do Afryki. Góry Księżycowe, pamiętasz Tadku? Ich szczyty zdawały się unosić w powietrzu zupełnie tak samo jak wierzchołki tych egipskich piramid.

- Zaraz, zaraz... coś sobie przypominam... a, pasmo gór Ruwenzori na granicy Ugandy i Konga! Szliśmy chwytać goryle i okapi, tak, tak, pamiętam! Niczego sobie był widok. Ale to dlatego, że chmury były bardzo nisko. A tutaj nie ma chmur!

- To prawda! Jest za to unoszący się w powietrzu pył pustynny i mgła.

- Oj, chłopcy, chłopcy! - karcącym tonem odezwała się Sally. - Czy naprawdę nie zdajecie sobie sprawy, że do was mówią tysiąclecia?

- Ależ, sikorko, jak moglibyśmy choćby na chwilę zapomnieć, skoro wciąż nam o tym opowiadasz.

- Wystarczająco dobrze cię znam, żeby wiedzieć, jak niewiele z mojej gadaniny utkwilo w twojej pamięci.

- Tak sądzisz? I bardzo się mylisz! Nawet zbudzony z najgłębszego snu bez namysłu wyrecytuję, że piramida Cheopsa została zbudowana ponad cztery i pół tysiąca lat temu, że samo przygotowanie drogi do transportu budulca trwało dziesięć lat, a przez następne dwadzieścia wznoszono grobowiec. Około stu tysięcy kamieniarzy, cieśli i prostych robotników pracowało przez trzy miesiące każdego roku podczas przyborów Nilu! Iluż tych nieszczęśników straciło tutaj życie! Nie mogę się pozbyć wrażenia obecności tysięcy duchów, pamięci o ludziach, których życie pochłonęła próżność faraonów. Tak, masz rację. Tu mówią tysiąclecia...

Sally przeniknęła niemiły dreszcz. Szczelniej otuliła się szalem i dopiero po chwili milczenia powiedziała:

- Przyznaję, że mnie zaskoczyłeś... Potrzeba było zapewne wielu ofiar... Ale przecież nie tylko próżność skłaniała faraonów do budowy takich grobowców. Starożytni Egipcjanie wierzyli, że nieśmiertelna dusza człowieka staje się cieniem, wiecznie zamieszkującym leżący naprzeciwko Nieba i Ziemi "świat zmarłych", że potrzebuje środków do dalszego życia. Dlatego grzebano zmarłych w grobowcach trwalszych niż dom.

- Wiem, wiem, przecież nieraz już o tym mówiłaś - przerwał jej zniecierpliwiony znowu Nowicki. - Uważam to za pogańskie wierzenia i obyczaje. Wielu Egipcjan musiało myśleć podobnie jak ja, skoro kradli składane w grobowcach kosztowności. Tylko pycha skłaniała faraonów do budowania piramid. Innym ludziom wystarczały mniej kosztowne mastaby[6], których jest tutaj bez liku.

- Faraonów powszechnie uznawano za bogów i zawsze zajmowali najwyższe miejsce, tak wśród żywych, jak i umarłych - Sally nie dawała się zbić z tropu. - W mastabach grzebano możnych dworzan, żeby mogli dalej służyć swemu władcy w życiu pozagrobowym. Spoczywać w cieniu grobowca faraona to był wielki zaszczyt.

- Nic dziwnego, że w Egipcie od dawna panoszą się cudzoziemcy, skoro sami Egipcjanie marnotrawili czas na budowanie grobowców i pogańskie obrzędy - skwitował Nowicki.

- No, no, kapitanie, mimo wszystko chciałbyś jednak być pochowany u stóp pięknej maharani Alwaru, o której tyle opowiadałeś... - przygadyła mu Sally.

Wybuchnęli śmiechem na tę złośliwość, ale po chwili, znowu poważnie, do Nowickiego dołączył Tomek:

- To prawda, że najeźdźcy rządzą się tutaj jak u siebie. Od najazdu perskiego, czyli przez prawie dwa i pół tysiąca lat, w Egipcie panoszą się cudzoziemcy. Deptali tę ziemię Etiopowie, Hyksosi, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Grecy, Rzymianie, Turcy, Francuzi, a obecnie rządzą znienawidzeni przez Egipcjan Brytyjczycy.

- Coś mi się wydaje, że ci długo już tu nie zabawią - zauważył Nowicki. - Coraz głośniejszy mówi się o Egipcie dla Egipcjan.

- Lada chwila może dojść do wybuchu - powiedział Tomek. - Egipcjanie pokazali już pazury trzydzieści lat temu.

- Trzydzieści lat temu, mówisz? Zaraz, zaraz... Czy masz na myśli powstanie Arabiego Paszy?

- Tak, był to przecież bunt przeciwko panowaniu Brytyjczyków[7].

- Wtedy miałem jeszcze mleko pod nosem, ale przypominam sobie dramatyczne sprawozdania w gazetach. W Kairze i Aleksandrii zginęło kilkudziesięciu Europejczyków, a konsul brytyjski został ciężko ranny. Rabowano sklepy, podpalano domy. Wtedy Anglicy ostrzelali Aleksandrię z dział okrętowych i stłumili powstanie, ale dziś ziemia coraz bardziej im się tu pali pod stopami.

- Egipcjanie nie lubią Anglików i trudno im się dziwić. Któż by kochał najeźdźców!

- No, my właściwie mamy paszporty angielskie - przypomniał Nowicki. - Dlatego

radziłem nie rzucać się w oczy Egipcjanom podczas włączeni po egipskich zakamarkach.

- Moi drodzy, myślę, że przesadzacie z niebezpieczeństwem -wtrąciła Sally. - W tym przebraniu tak wyglądacie na Arabów, że wręcz czekam, kiedy zaczniecie nosić dywaniki, na których klęka się do modlitwy. Mnie dajcie jednak spokój, nie będę sobie zasłaniała twarzy na ulicy.

- Nie bądź naburmuszona, sikorko! - wesoło rzekł Nowicki. - Jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak i one! A co do maharani Alwaru - niby to obrażony zamruczał - to pewnie i ty byś się jej w pas kłaniała, choćby dlatego, że darzyła nas, Polaków, a... zwłaszcza jednego, wielkim sentymentem.

- Kapitanie, kapitanie - próbował mitygować Nowickiego Tomek, ale Sally na szczęście niczego nie słyszała i z zapalem kontynuowała wykład.

- Byłoby bezsensowne, gdyby Egipcjanie nienawidzili wszystkich Europejczyków. Przecież nie wszyscy przybywali do Egiptu jedynie w celu podboju dla własnych korzyści. Wszak to Napoleon obalił pięćsetletnie okrutne rządy mameluków [8]i zapoczątkował europeizację Egiptu. Stu pięćdziesięciu przywiezionych przez niego uczonych francuskich założyło Instytut Egipski w Kairze, badało historię i kulturę starożytnego Egiptu [9]. Malarz Denon [10], często z narażeniem życia, badał i szkicował starożytne zabytki rozrzucone wzdłuż Nilu. Badania naukowe Francuzów ukazały światu, po raz pierwszy od czasów rzymskich, zapomnianą historię i kulturę starożytnego Egiptu.

- Trudno temu zaprzeczyć - przyznał Nowicki - ale...

- To jeszcze nie koniec - dorzuciła szybko Sally. - Żołnierze Napoleona znaleźli słynny kamień z Rosetty, który pozwolił później historykowi Champollinowi [11] rozszyfrować tajemnicze hieroglify egipskie. Przemówiły dzięki temu napisy z murów pałaców, świątyń i grobowców oraz papiirusy, rzucając światło na dramatyczną historię doliny Nilu.

- Rosetta? - to zainteresowało jednak Nowickiego. - Mały port nad zachodnią odnogą deltową Nilu? Cóż za magiczny kamień tam znaleźli?

- Nie było w tym żadnej magii. Podczas prac fortyfikacyjnych w forcie Rachid, zwanym już wtedy Julien, położonym o kilka kilometrów na zachód od Rosetty nad Nilem, żołnierze znaleźli bazaltową płytę. Znajdowały się na niej napisy wyryte w trzech językach: hieroglificznym, demotycznym [12] i greckim. Jak się później okazało, tablica zawierała podziękowanie kapłanów z Memfis [13] za dobrodziejstwa doznane od Ptolomeusza V. Porównanie tekstu zapisanego w trzech językach dało klucz do rozwiązania zagadki hieroglifów.

- Rzeczywiście nie lada znalezisko - zgodził się Nowicki. - Z pewnością Francuzi wywieźli tę tablicę.

- Taki mieli zamiar, ale się im nie poszczęściło. Napoleon musiał pospiesznie wracać do Francji, a pozostawiona przezeń w Egipcie armia wkrótce uległa Anglikom. Po kapitulacji Francuzi musieli oddać wszystkie zagrabione zabytki, włącznie z tym cennym kamieniem. Francuscy uczeni zdążyli jednak zrobić odlewy i kopie kamiennej płyty, która

obecnie znajduje się w Anglii.

- Ciekaw jestem, jak wygląda - powiedział Nowicki.

- Widziałam ją w Brytyjskim Muzeum Narodowym w Londynie. Jest to czarna bazaltowa tablica wielkości blatu stołu. Na jej polerowanej stronie znajdują się trzy napisy wyryte od góry do dołu w trzech rzędach obok siebie. Jest umieszczona na obrotowym pulpicie pod szklaną ramą tak, aby można ją było oglądać z obydwu stron.

- Ciekawe rzeczy opowiadasz, sikorko. Widać, że nie marnowałaś czasu na studiach w Anglii. Mówisz o Egipcie niczym profesor - pochwalił Nowicki. - Trudno ci zaprzeczyć, ale ja tam wiem swoje. Francuzi rządili tu twardą ręką i dobrze dali się we znaki Egipcjanom. Nie pozostawili po sobie dobrych wspomnień. Prawdę mówiąc, ja również nie darzę żabojadów przyjaznymi uczuciami. Nie mogę zapomnieć Napoleonowi, że wystawił Polaków do wiatru. Poznał się na nim tylko Kościuszko i odmówił współpracy.

- Smutna to dla nas prawda - powiedział Tomek. - Napoleon zawiódł pokładane w nim nadzieje Polaków, mimo że nie skąpili swej krwi dla jego zwycięstw. Również w wyprawie do Egiptu. Wystarczy wspomnieć Sułkowskiego[14], Łazowskiego[15] czy generała Zajączka[16], później namiestnika Królestwa Polskiego.

- Czytałem powieść o Józefie Sułkowskim, adiutancie Napoleona. W bitwie pod piramidami dowodził huzarami i odniósł siedem ran ciętych i trzy postrzałowe. Znał dobrze Arabów i mówił po arabsku. Został rozsiekany przez powstańców egipskich w Kairze - Nowicki chętnie podtrzymywał rozmowę, jeśli dotyczyła Polski.

Rozmawiali z ożywieniem, bezwiednie wędrując po kamienistym płaskowyzu, aż zatrzymali się przed rysującą się w mroku potężną sylwetką sfinksa. Sally, która najgłębiej przeżywała spotkanie z przeszłością, zapragnęła przywrócić coś z nastroju, jaki towarzyszył im u progu tej świetlistej nocy.

- Ile niezwykłych wydarzeń poznalibyśmy, gdyby te wspaniałe piramidy przemówiły - westchnęła. - U ich stóp przecież przebywali niegdyś władcy świata: Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Marek Antoniusz, piękna królowa Kleopatra, Napoleon. Także i wasz Sułkowski, który brał udział, jak mówicie, w bitwie pod piramidami - dodała, chcąc sprawić przyjacielom przyjemność. Po tej uwadze rzeczowa dyskusja rozgorzała na nowo.

- Bitwa pod piramidami wcale nie została stoczona u stóp piramid - Tomek poczuł się zobowiązany do uzupełnienia wyjaśnień i uczynił to jak zawsze z ochotą i właściwą sobie dokładnością. - Zwycięska dla Francuzów bitwa odbyła się po zachodniej stronie Nilu, w odległości około czternastu kilometrów od piramid, pod miasteczkiem Imbaba, obecnym przedmieściu Kairu. Romantyczną nazwę dodano jej później, do czego prawdopodobnie przyczyniły się legendarne słowa, wypowiedziane przed bitwą do żołnierzy przez Napoleona: "Z wysokości tych piramid czterdzieści wieków patrzy na was".

- Pewnie było, jak mówisz - rzekł Nowicki. - Spójrz jednak na sfinksa! Czy to nie armatnie kule tak okaleczyły głowę tego lwa z ludzką twarzą?

- Nie mylisz się co do kul armatnich. Ale uczynili to z rozmysłem mamelucy na wiele



set lat przed przybyciem Francuzów. Ponieważ nie mogli w żaden sposób zniszczyć posągu, użyli go jako tarczy do ćwiczeń artyleryjskich.

- Jakże to?! - oburzył się Nowicki. - Czy Egipcjanie nie protestowali przeciw takiemu wandalizmowi?!

- Ówczesni Egipcjanie sami nie zdawali sobie sprawy ze wspaniałości dziedzictwa pozostawionego przez starożytnych faraonów, a fanatyczni muzułmanie, podbiwszy Egipt, czynili wszystko, co było w ich mocy, żeby zatrzeć ślady wspaniałej egipskiej przeszłości.

- Obaj macie rację po części - wtrąciła się Sally. - Sfinksa uszkodził muzułmański derwisz Saim el-Dahr, traktując to jako sprzeciw wobec fałszywej religii ciemnych, starożytnych Egipcjan.

- W rezultacie brak wyczucia, jakim wówczas się wykazał, dziś zwiększa zainteresowanie turystów - zażartował Tomek.

- Właśnie, nasz "cheopsiak" miał nosa, że strata nosa przyda mu popularności - dowcipkował Nowicki.

Ale niestrudzona Sally, jakby ich nie słysząc, kontynuowała wątek:

- Arabowie przynieśli z sobą do Egiptu własną kulturę, wysoko rozwiniętą naukę i sztukę, więc z premedytacją niszczyli zabytki egipskie. Do budowy nowego Kairu używali materiałów grabionych z monumentalnych faraonów zabytków. Z dawnej stolicy Egiptu, Memfis, wywieźli portale, kolumny, a nawet fragmenty ścian starożytnych świątyń. Rozebrali także łuki triumfalne z czasów rzymskich. Górująca nad Kairem cytadela, budowana przez sułtana Saladyna, powstała z kamieni zabranych z mniejszych piramid. Dodajcie do tego działanie natury. Piaski pustynne już w starożytności zaczęły przysypywać sfinksa tak, że widać było jedynie jego olbrzymią głowę. Takim ujrzął go Denon i takiego uwiecznił na swoim rysunku. - Chcesz powiedzieć, że przedtem nikt nie dbał o sfinksa? - zdziwił się znowu Nowicki.

- Jeśli dobrze pamiętam, faraon Totmes IV polecił usunąć piasek wokół sfinksa i zbudował osłaniający go mur z suszonej cegły, ale burze piaskowe dalej zasypywały posąg, więc i w czasach późniejszych usuwano piasek kilkakrotnie[17].

- Słyszałem, że w Egipcie znajduje się wiele posągów sfinksa, ale ten tutaj jest podobno najsłynniejszy - zauważył Nowicki. - Swoją drogą ciekaw jestem, w jaki sposób przytoczono tu tak olbrzymią skałę?

Sally tylko tego było potrzeba. Z zapalem zaczęła opowiadać historię powstania sfinksa. Opisała, jak po ukończeniu budowy piramidy Cheopsa trakt służący do transportu kamieni zamieniono w rampę wiodącą z dolnej do górnej świątyni, stawianej u stóp piramidy Chefrena, syna Cheopsa. Jak na pierwszym odcinku nowej rampy natknięto się na monolityczną wapienną skałę, pozostałą po dawnym kamieniołomie. Skała przypominała kształtem leżącego na brzuchu lwa. Wymodelowano więc z niej olbrzymie zwierzę o długości pięćdziesięciu metrów i szerokości około dwudziestu metrów, dodając mu ludzką twarz - twarz faraona Chefrena. Sam nos w tej twarzy mierzył sto

siedemdziesiąt centymetrów. Sfinks o twarzy Chefrena, zwrócony ku wschodowi, stał się symbolem strażnika świątyń, symbolem zagadki i tajemnicy.

Raz zaczawszy, Sally nie zamierzała się zatrzymać. Wyjaśniała dalej, że jeden grobowiec składał się z wielu budowli, a piramida była główną jego częścią. Rozmieszczenie poszczególnych elementów zespołu architektonicznego powiązano z królewskim ceremoniałem pogrzebowym, co później znakomicie ułatwiło poznanie stosunków społecznych w starożytnym Egipcie i tak dalej, i dalej...

Od pewnego czasu Nowicki, na ogół tak ciekawy świata, nie zwracał uwagi na przydługie opowiadanie Sally. Nieznacznie zerkał wokoło, głęboko wciągał powietrze, jakby wietrzył jakieś niebezpieczeństwo. Tomek bardzo zżyty ze swym starszym przyjacielem, szybko zorientował się, że coś go zaniepokoiło.

- Tadku, co się dzieje? - zapytał cicho i jednocześnie z napięciem wpatrywał się w otaczające ich przysłowiowe egipskie ciemności.

- Coś mi tu cuchnie... - mruknął Nowicki i zaraz odwrócił się do Sally, która po tej odpowiedzi nagle zamilkła. - Opowiadaj dalej, sikorko, i nie zwracaj na nas uwagi. Tylko utrzymuj pozycję między mną a Tomkiem.

Sally, przywykła zarówno do marynarskich określeń kapitana, jak i do nieoczekiwanych wydarzeń podczas łowieckich wypraw, w lot pojęła o co chodzi. Jakby nigdy nic kontynuowała opowieść o tym, co współcześni poszukiwacze i archeolodzy znaleźli we wnętrzach piramid.

Tomek wierzył w nieomylny instynkt Nowickiego. Skoro coś go zaniepokoiło, nie wolno było tego lekceważyć. Chłodny, nocny wiatr wiał od piramid. Naśladując Nowickiego, Tomek odetchnął kilka razy głęboko. Po chwili szepnął:

- Wydaje mi się, że czuć słaby zapach zjełczałego tłuszczu...

- Święta racja, to właśnie zwróciło moją uwagę - potaknął Nowicki. - Gdzieś tu się czają Arabowie. Wszystko pitraszą na oliwie, więc ich ubrania przesiąknięte są tym zapachem.

Sally na chwilę zamilkła, ale Nowicki natychmiast zagadnął:

- Mówisz więc, że w piramidzie Cheopsa nie znaleziono już niczego, a w grobowcu Chefrena tylko pusty sarkofag...

- Jedynie w piramidzie Mykerinosa znajdował się jeszcze kamienny sarkofag i cedrowa trumna, w której złożono kiedyś mumię króla.

- Co się z nimi stało? - pytał dalej Nowicki, podejrzliwie zerkając na wszystkie strony.

- Statek, który miał przewieźć je do Anglii, rozbił się w pobliżu wybrzeży hiszpańskich. Trzy tonowy, kamienny sarkofag zatonął, cedrowa trumna przez kilka dni unosiła się na falach, wyłowiono ją i obecnie jest w muzeum w Londynie.

- Uwaga! Ukryli się po prawej stronie u stóp sfinksa - szepnął Tomek.

- Widzę, widzę, z tyłu też nas podchodzą - mruknął Nowicki, po czym wyjął fajkę, nabił

ją tytoniem i zapalił.

- Niedługo zacznie świtać, chyba zaraz nas zaczepią - Tomka zaledwie było słyhać. - Pewno jest ich kilku, inaczej by się nie odważyli...

- Ojciec upominał, żebyśmy nie włóczyli się tu po nocy - równie cicho przypomniła Sally.

- Nie przejmuj się, sikorko, to dla nas nie pierwszozna - uspokajał ją Nowicki. - Weź mego kolta i w razie zagrożenia strzelaj pod nogi!

Sally wzięła niepostrzeżenie rewolwer i schowała pod okrywającym ją czarnym szalem. Nowicki tymczasem spokojnie pykał fajkę.

- Są koło sfinksa, podchodzą coraz bliżej... - szepnął Tomek.

- Zajmij się nimi, ja wezmę w obroty tych z tyłu - radośnie polecił Nowicki, który najbardziej lubił takie przygody. - Nie spiesząc się, uderzył główką fajki o dłoń, wytrząsnął popiół, po czym błyskawicznie odwrócił się do tyłu.

Dwóch drabów w galabijach i turbanach akurat podrywało się z ziemi. Uzbrojeni w krótkie, grube pałki rzucili się ku Nowickiemu, który bez namysłu silnym kopnięciem posłał im piach i żwir prosto w twarze.

- *Ibn el-kell!* - chrapliwym głosem zaklął jeden z opryszków, osłaniając oczy.

- Rodzinie ubliżasz!?! - rozsierdził się Nowicki, który jak każdy marynarz znał przekleństwa w różnych językach i zrozumiał obelżywe słowa. Jednym skokiem dopadł opryszka i pięścią przyłożył mu w szczękę.

Napastnik osunął się na ziemię. Drugi, na wpół oślepiiony piaskiem, rzucił pałkę i wyszarpnął długi, zakrzywiony nóż beduiński. Nowicki szybko cofnął się o krok, zerwał z siebie galabiję, wywinął nią w powietrzu i zarzucił na głowę Araba. W tej samej chwili rozległ się huk strzału i krzyk mężczyzny.

“Sally!”, przemknęło przez myśl Nowickiemu. Natychmiast odwrócił się ku przyjaciółom.

Kiedy Nowicki rozprawiał się z dwoma napastnikami, trzech innych zaatakowało Tomka i Sally. Jeden ruszył na Tomka z pałką, drugi zaś zaszedł go od tyłu i obydwoma rękami chwycił za gardło. Tomek, nieodrodny uczeń Nowickiego, zaprawiony do walki wręcz, nagłym, głębokim pochyleniem do przodu przerzucił przeciwnika przez siebie. Także Sally nie czekała biernie na rozwój wydarzeń. Trzeci napastnik zaledwie miał czas zamierzyć się na nią pałką. Sally dobyła kolta i nacisnęła spust, mierząc w ziemię tuż przed jego stopami. Huk strzału i krzyk bólu były dowodem, że kula odbiła się o kamieniste podłoże i rykoszetem zraniła jednego z atakujących.

Nieoczekiwany strzał i przypadkowe zranienie ostudziły napastników, którzy zaczęli chyłkiem umykać ku ogrodom nad Nilem. Ten, który pierwszy oberwał od Nowickiego, zanim rzucił się do ucieczki, pogroził kułakiem i gniewnie krzyknął:

- *Jlhrob bejtak!*

No wieki parsknął śmiechem:

- Tamten gagatek życzy mi, żeby spłonęła moja chałupa! Czort z nim! - rzekł. - Spójrzcie, już świta!

Niebo nad Kairem jeszcze czarne, na wschodzie już stawało się jasnoniebieskie. Wkrótce poróżnowiały wzgórza Mokattam. Promienie wschodzącego słońca rozpraszały nocne opary ścielące się nad Nilem. Od strony miasta napłynęły śpiewne głosy muezzinów wzywających do porannej modlitwy. Wstawał nowy, gorący poranek.

- Ruszamy do domu - wyszeptała Sally - ojciec powinien wreszcie wrócić, najpewniej już razem z panem Smugą...

- Wracamy - potwierdził Nowicki. - Zaczęło się nieźle, Tomku, a gdy przyjedzie Jan, będzie jeszcze ciekawiej - mówiąc to, zatarł ręce i wymownie spojrzał na przyjaciela.

## W KAIRZE

Decyzja o wakacjach w Egipcie zamiast niebezpieczeństw kolejnej zawodowej wyprawy zapadła w dalekim Manaus, w Ameryce Południowej. Polakom i ich przyjaciółom dopiero co udało się powrócić z wyczerpującej, pełnej napięcia wędrówki przez peruwiańskie góry, pustynię i dżunglę, przez ogarnięte rewolucyjnym wrzeniem pogranicze boliwijsko-brazylijskie. Z wędrówki, która nie przypominała żadnej z dotychczasowych. Chyba że pod jednym tylko względem: tak samo jak zawsze trzeba było zmagać się z własną słabością w krańcowo różnym pod względem geograficznym i klimatycznym terenie - zwyczajne, znane każdemu podróżnikowi ryzyko. Do tego dołączyły jednak napięcie i lęk o zdrowie i życie przyjaciół oraz niedostatek środków niezbędnych do przeżycia, konieczność liczenia na przysłowiowy ślepy traf, na łut szczęścia. Była to bowiem od początku wyprawa ratownicza, przedsięwzięta dla ratowania znakomitego łowcy zwierząt i tajemniczego podróżnika Jana Smugi. Podczas tej wyprawy na skutek wielu zbiegów okoliczności, w opałach znaleźli się nie tylko ratowani, ale i ratujący. Kiedy więc Tomek przypomniał na pożegnalnym przyjęciu w Manaus o od dawna odkładanych wakacjach, wyjazd do Egiptu wydał się czymś niezwykle pożądanym i atrakcyjnym.

Najbardziej ucieszyła się oczywiście Sally, absolwentka archeologii, która od dawna marzyła o obejrzeniu Doliny Królów. Do obojga młodych chętnie przyłączył się ojciec Tomka, Andrzej Wilmowski, zmęczony ryzykiem związanym ze sposobem, w jaki od wielu już lat zarabiał na życie. Od czasu ucieczki z Polski, z okupowanej przez Rosjan Warszawy, wśród napięcia kolejnych, następujących jedna po drugiej łowieckich wypraw do najbardziej egzotycznych krajów, czuł się jakby wciąż przed czymś uciekał. Zapragnął zatrzymać się w jakimś miejscu wreszcie z własnego wyboru. Mógł to być Egipt. Pociągał go ten kraj, a zwłaszcza jego suchy klimat, o którym mówiono, że może podleczyć coraz bardziej dokuczający mu reumatyzm. Takiego też użył w rozmowie z dziećmi i przyjaciółmi argumentu.

Tadeusza Nowickiego, niegdyś bosmana, a obecnie kapitana

I od czasu pobytu w Alwarze szczęśliwego właściciela pięknego jachtu - daru tak często przez wszystkich wspominanej maharani - do niczego co choć trochę pachniało przygodą nie trzeba było zachęcać dwa razy. Od dawna zresztą przywykł traktować Tomka i Sally jak młodsze rodzeństwo i nie rozstawać się z nimi, jeżeli nie okazywało się to konieczne. Do projektu Tomka zapalił się od razu: z Anglii do Egiptu mogli przecież popłynąć jachtem, z którego był tak bardzo dumny.

Na wakacje akurat teraz nie mogli sobie pozwolić Karscy. Stała praca w kompani kauczukowej „Nixon-Rio Putumayo” była dla Zbyszka Karskiego, kuzyna Tomka, zbyt ważna. Zapewniała, jemu i jego żonie Nataszy, po trudnych latach byt na najbliższą przyszłość. Wilmowscy rozumieli to aż za dobrze.

Z odrobiną żalu, ale trzeba się też było pogodzić z wiadomością, że nie będzie im towarzyszył Smuga. Podobnie jak Zbyszka zatrzymywały go w Manaus nowe, ważne obowiązki. Od czasu ostatniej wyprawy stał się przecież współwłaścicielem „Nixon-Rio

Putumayo”.

Racja w wypadku Karskich tak oczywista mniej trafiała do przekonania, kiedy chodziło o Smugę. Ale ten, skwitowawszy rzecz krótko, że nie traci wiele, bowiem “zdażył już być także i w Egipcie”, swoim zwyczajem milczał i pykał fajeczkę.

Nie pierwszy już raz rozdzielały ich w ten sposób życiowe okoliczności. Zawsze się jednak gdzieś w końcu spotykali i zawsze z tą samą radością. Dlatego i Wilmowscy, i Nowicki wyruszyli do Londynu pełni otuchy, w pogodnym nastroju.

W Londynie za to zaczęły się piętrzyć poważne i drobne trudności, a dalsza podróż irytująco odwlekać. Najpierw pies Dingo, wierny towarzysz łowieckich wypraw, musiał zostać poddany dłuższemu leczeniu w klinice dla zwierząt. Ropień na lewej łapie, pamiątka z Brazylii, jątrzył się i nie goił. Wynikł także poważny kłopot z jachtem Nowickiego, wypożyczonym na czas pobytu w Ameryce Południowej znajomemu Hagenbecka[18] i zabranym w rejs po Morzu Śródziemnym. Okazało się teraz, że podczas sztormu jacht uległ uszkodzeniu, a naprawa będzie kosztowna i długotrwała. Znajomy Hagenbecka, poczuwając się do odpowiedzialności, zaproponował, że go kupi. W tej sytuacji Nowicki propozycję przyjął.

- Własny jacht tak pasuje do marynarza z warszawskiego Powiśla jak kwiatek do kozucha - rzucił niefrasobliwie, starannie ukrywając przed przyjaciółmi żal i rozgoryczenie. Zaraz też kupił bilety na rejs do Aleksandrii statkiem pasażerskim.

Na kilka zaledwie dni przed wypłynięciem z londyńskiego portu nieoczekiwanie nadeszła depesza z Manaus. Jan Smuga powiadamiał w niej o nowych okolicznościach, które skłoniły go do podróży do Egiptu i prosił o pomoc. Proponował, żeby Wilmowscy wraz z Nowickim czekali na niego w Kairze, gdzie już wynajął dla nich wygodne, prywatne mieszkanie.

Podczas podróży statkiem zaintrygowani przyjaciele gubili się w domysłach, co też mogło nakłonić Smugę do nagłej zmiany planów. Nowina wprowadziła jednak Tomka i Nowickiego w doskonały nastrój. Teraz, kiedy otrząsnęli się już ze zmęczenia, obydwu w skrytości ducha trapiła obawa, że czysto turystyczny pobyt w Egipcie okaże się za spokojny i monotony. Perspektywa przyjazdu Smugi rozwiewała oczywiście widmo nudy.

Znali Jana Smugę tak dobrze, tyle wspólnie przeżyli i wciąż się czegoś nowego o nim dowiadywali w każdej kolejnej wyprawie. Podczas jednej odkryli, że poznał tajemnicę murzyńskich tam-tamów w czasach, gdy pomagał plemieniu Wattusi w walce z niemieckimi wojskami kolonialnymi na południowym wybrzeżu Jeziora Wiktorii. W innej wyszły na jaw jego kontakty z wybitnymi podróżnikami-badaczami oraz ryzykowne wyprawy z pandytami[19] penetrującymi kraje Azji Środkowej. W czasie ostatniej przekonali się, że jest zaprzyjaźniony z wodzami niektórych indiańskich plemion stawiających opór białym najeźdźcom. Ile jeszcze w kolejach jego losu kryło się niespodzianek? Czy któraś z nich może wiązać się z Egiptem?

Nieoczekiwana zmiana planów i zapowiedź, że liczy na pomoc przyjaciół, mogły oznaczać tylko jedno: zanosilo się na coś niezwykłego. Tylko tego można było być

pewnym. Nie na próżno przecież ojciec Tomka, który najdłużej znał Smugę, mawiał, że za Smugą jak cień snują się niezwykle wydarzenia.

Od przeszło trzech tygodni odpoczywali i cierpliwie zwiedzali Kair. Któregoś ranka nadeszła wreszcie wiadomość, że statek, którym Smuga wypłynął z Anglii lada dzień zawinie do portu w Aleksandrii. Andrzej Wilmowski wyruszył do Aleksandrii, aby przyspieszyć intrygujące spotkanie. Trochę znudzeni już Kairem młodzi Wilmowscy, aby skrócić czas oczekiwania, wymyślili pod jego nieobecność nocną wycieczkę do Gizy “pod opieką” Nowickiego. Ani się spodziewali, ilu ten pomysł dostarczy im atrakcji.

\*\*\*

Świtało, gdy dorożką wracali do domu.

- “Kto nie widział Kairu, niczego nie widział” - westchnęła Sally.

- Co mówisz, sikorko? - z roztargnieniem zapytał Nowicki.

- Powtarzani stare arabskie przysłowie - odpowiedziała Sally. - Czy wiecie, że nazwa “Kair” oznacza “Miasto Zwycięstwa”?

- Skoro tak mówisz... - zmęczony Tomek nie wykazywał zbytniego entuzjazmu.

- Cała historia zaczęła się od... gołąbka... - Sally nie poczuła się zrażona brakiem zainteresowania. - Najpierw jednak była tu twierdza zwana Babilonem.

- A później rządzą Rzymianie - wtrącił Tomek.

- Tak. Wreszcie przybyli Arabowie. Ich wódz, Amer Ibn el-As, po zajęciu w 640 roku Aleksandrii i ówczesnej stolicy kraju, miasta Memfis, pomaszerował na wschód.

- Tak i zatrzymał się w okolicach dzisiejszego Starego Kairu.

- Tam, gdzie Nil rozdzielał się na kilka ramion, tworząc deltę. Stał dokładnie w miejscu, gdzie rosły na wpół zasypane pustynnym piaskiem palmy.

- I tu założył swój obóz? - dał się wciągnąć w rozmowy Nowicki.

- Owszem. Z okrzykiem “zwycięstwo”, czyli po arabsku *El-Kahirach*, wznosił ozdobiony drogocennymi kamieniami miecz. Jednym cięciem miecza naznaczył linię na piasku, wydając rozkaz: “Tu stanie mój namiot”. Rankiem okazało się, że na namiocie uwiła gniazdo gołębic. Uznano to za dobrą wróżbę i postawiono w tym miejscu meczet o nazwie Al-Fostat, czyli Namiot. U stóp świątyni rozrosła się najstarsza dzielnica Kairu.

- A od kiedy miasto nosi dzisiejszą nazwę? - drażył Nowicki.

- Od X wieku, gdy władzę przejęła dynastia Fatymidów. Legenda mówi, że nad Fostatem ukazała się wtedy świecąca smuga od planety Mars i że dlatego stolicy nadano nazwę “Miasto Zwycięstwa”.

Odkryta dorożka, zaprzężona w chudego, kościstego konia, wolno jechała w słońcu poranka przez pas nadbrzeżnej zieleni. Wśród sadów i palm nad kanałem bielily się wille. Dalej pojawiły się stare obskurne domy, a bliżej rzeki nowocześniejsze, kilkupiętrowe

kamienice. Dorożka wjechała na most łączący zachodni brzeg Nilu z wyspą Roda. W dole, po mętnej, mulistej rzece, płynęły feluki[20] i ogromne barki o wysoko zadartych dziobach obładowane towarami: sianem, durrą, arbuzami, zielonymi melonami, trzcina cukrową bądź glinianymi garnkami. Z powodu ich wysokich masztów, z wielkimi, nabrzmiętymi od wiatru trójkątnymi żaglami, wszystkie kairskie mosty na Nilu miały pośrodku jedną lub więcej ruchomych części.

Zaledwie dorożka wjechała na wyspę, powożący Arab odwrócił się do pasażerów i łamaną angielszczyzną, gardłowym głosem, zawołał:

- Wyspa Roda! Tutaj nilometr, niedaleko, na południowym cyplu! Czy chcecie zobaczyć?

- Nie! Jedź dalej i popędzaj szkapę, chcemy być jak najprędzej w domu - po angielsku odparł Nowicki, a zwracając się do siedzących naprzeciwko młodych Wilmowskich, rzekł po polsku: - Nie warto marudzić, może dzisiaj nadejdzie wiadomość od ojca? Zresztą słyszałem już co nieco o egipskich urządzeniach do pomiarów poziomu wody w rzece. Podobno wzdłuż Nilu rozsiana jest cała ich sieć, również poza granicami Egiptu.

- Nic dziwnego, Nil decyduje przecież o życiu lub śmierci Egipcjan - powiedział Tomek. - Już w starożytności grecki historyk Herodot pisał, że Egipt jest darem Nilu, a jego istnienie zależy od tej jednej jedynej rzeki. Rzeki bez dopływów, nie zasilanej opadami deszczu i płynącej przez tysiąc pięćset kilometrów jednej z najstraszliwszych pustyni Ziemi. Gdyby Nil przestał płynąć, choćby na krótko, Egipt czekałaby nieuchronna zagłada.

- Czytałam, iż Egipcjanie od najdawniejszych czasów ciągle mierzyli poziom wody w Nilu. Na podstawie skrętnie zapisywanych wyników przewidywali urodzaje i ustalali wysokość podatków - wtrąciła się Sally. - Zapisy te czyniono nieprzerwanie od sześćset dwudziestego drugiego roku. Nigdzie na świecie nie było czegoś podobnego. Nilometry sytuowano w każdej świątyni, we wszystkich miastach i osadach leżących nad samym brzegiem rzeki. Wyniki przesyłano do Kairu.

- Czyżby nilometr na wyspie Roda był najstarszy? - zaciekał się Nowicki.

- Nie, ale został zbudowany w siedemset szesnastym roku i jest pierwszym, jaki powstał w czasach arabskich - wyjaśniła Sally.

Dorożka jechała tymczasem wąskimi zaniedbanymi uliczkami i wkrótce dotarła do mostu łączącego wyspę Roda ze Starym Kairem położonym na wschodnim brzegu Nilu. Szybko przebyli niezbyt tutaj szerokie ramię rzeki. Dalej długa ulica Kasr al-Ajni, równoległa do wybrzeża, dochodziła aż do południowo-zachodniej dzielnicy.

W mieście, jak codzień, niemal od świtu panował ożywiony ruch i gwar. W tłumie przechodniów odzianych w długie, białe i pasiaste galabije, turbany i fezy spotykało się ubranych po europejsku mężczyzn, którzy pracowali w urzędach i przedsiębiorstwach. Nieliczne na ulicach kobiety nosiły przeważnie czarne, długie suknie i osłaniające twarz szale. Przed sklepami, często w ogóle pozbawionymi frontowych ścian i wystaw, otwartymi wprost na ulicę, kupcy głośno zachwalali wystawione na sprzedaż orientalne i



zachodnie towary. Niektórzy rozkładali je na chodniku bądź rozwieszali na ścianach domów. Fryzjerzy, krawcy, szewcy i czyściciele butów, w ogóle rzemieślnicy, pracowali na ulicy, po prostu na chodnikach przed domami. Na przenośnych straganach piętrzyły się owoce cytrusowe i warzywa, opiekano na rożnach kawałki baraniny, smażono ryby. W powietrzu unosił się zapach oliwy i czosnku.

Nie mniejszy rozgardiasz panował na jezdni. Ulicą jeździł już szynowy tramwaj elektryczny, kursujący z placu Tahrir aż do Starego Kairu. Egipcjanie polubili ten środek komunikacji, dogodniejszy od tramwajów konnych. Toteż elektryczne pojazdy szynowe obwieszane były pasażerami. Nie zważając na niebezpieczeństwo, ludzie tłoczyli się na stopniu wzdłuż całego wagonu. Tramwaj musiał jechać wolno. Często też przystawał, mimo że motorniczy natarczywym dzwonieniem usiłował przegonić z torowisk zawalidrogi. Obok toczyły się bowiem ciężarowe wozy na dwóch wysokich kołach, ciągnięte przez osły, konie lub wielbłądy. Woźnice flegmatycznie pokrzykiwali na nieostrożnych przechodniów. Nieraz za powożącym Arabem siedziały jego żony. W kłębiącym się tłumie pojazdów i ludzi z cyrkową zręcznością lawirowali chłopcy dźwigający na głowach pełne świeżego pieczywa, duże, okrągłe kosze, które brawurowo podtrzymywali jedną ręką w ich zdawałoby się chwiejnej, a jednak pewnej równowadze. Tu i ówdzie przesuwwały się charakterystyczne sylwetki roznosicieli wody z wielkimi dzbanami zakończonymi czymś na kształt zakrzywionego lejka. Tłoczyły się flegmatycznie osły objuczone koszami pełnymi jarzyn, worami pszenicy, słomy bądź cegły. Jeszcze inne, popędzane przez krzykliwych poganiaczy, służyły jako wierzchowce mężczyznom w galabijach. Wszędzie wśród dorosłych plątały się psy, koty i dzieci w kusych koszulinach. Wszystko to przetaczało się ulicą pełną gwaru rozmów, okrzyków i wrzasków.

Nocny chłód ustępował, robiło się coraz upalniej. Dorożkarz, stary Arab, zdjął abajas[21] i został w tradycyjnej galabii. Od początku nieufnym, świdrującym wzrokiem mierzył ubranych w arabskie stroje Europejczyków, którym towarzyszyła kobieta z odsłoniętą twarzą. Nie dziwił się, bo w swoim dorożkarskim życiu widział już niejedno, ale jego niechęć do pasażerów wzrosła, gdy odrzucili propozycję zobaczenia nilometru. Spróbował zatem inaczej:

- Czy jesteście chrześcijanami? - spytał.

A gdy Nowicki potwierdził, zaproponował:

- Tutaj niedaleko jest domek, gdzie mieszkał Jezus[22] z rodziną. W dzielnicy koptyjskiej...

- Innym razem, dobry człowieku - zbył go kapitan - teraz chcemy wrócić do domu.

Arab wzruszył ramionami i zamruczał coś pod nosem. Zawiedziony nie na żarty pomyślał, że to jacyś dziwni cudzoziemcy, skoro udają Arabów, włóczą się po nocy i na dodatek spieszą wcale nie jak turyści! Może to oznaka nieczystego sumienia i może nie zapłacą za przejazd? Nigdy wprawdzie nie spotkało go coś takiego, ale tego dnia stary Arab był w wyjątkowo złym humorze.

Zaledwie straszne podejrzenie ugruntowało się w jego głowie, niespodziewanie

ściągnął lejece chudej szkapy. Nie przygotowanych na to podróży wcisnęło w siedzenia, a potem rzuciło do przodu. Sally, gdyby Tomek nie zdołał jej złapać, jak nic wylądowałaby pod kołami pojazdu.

- Do diabła! - zaklął po polsku -Nowicki. - Co wyrabiasz? Arab zerwał się z kozła i zaczął coś wykrzykiwać, żywo przy tym gestykując. W jego bełkotliwej mowie najbardziej znajomo brzmiało słowo bakszysz.

- Czego chcesz? Co się stało? - pytał gorączkowo Tomek. Wokół dorożki gęstniał tymczasem wrzeszczący tłum. Arabowie, Egipcjanie, Turcy wygrażali pięściami i wykrzykiwali coraz głośniejsze. Sally zauważyła, że niczym refren przewija się okrzyk *Danszawoj*.

- Tommy! Tommy! - zawołała do męża, który pospiesznie płacił staremu. Ten gdy otrzymał pieniądze, sam zaczął uspokajać współziomków.

- Tommy! Powiedz im, że nie jesteśmy Anglikami, tylko Polakami!

Tomek zorientował się, o co jej chodzi:

- No English! Polak! Polska! *Bolanda! Bolaaanda!!!*[\[23\]](#)

Nie wiadomo, co zrozumiał rozwrzeszczany tłum. W każdym razie tak samo niespodziewanie jak powstało całe zamieszanie, nagle wszystko wróciło do poprzedniego stanu...

Nowicki, który cały czas trzymał rękę na kolbie rewolweru, teraz wyjął ją z kieszeni i otarł pot z czoła.

- Wszystko przez tego starego draba - powiedział cicho do Tomka. - Trzeba mu przemówić do rozsądku.

- Daj spokój, Tadku! Samiśmy sobie winni. Co oni wszyscy mieli sobie pomyśleć, gdy zobaczyli nas przebranych za Arabów?

- Zachowali się wrogo, bo wzięli nas za Anglików - nerwowo wyjaśniała Sally. - Wiem stąd, że wykrzykiwali nazwę miejscowości w delcie Nilu, gdzie pięć lat temu angielski oficer w czasie polowania postrzelił egipską wieśniaczkę. Pisano o tym w gazetach, gdyż doszło do walki, w której zostało rannych trzech Egipcjan i trzech Anglików, jeden z nich później zmarł. Brytyjczycy uznali zajście za bunt i aresztowali kilkudziesięciu fellachów[\[24\]](#). Czterech z nich powieszono - dokończyła ciszej. Po chwili, już spokojniej, dodała:

- Wydaje się, że mimo wrzasku tłum zachował porządek. Wszystko tak nagle się zaczęło i skończyło, jakby ktoś tym kierował.

- Właśnie - potwierdził Nowicki - a już miałem wyciągnąć rewolwer... Zwróćcie też uwagę, że nie odważyli się nas zaatakować. To była jedynie demonstracja.

- Stąd wniosek, że metody Anglików okazały się...

- Zawodne, Tomku, zawodne - wszedł przyjacielowi w słowo marynarz. - Według mnie

wolnościowe tęsknoty umacniają się w Egipcie.

- Tak, tylko że jak na jedną noc to trochę za dużo - skrzywiła się Sally.

- Pewnie, sikorko! A co za dużo, to nie zdrowo - skwitował Nowicki.

## NIEZWYKŁE SPOTKANIA

Smuga, mimo późnego już poranka, wbrew swemu zwyczajowi, nie poderwał się z kołnierzem po przebudzeniu. Podjął się bowiem niełatwego zadania, przy którego realizacji potrzebował pomocy wypróbowanych przyjaciół. Zastanawiał się teraz, jak przyjmą wiadomość, że przyjął zlecenie... arystokraty, lorda, fanatycznego kolekcjonera wszystkiego co egipskie, który na dodatek nie zawsze troszczył się dostatecznie o legalność prowadzącej do posiadania tych przedmiotów drogi. Wpędziło go to zresztą w końcu w kłopoty, a że interesy wymagały jego obecności w Manaus - lord miał udziały w kompanii Nixona - przywiodło go do Smugi.

Smuga długo rozważał ofertę. Czy wobec okazanej przezeń wcześniej rezerwy przyjaciele zrozumieją jego pobudki? Jak zareaguje Andrzej Wilmowski, który chciał w Egipcie wypoczywać i leczyć się? To pytanie powracało, nurtując niepokoje. Kiedy jednak ujrzał oczyma wyobraźni kpiący wzrok Nowickiego, pałające ciekawością oczy Sally, która marzyła o przygodzie w Dolinie Królów, nie mógł nie wyrazić zgody. I nie mógł się już wycofać.

Odsunął od siebie te myśli. Nie czas na wahania i niepokoje, kiedy podjęto się decyzję. Skupił uwagę na tym, co przydarzyło mu się już tu na statku, a wydawało czymś więcej niż przypadkowym zrzędzeniem losu.

Długo w noc konferował z angielskim dyplomata, którego poznał przed laty właśnie w Egipcie. Uśmiechnął się na myśl, że po latach obaj wracali do tego kraju, obaj z pewną misją i obu im przyszło płynąć tym samym statkiem. Rozmawiali rzecz jasna o Egipcie. Rozmowa, z początku bardzo ogólna i swobodna, z czasem stawała się coraz konkretniej. Anglik starał się zainteresować Smugę problemem, który go nurtował. Smuga grzecznie słuchał, umiejętnie podtrzymując rozmowę.

- Proszę tylko pomyśleć - mówił dyplomata - że przez wiele wieków Egipt, zamknięty od wschodu i zachodu, a praktycznie i od południa, pustynią, od północy zaś Morzem Śródziemnym, był dla Europejczyków krajem nie znanym. Naukowe nim zainteresowanie jest zupełnie świeżej daty i tak naprawdę rozpoczęło się pod koniec osiemnastego wieku, po wyprawach Napoleona. Odtąd Egipt trwale zafascynował archeologów, a po nich ludzi bogatych, którzy zaczęli finansować kosztowne wyprawy odkrywcze [\[25\]](#). Pasji badawczej towarzyszyła chęć posiadania. I tak to trwa aż po dzień dzisiejszy.

- Chce pan zapewne przez to powiedzieć, że od niepamiętnych czasów zdarzały się kradzieże dzieł sztuki - Smugę zawsze przyprawiał o zniecierpliwienie ten rodzaj taktu, jaki stosowano w dyplomacji.

- Owszem - Anglik nie poczuł się urażony takim postawieniem sprawy. - Zwłaszcza w tej części świata... Podają to nawet bardzo stare źródła...

- Ciekawe jak stare się zachowały? - przerwał Smuga.

- O! Dość stare! W szesnastym wieku przed naszą erą, gdy panowanie rozpoczęła osiemnasta dynastia [\[26\]](#), ograbiono chyba wszystkie grobowce ważnych osobistości -

odpowiedział dyplomata.

- Znajomy archeolog, Howard Carter[27], opowiadał mi historię rozprawy dotyczącej okradania grobowców faraonów sprzed tysięcy lat. Dokładny jej opis zachował się na papirusach z epoki Ramzesa IX[28]. Nie był to czas dobry dla państwa. Kwitło przekupstwo, a władza była bardzo słaba. W ciągu czterdziestu lat zmieniło się aż ośmiu faraonów...

- W takich sytuacjach wzrasta przestępczość i chęć łatwego dorobienia się. Znam to z historii mojego narodu - wtrącił Smuga.

- Papirus podaje imiona bohaterów całej historii, nawet przestępców! - ciągnął Anglik. - Wszystko zaczęło się od zwykłej zawiści, jaką wzajemnie darzyli się zarządca wschodniej części Teb[29], Pezer, i jego odpowiednik po ich zachodniej stronie, Pewero[30]. Otóż tenże Pezer, otrzymawszy informację o rabunku grobowców w zachodniej dzielnicy nie omieszkał złożyć raportu wspólnemu przełożonemu Chamwezemu. Chamweze powołał specjalną komisję do zbadania tej sprawy.

- Postąpił właściwie.

- Nie miał chyba innego wyjścia.

- Czy komisja coś wskórała?

- Miała ustalić, czy rzeczywiście są to kradzieże aż na tak wielką skalę. Pezer wymienił bowiem w raporcie dokładną liczbę okradzionych grobowców.

- Miał niezwykle dokładne informacje.

- Właśnie. Można by mniemać, że utrzymywał po drugiej stronie Teb swoją wywiadowczą siatkę. Nie przewidział tylko jednego...

- Czego?

- Że członkowie komisji, a nawet może i sam Chamweze, czerpią z kradzieży korzyści.

- Przemyślny zatem człowiek z tego, jak go pan nazywa, Pe...

- Pewera...

- Ach, te imiona - westchnął Smuga. - Dla Słowianina brzmią tak podobnie... Ale, wracając do tematu, przypuszczam, że komisja niczego nie wykryła...

- W każdym razie nie potwierdziła danych Pezera. Według niej włamano się do jednego, nie zaś do dziesięciu, jak podał Pezer, grobowców królewskich i do dwóch, nie czterech grobowców kapłanek.

- I postępowanie umorzono.

- Oczywiście. Obrabowano wprawdzie niemal wszystkie grobowce prywatne, ale wszak to nie powód, by oskarżać zasłużonego Pewera.

- Tak kończy się sen o sprawiedliwości.

- O nie! To dopiero końcówka pierwszej rundy... Nazajutrz Pewero na wschodnim brzegu Nilu urządził prawdziwą manifestację przeciw Pezerowi. Można sobie wyobrazić, co przeżywał ten człowiek, gdy mu zgotowano pod nosem kocią muzykę.

- Z pewnością mocno się zdenerwował.

- Stracił głowę. Wybiegł z domu, wdał się w awanturę z jednym z przywódców i zagroził, że odwoła się wprost do faraona.

- Nie najmądrzejsze posunięcie. Ów Pezer, jak go pan nazywa, nie był zbyt zręcznym politykiem.

- Aż tak źle bym go nie osądzał. Pierwszą bitwę przegrał. Przegrał również drugą: Chamweze pozwał go przed sąd, w którym Pezer, sam będąc w kolegium sędziowskim, przyznał się, że złożył nieprawdziwe doniesienie. Trzecie starcie należało jednak do niego. Po kilku latach ujęto ośmiu przestępców, papirus podaje nawet ich imiona. Po śledztwie, od wieków polegającym tutaj głównie na skłanianiu do różnych wyznań za pomocą chłosty w pięty i dłonie, potwierdzili oni raport Pezera.

- Zaiste, fascynująca historia. Rad jestem, że jej wysłuchałem. Opowiem ją moim przyjaciołom, którzy czekają na mnie w Kairze, a zwłaszcza Tomaszowi Wilmowskiemu, który przepada za tego rodzaju opowiadaniem.

- Powiada pan, Wilmowsky... Tom... Chyba słyszałem to nazwisko. Czy nie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym?

- Tomasz jest jego członkiem. Możliwe, że stąd jest panu znany. Wygłosił na tym forum parę odczytów na temat Papuasów, a ostatnio miał wykład o Indianach z Puszczy Amazońskiej.

- Rzeczywiście, nawet go wysłuchałem, teraz sobie przypominam. Bardzo młody uzdolniony człowiek. Ale, czyżby pańska zapowiedź spotkania z przyjaciółmi w Kairze miała oznaczać, że przygotowuje pan jakąś wyprawę i to w Egipcie?

- Zupełnie nie - roześmiał się Smuga. - Tym razem zamierzamy zrealizować od dawna odkładane plany wakacyjne.

- Podwójnie zazdroszczę, i wakacji, i towarzystwa. Chociaż przyznam, iż miałem nadzieję zainteresować pana nie tyle przeszłością, ile teraźniejszością rynku sztuki - powiedział Anglik.

- Nie bardzo rozumiem? - zdziwił się Smuga.

- Widzi pan, w ostatnich latach Egipt znowu stał się na tym rynku modny. Niedawno, nie tylko zresztą w Anglii, pojawiły się cenne papirusy, przedmioty kultu i codziennego użytku, biżuteria. Wszystko pochodzi stąd, z Egiptu, nie wiadomo tylko, jaką przecieka drogą. Skala zjawiska jest tak znaczna, że wskazuje na istnienie dobrze zorganizowanej szajki przemytniczej.

- Czy dlatego aż tak ono pana absorbuje? - Smuga pytał dalej, zupełnie obojętnie, jakby dla podtrzymania rozmowy.

- Powiem wprost. Powierzono mi misję, którą nazwałbym detektywistyczną. Zna mnie pan, więc i wie, że się zupełnie do tego nie nadaję. Bardziej jestem uczonym niż politykiem, a co dopiero detektywem. Spotkawszy pana na tym statku, uznałem to za uśmiech losu. Wszak misja, o której mówię, o wiele lepiej pasowałaby do pana. Czyż nie mam racji? - Anglik zakończył swój wywód w sposób wymagający odpowiedzi.

Smuga odpowiedział wymijająco, tak jednak aby nie zamykać sprawy. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, między innymi o pojawiającym się często w kontaktach z prywatnymi kolekcjonerami tajemniczym człowieku, aż dotarli do tego momentu rozmowy, kiedy nie ujawnia się więcej szczegółów bez wyraźnej deklaracji.

Nie znalazłszy w zachowaniu Smugi niczego, co wykraczałoby poza ramy czystej uprzejmości, Anglik postanowił inaczej sformułować swoją propozycję:

- Ma pan w Egipcie, jak pamiętam, osobliwe kontakty. Szkoda, że nie udało mi się pana pozyskać. Ale nie zamierzam tak od razu rezygnować. Proszę porozmawiać z przyjaciółmi, równie niezobowiązująco jak ze mną. Będę bardzo rad, jeśli znajdzie pan czas i odwiedzi mnie, wraz ze swoim młodym przyjacielem, w konsulacie w Kairze.

Tyle Smuga mógł mu spokojnie przyrzec.

Przemyślawszy wszystko raz jeszcze, wreszcie wstał, ubrał się i zapalił nieodłączną fajkę.

\*\*\*

Słońce wzeszło tymczasem wysoko. Nieliczni pasażerowie przechadzali się po pokładzie. Mijał już piąty dzień, odkąd statek wyruszył z Triestu, gdzie zatrzymał się na pół dnia, aby uzupełnić zapasy węgla. Odbywał on swój normalny rejs z Anglii do Bombaju i wiozł dystyngowanych angielskich gentlemenów, w większości udających się do Indii. Należał do Kompanii Lloyda[31] i nosił wdzięczne imię "Cleopatra". Wyposażony w mocny silnik płynął z prędkością dziewięciu węzłów[32]. Zbliżał się właśnie do Archipelagu Jońskiego. W dali lśniły, pokryte jeszcze śniegiem, wierzchołki gór Albanii. Po prawej stronie wyspa Korfu, skalista w swej północnej części, z widocznymi ruinami jakiegoś miasta od wschodniej strony, przechodziła w prześliczne, łagodne, zabudowane i pełne ogrodów wzgórze. Statek zawinął do portu, aby dostarczyć pocztę i wkrótce wyruszył w dalszą drogę.

Już nazajutrz mijał przylądek Matapan na Peloponezie, najbardziej na południe wysunięty punkt Europy. Wkrótce przepłynął obok Krety i zaczął wyraźnie zbliżać się do afrykańskiego lądu. Coraz liczniej poczęło mu towarzyszyć ptactwo. Smuga z zachwytem obserwował spore ptaki, osiągające prawie metr długości, o rozpiętości skrzydeł do półtora metra, które nadleciały nad statek całym stadem. Zostały nazwane głuptakami[33], z racji niezwyklej ufności, jaką darzyły człowieka, dopuszczając go na najbliższą odległość. Smaczne mięso, przy łatwości polowania, przyczyniło się do ich masowej prawie zagłady. Te były przeważnie białe, jedynie niektóre miały szaro, brązowo lub czarno ubarwione skrzydła czy same tylko ich końce.

“Z jaskrawymi nogami, nagą skórą z przodu głowy, śmiesznymi owalnymi dziobami i ostro zakończonym, długim ogonem wyglądają jak kłowny... Dziób przypomina ogon, a ogon jest podobny do dziobu” - pomyślał Smuga, nie przypuszczając, że niektórzy tak właśnie te ptaki nazywają. Prześmieszne wydawały mu się również ich wrzaski, chichoty i gwizdy... Nagle głuptyki wzniosły się wyżej i niemal całym stadem ruszyły w dół, spadając na ławicę ryb. Po chwili większość wynurzyła się ze zdobyczą w dziobach.

Pogoda sprawiła, że wszystkich ogarnęło senne lenistwo. Marynarze i pasażerowie szukali cienia. Ciszę przerywał jedynie szum morza i krzyk ptactwa, ginący gdzieś między wodą a niebem. Smuga poddał się ogólnemu nastrojowi i oparty o reling statku z zadumą spoglądał przed siebie. Nagle spod pokładu dobiegł jakiś hałas, trudny z początku do rozpoznania. Po chwili niby diabeł z pudełka wyskoczył na pokład niepozorny człowieczek. Za nim pędził dobrze zbudowany mężczyzna.

- Trzymaj, łapaj! - krzyczał.

Dopędzał już chłopca i miał go zatrzymać, ale ten wywinął się jak piskorz. Pojawili się inni marynarze.

- Ukrywał się w bieliźniarni - informowano się nawzajem.

Pasażerowie rozbudzeni niebywałym zdarzeniem z zainteresowaniem przyglądali się gonitwie. Żaden się jednak nie przyłączył. Chłopiec nie rezygnował. Już, już ktoś miał go w zasięgu ręki, ale następował sprytny unik, zwrot i ucieczka w drugą stronę. Przestrzeń wokół zbiega w końcu zaczęła się zacieśniać. Wydawało się, że nie ma możliwości odwrotu. Kiedy jeden z marynarzy chwycił chłopca za koszulę, ten wyrwał się, zostawiając mu ją w rękach, błyskawicznie się rozejrzał, krzyknął coś rozpaczliwie i nie widząc innej drogi... wyskoczył za burtę! Tuż obok stojącego przy relingu Smugi, który od początku z oburzeniem przyglądał się przykrej pogoni. Krzyk zgrozy rozległ się wśród pasażerów i załogi.

- Człowiek za burtą! Człowiek za burtą! - trzy przeciągłe sygnały dźwiękowe oznajmiły wypadek na statku.

- Maszyny stop! - padła komenda.

Smuga nie czekał, aż statek rozpocznie manewr zawracania. Jednym susem przesadził barierkę i po kilkumetrowym locie wylądował w wodzie z podkurczonymi nogami. Któryś z marynarzy rzucił w kierunku chłopca koło ratunkowe, tak by napłynęło na niego niesione falą. Smuga zauważył kątem oka, że rzut nie był precyzyjny. Inni, z pokładu, pokazywali mu kierunek... Statek powoli się oddalał.

“Minie sporo czasu, zanim zawróci przy tak sporej fali” - pomyślał Smuga, silnymi ramionami rozgarniając wodę. Na szczęście mignęła mu postać chłopca. Obserwował go i patrząc na chaotyczne ruchy uznał, że nie umie pływać albo stracił głowę. Nagle mały zanurzył się i Smuga stracił go z oczu. Zanurkował, dostrzegł go i po kilku ruchach znalazł się w pobliżu. Chłopiec niespodziewanie, rozpaczliwie wczepił się z całych sił w jego szyję. Smudze udało się jeszcze głęboko wciągnąć powietrze i obaj zniknęli pod powierzchnią



wody. Po chwili tonący rozluźnił konwulsyjny uchwyt i usiłował wynurzyć głowę, by zaczerpnąć powietrza. Wykorzystując to, Smuga przekreślił się w wodzie i nogą odepchnął go od siebie. Teraz starał się podpłynąć od tyłu. Udało się! Odwrócił topielca na plecy i chwycił za włosy, holując za sobą. Uważał przy tym, by jego głowa utrzymywała się na powierzchni. Chłopiec powoli się uspokajał. Podpłynęła łódź, spuszczone z wracającego statku, i wciągnięto ich na nią. Wkrótce znaleźli się na pokładzie. Chłopcem zaopiekował się lekarz okrętowy, a Smuga poszedł do swej kajuty. Odpoczywał, gdy ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

- Otwarte! - zawołał. Wszedł steward.

- Kapitan prosi pana do siebie - powiedział i pochylił się w lekkim ukłonie.

Udali się więc obaj do kajuty kapitana. Na widok Smugi ogorzały wilk morski wstał i szerokim gestem zaprosił go do środka.

- Bardzo proszę. Dokonał pan niebywalej rzeczy...

- Było trochę nerwowo - uśmiechnął się nieznacznie Smuga, zasiadając przy małym stolyczku.

- Nie każdy odważyłby się na to. Przecież mógł pana po prostu wciągnąć wir wywołany przez śrubę... Widziałem już taki wypadek...

- Nie było czasu na myślenie. Zwykłem w takich chwilach reagować natychmiast.

- Znakomicie pan pływa!

- Miałem znakomitych nauczycieli - wszedł mu w słowo Smuga. Przez moment widział Nowickiego, demonstrującego różne sztuczki w wodzie, których nie wiadomo gdzie i kiedy się wyuczył. "Zapewne na swym umiłowanym Powiślu" - mignęła przelotna myśl i Smuga dodał: - Byliby ze mnie dumni...

- I my jesteśmy dumni. Pozwoli pan, nie zaszkodzi kieliszeczek marynarskiego trunku...

Steward wniósł poczęstunek.

- Wieczorem zapraszam na specjalne przyjęcie na pańską cześć - powiedział kapitan.

- To chyba przesada. Interesuje mnie przede wszystkim nasz pasażer na gapę.

- Jeśli sędzić po rudej czuprynie i akcencie, to rodowity Irlandczyk. Cóż, na razie niewiele mówi. Daliśmy mu spokój. Niech wypocznie.

- Był bardzo zdesperowany.

- Niewątpliwie. Przerażony dzieciak. Ma może dwanaście lat.

- Zaradny, skoro tyle dni tak sprytnie się ukrywał.

- Chce pan zobaczyć gdzie?

- Naturalnie!

Zeszli pod pokład. Na końcu szeregu pasażerskich kajut I klasy znajdował się skład bielizny. Tam, w kącie, za stertą brudnej pościeli, ulokował się uciekinier.

- Całkiem nieźle się tu urządził - powiedział kapitan. - Gdy ktokolwiek zajrzał, a nawet wszedł, nie mógł go zauważyć. - Kapitan pochylił się nad legowiskiem. - Jeszcze nie zdążyli tego uporządkować. Chodźmy!

- Chwileczkę - teraz nad posłaniem pochylił się Smuga. Podniósł poduszkę. Leżała pod nią płócienna, naramienna torba. Zajrzeli do środka. Kilka suchych kromek chleba, kawałek spleśniałego sera, trochę ubrań oraz fotografia przedstawiająca dwu mężczyzn, młodą kobietę, widocznie żonę jednego z nich, i gromadkę dzieci.

- Całe bogactwo... Hej, posprzątajcie tu! - krzyknął kapitan do stewarda, przechodzącego właśnie korytarzem.

- Ay, ay, sir - słuźbiście odpowiedział tamten.

Wrócili do kajuty kapitana, kontynuując rozmowę. Obu interesowało, jak też chłopiec dostał się na statek, a jeszcze bardziej, w jaki sposób dotarł z Irlandii aż do Italii.

- Zapytamy go, gdy nieco ochłonie - powiedział kapitan. Smuga raz jeszcze przejrzał torbę chłopca. Wziął do ręki fotografię i długo się w nią wpatrywał, a potem podał kapitanowi. Ten zwrócił ją z komentarzem:

- Typowa irlandzka biedna rodzina.

- Tak, tak - przyznał z zadumą Smuga. - Ale ci mężczyźni...

- Mężczyźni?! - zdziwił się kapitan.

- Właśnie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że gdzieś ich już widziałem.

Postanowili udać się do izby chorych. Młody lekarz okrętowy uspokajająco się do nich uśmiechnął.

- Chłopiec śpi. Jest dość wymizerowany, widocznie głodował, ale szybko przyjdzie do siebie.

- Rozmawiał pan z nim?

- Zamknął się w sobie, nie chciał mówić. Przez sen powtarza imię "Patrik" i słowo "mother".

Smuga i kapitan spojrzeli po sobie jednakowo wzruszeni.

- Musiał dzieciak sporo przeżyć - powiedział podróżnik.

W tejże chwili chłopiec otworzył oczy. Przetarł je dłonią i rozejrzał się przytomniej. Gdy Smuga pochylił się nad nim, przestraszony zasłonił twarz dłońmi.

- Nie bój się. Nic ci nie grozi. Jesteśmy przyjaciółmi. Przerwał mu szloch. Spokojna twarz dziecka zmarszczyła się nagle.

Z oczu pociekły łzy. Niespodziewanie malec objął Smugę za szyję.

- No dobrze, już dobrze, synku - uspokajał podróżnik. Nienawykły do takich scen, niezdarnie tulił chłopca do siebie.

Pozostali mężczyźni milczeli, poruszeni dramatyzmem sceny.

- Jak ci na imię, chłopcze? - spytał wreszcie kapitan, by przerwać męczącą ciszę.

- Ja, to... Ja jestem Patryk.

- Patryk to bardzo piękne imię - powiedział lekarz.

- Przyznasz Patryku, że zrobiłeś nam wszystkim ogromnie, hm... miłą niespodziankę - w ten osobliwy sposób kapitan rozpoczął swoje dochodzenie.

- Na statek to ja wszedłem... Dwu panów dźwigało duży pakunek. Na tym dużym był mały. Jak ten mały spadł, to ja go podniosłem i już... Potem, zostawiłem ten pakunek i poszukałem schowka dla siebie. Szukałem kryjówki. Wszędzie było dużo ludzi... a ja chciałem się schować. Taki pan otworzył to pomieszczenie i tam się schowałem.

- I cały czas tam byłeś?

Chłopiec przestał już jednak odpowiadać.

Zostawili go na razie w spokoju. Ubranego, nakarmionego i umytego zaproszono go wkrótce do kajuty kapitana, gdzie zebrani w skupieniu wysłuchali burzliwej historii jego młodego życia.

Chłopiec urodził się w Belfaście w noc sylwestrową na przełomie wieków. Rodzina była biedna. Wielu Irlandczyków emigrowało wtedy za ocean. Ojciec i dziadek "pasażera na gapę" popłynęli do Australii, gdzie znaleźli złoto. Wrócili do ojczyzny, ale dziadek chłopca, wycieńczony i schorowany, wkrótce zmarł. Ojciec zaś wplątał się w jakieś tajne związki<sup>[34]</sup> i zginął w antybrytyjskich zamieszkach. I matka została sama, w biedzie, z gromadką dzieci.

- Ja to - kontynuował mały Irlandczyk - ja to byłem najstarszy... Tata i dziadek opowiadali mi, jak znaleźli złoto. Jak znaleźli złoto, to było w domu dobrze. Jak dziadek zmarł i tata, to było niedobrze.

Smuga, zasłuchany jak i inni, szukał czegoś gorączkowo w pamięci. W pewnej chwili wstał i wziął do ręki fotografię, którą znaleziono w torbie uciekiniera. Długo się w nią wpatrywał. Zamknął oczy i skupił myśli, ukrywając twarz za osłoną dłoni. Tymczasem mały snuł dalej swe wspomnienia:

- To ja sobie pomyślałem, że też znajdę złoto w Australii i znów będzie u nas dobrze. I wyruszyłem w drogę.

I popłynęła opowieść o promie, którym dostał się do Anglii, o sprytnym wtargnięciu na pokład brytyjskiego parowca... Historia brzmiałaby niewiarygodnie, gdyby nie opowiadał jej naoczny świadek i bohater.

Smuga raz jeszcze spojrzął na fotografię. "Skąd znam te twarze?"

- koncentrował wzrok to na jednej, to na drugiej sylwetce mężczyzny. Obaj wysocy, smukli, z jasnymi brodami w ciemnych garniturach. Podobni do siebie niemal jak bracia.

- Gdzie, mówisz, znaleźli złoto? - przerwał chłopcu.

- W Australii - odparł tamten - to ja przecież mówiłem...

- W Australii... W Australii... - powtórzył w skupieniu Smuga. A czy ty... - w tonie, jakim wypowiadał te słowa, było coś takiego, że obecni odczuli, iż dzieje się coś niezwykłego. - Czy ty, chłopcze - powtórzył Smuga - nie nazywasz się... O'Donell? Zapanowało zdumione milczenie, które przerwał nie mniej niż inni zdziwiony mały Irlandczyk.

- To ja, proszę pana. Tak, to ja nazywam się Patryk O'Donell!

- A to twój ojciec i dziadek - Smuga wskazał na fotografię.

- Tak. A to mama i moi bracia, i moje siostry. A tutaj to ja! - dodał chłopiec.

Smuga zapalił fajkę, usadowił się wygodniej na twardym wąskim krzeselku i zaciągnął dymem.

- Cóż - zaczął - niezbadane są ścieżki ludzkiego losu. Widzisz, Patryku, znałem twojego ojca i dziadka. Poznaliśmy się w australijskim buszu, gdzie wraz z przyjaciółmi łowiłem dzikie zwierzęta dla ogrodu zoologicznego. Twoi bliscy zostali uwięzieni przez bandytów, którzy chcieli ich obrabować. Udało nam się im pomóc[35].

Mały Patryk przysłuchiwał się temu z wypiekami na twarzy, wspominając wieczorne gawędy ojca i dziadka, którzy tak ciepło opisywali tajemniczych, życzliwych im łowców zwierząt.

Kiedy w porze kolacji Smuga przekroczył wraz z chłopcem próg jadalni, powitała ich huczna owacja na stojąco. Zatrzymali się, obaj nieco zażenowani. Gdy usiedli przemówił kapitan:

- Panie i panowie! Pragnę przedstawić bohaterów dnia. Oto panowie: Jan Smuga i Patryk O'Donell.

Po krótkich oklaskach uroczyście wniesiono specjalne danie.

- Nasz kucharz, Chińczyk z pochodzenia, przygotował to na cześć pana - wyjaśnił kapitan. - Rano byliśmy świadkami niezwykłego połowu. To jest żarłacz śledziowy[36], rekin o niezwykle smacznym i delikatnym mięsie. Przez znawców bywa ono nazywane morską cielęcina - wyjaśniał dalej kapitan. - Zachęcam wszystkich do spróbowania. To prawdziwy smakołyk. Polecam zwłaszcza danie z płetw, specjal chińskiej kuchni.

Kolejnymi oklaskami nagrodzono kucharza, który tego wieczoru przeszedł samego siebie. Pod koniec kolacji pasażerowie zebrali dla małego Patryka wcale pokaźną kwotę na powrót do ojczyzny.

\*\*\*

Bez żadnych już godnych uwagi zdarzeń kontynuowano rejs: statek niebawem zaczął

zbliżać się do Aleksandrii. Najpierw, z dala, ukazała się latarnia morska, zaślnęły w słońcu minarety meczetów, później zobaczyli maszty stojących w porcie okrętów, wreszcie wynurzył się z morza płaski afrykański ląd i położone na jego brzegu ogromne miasto, ozdobione rzędami wysmukłych palm daktylowych. Smuga stał na pokładzie razem z irlandzkim chłopcem.

- Może przepłyniemy obok jednego z cudów świata[37], ruin sławnej latarni na wyspie Faros - mówił właśnie.

- Cudów świata? - pytająco powtórzył Patryk.

- Tak, siedem sławnych budowli starożytnych, z których większość znajduje się w Egipcie - wyjaśnił angielski dyplomata, oparty o balustradę tuż obok nich.

- W Egipcie? Cudów świata? - wciąż dziwił się chłopiec.

- Różne rejestry podają piramidy, Dolinę Królów, Kolosy Memnona, no i naszą latarnię - wyjaśniał Anglik.

- Czy to pierwsza latarnia morska na świecie?

- Tak. I to bardzo wysoka. Według niektórych miała mierzyć aż 180 metrów, inni mówią o 120. Jej światło widać było z odległości 16 mil[38].

- Kiedy została zbudowana? - chłopiec wydawał się wyraźnie zainteresowany.

- Wzniósł ją architekt Sostratos z Knidos pod koniec trzeciego wieku przed naszą erą. Znajduje się, jak już wspomniałem, na wyspie Faros, połączonej z wybrzeżem stałym mostem wybudowanym na polecenie Aleksandra Wielkiego.

- Czy to ta latarnia, którą widać? - próbował ustalić chłopiec.

- Nie. Ta jest nowa. Tamta, niestety, nie zachowała się. Cóż, tak bywa ze starymi rzeczami. Najwyższe piętra zawały się gdzieś w drugim wieku. Resztę przerobiono na meczet, który w czternastym wieku zniszczyło trzęsienie ziemi.

- To ta wyspa nazywa się "latarnia"[39]? - pytał dalej Irlandczyk.

- Nie! Raczej odwrotnie. W języku angielskim użyto nazwy wyspy na określenie specjalnych budowli sygnalizacyjnych dla żeglarzy. Podobnie zresztą jak w innych językach.

Tymczasem do burty przybiła łódź z pilotem, który szczęśliwie przeprowadził parowiec do brzegu.

Do małego Patryka, jak niegdyś do Tomka, uśmiechała się nie znana, wielka przygoda.

## WYPRAWA W PRZESZŁOŚĆ

Po nie przespanej nocy tylko Sally, żywotna jak zawsze, wybrała się na targ. Tomek i Nowicki drzemali w fotelach w mieszkaniu wynajętym przez Smugę. Dopiero co zakończyli przyjacielskie przekomarzania. Kapitan nie mógł bowiem odżałować, że nie nauczyli starego woźnicy "rozumu". Tomkowi wydało się, że zakończy przedłużający się spór parodią niedawnej sytuacji, najbardziej nieprawdopodobną z nieprawdopodobnych.

- Ciekaw jestem, Tadku, co ty byś powiedział, gdybyś na Rynku Mariackim, w samo południe, zobaczył Murzynkę w krakowskim stroju!?

- Tu cię mam! - rozchmurzył się marynarz. - Otóż nie w Krakowie, ale widziałem! Kiedyś w Chicago, w "Pulasky Day"[\[40\]](#), w barwnym korowodzie ujrzałem ciemnoskórą piękność w polskim stroju ludowym.

I tak zakończyła się przyjacielska sprzeczka. Po chwili obaj już spali równie mocno jak Dingo, wyleczony z "parszywego choróbska", jak to określił kapitan.

\*\*\*

Tymczasem Smuga i Andrzej Wilmowski musieli pozostać w Aleksandrii o wiele dłużej niż początkowo planowali. Smuga zamierzał prosić o pomoc w realizacji swego zadania jednego z tutejszych przyjaciół, a ten był, niestety, nieobecny i miał wrócić dopiero za kilka dni.

Znajomy Anglik w ciągu dwóch dni pokazał im miasto, które przechodziło różne koleje losu. Nazwane Aleksandrią od imienia swego założyciela, Aleksandra Wielkiego, było stolicą kraju za panowania dynastii ptolomejskiej[\[41\]](#) i Rzymian oraz największym po Rzymie miastem Cesarstwa. Liczyło ponad milion mieszkańców. Szybko stało się też jednym z najważniejszych ośrodków kultury greckiej, a potem chrześcijańskiej. Tu mieściła się słynna biblioteka, tu działał najstarszy na świecie instytut naukowy, Muzeion, tu przetłumaczono na język grecki Stary Testament, tu wreszcie mieścił się jeden z najstarszych ośrodków pierwotnego chrześcijaństwa, ze znaną teologiczną szkołą. Straciło n a znaczeniu po podziale Cesarstwa Rzymskiego i założeniu Konstantynopola, a o ostatecznym upadku przesądził w 642 roku Arabowie, którzy je zdobyli.

Wszystkie te wiadomości chłonał Patryk, który okazał się sprytnym i żądnym wiedzy chłopcem.

- Aleksander Wielki to ten, który podbił cały świat - powiedział chętnie - to ja wiem!

- Ale w Afryce, zaraz po jej podboju, o mało nie stracił życia. Kiedy powiedziano mu, że na Pustyni Libijskiej w oazie Siwa, o 1-2 dni drogi od Memfisu, znajduje się sławna świątynia-wyrocznia, jako człowiek przesądny natychmiast się tam udał.

- Bardzo chciałbym zobaczyć pustynię - westchnął Patryk.

- Każda pustynia, szczególnie zaś Pustynia Libijska, jest niebezpieczna. Także dla Aleksandra Wielkiego. Król i cały orszak zgubili drogę. Trafili na burzę piaskową. Zabłądzili.

- Ze mną by nie zabłądzili - przechwalał się Patryk - wiem, gdzie jest północ, gdzie południe!

- Oczywiście - uśmiechnął się opowiadający - szkoda, że cię tam nie było. Ale i przewodnicy odnaleźli drogę. Gdy król dotarł do pełnej jezior, palmowych gajów i słodkowodnych źródeł oazy, poczuł się jak w raj.

- Dziś Aleksandria jest znów potężnym miastem - przypomniał Smuga.

- Tak, ale w 1788 roku, gdy wylądowali tu żołnierze Napoleona, zobaczyli małą, sześćtysięczną, rybacką wioskę. Przez przeszło tysiąc lat miasto traktowano jako źródło budowlanego kamienia.

- Nie do wiary - teraz zdumiał się Smuga.

- Aleksandria wróciła do świetności za czasów twórcy nowoczesnego Egiptu, zwanego Napoleonem Wschodu, Muhammada Alego[42], który w latach 1819-1820 kazał przekopać kanał łączący starożytny port z zachodnią odnogą Nilu. Transportowano wtedy bawełnę, bogactwo Egiptu.

Patryka zachwycało wszystko, także mała, zamożna kamieniczka gdzie zamieszkali, przy Al-Hurija, wybudowanej kilkanaście lat temu, nowoczesnej ulicy, przecinającej miasto ze wschodu na zachód, uznawanej za wybitne osiągnięcie brytyjskich i włoskich architektów. Wzdłuż ulicy stały zwarte, czteropiętrowe, secesyjne budynki. Polubił zwłaszcza klatkę schodową wyłożoną marmurami, gdzie schody miały tak wspaniale nadające się do zabawy poręcze, że nie warto było zważać na gderanie swarliwego *bbawwabowa*[43], który wychylał głowę ze swej stróżówki, ilekroć podróżnicy opuszczali progi domu. Chłopiec bowiem odkąd znudził się windą, naciskaniem guzików i robieniem pociesznych min do lustra, zjeżdżał po prostu po owych poręczach, zawsze wyprzedzając jadących windą Wilmowskiego i Smugę.

Kiedy po pierwszym, pełnym wrażeń dniu w Aleksandrii wreszcie zasnął, obaj przyjaciele mogli rozpocząć poważną rozmowę.

- A mieliśmy wypoczywać... - westchnął ojciec Tomka.

- Zawsze byłem zwolennikiem czynnego wypoczynku - roześmiał się Smuga - a przyjaciele dzielnie mi sekundowali.

- Myślisz o Tomku i Nowickim...

- Tak, ale przede wszystkim o tobie, Andrzeju, o twoim uporze i zdrowym rozsądku. Zresztą, możecie... możesz odmówić.

- Oj Janie, Janie! Przecież mi nie przepuścicie. To nie z Sally, nie z Tomkiem, nie z Nowickim.

- Byłem ciebie pewny. Kiedyś nie odmówiłeś udziału w szaleństwie[44], a to co proponuję, nie jest tak groźne.

- Tego bym nie powiedział, ponieważ w grę wchodzi pieniądze. A tam gdzie chodzi o

pieniądze, nie ma skrupułów. Poza tym jest jeszcze chłopiec. Co z nim?

- Myślałem o tym. Możemy odesłać go do domu. Ale coś przecież się tym O'Donellom od nas należy. W końcu ufundowali nam wyprawę do Afryki.

- Co w Afryce się zaczęło, niech w Afryce się skończy - westchnął Wilmowski.

- Zaczęło się w Australii, Andrzeju - poprawił go Smuga. -Dobrze, a więc weźmiemy chłopca ze sobą.

I wrócili do intrygującej ich sprawy.

- Mówisz, Janie, że poznałeś lorda kolekcjonera w Brazylii, już po naszym stamtąd wyjeździe - Wilmowski spróbował ogarnąć wszystko, co opowiedział mu Smuga. - Lord zaś szuka człowieka, od którego kupował różne przedmioty do swej kolekcji, nie pytając nawet, jak ów człowiek wszedł w ich posiadanie. I ty, dla niego, chcesz podjąć się takiego zadania?

- Nie tylko ze względu na niego - odpowiedział Smuga. - Chociaż lord, mimo rozmijania się z prawem, to jednak gentleman fanatycznie zakochany w Egipcie, wspierający finansowo wiele archeologicznych wypraw. Sam zresztą dobrze wiesz, Andrzeju, że prawo dotyczące wywozu starożytnych przedmiotów dopiero się rodzi. Ale nie o lorda mi idzie. Zaintrygowała mnie sama zagadka związana z jednym z jego nabytków, o którym ci mówiłem. Kto, kiedy i nade wszystko dlaczego to uczynił?

- Zdajesz sobie sprawę, że to szukanie igły w stogu siana?

- Tak, długo to rozważałem i zamierzałem odmówić, ale przecież należymy do wielkich szczęściarzy. Tomek to dziecko w czepku urodzone...

- Już nie dziecko! To żonaty mężczyzna - poprawił Wilmowski.

- Tym bardziej! Szczęście wciąż go nie opuszcza! - zauważył Smuga. I dodał:

- A więc raz jeszcze przytoczę ci argumenty. Po pierwsze, jak mi się wydaje, nie może chodzić o jednego człowieka, ale o wielu ludzi, dobrze zorganizowaną szajkę, a to dla nas duża szansa. Trzeba poszukać przecieku. Po drugie, kradzione przedmioty pochodzą z Doliny Królów i pojawiły się na rynku europejskim stosunkowo niedawno. Po trzecie wreszcie, znam tu, w Egipcie, sporo ludzi, którzy będą mogli nam pomóc.

- Janie, Janie, gdzie ty nie masz przyjaciół - westchnął Wilmowski.

- No i jeszcze to niespodziewane spotkanie na statku. Okazuje się, że w poszukiwaniu "naszej" szajki złodziei i przemytników angażuje się rząd brytyjski.

- Nie wiesz przynajmniej dlaczego?

- Nie! Ale spodziewam się dowiedzieć, kiedy odwiedzimy konsulata w Kairze.

Najbliższe dni nadal spędzali jednak w Aleksandrii na oglądaniu zabytków ku zachwytowi Patryka. Także Wilmowskiemu i Smudze nie zawsze udawało się zachować obojętność, zwłaszcza przy kolumnie Pompejusza z kamiennym sfinksem. Smuga,



wskazując kolumnę, rzekł do Wilmowskiego:

- Cesarz Dioklecjan kazał ją wybudować po zdobyciu miasta w 294 roku.
- Mierzy ze 30 metrów - ocenił Wilmowski.
- Tak, ma sto stóp wysokości.
- Widzę, że intryguje cię ten zabytek.
- Owszem. Nie wiem, czy zauważyłeś sznurowe drabinki, prowadzące na szczyt.

Wilmowski przyglądał się uważnie.

- Aha! Są rzeczywiście, ale od przeciwnej strony.
- Co byś powiedział na małą wycieczkę na górę?
- Nie mówisz chyba poważnie?
- Dlaczego?
- Bo nie jestem, jak Nowicki, marynarzem.

- Jemu wystarczyłaby sama kolumna, bez drabinek - zażartował Smuga.

- Chyba jednak nie mówisz serio?! - nadal niedowierzająco pytał Wilmowski.

- Dlaczegoż by nie? - upierał się Smuga. - Trzeba odwiedzać stare kąty.

- Czyżbyś już kiedyś gościł na wierzchołku? - zdumiał się ojciec Tomka.

- Ba! - odrzekł Smuga - wprowadzie tylko raz, ale zawsze... Zwyczajem ekstrawaganckich podróżnych mogliśmy nawet zażyczyć sobie podania obiadu na szczycie.

- Kto go tam wniósł?

- Jeszcze kilka lat temu pobliska restauracja zatrudniała kelnera-akrobatę.

Wilmowski pokręcił niedowierzająco głową, ale ruszył za przyjacielem. Nagle dobiegł ich jakiś niewyraźny głos.

- Słyszałeś coś? - spytał Wilmowski.

Smuga rozglądał się.

- Jakby ktoś krzychał - rzekł. Nadśluchiwali. Wreszcie dobiegło ich wyraźne:

- Wujku! Tutaj! Tutaj!

- To Patryk! Gdzie on... - rzekł Smuga i przerwał.

- To ja. To ja! Na górze! Tuutaaj! - krzychał chłopiec ze szczytu kolumny. Wreszcie go zobaczyli. Machał do nich ręką.

- Diabli nadali - zaklął pod nosem Smuga. - Co go tam poniosło? Złaż natychmiast!

Chłopak machał do nich radośnie, wreszcie przysiadł na skraju kolumny, spuszczać nogi w dół. Przyjaciele podbiegli do podstaw kolumny od strony drabinek. Pierwsze, co

rzuciło się im w oczy, to napis: "Wchodzenie po drabinkach zabronione".

Tymczasem Patryk rozpoczął wędrówkę w dół. Wilmowski pociągnął lekko, potem mocniej za drabinę, chcąc sprawdzić jej solidność. Wkręty, do których były przytwierdzone sznury lekko się poruszyły.

- Patryku! Ostrożnie! - krzyknął, widząc to, Smuga.

Chłopiec z niezwykłą zręcznością schodził po szczeblach. Od ziemi dzieliła go już niewielka odległość, gdy jeden z wkrętów puścił i drabinka zachybotała gwałtownie.

- Jezus! Maria! - wyrwało się Wilmowskiemu. Chłopiec przyłgął do kolumny i na chwilę znieruchomiał.

- Wujku! Nie martw się! Już schodzę!

I niewiele sobie robiąc z niebezpieczeństwa, ześliznął się na ziemię.

Smuga otarł pot z czoła i zrobił groźną minę.

Tego dnia natychmiast wrócili do domu. Przeprowadzili z chłopcem męską rozmowę. Oczywiście, obiecał poprawę i... już następnego dnia buszował po zamieszkanym przez ubogą ludność wąskich, małych i brudnych uliczkach w pobliżu pochodzących z czasów rzymskich, wykutych w skale, podziemnych, kilkupiętrowych katakumb Komes-Szukefa. Nie trzeba dodawać, że znowu zdarzało mu się zniknąć opiekunom z oczu.

Wreszcie wczesnym popołudniem któregoś dnia Smuga oznajmił, że wraca jego przyjaciel i mogą mu złożyć wizytę w siedzibie towarzystwa, gdzie pracuje. Jak opowiadał Smuga w 1891 roku grupa zakochanych w swoim mieście i jego przeszłości mieszkańców Aleksandrii założyła, przy pomocy włoskich architektów, Muzeum Grecko-Rzymskie, gromadzące pamiątki z zamierzchłej przeszłości: posągi, statuetki, portrety, nagrobki, sarkofagi, inskrypcje, a zwłaszcza monety. Młodzi w większości ludzie, po zbombardowaniu miasta w 1882 roku i przejęciu władzy nad Egiptem przez Anglików, szukali sposobu wyrażenia swych patriotycznych uczuć. Ta sama grupa, kilkanaście miesięcy temu, założyła Aleksandryjskie Towarzystwo Archeologiczne<sup>[45]</sup>. Smuga dowiedział się o tym z listu, który czekał na niego w Londynie.

Towarzystwo mieściło się w budynku na tyłach muzeum. Obaj Polacy weszli do środka. Smuga zapytał:

- Czy jest pan Abeer Szekeil?

- Mudir<sup>[46]</sup> jest w kawiarni - wyjaśnił woźny - zaraz po niego pójde.

- No widzisz - westchnął Smuga - tak jest w tym kraju. Urzędnik przychodzi, wiesza wierzchnią odzież na wieszaku i maszeruje do kafejki, gdzie czeka na interesantów.

Znaleźli się w dużej sali z oknami ozdobionymi drewnianymi okiennicami. Wokół stały gabloty ze starymi rzeźbami, monetami, papirusami. Na ścianach wisiały portrety badaczy starożytności. Smuga i Wilmowski z zainteresowaniem pochylił się nad jedną z gablot. Nagle usłyszeli gardłowym głosem zadane pytanie:

- O co chodzi?

Odwrócili się i ujrzeni starszego, szpakowatego, ubranego po europejsku Egipcjanina. Ten na widok Smugi przez chwilę jakby się zastanawiał, a potem zawołał:

- *Allah kerim!* Bóg jest mądry! *Salaam!* Witaj!

Obaj ze Smugą wyciągnęli w bok prawe ręce, po czym mocno uderzyli dłonią o dłoń, obejmując się jednocześnie za ramiona. Wymieniali przy tym, przerywając sobie nawzajem, wiele powitalnych słów.

- Na brodę Proroka! To naprawdę ty!

- Ja, Abeer, ja...

- Niech Allach pomnoży twoje zdrowie!

- I tobie niech przysporzy łask! Dostałem twój list i przybyłem!

- Sam prorok dał ci natchnienie! Po trzykroć bądź pozdrowiony!

- Witaj i Ty! *Salaaml* .

Po wylewnym powitaniu, które zdumiało milczącego Wilmowskiego, nastąpiła ceremonia prezentacji i wszyscy trzej udali się do pobliskiej kawiarni. Mimo że znajdowała się ona w europejskiej części miasta, a może właśnie dlatego, miała charakter na wskroś arabski. Przy stolikach oczywiście siedzieli jedynie mężczyźni. Wśród nich Europejczycy, ale również kilku tubylców, w białych galabijach i turbanach. Najbardziej egzotycznie wyglądali ci w europejskich ubraniach i czerwonych fezach. Większość paliła nargile<sup>[47]</sup>. Abeer sięgnął pojedną z długich, stojących w szeregu fajek i gestem zachęcił swoich gości. Smuga odmówił i wyjął fajkę, ale Wilmowski się skusił. Na płomień główki sypnęli pachnący proszek. Wonny dym przez długi, giętki, niemal metrowy cybuch i naczynie z wodą docierał do ustnika, a potem do ust i płuc. Przy każdym zaciągnięciu się fajka śmiesznie bulgotała.

“Będę miał czym pochwalić się Tatkowi” - pomyślał Wilmowski, zaciągając się kilka razy. Kiedy odłożyli fajki, Smuga rozpoczął rozmowę.

- Zawsze podziwiałem twoje, Abeer, umiłowanie Egiptu.

- Na brodę Proroka! Niech ci Allach wybaczy. Ty kochasz swoją ojczyznę, tak jak ja kocham światło moich oczu, moje rodzinne miasto. Al-Iskandarija - dodał ze szczególnym ciepłem w głosie.

- Bardziej niż żonę i dzieci - uśmiechnął się Smuga. - Znam kogoś, kto tak bardzo kocha morze, że nie chce się żenić!

- To inna miłość, bracie.

Wilmowski był szczerze zdumiony. Abeer zwrócił się do Smugi, używając słowa “bracie”, którego muzułmanie w zasadzie nie używali w stosunku do gaurów.

- Ale Aleks<sup>[48]</sup> to nie Egipt - kończył swoją myśl Abeer. - Mówi się nawet, jak w

starożytności, Aleksandria przy Egipcie.

- Kochasz Aleksandrię jak żonę, ale Egipt to matka - obrazowo stwierdził Smuga. I dodał po dłuższej chwili, pykając kilka razy z fajki:

- Ja też kocham Egipt.

Zapadło milczenie, które znowu przerwał Smuga.

- Potrzebuję pomocy, bracie. Abeer słuchał pilnie.

- Tak! Kocham Egipt i wiem, że go obrabowują. Szukam złodziei okradających grobowce w Dolinie Królów.

- To jedź do Doliny - odpowiedział aleksandryjczyk.

- Pojadę. Ale potrzebuję rady.

- - Pomocy... Rady... Nie chcę współpracować z Brytyjczykami - Abeer przestał mówić kwiecistym językiem ludzi Wschodu, mimowolnie przystosowując się do surowego stylu Smugi.

- Egipt na tym tylko traci. Jeżeli już wywozić, to oficjalnie. Przynajmniej wiadomo, kto i gdzie. Trzeba szukać rozwiązań prawnych. Państwo nie może tolerować złodziejstwa na tak szeroką skalę.

Wilmowski milczał. To była sprawa Smugi. Ale dziwił go kontrast między dotychczasową wylewnością i nagłą nieufnością Egipcjanina. W końcu nie wytrzymał. Chwycił Abeera za rękę i, patrząc mu prosto w oczy, powiedział z naciskiem:

- Jesteśmy uczciwymi ludźmi.

- Na brodę Proroka - uśmiechnął się tamten - język wasz jest jak serce dzwonu, którego dźwięk nie pozwala zasnąć.

Zostali zaproszeni do domu Abeera na śniadanie, skąd z listem polecającym do Al-Habiszi, znanego aleksandryjskiego kupca, właściciela sklepu z antykami. Ten po kilku godzinach przesłał im przez posłańca wiadomość: "Nie w Aleksandrii. Szukajcie w Kairze".

- Dobrze i to - podsumował Smuga - poszukamy w Kairze. Abeer mówił, że Al-Habiszi jest niezwykle prawym człowiekiem. Osiągnęliśmy i tak bardzo wiele. Przełamaliśmy nieufność.

Wysłali jeszcze zebrane pieniądze i list do matki Patryka - telegram Smuga nadał jeszcze ze statku - wyjaśniając, że zabierają chłopca ze sobą na wakacyjną wyprawę. I tak pożegnali Aleksandrię.

\*\*\*

Ekspres Aleksandria-Kair, z osobnymi przedziałami dla mężczyzn, osobnymi dla kobiet i dzieci, pędził tak szybko, że w tumanach kurzu niemal niczego nie było widać. Wilmowski i Smuga zajęci rozmową nawet nie spostrzegli, że po godzinie minęli Damanthur, po następnych dwu - Tanta, ani że pociąg po trzy- i półgodzinnej podróży oraz

po pokonaniu 208 kilometrów wtaczał się właśnie na dworzec.

- Wujku! - krzyknął do Smugi przejęty Patryk. - Kair!

Chłopiec całą drogę trzymał na rękach małego kotka, który przyplątał się do niego w Aleksandrii. Muzułmanie lubią koty, w przeciwieństwie do psów, których nikt nie trzyma w domu. Wałęsają się przeto gromadami po ulicach. Europejski chłopiec z kotkiem na ręku wzbudzał życzliwość i zainteresowanie miejscowych. Nic więc dziwnego, że pomogli podróżnym zdobyć dorożkę, którą ci szybko dotarli do dzielnicy, gdzie Smuga wynajął mieszkanie. Tu wpadli prosto w ramiona przyjaciół.

Powitaniom nie było końca. Ale zdarzył się też niemiły incydent. Patryka powitało psie warczenie. Dingo cały się zjeżył, a przerażony kot zamiauczał przeraźliwie i... tyle go było widać. Zażegnało to pierwszy poważny konflikt. Patryk szybko pogodził się ze stratą i wkrótce zaprzyjaźnił z psem.

- Dobry piesek - tłumaczył mu chłopiec. - Ja, to ja: Patryk. Ty, to ty: Dingo.

I znosił mu wkrótce same smakołyki z pobliskiego targu.

Kiedy Smuga przedstawił plany "miłego" spędzenia czasu w Egipcie, Tomek tylko westchnął, a Nowicki zatarł ręce i znacząco mrugnął do Sally, która chłonęła słowa podróżnika z wypiekami na twarzy. Przy Dolinie Królów, zaklaskała, poderwała się z krzesła i ucałowała Smugę w oba policzki.

- A nie mówiłem - uśmiechnął się Wilmowski. - Sally nie przepuści...

- Czy mógłbyś, Janie, wyjaśnić dokładnie, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał Tomasz.

- Cóż, wypada przynajmniej spróbować... - i Smuga rozpoczął po raz kolejny swoją relację, dodając do niej nie znane zainteresowanym szczegóły.

- Wiadomo, że Egipt to jedna z najstarszych cywilizacji świata. Od przeszło stu lat zainteresowanie nim wciąż wzrasta. Coraz więcej zbieraczy, nie zawsze w legalny sposób, często od przypadkowych sprzedawców, kupuje starożytne przedmioty. Jak już mówiłem, poznałem w Manaus angielskiego lorda, który od wielu lat pasjonuje się kolekcjonowaniem wszystkiego, co jest związane z Egiptem i nawet zaczął uchodzić za znawcę w tej dziedzinie. Nie czuł się więc zdziwiony, gdy pewnego późnego wieczora odwiedził go dziwny gość. Zapytany o nazwisko, odpowiedział: "Jestem władcą Doliny Królów". Możecie sobie wyobrazić ten dreszcz, który przeniknął naszego egiptologa. Opisał mi dokładnie owego niespodziewanego gościa takimi mniej więcej słowami: "Z półmroku wynurzył się mężczyzna ubrany w ciemny europejski strój. Początkowo nie mogłem mu się przyjrzeć dokładnie. Zauważyłem jedynie, że jest prawie mojego wzrostu. Potem, w świetle, zdumiały mnie jego ostre, przenikliwe oczy i faraonские rysy ciemnej twarzy". Faraonские rysy twarzy - lord powtórzył to kilkakrotnie i kontynuował: "Wyglądałby jak żywa mumia, gdyby nie mimika twarzy i przedziwne, przeszywające oczy... Przyznam, że zrobił na mnie niesłychane wrażenie. Poczulem dreszcz takich emocji, jakich już dawno nie przeżywałem. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że jestem nie w

angielskiej rezydencji, ale gdzieś w starożytnym Egipcie...”

- Widzicie więc kochani - mówił dalej Smuga - że niespodziewany gość wzbudził żywe zainteresowanie kolekcjonera. Tak żywe, że kiedy mi to opowiadał, przeżycie wróciło na tyle intensywnie, że poczuł się wyczerpany i musiał chwilę odpocząć. Dopiero po długiej chwili podjął opowieść.

“Gość nie chciał usiąść. Bez ogródek wyjawiał cel wizyty. Mówił nienaganną angielszczyzną, z londyńskim akcentem: «Może pana to zainteresuje - wyjął kilka drobnych przedmiotów - proszę sprawdzić ich autentyczność i przygotować - tu wymienił dużą sumę. - Zgłoszę się wkrótce...». Złożył ukłon i wyszedł”.

Smuga przerwał i sięgnął po fajkę. Celebrował jej nabijanie, aż Sally nie wytrzymała:

- I co dalej?

- Dalej już zwyczajna sprawa. Przedmioty okazały się cenne i bardzo stare. W opinii rzeczoznawców naturalnie, bo lord do końca nie ufał swojej wiedzy i wyczuciu. Nastąpiła wymiana. Tajemniczy gość dostarczył towar, lord - pieniądze. Nawet specjalnie się nie targowali.

- O co więc chodzi? Lord powinien być zadowolony!

Smuga, spowity kłębam dymu, sam wyglądał jak postać nie z tej ziemi. Przynajmniej w oczach Sally, która najmocniej przeżywała opowieść.

- Był zadowolony! - niespiesznie uśmiechnął się Smuga. - I oczarowany tajemniczością nocnego gościa. Dopóki nie przekonał się, że większość przedmiotów kupionych podczas drugiej wizyty jest doskonale podrobiona.

Tak Smuga zgasił niesamowity nastrój i sprowadził wszystkich na ziemię. Pierwszy zareagował Nowicki:

- He, he, he - roześmiał się - niech to wieloryb połknie! To ci dopiero numer!

- Tego, Janie, jeszcze mi nie mówiłeś... Twój lord został więc oszukany. Nie było to dla niego takie zabawne - wtrącił Wilmowski.

- Rzeczywiście, stracił moc pieniędzy. Ale gdybyż o pieniądze tylko chodziło! Nie omieszkał się jednak pochwalić przed przyjaciółmi, po czym okazało się, że on, znawca przedmiotu, szanowany i ceniony, został haniebnie nabrany! To była kompromitacja. I tego zwłaszcza nie mógł przeżyć. Obmyślał plan zemsty, ale wypadła podróż do Ameryki Południowej... i dalej, już wiecie... Byliście w Egipcie, więc podjąłem się tej misji. A Sally tak chciała zwiedzić Dolinę Królów... Poniekąd więc cała sprawa spadła jak z nieba...

Smuga umilkł. Siedział rozparty wygodnie w fotelu, z nogą założoną na nogę i milczał. Tylko Sally nie mogła się otrząsnąć z wrażenia nierzeczywistości. W jej wyobraźni Smuga uosabiał staroegipskiego maga, kapłana przygody.

Mężczyźni tymczasem przez jakiś czas wymieniali jeszcze uwagi, snując przypuszczenia, pomysły, wspominając przeszłość. Pierwszy oczywiście ziewnął Nowicki,

zbierając się do snu. Podnieśli się wszyscy. Tomek przeciągnął się, Wilmowski powoli rozpiął koszulę. Patryk od dawna już spał smacznie w fotelu z ręką na głowie Dinga. Tomek pochylił się, by przenieść chłopca na łóżko i w tym momencie Smuga zaskoczył ich po raz kolejny:

- Niech drzemie tu, Tomku - powiedział. - To nie koniec historii. Zaintrygowani, wrócili na miejsca.

- Proponuję wam wycieczkę w bardzo odległą przeszłość: cofnijmy się o 3300 lat. Tron obejmuje jeden z ciekawszych faraonów, którego historia zna pod imieniem Echnatona[\[49\]](#)...

- To ten, który próbował reformować religię, wprowadzić monoteizm, wiarę w jednego boga - gorączkowała się Sally.

- Tak jak u nas Mieszko I - uśmiechnął się Tomek.

- Kto? - zdziwiła się Sally.

- No, sikorko, trzeba znać polską historię, jeśli ma się męża Polaka - obruszył się Nowicki.

- Już wiem! To ten, który wprowadził w Polsce chrześcijaństwo.

- Wróćmy^ jednak do Echnatona - przerwał im Smuga - przez jednych uważanego za rewolucyjnego reformatora, przez innych za heretyka, przez jeszcze innych za pacyfistę i marzyciela. Są tacy, którzy twierdzą, że chciał ukrócić wszechwładzę kapłanów Amona. Są i tacy, wedle których, ulegał we wszystkim swojej pięknej małżonce, Nefertiti.

- Zawsze mówiłem - wyrwał się Nowicki - że żona dla maryna... to jest, chciałem powiedzieć, dla faraona, jest jak... jak...

- Jak ster dla okrętu - dokończyła Sally i pogroziła przekornemu kapitanowi.

- Jednym z następców Echnatona - kontynuował Smuga - był Tutanchaton, bodajże jego zięć, który powrócił do wiary ojców, przyjmując imię Tutanchamona[\[50\]](#).

Nowicki, od początku pobytu w Egipcie zmuszany do wysłuchiwanie nie kończących się wykładów z historii tego kraju, tym razem stracił cierpliwość:

- Niech się zamienię w wieloryba - zaperzył się. - Nic z tego nie rozumiem. Czyżby reforma tego faraona heretyka czy rewolucjonisty polegała na zmianie w imieniu boga jednej litery?

- Można to i tak ująć - uśmiechnęła się Sally. - Echnaton zerwał z kultem Amona, przeniósł stolicę kraju z Teb do Achetaton - dziś miejscowość ta nosi nazwę Tell al-Amarna - gdzie wybudował jedynemu bogu, Atonowi, wspaniałe świątynie. W przeciwieństwie do posępnych, mrocznych i tajemniczych świątyń Amona były one pełne światła, radosne, jasne i otwarte...

- Hm - mruknął Nowicki - w takim razie była to chyba najbardziej znacząca w historii świata zamiana literki...

- Przypuszczam - dodał Tomek - że i najbardziej kosztowna.

- Posłuchajmy jednak do końca tej ważnej opowieści - zaprotestowała Sally. - Przerwaliśmy na panowaniu Tutanchamona i choć studiowałam archeologię, przyznam, że niewiele o tym faraonie słyszałam.

- Tak - zgodził się Smuga. - Właściwie interesuje się nim garstka miłośników Egiptu, bywalców arystokratycznych salonów i naukowców. Należy do nich "mój", jak mówicie, lord[51]. Od lat próbuje uzyskać pozwolenie na prowadzenie wykopalisk w Dolinie Królów[52]. Jest bowiem przekonany, że kryje ona jeszcze niejedną tajemnicę. Między innymi, że jest tam nie odkryty jeszcze grób Tutanchamona.

- Jeśli wiara czyni cuda, to ma rację - powiedział Wilmowski.

- To nie tylko wiara. Znaleziono sporo przedmiotów, które wskazują, że grobowiec ten rzeczywiście może znajdować się w obrębie Doliny[53].

- Skoro tak, to warto zaryzykować - zamyślił się Wilmowski.

- Pewnie - dodał kapitan - kto ryzykuje, w kozie nie siedzi.

- I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Wśród przedmiotów, które nabył lord, była okrągła złota taca ozdobiona niewielkimi posążkami przedstawiającymi tego samego młodzieńca.

- Czy tym młodzieńcem był Tutanchamon?

- Oczywiście!

- A skąd pewność?

- Na tacy wyryto hieroglifami właśnie to imię!

- Nie wynika stąd wcale, że grobowiec tego faraona znajduje się w Dolinie Królów!

- Zgoda. Ale wszystkie autentyczne nabytki mojego kolekcjonera pochodziły stamtąd! To po pierwsze. A po drugie, jeden z posążków przedstawiał owego młodzieńca po śmierci - wyjaśnił Smuga.

- Jak to, po śmierci? Martwego? - spytał Tomek.

- Nie! - zaprzeczył Smuga. - Żyjącego!

- Wybacz, Janie, niech się zamienię w wieloryba, jeśli cokolwiek z tego pojmuję - westchnął Nowicki.

- Na dodatek - Smuga rozłożył ręce - wszystkiemu winna broda...

- Janie! Przestań się droczyć i powiedz wreszcie, o co chodzi - zdenerwował się Wilmowski. - Robi się już bardzo późno.

- Na wizerunkach czy posągach faraonów przedstawiano z brodami. Broda bowiem stanowiła dla starożytnych, nie tylko w Egipcie, oznakę mądrości i władzy.

- Ale co to ma wspólnego z żyjącym lub martwym faraonem?



- zniecierpliwiał się Wilmowski.

- Dla znawców przedmiotu bardzo wiele - odrzekł Smuga. - Żyjących faraonów przedstawiano bowiem z brodami ze ściętym końcem, zmarłych zaś - z zagiętym, półokrągłym. Broda z półokrągłym końcem utożsamiała faraona z bogiem zmarłych, Ozyrysem.

- To znaczy...

- To znaczy, droga Sally - nie pozwolił sobie przerwać Smuga - że tacę wykonano i ofiarowano po śmierci władcy. Może zrobił to ktoś, kto go bardzo kochał? Nie zapominajmy, że Tutanchamon zmarł w bardzo młodym wieku.

- Karkołomne rozumowanie - skomentował Wilmowski, a Nowicki od dłuższej już chwili gładził swoją, zaokrągloną na końcu, brodę i uśmiechał się do siebie.

- Ile było tych posążków? - dopytywała się Sally.

- Na tacy powinny być cztery, ale nasz lord otrzymał ją z trzema: złoty przedstawiał młodego króla jako żołnierza, alabastrowy jako pasterza, a drewniany jako boga Ozyrysa... Mam tu zresztą ich fotografie. Później się dokładnie przyjrzyjcie.

- To znaczy, że jednego posążka brakuje... Dlaczego?

- Właśnie! Kto, kiedy i dlaczego oderwał go z tacki?

- Na to pytanie trzeba poszukać odpowiedzi. Może będziemy mieli szczęście? Wszystko bowiem wskazuje na to, że taca została znaleziona w grobowcu Tutanchamona, właśnie w Dolinie Królów. Mój lord przypuszcza więc, że może złodzieje odkryli ten grobowiec...

- Który, według innych nie istnieje...

- I to także powinniśmy sprawdzić - zakończył swą relację Smuga. Zapadło milczenie.

- To może być pojedynek dwu wielkich faraonów - szepnęła do siebie Sally. „»».

- Co mówisz? - spytał najbliższy siedzący Nowicki. Sally powtórzyła.

- Nie żartuj, sikorko - nastroszył się przesądny kapitan - z takich rzeczy się nie kpi!

- To nie żarty - odrzekła rezolutna kobietka. - To może być spotkanie prawdziwego króla przygody z faraonem z Doliny Królów!

## WAŻNE ROZMOWY

Przybycie Smugi i jego intrygująca zagadka wniosły w życie grupki przyjaciół wiele ożywienia, ale nie odmieniły sposobu, w jaki spędzali czas. Nie mogli opuścić Kairu, zanim się nie porozumieli i nie przyjęli jakiegoś planu działania. A zadecydowanie o czymkolwiek nie było możliwe, zanim tu, na miejscu, nie dowiedzieli się czegoś, co mogłoby urealnić ten plan działania. z pozoru beztrąsko wędrowali więc nadal po dzielnicach Kairu i niczym turyści wybierali się wszędzie tam, gdzie coś warte było oglądania. Tyle że niektóre z wycieczek miały teraz także inny cel, równie konkretny jak zwiedzanie.

Na pierwszą wybrali się obaj Wilmowscy i Smuga. Wszyscy ubrani nienagannie, w europejskie ubrania, jechali wzdłuż Nilu dwukonną dorożką. Smuga, znający kilka arabskich słów, wydawał polecenia woźnicy. Dojeżdżali właśnie do mostu Al-Tahrir.

- *Yaminak*[54] - powiedział Smuga do powożącego, uderzając go jednocześnie laską w lewe ramię.

Widocznie dobrze znał drogę, bo był pewnym przewodnikiem.

- Szimalak! Na prawo! - polecił i po chwili kazał zatrzymać dorożkę.

Średniowieczną kołatką zastukali do wielkich drzwi. Otworzył im ciemnoskóry lokaj w białym stroju. Kiedy Smuga podał ich nazwiska, nie był zaskoczony.

- Tak. Wiem, że są panowie oczekiwani - odpowiedział. - Proszę tędy.

Wprowadził ich do dużego, przestronnego salonu i wskazał miękkie fotele.

- Proszę zaczekać - powiedział i wyszedł.

Obaj Wilmowscy ciekawie rozglądali się po wytwornym pokoju. Ich uwagę zwróciły ciężkie angielskie meble i śliczny, marmurowy kominek. Nad nim i wzdłuż okien, osłoniętych stonowanymi zasłonami, ciągnął się ozdobny gzyms. Na podłodze leżał puszysty dywan o skomponowanym z całością wzorze.

- Wnętrze brytyjskiego konsulatu żywo przypomina mi atmosferę pałacu maharadży Alwaru - szeptem zauważył Tomek.

- Ach, to ten brytyjski, kolonialny szyk... - uśmiechnął się Smuga. Nie dano im długo czekać. Do salonu wszedł dystyngowany, tęgawy, flegmatyczny gentleman. Powitał Smugę, jak starego znajomego. Kiedy Smuga przedstawił Wilmowskich, szczególnie serdecznie uściśnął rękę Tomka.

- Młody pan Wilmowsky - powiedział. - Znam pana ze słyszenia i rad jestem z naszego spotkania. Rozumiem, że wizyta panów wyraża coś więcej niż zainteresowanie - dodał, wyraźnie nawiązując do wcześniejszej rozmowy ze Smugą. Kiedy potwierdzili, zaproponował, aby bez zwłoki przejść do konkretów. Słuchali tego, co miał im do zaoferowania, popijając znakomitą kawę, podaną przez czarnego boyka, Nubijczyka.

- A więc, moi panowie, afera ma wiele wymiarów. Przede wszystkim, oczywiście,

złodziejski. Wielu bogatym kolekcjonerom zaproponowano w ostatnich kilkunastu tygodniach kupno cennych, starożytnych przedmiotów kultu i codziennego użytku pochodzących jakoby z Doliny Królów. W stosunku do części z nich jest to akurat prawda. Mówi się nawet, że przemycono kilka mumii! - zażartował. - *Znaczna część to jednak znakomicie podrobione falsyfikaty.*

Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i już bardzo serio kontynuował:

- Transakcje prowadził prawdopodobnie zawsze ten sam człowiek. W kronikach policji Włoch, Francji i Anglii nadano mu kryptonim "faraon". Tak bowiem, albo podobnie, zawsze się przedstawiał: "Jestem królem Doliny" albo "Jestem żelaznym władcą", "żelaznym faraonem". Składał wizyty wieczorem, zostawiając jako próbkę kilka autentyków. W kilka dni później dochodziło do wymiany handlowej falsyfikatów. "Faraon" ostrzegał zwykle, by nie zawiadamiać policji. Ktoś jednak, stwierdziwszy oszustwo, to właśnie uczynił. Przestępca sprytnie wymknął się z zastawionej pułapki, a ów kolekcjoner w kilka tygodni później zmarł na jakąś dziwną, nie rozpoznaną przez lekarzy chorobę.

- Zemsta faraona - szepnął Smuga.

- Natychmiast zaczęto tak mówić i większość kolekcjonerów nabrała wody w usta.

- Omówił pan kryminalne aspekty sprawy. A inne?

- Może to i niewiarygodne, ale jest także polityczny... Czasem zdarzą mi się myśleć, panowie, że światem, umysłami i sercami ludzi... rządzą dziennikarze. Otóż w prasie rozpoczęła się nagonka w tym mniej więcej stylu: kradną naszą własność, nikt nie dba o brytyjskie kolonie, rząd nic w tej sprawie nie robi... Francuzi zaczęli wywozić nasze skarby już w czasach Napoleona i dalej to trwa... Ten brukowy ton podchwyciła opozycja i zaczęło się. A wybory - już wkrótce[\[55\]](#).

- Rozumiem - przerwał Smuga - że potrzebne jest coś w rodzaju sukcesu.

- Nie chciałbym aż tak upraszczać. Najważniejsze jest przestępstwo. Rząd brytyjski pokryje naturalnie wszystkie koszty.

- Czy tylko tak może nam pan pomóc? - nieco ironicznie zapytał Tomek.

- Zapewniamy panom oczywiście wszelką współpracę władz i miejscowej policji - zapewnił Anglik. - Dzwoniłem kilka dni temu do pewnego człowieka z kręgu urzędników obecnego kedywa[\[56\]](#). On również chętnie panów przyjmie. Jest to człowiek życzliwy. Jeśli panowie pozwolą, umówię was telefonicznie... Na kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział Wilmowski. - Nawet na jutro, jeśli to tylko możliwe.

- Zaraz się przekonamy. Zostawię panów na chwilę...

Kiedy Anglik wrócił, omówili jeszcze konieczne kwestie, ale Wilmowscy i Smuga starali się nie przedłużać wizyty. Chcieli zdążyć wrócić do domu, jak mówili, przed porą sjeisty. Uprzejmy Anglik zaproponował im jako szybki środek podróży automobil,

wynalazek modny ostatnio w kręgach arystokratyczno-dyplomatycznych. Poprosili, by odwieziono ich do centrum miasta, gdzie byli umówieni z przyjaciółmi.

Nowicki i Sally z Patrykiem czekali już przy placu Opery. Obejrzeliby wspólnie secesyjny gmach teatru wtopiony w zielenie skwerów, a później ogród botaniczno-zoologiczny, co dawno obiecywali Patrykowi. Ogród, położony na rozległym terenie, był zresztą zbyt duży, by go zwiedzić w jedno popołudnie, toteż zatrzymali się jedynie przy niektórych zwierzętach. A także nieco dłużej przy małej plantacji papirusu, interesującej wszystkich, ponieważ papirus na skutek nierozsądnej gospodarki został w Egipcie niemal całkowicie wyniszczony. W rezultacie do domu dotarli dopiero wieczorem.

Rankiem następnego dnia czekało ich umówione spotkanie w jednej z najbardziej znanych starożytnych dzielnic Kairu Al-Dżamalija[57]. Tam bowiem mieszkał jeden z urzędników i bliskich współpracowników kedywa, Ahmad al-Said.

- Pewnie poznamy ciekawego człowieka - rzekł Smuga.

- Janie! Jedź tam z Tomkiem, ale beze mnie. Anim ja dyplomata, ani uczonego... - oponował Nowicki. - My tymczasem z Andrzejem poczynimy już pewne przygotowania do wyprawy.

- A przy okazji utniemy sobie drzemkę - uśmiechnął się Smuga.

- Weźcie ze sobą Patryka - zaproponował Wilmowski.

- Żeby znów coś zbroił? - ciągle śmiał się Smuga. - Do czego się dotknie, zaraz jakiś diabeł się budzi...

- Wujku! Chcę pójść z wami - prosił chłopiec. - Obiecuję! Będę grzeczny!

We czwórkę, z uradowanym Patrykiem i Sally, udali się więc do centrum, by potem przejść wzdłuż bazaru Chan al-Chalili, ciągnącego się całymi kilometrami między placem Opery a budynkami uniwersytetu Al-Azhar. Proste kramy mieniły się kolorami. Wśród kupujących przeważały gospodynie domowe w długich do ziemi, ciemnych sukniach, okryte czarnymi szalami, którymi zasłaniały twarze. Niektóre z nich niosły niemowlęta, za wieloma snuły się, czepiające się spódnic, małe dzieci. Mimo wczesnej pory wiele z nich wracało już do domu z koszami pełnymi zakupów.

Nagle, w hałas na ulicy, i tak już ogromny, wdarł się dźwięk fujarek, gwizdków i bębenków. Przez środek zmierzał w stronę placu Opery przedziwny pochód. Szło młode, wytresowane słoniatko tupiące w takt muzyki. Otaczali je młodzi artyści, z zapalem wygrywający marszowy rytm. Za nimi dziarskim krokiem podążali chłopcy uzbrojeni w drewniane karabiny. Podrygujące zwierzę od czasu do czasu sięgało trąbą do koszyków wracających z targu kobiet, wybierając przysmaki.

- Wujku! Patrz! Patrz! - wołał zachwycony Patryk.

Słonik zwrócił na niego uwagę. Dojrzał również stojącą obok Sally, która zdążyła kupić nieco owoców, i wyciągnął dorodną pomarańczę. Wzbudziło to zachwyt tłumu. Rozległy się oklaski, przytupy i gardłowe okrzyki. "Orkiestra" zaczęła grać głośniejsze. Patryk

wyjmował z torby Sally kolejne pomarańcze, szedł obok zwierzęcia i karmił je. Smuga wyjął pieniądze i wręczał młodym kuglarzom bakszysz... Jak nie wróciliby z powrotem do placu Opery, gdyby nie Tomek, któremu udało się odciągnąć w końcu Patryka. Później już bez przygód dotarli do Kasrasz-Szauk.

\*\*\*

Człowiek, z którym byli umówieni, mieszkał w domu górującym nad całą ślepą uliczką, z ogromnymi drzwiami z brązową kołatką. Ahmad al-Said ben Jusuf wstał już dawno. Rozbudził go na dobre śpiew muezzina, oznajmiającego jak codziennie, że “modlitwa lepsza jest od snu”. Ubierając się, przypomniał sobie o zapowiedzianej wizycie cudzoziemców i od razu popadł w rozterkę. Nie był zadowolony, chociaż telefon z konsulatu brytyjskiego polecał gości szczególnie serdecznie. Wolał przyjąć ich w domu, co widzieli jedynie sąsiedzi i bliscy, niż w urzędzie. Mimo to zastanawiał się, czy na ich powitanie ubrać się po europejsku, czy po arabsku. “Co robi lepsze wrażenie?” - myślał, mrużąc czarne i tak już przypominające szparki oczy. Był bowiem zadowolony, bo wiedział, że przybędą w jakiejś poufnej sprawie i że oznacza to, iż obdarzono go zaufaniem. A należał do ludzi, o których jego rodacy mówili, że dla interesu gotowi są ogon osła całować. Uspokoił się, gdy tylko podjął decyzję. Postanowił zaprezentować się jako gorliwy muzułmanin i podjąć gości skromnym, arabskim śniadaniem.

Ubrany już i gotowy wydał dyspozycje służbie.

- *Bismallah*[\[58\]](#) - szepnął do siebie, jak codziennie, gdy rozpoczynał pracę. Spojrzał przy tym na pięknie wykaligrafowane nad drzwiami pierwsze słowa Świętej Księgi, Koranu.

Trochę się stropił, gdy ujrzał wśród gości kobietę i dziecko. Wszystkich jednak zaprosił do stołu. Podano *ful*[\[59\]](#) przysmażony z jajkami, gorący świeży chleb, małe talerzyki z serem, cytryną i różnymi przyprawami: solą, pieprzem, wieloma rodzajami papryki, od łagodnej do bardzo ostrej. Tej akurat próbował Patryk, zakrztusił się i zaczął kasłać, co wywołało dyskretny uśmiech gospodarza.

- *To szatta*[\[60\]](#) - ostrzegł - bardzo ostra!

Podczas posiłku popijano miętową, bardzo mocną, słodką i gorącą herbatę. Na koniec wniesiono ciastka i owoce: mango, banany, figi, morele, pomarańcze oraz ogromne ilości różnych gatunków daktyli. Patrykowi najbardziej smakowała *basbusa*, pyszne ciasto z mąki, stopionego tłuszczu, cukru, oleju i bakalii. Gospodarz zaproponował wreszcie kawę i zwrócił się do żony, aby zaprosiła do siebie Sally i Patryka. Teraz można było przejść do poważnych rozmów, a obecność kobiet i dzieci była przy tym zbędna.

Sally wraz z Patrykiem zaproszono do pomieszczeń dla kobiet. Żona gospodarza pokazała najpierw swoje królestwo. Sally zainteresowała najbardziej *maszrabijja*, rodzaj małego okna-balkoniku, ozdobionego szczelną szachownicą gęstej ciemnozielonej, drewnianej kraty. Przez małe okrągłe szparki kobiety arabskie, same nie będąc widziane, mogły wyglądać na ulicę... Sally stała dłuższą chwilę, obserwując ruchliwą ulicę, i myślała o trudnym losie żony Araba. Nagle jej uwagę przykuła dziwna postać.

Mężczyzna, z wyglądu fellach lub ubogi Arab, w tłumie czuł się, było to wyraźnie widać, obco i niepewnie. Wyglądał na przestraszonego, zagubionego. Rozglądając się, zatrzymując co chwila, szedł w kierunku domu Ahmada. Wreszcie stanął przed wejściem. Jeszcze rozglądał się wokół, przyjrzał drzwiom, wreszcie zastukał.

- Macie gościa - zawołała Sally do żony Ahmada.

Ta podeszła do niej i wyjrzała przez kraty.

- Ach, to Sadim - powiedziała.

- Wygląda na przestraszonego - dodała Sally.

- To nowy służący mojego męża. Pochodzi z wioski w pobliżu Doliny Królów. Mąż zatrudnił go na prośbę znajomego. Chyba nie był jeszcze nigdy w wielkim mieście, bo czuje się tu obco - wyjaśniła gospodyni.

- To widać - uśmiechnęła się Sally. "Pochodzi z Doliny Królów! Co za zbieg okoliczności" - pomyślała.

Sadim zniknął już wewnątrz domu, a obie kobiety zabrały Patryka na dach domu. Mieścił się tu... ogród obrośnięty jaśminem i fasolą. Dumnie spacerowały po nim kury, a spod nóg zrywały się gołębie. Widać było ogromną troskę o to kuchenne zaplecze i miejsce odpoczynku żony egipskiego dygnitarza.

Obie kobiety wymieniły uwagi o sprawach kulinarnych, a Sally zapisała sobie w notatniku kilka cennych przepisów na typowe egipskie potrawy.

Mężczyźni tymczasem kończyli rozmowę. Ahmad starał się być bardzo życzliwy, ale nie wniósł niczego nowego. Gładko stwierdził, że owszem słyszał i czytał w prasie o przemyśle, ale jak podkreślił, ten proceder uprawiany jest tu od wieków.

- Mieliśmy informacje, że ślad prowadzi do Kairu - Smuga próbował wywierać nacisk na gospodarza.

- W tym kraju chyba wszystko przechodzi przez Kair - sentencjonalnie odparł gospodarz. - Trudno mi ocenić prawdziwość panów informacji, nie jestem z policji kryminalnej - dodał znacznie ostrzej i jakby niechętnie. Ale zaraz, aby złagodzić wrażenie, zaproponował gościom zwiedzenie sławnego meczetu, najpiękniejszej świątyni "miasta tysiąca meczetów", jak nazywano Kair, położonej u wylotu głównej ulicy Gami al-Azhar. Była ona jednocześnie siedzibą uniwersytetu, kształcącego od wieków najwybitniejszych znawców Koranu[61]. Przez jedną z sześciu prowadzących doń bram Ahmad wprowadził swoich gości na Sahn, główny dziedziniec meczetu, pokryty białymi, marmurowymi płytami. Wokół, na trzystu smukłych, zakończonych łukami kolumnach, wznosiły się krużganki. Pośrodku szemrała fontanna.

Woda spadała z rzeźbionych kranów do otaczającego ją koryta, w którym każdy wierny przed modlitwą obmywał ręce i nogi.

W jednym z rogów dziedzińca, na pokrywających marmurowe płyty matach, przysiedli w kucki uczniowie z różnych stron muzułmańskiego świata. Kogo tam nie było! Rzucali

się w oczy wysocy, smukli Tunezyjczycy w kolorowych galabijach. Wykładu starego, brodatego, ubranego w ciemną galabiję i rudawy płaszcz mistrza, słuchali także tęgawi Persowie w ciemnych turbanach, Berberowie z grubymi wargami i wypukłymi oczami, drobni, chudzi Syryjczycy o ostrych rysach, w białych kuflach[62], z czarnymi opaskami przyciśniętymi do czoła. Obok młodych siedzieli, skupieni i zasłuchani, egipscy starcy. Zadziwiały wytworne sylwetki Marokańczyków i Libijczyków w europejskich ubraniach. Ahmad skinął głową staremu szejkowi prowadzącemu zajęcia z tą osobliwą grupą studentów. Ten odpowiedział gestem złożonych jak do modlitwy dłoni.

We wschodnim skrzydle meczetu mieścił się Zauijet el-Omjan, schronisko dla niewidomych.

- Jedną z najczęstszych tu chorób, egipskie zapalenie oczu powodujące ślepotę - wyjaśniał Ahmad. - Ludzie ci są bardzo nieszczęśliwi.

Rzeczywiście tak było. Widok chorych przerażał. Wystawiali na słońce niewidzące już, albo mocno zaczerwienione, oczy, z kroplami ropy w kącikach. Pokazywali swe blizny i rany, by wzbudzić współczucie przechodzących.

- Dla Allacha, panowie - wołali, prosząc o wsparcie. Mieszkańcy schroniska, przemieszani z nędzarzami i pielgrzymami, czekali właśnie na imamów, którzy co drugi dzień, zgodnie z tradycją, rozdawali oliwę, chleb i *ful*.

Pożegnawszy gospodarza, nasi podróżni weszli jeszcze do kawiarni, by zaspokoić pragnienie. Przy stojących na chodnikach stoliczkach siedzieli mężczyźni, pijąc kawę. Niemal wszyscy palili. Niektórzy grali w tryktraka[63]. Inni impertynenckim spojrzeniem mierzyli Sally, ale nie odważyli się jej zaczepić ze względu na towarzyszących mężczyzn.

I tak dobiegł końca kolejny, niezbyt owocny, jeśli chodzi o informacje, ale za to pełen wrażeń dzień.

O wszystkich dorosłych uczestnikach kairskiej przygody można by powiedzieć, że zwiedzanie zabytków i poszukiwania, prowadzone w ciągu ostatnich dni, wypełniały im czas bez reszty, nawet jeśli nie zawsze przynosiły zadowalające efekty. Inaczej było z Patrykiem, który wciąż czekał, że wydarzy się coś “naprawdę” ważnego, coś co będzie związane tylko z nim, z jego misją. Był szczęśliwy i bezpieczny, ale przecież wyruszył z ubożego domu i zniósł już tak wiele trudów, bo święcie wierzył, że podobnie jak ojciec i dziadek znajdzie “skarb”[65]. “Jeżeli daje się wszystko, wszystko się otrzymuje” - o tym był przekonany. W momencie kiedy cała jego nadzieja i cała rozpacz miały okazać się czymś daremnym, spotkał ludzi, którzy okazali mu życzliwość. Zaufał im i pokochał ich. Miał wraz z nimi brać udział w niebezpiecznej wyprawie. Ale dla niego, jak dotąd, nic się nie działo.- Dorośli przyjaciele szóstym zmysłem wyczuwali tę rozterkę, choć według nich wszędzie tam gdzie był Patryk, od razu działo się za wiele. Mieli wobec chłopca coś w rodzaju poczucia winy, zwłaszcza Smuga, od dawna bardzo już do niego przywiązany, i kapitan Nowicki, który od razu polubił małego “urwisa”. Obaj wybierali się właśnie, w ramach kolejnej wyprawy po informacje, do najstarszej dzielnicy Kairu, zamieszkaanej w większości przez Koptów, nielicznych w Egipcie chrześcijan, którzy wywodzili się w prostej linii od starożytnych Egipcjan[66]. Postanowili zatem zabrać ze sobą Patryka i na ile to możliwe, uatrakcyjnić mu tę wycieczkę.

Udali się najpierw do centrum Kairu, skąd przejechali elektrycznym tramwajem aż do końcowego przystanku. Tutaj natychmiast zostali otoczeni przez poganiaczy osłów, polecających swoje usługi. Każdy zachwalał jak mógł swe stworzenie. Czasem łamaną angielszczyzną, po francusku lub włosku, najczęściej jednak po arabsku, a więc... gestami:

- Najpiękniejszy osioł Kairu - wołał jeden z hammarów[67].
- Moja zwierza szybko, szybko! - krzyczał drugi, wskazując swego osiołka.
- Jechać ostrożnie i powoli ze mną - zachwalał inny.
- Bezpieczny osiołek, bezpieczny osiołek - natrętnie powtarzał któryś.

Pozostali tłoczyli się, przepychali, gestykulując i zapraszając gestami. Przestraszony Patryk chwycił za rękę potężnego Nowickiego i wtulił się w niego. Nad chaosem zapanował Smuga, podnosząc nagle głos. Kilka arabskich, ostrych słów uspokoiło tłum.

- Patryku! Na którym osiołku chcesz jechać?

Zza bezpiecznej osłony ramion Nowickiego chłopiec już od dość dawna przyglądał się niewiele od siebie starszemu poganiaczowi, który nie mógł dostać się nawet w pobliże podróżników, i wskazał na niego. No wieki i Smuga wybrali zwierzęta dla siebie i ruszyli w drogę.

- Masr el-Atika, Abu Serge![68] - rzucił Smuga.

Osły egipskie, mniejsze od europejskich, były też bardziej od nich posłuszne. Przyzwyczajone do służby człowiekowi od tysięcy lat[69], ciche i potulne, uważano za



najwierniejszych chyba przyjaciół człowieka. Spotkać je można było wszędzie, na głównych i małych uliczkach Kairu, w wioskach i miasteczkach... Smuga, Nowicki i mały O'Donell, usadowieni w oryginalnych, wygodnych siodłach, posuwali się naprzód, wymijając podobnych pasażerów. Przeważali wśród nich tubylcy, ale nie brakowało cudzoziemców wszelkich stanów i narodowości. Z szerokich ulic europejskiej części miasta wkraczali powoli w mrowie krętych i wąskich uliczek wschodniej dzielnicy. Jechali wzdłuż rozpadających się domów z suszonej na słońcu cegły, mijali nędzne, brudne lepianki służące za sklepiki. Posuwali się naprzód, torując sobie drogę wśród rozmaitych pojazdów, załadowanych towarami i ludźmi.

Nagle zwierzęta, jakby zmówione, przyspieszyły. Hasłem był przejmujący ryk jednego z nich. Wyszczrzył zęby, niczym w ponurym uśmiechu, i wydał z siebie przerażający głos. Możliwe, że komendę albo hasło wzywające do rywalizacji. Wśród krętych uliczek rozpoczął się szalony wyścig, jakiś przedziwny slalom pośród powozów, wielbłądów, słońi, wozów ciężarowych i ludzi. Za osiołkami biegli poganiacze, nie próbując wcale ich zatrzymać. Każdy chciał, aby jego zwierzę było na czele. Od czasu do czasu rzucali polecenia:

- Owa! Owa! Uważaj! albo: - Warda! Warda! Ostrożnie! Jakimś cudem, ale także dzięki niesłychanej zręczności poganiaczy, uniknęli wplątania nóg w koła pojazdów, zderzenia z innymi podróżnymi czy zdeptania jakiegoś czyściciela butów, handlarza, roznosiciela wody czy też zbieracza bydlęcych odchodów.

Wreszcie na polecenie Smugi poganiacze wstrzymali osły. Dotarli do ruin starego Babilonu. Zatrzymali się. Z zadumą patrzyli przez chwilę na resztki wspaniałych budowli, przysypane ławicami żółtawego piasku. Nowicki otarł pot z czoła i powiedział:

- A to ci dopiero jazda!

- Ależ zawadiacy z tych poganiaczy! - westchnął Smuga. - Nawet przy moich zdolnościach jeździeckich, chyba nie zdołałbym tak umiejętnie kierować zwierzętami w tym tłoku.

- Wujku! - wtrącił Patryk. - To ja! To ja poprosiłem mojego przewodnika, żeby szybciej jechał.

- No, no - Nowicki tylko jęknął.

Dalej ruszyli już dużo, dużo wolniej, znowu przez labirynt uliczek, by wreszcie dotrzeć do celu.

- Abu Serge! Św. Sergiusz! - powiedział najstarszy z przewodników. Nędzny budynek, odarty z tynku, w niczym nie przypominał najstarszej świątyni chrześcijańskiej w Kairze. Podróżników natychmiast otoczyły nagie niemal dzieci, krętymi korytarzami przeprowadziły ich na dziedziniec i wprowadziły do wnętrza świątyni. Niektóre, starsze, zawijały rękawy, pokazując znak krzyża, wypisany na ręce zieloną farbą. One wprowadziły chłopca i jego opiekunów do wnętrza świątyni. W przedsionku, w podłodze, wmurowane było ogromne naczynie z wodą do obmycia rąk i nóg przed rozpoczęciem nabożeństwa.

Tutaj w czasie uroczystości było miejsce kobiet, dalej część męska i dla duchowieństwa. Wystrój kościoła był ubogi, elementy chrześcijańskie mieszały się z motywami sztuki arabskiej. Nowicki i Smuga stąpali za Patrykiem najpierw po drewnianej, potem glinianej, pokrytej na wschodni sposób wyszarzonymi makatkami i kobiercami, podłódze. Pod nogami chrząścił wszechobecny, pustynny pył i piach. Przy ołtarzu z dwiema świecami i krzyżem kończyło się właśnie nabożeństwo. Wysoko pod sklepienie unosił się dym kadzidła. Miejsce wokół ołtarza było wydzielone, przypominającą ikonostas[70], drewnianą osłoną. Pokrywały ją tabliczki z kości słoniowej i drewna. Płaskorzeźby przypominały sceny z życia Chrystusa. Wśród tych dziwów świata, jakie widzieli, Maryja, Chrystus, Józef oraz osiołek wydały się Polakom dziwnie swojskie. Obu ogarnęło wzruszenie, a myśli uciekły gdzieś hen... daleko.

Kapłan pochylił się w głębokim ukłonie i podał kadzielnicę posługującemu. W chwili gdy to czynił, spośród stojących przed ołtarzem mężczyzn wybiegł jeden i wyrwawszy z rąk przerażonego ministranta święty przedmiot, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, znikł w krętych zaułkach. W kościele rozległ się krzyk. Wszyscy naraz wybiegli na dziedziniec, by po chwili równie bezradnie wrócić do wnętrza świątyni. W nagłym zamieszaniu Smuga i Nowicki stracili z oczu Patryka. Wszystkich o niego pytali, lecz jedni odpowiadali, że go nie widzieli, a inni udawali, że w ogóle nie rozumieją po angielsku.

Ubogi zasób słów arabskich znanych Smudze nie wystarczał albo też nie był miłe przyjmowany przez Koptów. A chłopca nigdzie nie było. Dopiero obietnica sutego bakszyszu otworzyła pamięć i usta.

- Widziałem - powiedział któryś. - Chłopiec pobiegł tam! - pokazał jeden z zaułków.

Inni gestykulowali i zaczęli się sprzeczać:

- Tam! Tam! - pokazywali różne strony.

Dopiero koptyjski duchowny uspokoił rozgorączkowanych wiernych i zaczął ich dokładnie wypytywać, a ponieważ dość dobrze znał angielski, szybko dogadał się z zaniepokojonymi Polakami.

- Zdaje się, że chłopiec pobiegł za złodziejem - powiedział w końcu. Dowiedzieli się jeszcze, że kadzielnica stanowiła skarb tego kościółka i była bardzo cenna, ozdobiono ją bowiem brylantami.

\*\*\*

Patryk wychowany w zaułkach Dublina nie stracił orientacji i nadał za szybkim i sprytnym złoczyńcą. Skradał się, wymijając ludzi, powozy, zwierzęta... Na szczęście złodziej nie próbował kluczyć ani się ukrywać. Był pewny, że mu się udało. Nie zauważył drobnej przemykającej za nim sylwetki.

O Patryku można powiedzieć, że w pierwszej chwili nogi poniosły go same, nim zdążył pomyśleć. Rozwaga przyszła później. Wreszcie nie tylko mógł coś zrobić, "odwdzięczyć się wujkom", zmazać chwilę słabości, kiedy Smuga widział go płaczącego, pokazać nie tylko, że jest dzielny, ale i na tyle dorosły, by zasłużyć na zaufanie. Było to wspaniałe i bardzo

budujące uczucie. Szybko zrozumiał, że do tego potrzeba jeszcze, aby mu się powiodło.

Zaczął odtąd zwracać baczniejszą uwagę na mijaną drogę i zapamiętywać szczegóły. “Przy tym domu stoi kram” - zanotował w pamięci. “W tych pomieszczeniach cały szereg sklepów. Tu po prawej ruiny, na lewo domki mieszkalne. Skręcić, gdy ulica wyraźnie się obniży”.

Kierowali się w stronę rzeki. Szli potem długo bulwarami aż w pobliże wyspy Gezira, gdzie znajdowało się całe miasteczko na wodzie. Ludzie mieszkali na różnobarwnych, bardziej lub mniej zasobnych łódkach, barkach, tratwach. Przeważały te najędzniejsze. Kręciło się trochę ludzi, ale Patrykowi w europejskim ubraniu coraz trudniej przychodziło nie rzucać się w oczy. Na szczęście nie trzeba było wchodzić w głąb tej dziwacznej dzielnicy, bo łódź, na której najwidoczniej mieszkał ścigany, była jedną z pierwszych w długim szeregu.

Tymczasem nadchodziła wiosenna, chłodna noc. Zapadała gwałtownie. Niemal z minuty na minutę robiło się ciemno i zimno. Patryk czuwał i czekał na okazję. Ukryty za stosem skrzynek, zaczynał marznąć. Wytrwale jednak obserwował upatrzoną łódź i zastanawiał się, jak odebrać skradzioną własność Koptów. Miał czas, więc starał się dokładnie przyjrzeć ewentualnym przeszkodom i krok po kroku zaplanował drogę na łódkę. Gdy nad światem na dobre zapanowała ciemność, w wielu mieszkaniach zabłysły kaganki. Także w kabinie obserwowanej łodzi. Złodziej mieszkał prawdopodobnie sam, bo nikt inny nie wchodził tam ani nie wychodził. Skulony z zimna Patryk obserwował nocne życie rzeczno-miasteczka. Skupiało się ono wewnątrz kajutek albo na pokładach. Ludzie posilali się, śpiewali, wreszcie szli spać. Wygaszano światła i ruch zamierał. Zapadała cisza przerywana jedynie skrzypem ocierających się o siebie barek, pluskiem wody i szumem rzeki. Wreszcie światło zgasło także na tej, którą obserwował. Było już późno, chyba po północy, gdy zaczął się ku niej skradać w księżycowej poświacie cicho jak kot, co chwila przystając i nasłuchując. Tak dobrnął do brzegu, a potem do trapu. Wszedł na pokład i szybko dotarł do drzwi mieszkalnej kajuty. Wisiały luźno na dwu zawiasach i skrzypiały w rytm lekkiego pochylenia się barki na fali. Patryk ucieszył się. “Nie będzie problemu z dostaniem się do środka” - pomyślał. Stał przez chwilę bez ruchu, wreszcie podjął decyzję. Pchnął drzwi. Zaskrzypiały, co odczuł niczym dźwięk grzmotu.

- Rrraz! Wszedłem! - westchnął do siebie, trzymając w ręku, a potem puszczając drewnianą przeszkodę. Dygotał jeszcze z zimna, ale z emocji już robiło mu się gorąco. Zatrzymał się, wsłuchując w ciszę i przyzwyczajając oczy do głębszej niż na zewnątrz ciemności. I nagle przeraził się.

“Co będzie, jeśli złodziej ukrył kadzielnicę? Jak ją znajdę?” pomyślał.

Tego, że będzie za ciemno, by bezpiecznie poruszać się po pomieszczeniu, rzeczywiście nie przewidział. Był prawie u celu i zanosilo się na porażkę. Na małym stole przy łóżku spostrzegł kształt oliwnego kaganka, a z boku dobiegał równy oddech głęboko uśpionego człowieka.

- Śpi tak mocno... Zapalę kaganek i znajdę - powiedział szeptem, by dodać sobie otuchy.

Na palcach podszedł do stolika. Skrzesał ogień i zapalił kaganek, osłaniając ręką płomyk, aby nie zbudzić śpiącego mężczyzny, Los mu sprzyjał! W kącie kajuty, na stosie innych przedmiotów, leżała kadzielnica. Patryk odstawił kaganek na krawędź stołu i podniósł zrabowany przedmiot. Powoli zaczął przemykać w kierunku drzwi.

Nie zauważył, że spokojny i dość głośny oddech śpiącego umilkł. Nie zauważył też, że rozbudzony mężczyzna obserwuje go spod w półprzymkniętych powiek. Kiedy malec prześlizgiwał się koło łóżka, zniecka chwycił go za rękę. Chłopak wyrwał się jak piskorz i silniejszy mężczyzna nie mógł sobie z nim poradzić. Umykał wokół stołu, chaotycznie machając odebraną kadzielnicą. Wtem potrącony od dłuższej chwili stół przechylił się gwałtownie i kaganek spadł na łóżko, rozpryskując wokół gorącą oliwę. Mężczyzna chwycił koc i stłumił płomień, ale Patryk wykorzystał okazję i wymknął się w noc. Na zewnątrz tu i ówdzie zapalały się lampy, pojawiali się ludzie. Widząc wyskakującego z łodzi chłopca, niektórzy rzucili się w pogoń. Patryk kluczył. “Będzie jak na statku” - pomyślał. “Tylko nie ma gdzie skakać i wujek daleko...”.

Koptyjski kapłan przekonał Smugę i Nowickiego, że poszukiwania prowadzone nocą nie przyniosą żadnego efektu. Przyjęli więc jego życzliwe zaproszenie i usiłowali rozmawiać, aby zagłuszyć narastający niepokój!

- Osły[71] to rzeczywiście interesujące zwierzęta - mówił właśnie kapitan.

- Zupełnie inne niż w Polsce, naszym kraju - dodał Smuga.

- Nasze osły są większe... No i... leniuchy z nich i uparciuchy - uśmiechnął się Nowicki.

- Co do mnie poczułem się lepiej, gdy poznałem te wasze, miłe stworzenia... Chociaż, kiedy wpadły w ten szal, wytrzęsły moje stare kości tak, że do tej pory to czuję - przeciągnął się. - Ryczą też nienajgorzej, niczym okrętowe syreny. Ale pracowite to i wytrwałe, aż dziw bierze!

- No tak, pędziliśmy prawie z szybkością galopującego konia - stwierdził Smuga.

- Poczułem się lepiej, gdy poznałem wasze osiołki - powtórzył Nowicki. - Muszę się bowiem przyznać, że ktoś kiedyś nazwał mnie osłem. Było to w dzieciństwie, w warszawskiej dzielnicy Powiśle. Jest tam taki stary kościółek pod wezwaniem Św. Trójcy. Mój szacowny staruszek, socjalista, mawiał: “Bóg jeszcze nikomu nie zaszkodził” i posyłał mnie, ku radości matki, co niedzielę do kościoła. Pobierałem też naukę religii. Był tam wtedy taki ksiądz, starszy, siwawy, chudy jak szczapa. Lubiliśmy go, ja też, tylko nie byłem zbyt pokornym uczniem, a często, gdy się nasłuchałem ojca i jego towarzyszy, zadawałem wiele kłopotliwych pytań. Kiedyś ów ksiądz wziął mnie za ucho, postawił na środku i westchnąwszy, powiedział: “Co za osioł z ciebie... *Asinus asinorum in saecula saeculorum*”[72] Od tego czasu siedziałem w oddzielnej ławce.

- Osły, które znamy z *Biblii*, są posłuszne, potulne, mądre - wtrącił duchowny. - Występują w 26 księgach *Starego Testamentu*, podczas gdy wielbłąd jedynie w 20. Osioł, jako jedyne spośród wszystkich zwierząt, dostąpił zaszczytu dźwigania na swym grzbiecie Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Osiołkowi dorównuje pod tym względem w *Biblii* jedynie baranek.

- Tak! Tak! - zgodził się Nowicki - gdy prorok Balaam nie chciał słuchać Boga, przemówiła do niego oślica[73]. Zwierzę to uchodzi za uosobienie mądrości. Wytłumaczył mi to ów ksiądz, gdy się na niego nie na żarty obraziłem i potem nastąpiła między nami zgoda.

- Cóż, mój drogi Tadku, okazuje się, że osioł nie zawsze jest tym samym... osłem! - uśmiechnął się Smuga i podjął ten wątek.

- Moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa też jest, można chyba tak powiedzieć, związane z religią. Obaj moi dziadkowie, ze strony ojca i matki, uczestniczyli w powstańczym zrywie Polaków przeciw zaborcom w 1863 roku. Jeden z nich zmarł jako osiemdziesięcioletni staruszek, gdy miałem trzy lata. Pamiętam to jak przez mgłę, ale dość wyraźnie. Szczegóły dopowiedzieli mi rodzice.

Zostałem wtedy w domu sam, wszyscy poszli pożegnać się z umierającym. Bawiłem się, zapomniawszy, że nikogo nie ma w domu.-: W pewnym momencie pojawiła się przede mną jakaś postać zasnutą mgłą, niewyraźna. Był to ukochany dziadek. Uśmiechał się do mnie. Przyglądałem mu się. Zrobił jakiś gest, jakby pożegnania, i powoli zniknął. O jego śmierci powiedziano mi następnego dnia. Lecz nie uwierzyłem. To nieprawda - zaprotestowałem. - On u mnie był. Nieprawda, że dziadka zagrabili! Tak się wyraziłem. I opisałem swoje, widzenie.

- Przeżyłem coś podobnego - podjął Nowicki. - Opowiadałem ci Janie[74], mój niby to sen, niby jawę... Obudziłem się i zobaczyłem jakąś postać. Ktoś o twarzy zasłoniętej mnisim kapturem powtarzał tylko jedno: "Ty i tak nie umrzesz naturalną śmiercią, i tak nie umrzesz^ naturalną śmiercią...". Z pewnością powtórzył to kilkakrotnie. Szczyp palem się po całym ciele, ale to była jawa! Nie sen! I niech to wieloryby połknie, życie, które prowadzę, potwierdza te słowa!

- Zawsze wróżyłem ci, Tadku, że nie umrzesz we własnym łóżku - wtrącił Smuga.

- Przez wiele dziwnych wydarzeń mówi do nas Bóg - niespieszną prowadzoną dla wypełnienia wolno biegnącej nocy, rozmowę pod?;;; sumował duchowny.

Jeszcze wieczorem prosił swoich współwyznawców o wszelką możliwą pomoc. Mogli więc tylko czekać na wieści. Obaj Polacy zdawali; sobie sprawę, że poszukiwanie chłopca w tak ogromnym, niezycliwym Europejczykom, mieście, mającym wiele dzielnic, gdzie nawet policja lękała się zaglądać, stawało się przedsięwzięciem niemal niemożliwym do realizacji. Ale wkrótce niemożliwe stało się także pomijanie^ tego wydarzenia milczeniem. Próbowali rozważyć szansę. Niepokoił się zwłaszcza Smuga.

- Chłopiec pobiegł za złodziejem. To bardzo niebezpieczne.

- Ale sam, Janie, mówiłeś, że jest bardzo sprytnym dzieckiem.

- uspokajał go Nowicki i dodawał, że przez ten miesiąc zdarzało im się; o tym przekonać

- Ale tylko dzieckiem.

- Pokaż mi dziecko, które ma za sobą tak śmiałe decyzje - upierał się marynarz.

- Bardziej niemądre niż śmiałe, Tadku - oceniał Smuga.

- "Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił" [75]- zacytował poetę Nowicki.

- Zawsze jednak trzeba rozważyć szansę powodzenia... Ale co ojciec o tym sądzi? - Smuga odwołał się do słuchającego ich w milczeniu duchownego. Ten zaś odparł:

- Pan powiada: "Który król, mając prowadzić wojnę z innym królem, pierwsi siadłszy, nie pomyśli, czy może z dziesięciu tysiącami zmierzyć się z tym, który z dwudziestu tysiącami ciągnie przeciw niemu? W przeciwnym razie, gdy tamten jest jeszcze daleko, wyprawivszy poselstwo, prosi o warunki pokoju"[76].

- Nie zgadzam się, szansa jest zawsze - protestował Nowicki. - Sami wiele razy stawialiśmy wszystko na jedną kartę...

- Tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia - zaznaczył Smuga. Tuż przed świtem usłyszeli pukanie. Kopt wstał i otworzył drzwi.

W progu stał mały człowiek, szczelnie opatulony w galabiję zakończoną na sposób marokański kapturem, który ściśle przylegał do głowy. Stał przez dłuższą chwilę, wreszcie przemówił rwącym się ze zmęczenia głosem:

- Ja... To ja, wujku!

- Patryk! - krzyknęli równocześnie Smuga i Nowicki, zrywając się z miejsc. Spod kaptura wyłoniła się umorusana, piegowata twarz. Chłopiec podał duchownemu odzyskaną kadzielnicę, po czym utonął w ramionach przyjaciół. Gdy wszyscy się uspokoili, Patryk rozpoczął opowiadanie. Szybko doszedł do najdramatyczniejszego momentu.

- To... Ja... uciekałem... Nie straciłem głowy, jak wtedy na statku. Wujek przecież mówił, że zawsze jest wyjście i nie od razu trzeba skakać na głowę. Zobaczyłem suszące się rzeczy, to się schowałem. Potem wybrałem to, bo widziałem, że jest najmniejsze... I też goiłem... Sam siebie goiłem! I nie dogoiłem! - opowiadał chłopiec z roziskrzonym wzrokiem.

Tymczasem Nowicki szepnął do Smugi:

- No i co zrobimy z tym... kłopotliwym strojem?

- Przecież to oczywiste, oddamy - również szeptem odrzekł Smuga.

I tak zrobili. Później złożyli meldunek policji, dokąd zaprowadził ich koptyjski duchowny. Razem z dwoma egipskimi stróżami porządku wybrali się do mieszkania na barce. Oczywiście nie zastali nikogo. Oczywiście sąsiedzi niczego nie słyszeli i nikogo nie widzieli. I taki był koniec niebezpiecznej przygody Patryka w Kairze.

Sławne miejsce mogli spokojnie zwiedzić dopiero następnego dnia. Koptyjski duchowny wprowadził ich do kościoła i z czią pokazał czworokątne wejście, przez które po bardzo starych schodach można było zejść do jaskini, gdzie w czasie wędrówki po Egipcie - jak głosi podanie - zatrzymała się Święta Rodzina. Obejrzelni niszę, w której

Dzieciątko Jezus spoczęło do snu i niewielką grotę, zamienioną na kryptę, wspartą na starych kolumnach. Zwiedzili później położone tuż przy kościele, założone rok wcześniej, koptyjskie muzeum.

Mogli też spokojnie porozmawiać z gospodarzem na interesujący ich temat. Otrzymali od niego w darze koptyjskie krzyżyki i list polecający do przyjaciela pracującego w pobliżu Luksoru, gdzie wcześniej czy później musieli dotrzeć, jeśli chcieli szukać w Dolinie Królów. Wracali już do domu, a Nowicki wciąż mruczał pod nosem.

- Niech to wieloryb połknie! Gdybym wierzył w wędrówkę dusz, pomyślałbym, że to młody Tomek wcielił się w naszego Patryka... Wypisz, wymaluj...

## NARADA PRZYJACIÓŁ

Tak wiele rzeczy na raz i w tak różnych miejscach działo się w ciągu tych kilku dni od przyjazdu Smugi do Kairu, że kluczowa narada wciąż odsuwana była na później. W końcu jednak nadszedł wieczór, po raz pierwszy od wielu dni nie tylko spokojny, ale nawet nudnawy, gdyby ktoś spytał akurat Patryka. A kiedy wszyscy w komplecie usiedli w kairskim mieszkaniu wynajętym przez Smugę, aby porozmawiać, okazało się, że najpierw trzeba uspokoić panujący w umysłach zamęt, wszystko sobie nawzajem opowiedzieć, uporządkować ostatnie przeżycia. Właśnie próbowali ustalić, czego dowiedzieli się jedni, a czego drudzy, gdy ojciec Tomka przypominał sobie, że wciąż ani on, ani Smuga nie wiedzą, co działo się w Kairze po wyjeździe starszego Wilmowskiego do Aleksandrii. Tomek zaczął barwnie opowiadać, ku uciechu Patryka, o niefortunnej nocnej wycieczce do Gizy i zaraz skutecznie uciekli od najistotniejszego z trapiących ich problemów. Nowicki bowiem, przypominając Polaków przybyłych do Egiptu z Napoleonem, zadał pytanie, które przeniosło ich w inne, nie mniej ciekawe czasy.

- Czy wcześniej, przed nimi, Polacy również tu bywali? - spytał.

- O! To miły polskiemu sercu i rozległy temat - odparł Tomek. - Pierwszym ze znanych podróżników polskich w Egipcie był książę Mikołaj Radziwiłł, zwany Sierotką. Wyruszył w kwietniu 1583 roku do Ziemi Świętej i stamtąd udał się do Egiptu, dokąd dotarł w sierpniu. Tu powitały go polskie bociany, które już przybyły na zimowy wypoczynek. Książę zabawnie opisuje w swym pamiętniku hipopotamy, które nazywa końmi morskimi podobnymi do żubrów i dlatego dziwi się, że rogów nie mają. Żali się, że niszczą one uprawy ryżu, tak iż trzeba kopać rowy ochronne lub wały, by nie mogły wejść na pola...

- Toś ty, brachu, ten pamiętnik dokładnie przejrzał - zdumiał się nie na żarty Nowicki.

- Nie tylko! Przeczytałem! - pochwalił się Tomasz. - Mogę ci opowiedzieć, że książę polował na kaczki, strzelał także i do owych hipopotamów właśnie. Przez Bulak, wówczas wioskę pod Kairem, gdzie o mało nie został aresztowany przez Turków, dotarł do stolicy.

- Aresztowany, i to przez Turków? - wpadł mu w słowo Nowicki coraz żywiej zainteresowany opowiadaniem.

- Wzięli go za francuskiego kupca, a ci często coś przemycali i oszukiwali władających tu Turków, jak mogli...

- Ale myślę, że Radziwiłł, wszak Polak i książę, wybawił się z kłopotu.

- Owszem, ale nie sam; przy pomocy przełożonego celników, Żyda pochodzącego z polskich kresów wschodnich.

- A potem, oczywiście, nudził się w Kairze jak my...

- Nie całkiem. Był wnikliwym obserwatorem. Zostawił opis miasta: meczetu Al-Azhar, cytadeli... Nakreślił obraz Nilu w okresie wylewu, zdał relację z wycieczki na szczyt piramidy Cheopsa i do Memfisu, gdzie zwiedził stare, grobowe komory. A była to bardzo niebezpieczna wówczas wyprawa, gdyż Arabowie napadali na turystów.



- Napadali?

- Tak, w celach rabunkowych, oczywiście. Dlatego Europejczycy wybierali się tam w większych grupach i uzbrojeni. Jedna grupa oglądała podziemia, a druga z bronią strzegła bezpieczeństwa u wrót. Zdarzało się bowiem nawet, że zwiedzających żywcem zasypywano.

- To ten Radziwiłł, podobnie jak my, szukał guza - ucieszył się Nowicki. - Podoba mi się, choć przecież to ksiązę, burżuj...

- Pamiętaj Tadku, że nie każdy arystokrata jest godzien potępienia - roześmiał się Tomasz. - Przecież nasz znajomy z opowiadania Jana, angielski lord, to bardzo przyzwoity gentleman.

- Słusznie - rzekł Nowicki. - Klaruj dalej, brachu!

- Cóż, trzeba dodać, że władze tureckie jeszcze raz chciały go aresztować. Tym razem chodziło o politykę... Turcja i Polska rywalizowały ze sobą bardzo mocno. Turcja była imperium islamu, a Polskę nazywano przedmurzem chrześcijaństwa. Warto więc było zatrzymać pod jakimś pretekstem ważną polską osobistość, by mieć potem kartę przetargową w rozmowach z królem Stefanem Batorym. Ksiązę i tym razem jednak wymknął się Turkom z rąk. I na dodatek pomógł jeszcze grupie znajomych, których doszczętnie ograbili Beduini - dodał Tomek.

- Znać Polaka! - z dumą spoglądał na wszystkich Nowicki.

- Później wspólnie zwiedzili Aleksandrię, gdzie pod koniec pobytu - uważaj Tadku - Radziwiłł kupił wiele zwierząt...

- Jak to? Chciał założyć ogród zoologiczny? Może w Warszawie?

- Tego nie wiem, ale kolekcja była bogata: dwa lamparty, dwa szczury faraonowe[77], kockodan, wiele papug, trzy koziorożce... Niestety, większość po drodze wyzdychała... Wreszcie, po wielu perypetiach i rocznej niemal nieobecności w kraju, ksiązę wrócił w lipcu następnego roku do rodzinnego Nieświeża.

- Nasi rodacy rozpoczęli wędrówki po tutejszej ziemi dość wcześnie — rzekł Wilmowski.

- Wizyty w Egipcie wiązały się na ogół z pielgrzymkami do Ziemi Świętej. Gościem aleksandryjskiego klasztoru franciszkanów był znany w XVIII wieku awanturnik, Tomasz Wolski[78]. Do Aleksandrii docierali wtedy również misjonarze, jak choćby bernardyni Hieronim Lisowski i Antoni Burnicki, oraz reformator, Józef Drohojowski, który po powrocie do Polski chował u siebie w celi kameleona, zacinając go czasem cienkim pręcikiem, by kolor zmieniał. Kiedy kameleon zdechł, ofiarował zasuszone zwierzę gabinetowi przyrodniczemu na Uniwersytecie w Krakowie.

- Do czasów Napoleona i Muhammada Alego w Egipcie gościło jednak niewielu Polaków i w ogóle Europejczyków, bo było to niezbyt bezpieczne w dobie zmagania chrześcijaństwa z islamem. Wielu pielgrzymów przejeżdżało przez Aleksandrię, ale już do

Kairu, z wyjątkiem kupców weneckich czy francuskich, rzadko kto odważył się jechać - uzupełnił Smuga.

- Tym większa chwała księciu Radziwiłłowi - żartobliwie odpowiedział Wilmowski.

- Byli jeszcze w Egipcie banici, szukający schronienia przed prawem, były dzieci polskie porwane w jasyr, no i jeńcy chrześcijańscy - kontynuował Smuga.

- No, ich los nie był godny pozazdroszczenia - smutno stwierdził Nowicki.

- Podobnie jak dzisiaj los zesłańców syberyjskich - dorzucił Tomasz. I zadumali się chwilę nad historią Polski, nad swoim wielkim, niemożliwym do spełnienia marzeniem: wrócić razem do Ojczyzny, wywalczyć niepodległość, w spokoju budować przyszłość... Ile o tym rozmawiali, ile snuli planów, ile wspomnień...

- Wykupem jeńców chrześcijańskich zajmowały się niektóre zakony - powiedział po chwili zadumy Tomek.

- Tak zakon trynitarzy[\[79\]](#), których w tym celu sprowadził do Polski po zwycięstwie wiedeńskim król Jan III Sobieski i ufundował dla nich Kościół Św. Trójcy w Warszawie, na Solcu. To mój rodzinny kościół - dodał z dumą Nowicki.

- Niewielu było jednak szczęściarzy. Większość ginęła w niewoli. Niektórzy radzili sobie sami. Opowiadano mi kiedyś niewiarygodną historię o polskim jeńcu w niewoli tureckiej - zaczął Smuga. W bitwie pod Cecorą, w której zginął nasz wspaniały hetman, Stanisław Żółkiewski, został wzięty do niewoli szlachcic spod Baru, Marek Jakimowski, sprzedany później jako galernik na okręt strzegący portu aleksandryjskiego. Gdy galera przebywała na morzu Egejskim, nasz rodak zbuntował więźniów, wśród których byli Grecy, Anglicy, Włosi i Rusini. Wspólnie pobili dozorców i rozdawszy broń, po wielu przygodach, dotarli do Palermo, gdzie przyjęto ich z zasłużonym entuzjazmem.

- Poznać Polaka! - znów chwalił Nowicki. - To taki Beniowski[\[80\]](#) XVII wieku.

- Ostatnim Polakiem, który odwiedził Egipt przed przybyciem tu armii Napoleona, był 25-letni hrabia Jan Potocki - odezwał się ponownie Tomek.

- Masz ci los, jeszcze jeden arystokrata! - westchnął Nowicki.

- Przybył do Aleksandrii w końcu 1784 roku. Zachorował na febrę, którą ledwo przeżył. Stąd, przebrany za tubylca, podobnie jak my pod piramidami, popłynął do Kairu, gdzie przez trzy miesiące mieszkał u pewnego weneckiego kupca, po czym wrócił do Europy.

- Pewnie nudził się w tym dusznym mieście jak my - wtrącił swoje No wieki.

- Nie byłbyś tego taki pewny, gdybyś chciał obiektywnie popatrzeć na ostatnie dni - Smuga postanowił zmienić wątek rozmowy.

- Czekalem, Janie, na te słowa - uśmiechnął się Wilmowski. - Nie tak wiele się dowiedzieliśmy, a przecież najwyższy czas, aby pomyśleć nad odpowiedzią na wiele pytań. Jak wpaść na ślad okradających grobowce złodziei? Kim jest ów tajemniczy "żelazny faraon", poszukiwany przez policję wielu krajów? Czy złodzieje rzeczywiście odnaleźli

grób Tutanchamona, faraona, o którym tak niewiele wiadomo? Niektórzy wszak wątpili nawet w jego istnienie.

- Tak, Andrzeju - odparł Smuga. - Bardzo chciałbym wysłuchać wszystkiego, co macie do powiedzenia.

Sally już od dość dawna w zamyśleniu oglądała zrobione przez Smugę fotografie. Historia tacki z posążkami ją fascynowała najbardziej.

- Są naprawdę piękne i mogą pochodzić z grobu Tutanchamona - powiedziała w zamyśleniu. - To posążki z grobowca...

- Brr... - przerwał jej Nowicki - zdaje się, że w tym Egipcie groby będą nam towarzyszyły bez przerwy!

- Sally, po co właściwie takie przedmioty kładziono do grobowca?

- spytał Tomasz.

- To długa historia - odrzekła Sally. - Związana z wyobrażeniami starożytnych Egipcjan o życiu pozagrobowym. Ściślej z pracami, jakie po śmierci musieli wykonywać mieszkańcy zaświatów.

- To i tam trzeba było pracować? - Nowicki miał smętną minę.

- Według wierzeń egipskich życie w zaświatach było repliką ziemskiego - wyjaśniła Sally. - Za bogatych więc wszystkie prace wykonywała służba. Potem jednak pojawiła się myśl, że każdy pracuje sam! Nawet bogaci!

- O, to mi się podoba! - wtrącił Nowicki.

- Nie ciesz się za wcześnie - Sally zgasila jego zapal. - I na to znaleziono sposob.

- Jakiz to? - skrzywil sie marynarz.

- Najpierw pojawiły się magiczne zaklęcia, pozwalające zmarłym unikać pracy fizycznej, a potem uszebti - magiczne figurki.

- Co takiego? - spytał Nowicki.

- Uszebti - powtórzyła Sally. - Figurki, które miały wyręczać zmarłego faraona w pracy.

- Niechże cię, sikorko! To i tam nie ma sprawiedliwości - krzywil się Nowicki.

- Tak więc posążki na naszej tacy podarował zmarłemu Tutanchamonowi jakiś życziwy, któremu zależało, by się w zaświatach nie przepracował - powiedział Tomek.

- Tak! - z zadumą dodała Sally. - I pewnie bardzo kochał zmarłego.

- Czemu tak sądzisz?

- Bo uszebti na ogół były drewniane, a te są bardzo cenne i nie tylko z drewna, ale z alabastru i złota...

Nowicki nagle się roześmiał:

- Nie lada to pomysł z tymi figureczkami - powiedział. - Pewnie faraonowi wsadziła je do trumny żona... I nie wiem, czy akurat z miłości... Wydaje mi się, że i po śmierci chciała nim kierować...

- Co ty mówisz - obruszyła się Sally.

- No właśnie! Chyba nie lubiła, gdy mąż wojował albo bawił się w pasterza... Ciekawy jestem, w jakiej roli występuje faraon w tej czwartej, zaginionej figurce... Założę się, że w stroju myśliwego!

Sally poczerwieniała z gniewu. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, włączył się Smuga:

- Bardziej interesuje mnie pytanie, dlaczego czwarty posążek został oderwany od całości.

- Może to jakiś talizman, który zabrał ów "faraon"? - podjął Tomasz.

- Skąd wiesz, że to nasz "faraon"? Może już przed wiekami ktoś oderwał figurkę od całości? Może chciał mieć Tutanchamona u siebie? - zaperzyła się Sally.

- Jak go zwał, tak go zwał - zdecydowanie przerwał te domniemania Nowicki. - Przede wszystkim mam już dość Kairu, brudu, zgiełku, smrodu... Czas ruszyć stare kościska.

- Chyba to racja. Nic tu po nas - Sally w lot chwyciła, o co mu chodzi. - Ruszajmy do Doliny Królów!

- Przypominam wam, że w przyszłym tygodniu kończy się czas, na jaki wynajęte zostało mieszkanie i naprawdę pora wyruszyć - na ziemię zawsze niezawodnie sprowadzał ich starszy Wilmowski.

- No dobrze - rzekł Nowicki - jesteśmy w Dolinie Królów i co dalej?

- Zaczynamy węszyć - dopowiedział Tomek.

- Najlepiej sprowokować do działania przeciwnika.

- Świetnie, tylko jak?

- Podamy się... choćby za handlarzy tym samym towarem - żartobliwie podsunął Nowicki.

- Zostaniemy wtedy potraktowani jak rywale. To zbyt niebezpieczne - zaproponował Wilmowski.

- E tam! O to właśnie chodzi - upierał się przy swoim marynarz.

- Mam lepszy pomysł - podsunął Smuga. - Pojedziemy jako kolekcjonerzy!

Zamilkli zaskoczeni tą prostą, a przecież bardzo trafną propozycją.

- Już kiedyś występowaliśmy w przebraniach i pod cudzymi nazwiskami - z namysłem powiedział Nowicki. - I poszło dobrze... Ale ja, chłopak z Powiśla, w roli bogatego arystokraty... To niemożliwe!

- Dlaczego nie - zaśmiał się Smuga - bogaty junkier pruski, Brol...[81].

- Zgoda, Janie - nieco obruszył się marynarz. - Ale tylko pod warunkiem, że ty wystąpisz jako car Rosji.

Wybuchnęli śmiechem. Opadło napięcie dyskusji. Prosty projekt Smugi wydawał się realny. Milczał tylko starszy Wilmowski. Zdawał się wszystko raz jeszcze rozważać. W końcu powiedział:

- Posłuchajcie przez chwilę głosu rozsądku. Proponuję podzielić siły. Jedni z nas niech udadzą się na południe jako bogaci kolekcjonerzy, drudzy zaś jako zwykli turyści. Mielibyśmy wtedy grupę ubezpieczeniową...

- Masz rację, tato - powiedział Tomek. - Kolekcjonerzy nie jeżdżą chyba stadami. Załatwiają sprawy dyskretnie. Czterech to zbyt wielu.

- Nigdy nie lubiłem, gdy działaliśmy osobno - z namysłem dodał Smuga. - Ale tym razem wydaje mi się to roztropniejsze.

- Przeważnie goniliśmy, Janie, ciebie - uśmiechnął się Nowicki.

- Jak w wyprawie do Indii? Pędziliśmy za Smugą przez cały ten kraj[82]... - uzupełnił Tomasz.

- Tym razem więc, niech to będzie ktoś inny - odpowiedział Smuga - ja będę czuwał nad bezpiecznym przebiegiem całości.

- Zgoda, Janie! Myślę, że najlepszy będzie Tomek. Prezentuje się nie najgorzej, jest pełen młodzieńczej pasji i ma znającą się na rzeczy żonę - głośno rozważał Wilmowski.

- Myślałem tak samo - powiedział Smuga. - Ale kto z nim?

- Jak to kto!? - obruszył się Nowicki. - Wszak ja, szanowny panie. Ja!

- Przecież nie nadajesz się na arystokratę. - Sam o tym przed chwilą wspominałeś... - przypomniał Smuga.

- A kto mówi o arystokracji? Przecież Tomek będzie potrzebował... lokaja! Prawda, ekscelencjo?! - Nowicki pochylił się przed młodym Wilmowskim w unizonym ukłonie.

Śmiali się wszyscy.

- Cóż, Janie - łapiąc oddech, westchnął Wilmowski - my, starzy, zostaliśmy więc skazani na siebie.

W tym momencie Patryk, już znowu ożywiony, odkąd tylko zaczęli rozmawiać o wyprawie, usłyszał pukanie do drzwi. Podbiegł i otworzył je. Zobaczyli ubranego w elegancki frak mężczyznę w sile wieku. Smuga podniósł się zdumiony.

- Abeer! A jednak jesteś!

- *Salaam*] - powiedział tamten. - Jestem, by wam pomóc. Zaaprobował w pełni projekt, który mu przedstawili. Później długo w nocy konferował ze Smugą. Wyraźnie wzajemnie się o czymś przekonywali. Przechodzący obok ich pokoju Tomek usłyszał głośniejsze

wypowiedziane słowa Egipcjanina:

- Powinieneś jechać! Tamta sprawa podzieliła was, ale minęło już tyle lat. Nie jesteście jednak wrogami. Czas goi rany. Rozmawiałem z nim. Wiele zrozumiał. Pamiętaj, że może pomóc. Wie, co dobrego i złego dzieje się w tym kraju...

Tomek wrócił do swego pokoju. Nie chciał podsłuchiwać przyjaciela, nie mógł jednak zasnąć. Rozmyślał o Smudze. Znali się i przyjaźnili tyle już lat, a przecież Smuga pozostawał ciągle tajemniczy. Co robił w przeszłości, jakie były koleje jego losu, dlaczego wyjechał z Ojczyzny, chociaż wcale nie musiał...? Także tu w Egipcie miał swoje sprawy, z których nie zwierzał się nikomu. Jakaż dramatyczna tajemnica wiązała się z wcześniejszym pobytem Smugi w tym kraju? Współczuł przyjacielowi, bo z usłyszanych przypadkiem słów wynikało, że wspomnienia ciążyły Smudze. Zasnął z ciężkim sercem.

\*\*\*

Nazajutrz Abeer uzupełnił ich plan, proponując szczegółowe rozwiązania.

Tomkowi i Sally, wyruszającym z Nowickim i Patrykiem, podsunął pomysł podróży rządowym statkiem, wyruszającym za kilka dni w górę Nilu.

- Bardzo odpowiednie dla ekstrawaganckiego, bogatego młodzieńca z Europy, zwłaszcza miłośnika Egiptu i kolekcjonera starożytności - przekonywał.

Właściwie bez potrzeby, bo zwłaszcza marynarz tęsknił za wodą.

- Natura ciągnie wilka do lasu, marynarza na wodę, a warszawiaka... - tego ostatniego członku zdania Nowicki nie skończył, ale wszyscy i tak wiedzieli, co miał na myśli...

Smuga natomiast wybierał się najpierw, i to koniecznie z Abeerem, do oazy Al-Fajjum, nie tłumacząc jak zwykle dlaczego. Wilmowski postanowił przyłączyć się do nich, gdyż świetnie odpowiadało to zamiarowi działania w dwóch osobnych grupach. Mogli, znowu za radą Abeera, dołączyć do kupieckiej karawany, wyruszającej z Kairu za dwa dni, bardzo zresztą potrzebne na dokończenie przygotowań. Mimo opóźnienia, które przy tym sposobie podróżowania trudno byłoby dokładnie wyliczyć, druga grupa miała szansę znaleźć się w porę w pobliżu pierwszej dzięki kolejowemu połączeniu między miastem Al-Fajjum, w okolicy którego się udawała, a Luksorem ustalonym miejscem spotkania.

Tyle plan, resztę dopowiedzieć miała przygoda.

## W GÓRĘ NILU

Abeer miał rzeczywiście dobre informacje. Z Bulak [83] odpływał do Asuanu parowiec rządowy. Portowa dzielnica Kairu z fabryką broni, żelaza i przędzalnią bawełny stawała się coraz bardziej wielkowiejska. Naprzeciwko, na wyspie o tej samej nazwie, w sztucznie urządzonej grocie, mieściło się przepiękne akwarium. W jego 24 basenach pływały wszystkie rodzaje ryb żyjących w Nilu. Obejrzeli wszystko z przyjemnością. Na rządowym parostatku okazało się jednak, że wszystkie miejsca pasażerskie są zajęte. Kapitan zaproponował im krzesła na pomoście, ale przy dłuższej podróży mogło się to okazać zbyt męczące i nie za dobrze pasowało do dystygowanego Anglika, za którego miał uchodzić Tomasz.

- Co teraz zrobimy? - Tomek poczuł się bezradny.

- Spróbujemy wynająć żaglowiec - powiedział Abeer.

- Rzeczywiście, jest ich tu bardzo wiele - zauważyła Sally.

- Te małe, nędzne noszą nazwę kanza [84] - wyjaśnił Abeer - ale wam nie wypada. Powinniście płynąć większą, porządniejszą daabiją, jak choćby ta - wskazał na dość dobrze się prezentujący, dwumasztowy stateczek.

- Całkiem zgrabny - ocenił Nowicki.

- Nie zapomnij, kapitanie, że jesteś lokajem - zaśmiał się młody Wilmowski.

- Niech cię o to, braciszku, lordowska główeczka nie boli. Będę znakomitym sługą - głęboko skłonił się Nowicki, błazeńsko wykrzywiając się w stronę bardzo tym rozbawionej Sally.

- Jak one będą płynąć pod prąd? - spytała po chwili.

- Mają małe zanurzenie, więc w górę rzeki łatwo popycha je wiatr, a w dół podążają same - wyjaśnił Abeer.

Zaraz potem poszedł szukać właściciela lub kapitana "Cheopsa", bo tak nazywał się wybrany przezeń żaglowiec. Znalazł go łatwo, wykrzykując nazwę statku w pobliskiej tawernie. Reis [85], który przedstawił się jako Abdullach, wyglądał na takiego, który gotowy byłby popłynąć nie tylko do Luksoru, ale samego piekła. Potężnie zbudowany, gruby, w złocistym turbanie, z niesfornie wymykającymi się spod niego kręconymi włosami, obdarzony tubalnym głosem, wyglądał imponująco. Spór o cenę wynajmu trwał długo, chociaż Tomasz gotów był zapłacić bez targowania, bo Egipt był dla Europejczyków tani. Istniało jednak ryzyko, że utracą szacunek załogi z kapitanem na czele. Ekstrawagancki Anglik, który z żoną i lokajem przybył na brzeg, zawzięcie więc dyskutował, przy pomocy tłumacza Araba, o kosztach podróży.

- Pyta, czy chcecie wynająć statek w rejs do miejsca docelowego, czy na określony czas.

- Jaka to różnica? - zdziwił się Tomek.

- Oj, brachu, brachu... Ogromna! Jeśli do Luksoru, to będzie im zależeć, by dopłynąć

jak najszybciej. Jeśli na określoną liczbę dni, to podejrzewam, że bardzo wolno będziemy się poruszać - wtrącił się No wieki.

- Wobec tego do Luksoru - zdecydował Tomasz.

Wrócili do mieszkania, by się spakować. Rano, pożegnawszy Smugę I Wilmowskiego, wyruszyli z bagażami do portu. Tu sporządzili kontrakt na piśmie, potwierdzony przez władze. W ramach pierwszego warunku umowy i na potwierdzenie faktu jej zawarcia Tomasz nabył barana, zwanego przez reisa *maruf*, którego mieli spożyć na początku podróży, by zapewnić sobie życzliwość dżinów[86]. Wręczyli reisowi zadatek, pożegnali Abeera i weszli na pokład.

Daabija miała dwa maszty, jeden z przodu, a drugi na rufie. Oba uzbrojone były w trójkątne żagle, jakby zbyt duże na tak mały stateczek.

- Chyba raczej pofruniemy - zauważyła Sally.

- Turkaweczko, mylisz się. Stary wilk morski ci powiada: nasz pojazd popycha siłą wiatru, która musi pokonać prąd rzeki.

Załoga, oprócz kapitana i sternika, składała się jeszcze z dziesięciu marynarzy. "Gdzie pomieszczą się na tej małej łodzi?" - pomyślał Tomek, widząc, że z tyłu stateczku, naprzeciw budki kucharza są tylko trzy kabiny umieszczone pod sterówką. W tym momencie do trapu podbiegł niechlujnie wyglądający, niski mężczyzna.

- Stójcie! Zatrzymajcie się! - wołał. Tomasz i reis zbliżyli się do burty.

- Kto dowodzi tą łodzią? - nieznajomy zapytał po angielsku i po arabsku. Reis coś odpowiedział i wskazał na Tomka.

- A! To szanowny pan wynajął ten stateczek. Widzę, że niewielu na nim pasażerów. A mnie się diablo spieszy. Nie wzięlibyście mnie wraz z przyjacielem i kilku naszych ludzi?

- Płyniemy do Luksoru... - niepewnie zaczął Tomek.

- No, my trochę dalej, ale zawsze z Luksoru będzie bliżej. Bardzo proszę... Pilnie muszę jechać. Z pewnością się dogadamy.

- Ilu panów jest?

- Razem siedmiu.

- Cóż, mogłaby wchodzić w grę co najwyżej jedna kabina... - zaczął niepewnie Tomek, nie chcąc wydać się nieuprzejmym.

- Dziękuję. To nam w zupełności wystarczy. Dziękuję niezmiernie - rozmówca zareagował natychmiast i już wykrzykiwał coś w kierunku stojącej opodal grupy ludzi. Na pokład weszło dwu Europejczyków w otoczeniu pięciu Arabów. Europejczycy zajęli kabinę, Arabowie rozlokowali się na pokładzie.

- Ho, ho, widocznie jakieś grube ryby - szepnął Nowicki do Tomka. - Nawet się nie przedstawili.



- Mamy czas - odpowiedział młody Wilmowski, mierząc uważnym spojrzeniem nieproszonych towarzyszy podróży. - Chyba nie wykazałem się zdecydowaniem. Wykorzystali moje wahanie, a przecież oni także mogli wynająć jakiś stateczek...

- Właśnie! Podejrzane, że tego nie uczynili. Coś za bardzo chcieli nam towarzyszyć - głośno myślał Nowicki.

- Ech - uśmiechnął się Tomek. - W końcu jest ich tylko siedmiu!

- I to ty mówisz? - zdumiał się marynarz.

Przybyli nie wyglądali zbyt sympatycznie. Niechlujnie ubrani, nie ogoleni. Ten, który rozmawiał z Tomkiem, mógł sprawiać jeszcze niezłe wrażenie, ale drugi wyglądał na typa spod ciemnej gwiazdy. Wysoki, o szerokich barach, pochmurnym spojrzeniu. Niebieskie oczy patrzyły wokół z dystansem i jawną pogardą. W rękę trzymał korbacz[87] i ze sposobu, w jaki to robił, widać było, że umie się nim doskonale posługiwać. Od początku podróży nie wypowiedział ani słowa. Na pokład wszedł bez żadnego powitania, nawet gestu czy skinięcia głową. Strzelił jedynie korbaczem, przejmując jakby stateczek w posiadanie. Pięciu Arabów towarzyszących białym zdawało się ich panicznie bać. Wszyscy byli chudzi, zamknięci w sobie i cisi. Gdy marynarze pokrzykiwali albo śpiewali, ci milczeli i smutnym wzrokiem wodzili dokoła.

Nikt z tej kompanii nie wzbudził zaufania Dinga, od początku warczącego przy każdym spotkaniu głucho i złośliwie. Zanim odbili, Nowicki wyjął ze swego podręcznego bagażu jakieś zawiniątko i zwrócił się do Tomka:

- Hejże, brachu, musimy przecież płynąć pod jakąś banderą! Najlepsza będzie ta!

Młody Wilmowski ze wzruszeniem rozwinął białoczerwony sztandar. Zastanowiwszy się chwilę, poszedł do kapitana i powiedział:

- To sztandar moich najlepszych posiadłości.

Reis zebrał załogę, ustawił w szeregu, a jednocześnie rozkazał sternikowi wciągnąć flagę na maszt. Zanim ten zdążył to uczynić, podbiegł Patryk i to on właśnie pociągnął za linkę. Przeciągły świst oznajmił rzeczniczemu portowi egipskiemu, że na afrykańskim lądzie znów załopotala polska flaga[88]. Flaga kraju, który nie istniał na mapach świata, ale żył w sercach kochających go ludzi. Kapitan salutował, majtkowie stali na baczność, pozostali w milczeniu oglądali ceremonię, a Tomek i Nowicki ukradkiem otarli łzy. Patryk dumnie spoglądał na łopoczący sztandar.

Manewrując wśród natłoku statków, żaglowiec wypłynął z portu. Stojący przy burcie Nowicki jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia, gdy poczuł, że ktoś natarczywie mu się przygląda. Odwrócił się i napotkał ironiczny wzrok "mężczyzny z korbaczem", jak go nazywał. Odpowiedział takim samym spojrzeniem. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Tamten zrezygnował pierwszy, ale na jego ustach pojawił się kpiący uśmiech. Wkrótce zniknął wewnątrz swojej kabiny.

Tymczasem statek sunął wolno wzdłuż przedmieść Kairu: domów, meczetów, pałaców.

Minął wyspę Roda i stare miasto. Spotykali dziesiątki barek i feluk załadowanych bawełną, trzcina cukrową, egzotycznymi owocami... Przepływali obok łodzi o wysokim dziobie, załadowanej glinianymi garnkami. Wokół zieleniły się brzegi Nilu. W dali strzelały w niebo piramidy w Gizie.

Zanim nadeszła noc, pasażerowie rozlokowali się, jak mogli, w kabinach. Sally z Patrykiem w jednej, Tomek z Nowickim w drugiej. Trzecią wcześniej odstąpili przygodnym towarzyszom podróży, ale trudno by to uznać za wielką stratę, zważywszy że w żadnej nie było nic prócz łóżka, stolika i stołka, z dodatkiem moskitów, pcheł, karaluchów i pluskiew, czyli owadów wszelkiej maści. Po zmierzchu niepokoiły bzykaniem i cięły niemiłosiernie. Na Tomku i Nowickim, którzy niejedno widzieli, nie robiło to większego wrażenia, ale jakoś nikomu nie było spieszno udać się na spoczynek.

Patryk dwoił się i troił, jak to miał we zwyczaju wieczorem, tak że w końcu wszystkim zniknął z oczu. Dawno już obejrzał cały statek i teraz przycupnąwszy w sterówce przyglądał się pracy sternika. Obok sterówki siedzieli, opierając się o ścianę kabiny, dwaj obcy Europejczycy. Do Patryka docierały strzępy prowadzonej po angielsku rozmowy:

- Dzisiaj?

- Jeszcze nie - zabrzmiała cicha odpowiedź.

- Et, szkoda czasu. Chyba się nie boisz? - skomentował ten pierwszy.

Patryk usłyszał jeszcze tylko cichy śmiech, ale też specjalnie nie nadśluchiwał, zupełnie czym innym bardzo przejęty. Gdybyż rano powtórzył tę rozmowę Tomkowi, kto wie, ilu uniknęliby kłopotów...

W końcu jednak wszystkich zmogło zmęczenie i spróbowali zasnąć. Długo przed świtem Sally obudziły piski szczurów. A tego było już dla niej trochę za wiele. Nie wytrzymała i czmychnęła na pokład. Otulona ciepłym arabskim szalem, z dłonią opartą na głowie Dinga, który od razu i zdecydowanie zaprotestował przeciwko noclegowi w kabinie, cierpliwie czekała na świt. Sennie snuły się wspomnienia minionych lat, już teraz, jak jej się wydawało, bardzo odległe.

- Co czeka nas tutaj? - pomyślała w końcu i znowu zobaczyła przesłoniętą kłębam fajkowego dymu twarz Smugi.

Na wschodzie tymczasem zażółcił się horyzont i ku górze, zza pustynnych, skalistych szczytów wystrzeliły różowe smugi odbite w lustrzanych wodach Nilu. Zza wzniesień wyłoniła się słoneczna kula. Sally wyszeptała słowa modlitwy przypisywanej Echnatonowi:

*Ojcze nasz - Dysku Złoty i Żywy -*

*Daj siły dzieciom twoim,*

*Włóż im w prawicę miecz,*

*Który zniweczy zło*

## *I obdarzy lud wszechświata miłością*

- O czym tak marzysz, sikorko? - przerwał jej z nagłą Nowicki, który wstał wcześniej, by przyrządzić śniadanie. Z powagą pełnił funkcję kucharza, perorując przy tym, z właściwą sobie swadą:

- Kiedyś z majtka awansowałem na bosmana, potem zrobili mnie kapitanem. Nie tak dawno otrzymałem nominację na generała. Trzeba umieć spadać z góry. Przyszedł czas degradacji, to przyszedł! Sprzedałem jacht i mam za swoje, zostałem lokajem!

Ostatnie do czego by się przyznał to fakt, że bardzo lubił przyrządzać różne potrawy. A teraz postanowił przygotować typowo arabski posiłek. Wyciągnął z *kafassach* [89] naczynia kuchenne i wyjął z zapasów jadane tutaj do wszelkich potraw chlebki *baladi*, które przypominałyby placki, gdyby placki składały się jedynie z twardej skóry. W kuchni już od wczoraj na wolnym ogniu gotował się bób z dodatkiem marchwi, cebulki i pomidorów. Bób przypominał gęsta kaszę rozgotowaną z mlekiem. Nowicki spróbował i skrzywił się.

- Trzeba doprawić - powiedział do Sally i zaczął dodawać do potrawy sól, pieprz, sok z cytryny, startą na miazgę cebulę, czosnek, oliwę i sok pomidorowy. Zapachniało smakowicie, więc Sally chętnie spróbowała.

- Pyszne - stwierdziła. - I prawdziwie po arabsku pachnie - dodała, wciągając powietrze przeniknięte zapachem czosnku, cebuli i przypalonego tłuszczu.

Nowicki wycierał tymczasem łzy, o które przyprawiło go obieranie zdradliwej cebuli. Przekroili wydrążone wewnątrz *baladi*, wypełnili je przyprawionym *fulem*, po czym obudzili Tomka i Patryka.

Tymczasem muzułmańscy uczestnicy podróży rozścielili swoje dywaniki i rozpoczęli poranną modlitwę. Angielski lord, ku ich zdziwieniu, zaprosił na śniadanie obu Europejczyków oraz kapitana i sternika "Cheopsa". Przepraszył też pozostałych, że nie może ich poczęstować, ponieważ ma tylko jednego lokaja. I obiecał hojny bakszysz na końcu udanej podróży.

Podróż niedługo jednak była taka spokojna. Już następnej nocy, tuż przed świtem, gdy nawet najczujniejsi ulegają zmęczeniu, od gór niespodziewanie powiał wiatr. Nie dostrzegł tego w porę marynarz na wpół drzemący przy sterze. Wiatr wzmagął się nad wzburzoną nagle rzeką. Płytko zanurzony żaglowiec chwiał się na fali i niebezpiecznie przechylał, grożąc wywrotką.

Pierwszy obudził się Nowicki. Może kierował nim niezawodny marynarski instynkt, a może poczuł wodę w kabinie. Zerwał się i wyskoczył na pokład. Stateczek, z wzdętym na wietrze żaglem, pędził do przodu niczym koń ze spienioną grzywą. Marynarz przy sterze coś krzyczał. Nowicki jednym rzutem oka ocenił sytuację.

- Żagiel! Zwinąć żagiel! - wrzasnął po polsku, zapominając, że nikt go nie rozumie. Nie zamierzał zresztą czekać. Natychmiast zaczął się zmagać z niepokornym kawałkiem materii. Już po chwili pomagali mu inni, wyrwani ze snu, z resem na czele. Zadanie nie

było łatwe. Stateczek chybotął się i kołysał na wszystkie strony. W końcu żagiel opadł i statek zwolnił. Do rana nikt już nie zmrużył oka.

- Mieliśmy dużo szczęścia, że tylko tak to się skończyło - powiedział Nowicki do Tomka. - Przy tak małym zanurzeniu trzeba bardzo uważać na wiatr.

Podobnie myślał reis, bo niemal natychmiast, biczem wymierzył karę trzymającemu nocną straż marynarzowi. Zażądał też, aby już nie odkładać na później uroczystości prześlągania Allacha czy dżinów.

Przybili do brzegu w pobliżu jakiejś miejscowości. Jeden z marynarzy wyskoczył na ląd. Podali mu wielki, gruby, zaostrzony na końcu pał, który tamten drewnianym młotem wbijał w ziemię. Tak zacumowali.

Majtkowie zarznęli *marufa*, czyli kupionego przez Tomka barana.

- Szkoda, że tak późno - żalił się Tomaszowi reis - obyłoby się bez przygody.

Odarty ze skóry baran gotował się w kotle, a wszyscy zasiedli dokoła ogniska. Szybko dołączyła do nich ludność z pobliskiej wioski, skąd pochodził, jak się okazało, jeden z marynarzy. Nie wiadomo skąd pojawili się muzycy. Grały piszczałki i fleciki z trzciny, reis rytmicznie uderzał w tarabuk, oklejony z obu stron baraniami skórami bębenek, wiszący dotąd bezużytecznie na pomoście. Rzępoliła *rabaka*, przypominająca skrzypce. Pozostali klaskali w dłonie. Jeden, najmłodszy, wystąpił na środek i rozpoczął taniec, zwany w Górnym Egipcie *saide*. W gruncie rzeczy stał w miejscu, ale poruszał w rytm muzyki całym ciałem. Powoli dołączyli się inni. Spośród Europejczyków uczestniczył w nim Nowicki, o dziwo, niewiele ustępujący wyćwiczonym gospodarzom tej ziemi.

Zabawa trwała prawie do świtu, ale Tomek i Sally, a z nimi Nowicki, ze względu na Patryka wcześniej udali się na spoczynek. Mimo zapewnień reisa, że odtąd wszystko będzie dobrze, Tomek zabronił rozwijać żagiel nocą. Odtąd często nocowali na brzegu, w namiotach. Poruszali się zapewne wolniej, ale za to wygodniej i bezpieczniej.

## DRAMAT W BLASKU SŁOŃCA

Abeer, Smuga i Wilmowski z kupiecką karawaną opuszczali *żyzną*, poprzecinaną kanałami dolinę Nilu. Niewielka, złożona z dziesięciu wielbłądów karawana, równomiernie przemierzała pustynny szlak. Zwierzęta podążały jedno za drugim, cicho, z wyciągniętymi szyjami, prawie niedostrzegalnie pokonując trasę. Na czele jechał zrosnięty niemal z wielbłądem stary Arab, zawodzący posępną, melancholijną pieśń. Wtórował mu głos dzwonka u szyi zamykającego pochód dromadera.

Jechali wzdłuż ciągnących się w nieskończoność pól i osad fellachów. Mijali szare, wzniesione z suszonej cegły z nilowego mułu, lepianki z płaskimi dachami i maleńkimi okiennymi otworami. Zadziwiały wąskie, wystrzelające w górę jak minarety, białe wieżogółębniaki, nadające wioskom fellachów w Dolnym Egipcie odmienny od innych wygląd. Południowe ściany domów oblepione były plackami z odchodów gołębi i bydła, zmieszanych ze słomą i gliną, których po wysuszeniu używa się jako jedynego dostępnego materiału opałowego. Na pociętej kanałami uprawnej ziemi zaczynały się właśnie żniwa koniczyny, lnu i pszenicy, którą wiązano w snopy i spławiano kanałami. Kielkowała także bawełna - ta biała królowa Egiptu. Kobiety w długich, czarnych sukniach, siedzące na polach bawełny wraz z półnagimi dziećmi troskliwie kryły za wałami ziemnymi jej delikatne kielki. Mniejsze dźwigały ku słońcu, plewiły i spulchniały ziemię, z wielką cierpliwością i pieczołowitością oglądały listki, niszcząc drobne pasożyty.

Na jednym z postojów Abeer opowiedział Wilmowskiemu, jak ważna dla Egipcjan i jak trudna jest uprawa bawełny.

- W ciągu lata mężczyźni będą wiele razy nawadniać te krzewy o żółtym kwieciu - wyjaśniał Abeer. - Żniwa rozpoczyna się wtedy, gdy zaczynają pękać brązowo-czarne torebki. Ścina się łodygi, potem zaś kobiety oddzielają białe puszyste torebki od brązowych, a dzieci zbierają do koszy odpadki. Oczyszczona bawełna czeka na handlarza z Kairu lub Aleksandrii. Następuje długi targ, im dłuższy, tym według fellachów lepszy. Wieśniak, w czerwonym fezie i niebieskiej koszuli stara się udowodnić, że jego bawełna jest najlepsza, handlarz co raz wynajduje jakieś gorsze kłaczki waty, która powinna lśnić nieskazitelną bielą. Trwa wzajemne przekonywanie, przekomarzanie, wyśmiewanie, aż wreszcie dochodzi do transakcji. Zgromadzeni wokół sąsiedzi klaszczą w dłonie, a pisarz gminny spisuje kontrakt: tyle i tyle za bawełnę, tyle za olej i paszę z ziaren dla bydła.

- Bawełna jest największym skarbem Egiptu? - Wilmowski starał się podtrzymać tę interesującą go rozmowę.

- Tak! Zdecydowanie. Zwłaszcza od czasów Muhammada Alego i wojny domowej w Ameryce. Dla bawełny wzniesiono tamę w Asuanie, by można było w ciągu roku wielokrotnie nawodnić pola. Stary, basenowy system, znany od prawieków, przestał wystarczać.

- Na czym polegał ten system?

- Dolina Nilu podzielona była poprzecznymi kanałami na mniejsze lub większe

prostokąty pól. Od pustyni oddzielał ją ochronny wał. W okresie wylewu rzeki woda płynęła kanałami na pola, zalewając je na wysokość 1-2 metrów i pozostając na nich przez pięćdziesiąt dni. Potem zaczynała opadać, cofając się tą samą drogą do Nilu. Na polach osadzał się żyzny muł.

- Ciekawe, kiedy zaczynał się wylew rzeki?

- Hm... Właśnie latem nazywanym *nilu*, czyli okresem wylewu. Tu rozpoczynał się w lipcu, a na południu kraju około pięćdziesięciu dni wcześniej. W wielu miastach hucznie i radośnie obchodzono święto wylewu, coś na kształt europejskiego karnawału w Wenecji. Woda osiągała najwyższy poziom we wrześniu, po czym systematycznie opadała. Cały wylew trwał około stu dni.

- To znaczy, że teraz Nil byłby naj płytszy? - spytał Wilmowski.

- Tak! Właśnie od marca do czerwca poziom wody w rzece był najniższy - odparł tamten.

- A jeśli w jakimś roku przybór Nilu był w ogóle słaby?

- Z takim niskim stanem wód mamy do czynienia w ostatnich dwunastu latach. Kiedyś oznaczałoby to głód. Od wieków mieszkańcy modlili się tutaj o 16 łokci wskaźnika poziomu wody na nilometrach, ponieważ oznaczał dostatek. Przy 15 i 14 w domach panowały spokój i radość. Gdy przyrząd wskazywał 13 łokci, zbiory były dostateczne, ale gdy było 12 łokci, oznaczało to głód. Może właśnie dlatego pomnik Nilu przedstawia mężczyznę z szesnaściorgiem dzieci<sup>[90]</sup>. Ludzie próbowali sobie pomóc w rozmaity sposób. Do dziś znane są różnego rodzaju urządzenia nawadniające: szadufy, tambury, czyli śruby Archimedesesa, *sakije*...

- Ale dlaczego stary system basenowy przestał wystarczać? - powrócił do tematu Wilmowski.

- Muhammad Ali sprowadził do kraju bawełnę i trzcinę cukrową, a te wymagały innego nawadniania. Krzew bawełny w ogóle nie znosi wylewów, lecz wymaga systematycznego nawadniania.

- Rozumiem teraz. Stąd nowy, sztuczny system związany z zaporą w Asuanie. Sporo tu Egipt zawdzięcza Anglikom.

- Można by nazwać ten nowy system zaporowym. Zbudowano nie tylko tę sławną tamę w Asuanie, ale i inne: Isna, Nag Hammadi, Asjut... Zapewniają one zapas wody na cały rok.

- Ale w ten sposób traci się niesiony przez Nil żyzny muł...

- Tak - zgodził się Abeer. - System zapór pozwolił jednak powiększyć teren upraw i wydrzeć pustyni wiele ziemi...

Smuga, zajęty obserwacją odpoczywających dromaderów, dotąd niezbyt dokładnie słuchał rozmowy. Teraz jego uwagę zwrócił szereg szadufów. Wszystkie wyglądały podobnie. Na końcu długiej żerdzi wisiała lina z wiadrem albo koszem z łyka. Drugi koniec tyki trzymał mężczyzna, który cierpliwie nabierał wodę z niżej położonego pola i przelewał

wyżej, gdzie czekał, przy następnym szadufie, drugi fellach.

- Wyglądają jak stado żurawi - rzucił Wilmowski.

- Podobne studnie w Polsce tak właśnie nazywamy - odrzekł Smuga.

- To najprostszy, ręczny sposób nawadniania. Widocznie wioska jest bardzo biedna - tłumaczył Abeer. - Fellachowie potrafią w ten sposób zalać wodą półtora *feddana*[\[91\]](#) na dobę.

- A tam widzisz? - spytał Wilmowskiego Smuga, wskazując ręką. - To sakija!

- Rzeczywiście - uśmiechnął się Wilmowski. - Krowa chodzi w kółko!

- Nie krowa, lecz bawół - tym razem roześmiał się Smuga.

- Chodzi w koło i ma zawiązane oczy, by nie zwariować od tego monotonnego chodzenia.

- Podejźmy! - odrzekł Smuga. - Tyle tu dzieci. Rzeczywiście, przy *sakiji* kręciła się ich spora gromadka. Niektóre popędzały zwierzę, by nie stanęło. Uwiązany do dyszla bawół cierpliwie przemierzał krok za krokiem, poruszając ogromne drewniane koło, z przyczepionymi do obręczy glinianymi lub skórzanymi kubłami, które czerpały wodę z kanału, wlewając ją do rynien, rozprowadzających życiodajny płyn po całym polu. Monotonnemu, nużącemu skrzypowi kołowrotu towarzyszył śpiew chłopców.

- Czy wiecie, co śpiewają? - spytał Abeer.

- Pewnie o trudnym i nudnym życiu na wsi - powiedział markotny nagle Wilmowski, któremu przypomniały się ubogie polskie wioski.

- Właśnie, że nie! Śpiewają o pięknie życia, o radości pracy. Chociaż w refrenie powtarzają się przyziemne słowa:

*Przyjdź, moja owieczko, I napełnij moją sakiewkę...*

- Tak. To bardzo ważne, gdy ktoś cieszy się z tego, kim jest i co robi - powiedział Smuga.

- To, co tu widzicie, to najpopularniejszy przyrząd do nawadniania. W całym Egipcie jest wzdłuż Nilu ponad pięćdziesiąt tysięcy *sakiji*, albo podobnych do nich śrub Archimedesesa.

Wkrótce postój się skończył. Minęli, wyrastające nagle wśród pól gospodarstwo rolne, zwane tutaj *ezba*. Przejechali przez prześliczny laszek palmowy, wśród alei drzew akacjowych i sykomor. W dali zostawała wstęga Nilu i coraz mniejsze wydawały się, liliowe w blasku słońca, zakończone u szczytu bukietami liści, palmy.

Droga wiła się wśród kamiennych wzgórz. Coraz rzadziej spotykali kępi zieleni. Pod nogami wielbłądów chrzęścił piasek. Wjeżdżali w głęboki wąwóz, po obu stronach mając strome, poszarpane, złocisto-rudawe wapienne skały. Gorący wiatr prażył ich twarze i szalał w dolinie tumanami białawego, pustynnego pyłu. Przed zmierzchem zatrzymali się,

by po kilkugodzinnym wypoczynku ruszyć w dalszą drogę. Zatrzymali się dopiero przed południem następnego dnia, by w cieniu piaszczystego wąwozu przeczekać upał. Abeer postanowił wspiąć się na szczyt. Chciał spojrzeć w dół, raz jeszcze na Nil i jego żyzne obrzeże, zanim na dobre zagłębią się w pustynię. Wilmowski, który tego dnia czuł się nie najlepiej, został na dole. Abeerowi towarzyszył Smuga i młody, piętnastoletni poganiacz wielbłądów. Mozolnie pieli się w górę. Ścieżka była stroma i wąska. Miejscami przechodziła w kilkumetrowe, poziome, piaszczyste dróżki. Niektóre z nich ukryte były w wiecznym cieniu, inne tonęły w promieniach słonecznych. Wyszli właśnie na małą polanę, z gorącym od upału piaskiem.

Spod nóg smyrnęła jaszczurka. W tej samej chwili z piasku wyprysnęła błyskawicznie czerwobrnatna smuga, przechwyciła zwierzątko w locie i zniknęła w chmurze wzniesionego między kamieniami tumanu.

- *Sahban*[\[92\]](#) - wrzasnął przeraźliwie młody Arab i krzychał dalej rozdzierająco, przenikliwie, strasznie... Smuga dostrzegł drugi cętkowany cień i wystrzelił. Trafił w środek cielska i dobił żmiję, zgniatając jej łeb obcasem. Odwrócił się w stronę ukąszonego chłopca, który siedział oparty plecami o skałę i łkał.

- Abeer! - powiedział łowca zimno i spokojnie. - Biegnij natychmiast po przewodnika i Andrzeja. Chłopca ukąsiła żmija rogata. Biegnij!!!

Abeera jakby wywiało. Pędził w dół na złamanie karku, głośno krzyząc. Smuga tymczasem pochylił się nad młodym Arabem. Mieszając słowa arabskie z prostymi angielskimi, tłumaczył:

- Muszę wyssać ranę. Uspokój się. Będzie dobrze! Bądź dzielny! Cały czas mówiąc do rannego, wydobył nóż i starannie wytarł go o rękaw ubrania, żałując, że nie ma choćby butelczyny rumu, by zdezynfekować ostrze. W usta chłopca wetknął rąbek jego galabii, by stłumić krzyk bólu. Unieruchomił ukąszoną rękę. Chłopiec uspokoił się i nie wyrwał jej. Był dzieckiem pustyni i wiedział doskonale, że tylko w ten sposób można uratować życie. Widział śmierć zwierząt ukąszonych przez żmiję rogatą. Strach uodpornił go na ból. Smuga kilkoma cięciami powiększył miejsce ukąszenia. Krew poczęła płynąć obficie. Pochylił się i zaczął ją wysysać, wypluwając co chwila na ziemię. Wiedział, że nawet jeśli chłopiec nie umrze w ciągu kilku najbliższych minut, szansę przeżycia będą nikłe.

Abeer dobiegł do obozu. Strzał, a potem głośny krzyk zaalarmował wszystkich. Doskonale rozumieli, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego. Wilmowski nie czekając na wyjaśnienia, przygotował apteczkę i broń. Abeer zawiadomił ojca chłopca, który porwał kilka ciepłych koców i począł wspinać się pod górę. Za nim pędził Wilmowski i kilku innych członków karawany. Zastali wstrząsający widok. Smuga, z zakrwawioną twarzą, tulił do siebie chłopca, którym wstrząsały dreszcze. Ziemia wokół była czerwona i wilgotna od krwi. Wilmowski zabandażował ranę, a ojciec chłopca zawinął go w przyniesione koce i zaniósł do obozu. Bez przerwy poili chorego zsiadłym mlekiem z wodą, starannie dbając o to, by był przykryty kocami i obficie się pocił.

Wieczorem ktoś przyniósł wyprawioną skórę gada. Wywołało to dyskusję o żmijach i



szansach chłopca.

- To jedna z najbardziej jadowitych żmij - mówił Smuga. - Ale jeśli chłopiec dotąd żyje, to z godziny na godzinę wzrasta prawdopodobieństwo, że wyjdzie z tego cało.

Abeer uważnie przyglądał się skórze. Był to duży okaz, mierzący około metra. Cała czerwono-brunatna skóra pokryta była różnokolorowymi cętkami.

- Ma zmiądzoną głowę, w przeciwnym razie zobaczylibyśmy rodzaj daszku nad oczyma, gdzie skóra jest stwardniała, zrogowaciała - ciągnął Smuga. - Trzeba bardzo uważać. Żmija rogata chowa się bowiem starannie w piasku, zakopuje w nim, wystawiając na zewnątrz tylko oczy. A uderza rzeczywiście błyskawicznie. Poluje zresztą w zasadzie nocą. Gdy saħban atakuje, jest tak szybki, że nikt nie ma szans. Tu mieliśmy dużo szczęścia, bo żmije były dwie. Gdy pojawiła się pierwsza, wyciągnąłem instynktownie broń i dlatego mogłem strzelić do drugiej. Niezbyt precyzyjnie zresztą.

- Nie mów tak, Janie. To był kapitalny strzał - rzekł Wilmowski.

- Trzeba też dużo odwagi, by zatłuc gada butem - dodał Abeer.

- Nie było to trudne, bo żmija wiła się w kółko - uśmiechnął się Smuga.

- Miejmy nadzieję, że chłopiec przeżyje - westchnął Abeer.

Gdy wyruszyli dalej następnego dnia, młody Arab żył. Na przemian odzyskiwał i tracił przytomność. Abeer spędzał przy nim wiele czasu, starannie przykrywając kocami i zraszając gorące czoło chłodnymi kompresami.

Gdy byli o dzień drogi od Al-Fajjum, wiadomo już było, że kryzys minął, a syn przewodnika przeżyje niebezpieczną przygodę. Jego ojciec nie wiedział, jak wyrazić Smudze swą wdzięczność:

- Niech Bóg będzie dla ciebie zawsze miłosierny i pozwoli ci mieszkać w ogrodach raju - mówił. - A twym dzieciom niech ześle sukcesy i dar pobożności.

- Dobrze, że nie ma tu Nowickiego - śmiał się Smuga. - Dopiero by mi wypominał te życzenia.

Dotarli niebawem do jeziora Briket Kuarun. Wprost z pustyni wkraczali teraz do "kraju róż i wina". Zanim rozstali się z karawaną, jej przewodnik zatrzymał ich u siebie w gościnie. Aby wyrazić wdzięczność, podarował Smudze jednego ze swych wielbłądów. Był to dar królewski. W zamian Smuga zostawił mu, jako pamiątkę, skórę zabitego saħbana.

Abeer chciał spędzić trochę czasu z chłopcem, który się bardzo do niego przywiązał. Smuga i Wilmowski wybrali się zatem na spacer brzegiem jeziora.

- Gdzież ty, Janie nie byłeś... Okazuje się, że i Egipt znasz tak dobrze...

Smuga zaśmiał się gorzko...

- I wszędzie moim śladem idą najdziwniejsze przygody, chcesz zapewne powiedzieć. Jestem już tym zmęczony.

Długo szli w milczeniu, słuchając głosów przyrody.

- Czasem zdaje mi się, że życie człowieka jest misją i nie pozostaje nam nic innego jak tylko ją podjąć - powiedział w końcu Wilmowski.

Przysiedli na skraju jeziora w zacisznym cieniu palm. Smuga zmrużonymi oczami wpatrywał się w horyzont.

- Może masz rację... A w Egipcie byłem już kilka razy. Ostatnio w przykrym okresie napięcia między Anglikami a miejscowymi. To było między wyprawą Tomka i Nowickiego do Meksyku a wiadomością, która spowodowała moją pospieszną podróż do Indii. Zarabiałem wówczas na życie jako tropiciel i myśliwy. Wśród angielskich oficerów i dyplomatów byłem dość wziętym łowcą, ze względu na dobre stosunki z miejscowymi. Do dziś pamiętam to polowanie... Miałem nim kierować. W ostatniej chwili coś mi wypadło i musiałem wyjechać na kilka dni. Poprosiłem znajomego o zamianę... Gdy wróciłem, zastałem piekło. Otóż jeden z oficerów postrzelił żonę fellacha z wioski Danszawaj, w pobliżu której odbywało się polowanie.

Smuga przerwał. Wilmowski obserwował go. Zastanawiał się, ile tego silnego mężczyznę kosztuje zewnętrzny spokój. Znał go od lat. Wiedział, że w trudnych czy niebezpiecznych chwilach jego twarz nieruchomieje, a wzrok staje się zimny, stalowy. Podobnie było i teraz. Z jedną tylko różnicą, że zamiast w niebezpieczeństwo teraz wpatrywał się w samego siebie.

- W odwecie fellachowie zaatakowali myśliwych. Po obu stronach byli ranni, a jeden z nich - tak się nieszczęśliwie złożyło, że był to Anglik - umarł... Przyjaciele mówili mi, że gdybym był, nie doszłoby do walki. Możliwe, że mieli rację. Dobrze znałem fellachów. Wierzyli mi. Cenili mnie także Anglicy. No cóż, nie da się już tego sprawdzić. Ale to jeszcze nie wszystko. Wiadomo było już wcześniej, że w niektórych środowiskach egipskich budzi się poczucie narodowej tożsamości. Tego Anglicy bardzo się obawiają. Nieszczęsne wydarzenie uznano więc za bunt. Nie na wiele się przydało, że walczyłem usilnie z taką interpretacją.

Smuga zamilkł. Zdawało się, że raz jeszcze waży argumenty, których mógł wtedy użyć.

“Wiem, że zmarły był oficerem, ale to był wypadek! Tragiczny splot okoliczności! Prestiż armii brytyjskiej nie ucierpi, jeśli wyrok będzie łagodny. Ostrzegam przed konsekwencjami karania całej wioski. Ile jeszcze trupów pragniecie panowie dodać do tego jednego?!”

Po chwili podjął wątek.

- Mówiono potem, że gdyby nie działalność kilku ludzi, w tym moja, wyrok byłby o wiele surowszy. A tak... Powieszono czterech fellachów... “Tylko czterech”, jak mówiono. Innych zaś wychłostano. Było to w lipcu 1906 roku.

Smuga wolno wyciągnął fajkę. Poczęstował tytoniem Wilmowskiego i obaj zapalili. W dali huknęły dwa strzały i poderwały się stada ptaków. Ktoś widocznie polował. Prześliznęły się dwie *feluki*, tuż obok wolno przepłynął jakiś rybak.

- Trudno cię winić, Janie - powiedział Wilmowski.

- Toteż się nie winie. Czuję się tylko odpowiedzialny - odrzekł Smuga. - To tylko takie fatum, złośliwy los... Tysiąc razy może sprzyjać, a raz - nie... - dodał. - Widzisz, Andrzeju, jednym z powieszonych był krewny najbliższego mi w Egipcie człowieka. Bliższego niż Abeer... To syn Kopta i Arabki, przypadek bardzo rzadki w Egipcie. Do niego właśnie jedziemy. Pełni zaszczytną tutaj funkcję szejka, to jest wójta gminy[93]. Ale niezależnie od tego był i jest znaną i cenioną osobistością... Nie widzieliśmy się od tamtego lipca, ponieważ on mnie winił i nie chciał widzieć. Rozumiałem go w jego żalu i uczuciu zawodu. No a potem... Potem wyjechałem na wyprawę do Indii[94]. Wydawałoby się, że minęło już tyle lat, a kiedy znów zobaczyłem Egipt, wszystko wróciło.

\*\*\*

Niemal w tym samym czasie to samo wspomnienie ciążyło innemu człowiekowi. Jusuf Medhat el Hadż, szejka niewielkiej wioski opodal Al-Fajjum, także raz jeszcze ważył wszystkie racje. Był wówczas nadirem jednego z obwodów w delcie Nilu, z urzędu odpowiedzialnym za to fatalne polowanie. Mógł próbować zdobyć się na sprzeciw, choć wiadomo było, że sprzeciw byłby bezskuteczny. Ale wierzył człowiekowi, który miał je poprowadzić. Uznał później, że ów człowiek go zawiódł.

Po wydarzeniu, które rozdzieliło ich skuteczniej niż lata, miał teraz spojrzeć w twarz przyjaźni, odrzuconej niegdyś w geście rozpacz i pogardy. Czekał na to w rozterce i, podobnie jak Smuga, ponownie ważył wszelkie racje.

Jusuf Medhat el Hadż nie wiedział, jak przyjąć w swym domu dawnego przyjaciela. Myślał już tylko, że słońce świeciło wtedy tak jak i dzisiaj...

\*\*\*

Abeer, Smuga i Wilmowski zatrzymali się w Al-Fajjum w znanym Abeerowi hotelu. Nazajutrz wyruszyli do wioski. Dotarli tam tuż przed porą sjeisty. Powoli przejechali przez plac, minęli kobietę pędzącą obładowanego osła, chłopca spieszącego gdzieś na wielbłądzie... Zatrzymali się u progu okazałego, bardziej może od innych zadbanego domu. Zsiedli z wielbłądów. Gospodarz czekał ich w progu. Wilmowski przyjrzał mu się uważnie. Postawny, wysoki, ubrany w białą galabiję, o szlachetnych rysach twarzy. Kruczoczarne, gęste, kręcone włosy i siwiejąca wąska bródka dodawały mu powagi. Czekał w milczeniu.

- Witaj... - zwrócił się do Smugi i z lekką ironią dodał - *effendi*[95] Witajcie, panowie!  
- swobodnie szerokim gestem zaprosił ich do środka.

Rozmowa, mimo wysiłków Abeera, nie kleiła się. I Smuga i Jusuf omijali drażliwy temat, jakby lękali się go poruszyć. Zaczął wreszcie Smuga:

- Minęło kilka lat, odkąd opuściłem ten kraj.

- Pamiętam - odrzekł Jusuf.

- Wezwał mnie brat. Umierał - wyjaśnił Smuga.

- Wiem, co to znaczy, gdy umiera ktoś bliski. I niespodziewanie.

- Wiemy więc obaj. Przyłączył się do nich Abeer.

- Wasze serca drżą - powiedział uroczyście. - Niech rozmowa złagodzi ich drzenie i będzie kojącym balsamem na rany. Zostawimy was samych.

Spacerowali z Wilmowskim wzdłuż kanału nawadniającego pola konopi i lnu.

- Przedtem uprawiano konopie tylko jako środek odurzający - wyjaśnił Abeer. - Muhammad Ali nakazał powszechną ich uprawę, bo brakowało żagli dla floty. A ponieważ nie było także drewna na okręty, kazał sadzić akacje. Przemieszane są tutaj z palmami i drzewami oliwnymi. W samym tylko Al-Fajjum zasadzono trzydzieści tysięcy oliwek.

Kiedy wrócili, Smuga przekazywał w ręce Jusufa uzdę swojego wielbłąda. W Al-Fajjum kupili dla niego nową kosztowną uprząż i siodło. Zwierzę było młode i wyglądało pięknie.

- Niech ten dar przypomina życzliwość i siłę przyjaźni - mówił właśnie Smuga.

- Stara mądrość powiada, że "wielbłąd nigdy nie zapomina krzywdy" - uśmiechnął się Jusuf. - Dobrze, że człowiek nie jest wielbłądem... Dziś zyskałem wielbłąda i odzyskałem przyjaciela.

Posadził zwierzę na ziemi i dosiadł go. Objechał wolno, majestatycznie podwórze.

- Świetny, młody dromader. Będzie wiele lat służył w moim domu. Teraz dopiero rozluźniła się atmosfera. Rozmawiali swobodnie, żartując. O polityce, rodzinie, o starych czasach...

- Co porabiają twoi synowie? - spytał Smuga. Jusuf uśmiechnął się.

- Porzekadło głosi, że wielbłąd ma swoje sprawy, a poganiacz swoje... Mają swoje sprawy. Obaj są razem, ale daleko. Wybrali trudne życie. Mieszkają w Asuanie i prowadzą karawany w górę Nilu. Do Sudanu i dalej... Serce ojca jest czasem bardzo niespokojne...

- Może Allah skieruje nasze kroki w tamte strony - powiedział Abeer.

- Wybieracie się aż tak daleko?

- Może tak, może nie... Do Luksoru na pewno. Szukamy złodziei okradających grobowce - wyjaśnił Smuga.

- Hm... To trudne... ale mądrzy ludzie w Egipcie powiadają, że kto ma głowę na karku, ten i czapkę zdobędzie.

- Ale fez zdobi tylko twoją szlachetną głowę... - zaśmiał się Smuga. - Niewiele jeszcze wiemy, choć to i owo słyszeliśmy.

- Jak mówią mędrzy, zanim zdecydujesz się na jakiś krok, sprawdź, czy masz nogi... Co już wiecie?

Opowiedzieli mu wszystko. Długo milczał, zanim odpowiedział.

- Al-Habiszi, aleksandryjski kupiec, to uczciwy człowiek. Jeśli kazał szukać w Kairze, to cenna wskazówka... Ale, dobrze, że tutaj jesteście. Nawet tu docierają różne wieści. Nie spieszy się ten, kto chce osiągnąć swój cel. Szajka jest dobrze zorganizowana. Spróbujcie

szukać w wioskach koło Teb i wśród tamtejszych handlarzy. Lecz to początek, ręce całej tej bandy, a muszą być i nogi. Kto i do jakiego portu dostarcza towar? Jeśli nie do Aleksandrii, to gdzie? Może to być Port Said, a może któryś mniejszy... No i wreszcie głowa: ta z pewnością jest w Kairze...

- A "faraon"? - spytał Abeer.

- Chyba nikt ważny, chociaż może dużo wiedzieć - odrzekł Jusuf. I po chwili milczenia dorzucił:

- Według mnie to pośrednik. Zamyślili się.

- Dziwię się - podjął rozmowę Jusuf - że Ahmad al-Said, człowiek bardzo bliski kedywowi, o niczym nie wie. Nie ufałbym mu.

- Dlaczego? - rzeczowo zapytał Smuga.

- Cóż, może to tylko złe przeczucie. Ale mówią o nim, że dla interesu gotów jest osła w ogon całować!

Ostatnie słowa Jusufa, zaniepokoiły ich bardzo. Postanowili jak najszybciej wracać do Al-Fajjum. Smuga starał się przypomnieć sobie szczegóły rozmowy z urzędnikiem kedywa. Czy Ahmad ukrył coś przed nimi? Z czym mogli się przed nim zdradzić? Od odpowiedzi zależało wiele. Tomek i Sally mogli być w niebezpieczeństwie!

## NOCNY NAPAD

Wiatr, jakby wyczerpał swą moc podczas nocnego zrywu, wiał coraz słabiej aż wreszcie zupełnie ucichł. Żagle smętnie opadły, a statek niemal stanął w miejscu... Dopiero teraz stało się jasne, do czego potrzebna jest tak liczna załoga. Wszyscy oprócz reisa i *mestamela* czyli sternika chwycili za wiosła i rozpoczęli mozolne przepychanie się pod prąd. W pewnym momencie zachodnie wybrzeże rzeki przeszło w łagodną plażę. Teraz wiosłarze porzucili wiosła i chwytając grubą linę, pospiesznie opuścili pokład. Za pomocą tej liny holowali statek wzdłuż brzegu w rytm ni to krzyku, ni to śpiewu, podczas gdy sternik wypatrywał z dziobu mielizn.

Na brzeg wyszli wraz z załogą Tomasz i Nowicki. Ten pomagał w trudniejszych momentach. Tomek zaś rozglądał się za ptactwem, aby ustrzelić coś na wieczerzę. Holowanie odbywało się tak szybko, że ledwo nadażał za silną załogą. Wkrótce zresztą sternik zasygnalizował płyciznę. Holujący szybko wdrapali się na pokład i próbowali ją ominąć, spychając statek za pomocą długich drągów. Kiedy się nie udało, skoczyli do wody i poczęli ciągnąć, spychać, podcierać drągami oporny żaglowiec. Nowicki miał oczywiście ręce pełne roboty, gdyż nic nie mogło powstrzymać marynarza od zmagania się z wodą. Sally i Patryk, zupełnie beczynni, przypatrywali się brzegom, co samo w sobie okazało się bardzo interesującym zajęciem.

Utknęli bowiem naprzeciw gęstego palmowego gaju. U brzegu rzeki i w głębi, w maleńkim błotnistym jeziorku, brodziły smukłe żurawie[96], z charakterystycznym, rozszerzającym się ku tyłowi głowy czerwonym paskiem i czubem wąskich, sztywnych, przypominających koronę piór na głowie. Ogromne białe pelikany[97] z bardzo długimi niemal prostymi dziobami co chwila nurkowały, wynurzając się ze złowioną rybą, którą wrzucały szybko do wielkiej skórzanej kieszeni pod żuchwą.

- Wujku! Gęsi - krzyknął Patryk, chcąc zwrócić uwagę Tomka.
- Rzeczywiście, można powiedzieć, że duże gęsi - ze śmiechem zgodziła się Sally.
- Może raczej łabędzie - dopowiedział Tomek. - Tylko większe, no i te dzioby.
- Porównując je z kaczkowatymi łabędziami, które żywią się przecież roślinami - trochę im ubliżamy - zauważyła Sally. - Te to drapieżniki.
- Przesadzasz, Sally - uśmiechnął się jej mąż. - Skoro żywią się rybami, to jeszcze nie można ich zaliczyć do drapieżnych. Sokoły, orły, kondory, jastrzębie, krogulce, a nawet popularne myszołowy i pustulki na pewno by się obraziły[98].
- To raj dla łowców ptaków - szepnęła Sally.
- I dla ich miłośników, ale także, niestety, dla myśliwych...
- Tomku! Patryku! Spójrzcie! Ibisy! - podnieconym głosem przerwała mu żona.
- Gdzie? - spytał Tomek.
- Tam - pokazała ręką.

Na gałęzi jednej z palm przysiadły dwa duże, przeszło półtorametrowej długości ptaki. Ze lśniącymi białymi piórami kontrastowała czarna szyja, głowa i dziób. Ogon, również czarny, przypominał trójkąt.

- Przypatrzcie się uważnie! - z podnieceniem zawołał Tomek. - Sally! Patryku! Czy wiecie, jaki to gatunek ibisów?

- Czyżby to był...

- Tak, tak, Sally. Ibis czczony[99]! A mówiono mi, że już przeszło 30 lat temu wyginął w Egipcie.

Patryk pobiegł za Dingiem, obaj straszliwi ptaki, które zrywały się na chwilę, by usiąść znowu...

- W czasach faraonów mówiono, że ptak ten tak kocha swoją ojczyznę, iż przeniesiony do innego kraju, zatęskniłby się na śmierć - z przejęciem powiedziała Sally.

- Może właśnie powrócił z emigracji albo...

- Albo? - Sally powtórzyła pytająco.

- Albo przenieśliśmy się w epokę faraonów. Tylko popatrz na przyrodę, na zmagających się z nią ludzi... Nic się prawie nie zmieniło od tysiącleci.

- Możliwe, że rzeczywiście jesteśmy w epoce faraonów. To przecież wielkie szczęście ujrzeć tego ibisa, szczególną własność księżycowego boga Totha. Bóg ten przedstawiany był w ludzkiej postaci, ale często z głową ibisa. Białe upierzenie ibisa oznaczało światło słoneczne, skóra szyi i głowy - cień księżycowy. Zabicie ibisa traktowano jak zbrodnię. Uznawano go za świętego ptaka.

- Podobnie jak wiele innych gatunków ptaków i zwierząt - dodał Tomek.

- Owszem. W Egipcie czczono koty, krokodyle, żuki skarabeusze, czaple, byki, psy, szakale, pawiany, lwy...

- Podobnie jak w wypadku świętych krów w Indiach wiąże się to pewnie z przyczynami także pozareligijnymi.

- Oczywiście, ibis jest ptakiem pożytecznym. Zjada węże, owady, robaki, małe gady - potwierdziła Sally. - Najbardziej ceniono go za pożeranie krokodylich jaj. Och! Tommy! Popatrz tylko, jak śliczne są te flamingi![100]

- Czerwonaki małe, najpopularniejszy gatunek z rodziny czerwonaków. Jest ich tu cała kolonia.

W wodzie brodziło z zanurzonymi dziobami stado sporych, białych ptaków z różowionymi końcami skrzydeł i różowymi nogami. Mąciły muł nogami, wyławiając głównie rośliny, stanowiące podstawę ich pożywienia. Sally rozbawiło skojarzenie ze strusiami, chowającymi głowę w piasek. A Tomek wypatrzył wreszcie cel i zdjął z ramienia sztucer. Wkrótce na ziemię spadło kilka gołębi i turkawek. Digno aportował je z zapalem.

Do wieczora niewiele pokonali drogi, a zmęczenie sprawiło, że postanowili przenocować na statku przycumowanym przy lewym brzegu Nilu. Nikomu nie chciało się rozbijać namiotów. Nowicki zdobył skądś gęste siatki, rodzaj moskitiery, i powiesił je w drzwiach obu kajut.

- Może ochroni to twój sen, Sally - powiedział. - Zapraszam jutro na śniadanie. Obudzę waszą hrabiowską, przepraszam, lordowską wysokość - poważnie skłonił się Tomkowi.

- Och, może wreszcie się wyśpię - westchnęła Sally, a Tomasz dodał, parodiując modlitwę:

- Niech siatka ta ochroni uszy nasze od brzęczenia, a ciała od ukąszeń. Swędzą bowiem niemilosiernie.

Grubo po północy czyjeś szybkie ręce skrępowały mocno człowieka drzemiącego przy sterze. Ocknął się mocno związany i zakneblowany. Dostrzegł ciemne sylwetki przemykające ku pasażerskim kajutom. Aby ostrzec śpiących pod sterówką ludzi, delikatnie, ale regularnie zaczął uderzać stopą o podłogę.

Przed drzwiami kabiny zajmowanej przez Tomka i Nowickiego stało czterech ludzi. Jeden z Europejczyków, uzbrojony w rewolwer, szeptem wydawał rozkazy uzbrojonym w długie noże Arabom. Przywódca wymownym gestem przejechał ręką po swoim gardle i szarpnął drzwiami.

Tomek i Nowicki spali twardo. Ale lata wędrówek i wiele przeżytych niebezpieczeństw wyrobiły w nich jakiś dodatkowy zmysł. Obudzili się niemal równocześnie. Tomek sięgnął po kolta - prezent od Smugi.

Nowicki szeptem zapytał:

- Brachu, słyszysz? - szepnął Nowicki.

- Coś się dzieje. Stuka miarowo, jakby chciał ostrzec.

- Jakiś ruch na zewnątrz...

W tym samym momencie ktoś spróbował sforsować wejście. Nie przewidział jednak ochronnej siatkowej zapory i zaplątał się w nią. Kolejny napastnik machnął długim nożem i przeciął siatkę, ale już w następnej chwili wypadł z kabiny z kulą w ramieniu. Za nim, jak burza, ruszył Nowicki, ale strzał oddany z kilku metrów rozorał mu policzek i na chwilę go zamroczył. Tomek spudłował i nagle poczuł potworny ból dłoni. Dosięgło go uderzenie korbacza, po którym upuścił broń. Dingo zaatakował jednego z Arabów, który opędzał się przed nim nożem. A już i Nowicki otrząsnął się z zamroczenia, i rozprawił z kolejnym napastnikiem, po prostu wyrzucając go za burtę. Potem z szybkością, o którą nikt by go nie podejrzewał, ruszył w stronę Europejczyka, który używał bicia. Zderzyli się z impetem i wściekłością. Obaj upadli na pokład. Przeciwnik marynarza poderwał się pierwszy. Teraz mógł użyć korbacza, a w jego rękach była to broń straszna i niezawodna. Bicz strzelał, świstał i wił się niczym niesłychanie niebezpieczny wąż. Nowicki cudem unikał z nim kontaktu i zaczęło mu się wydawać, że przeciwnik tylko się nim bawi. Bicz właśnie ze



świsłem otarł się o jego włosy.

- Teraz kolej na ucho - usłyszał zachrypnięty, szydwczy głos.

W sukurs przyszło zawołanie Zagłoby: "Fortelem go, fortelem!". Nie podnosząc się, przekoziółkował w stronę przeciwnika i chwycił go w pól. Rozpoczęły się zapasy. W zwarcu bicz nie mógł być użyteczny. Także Tomek błyskawicznie podniósł swego kolta i powoli zaczęli wraz z Nowickim zdobywać przewagę. Nim mieli jednak czas, by ogarnąć niezwykłą sytuację, by zrozumieć, co może oznaczać fakt, że w starciu z nimi nie uczestniczy drugi z Europejczyków, ten nagle pojawił się na pokładzie.

- Spokój! - krzyknął krótko.

Nowickiego i Tomka okrzyk ten zatrzymał skuteczniej niż zrobiłby to strzał z rewolweru, który mężczyzna pewnie trzymał w dłoni. Obok niego, tuż przy ścianie swojej kajuty, stała bowiem Sally z rękami na karku i trzymany za włosy Patryk. Tomek zamarł, a Nowicki odepchnął przeciwnika i nie reagował, mimo że ten wyraźnie nie miał zamiaru dać za wygraną. Wręcz przeciwnie. Z pełnym okrucieństwem uśmiechem zamachnął się biczem...

- Spokój, Harry, przecież mówiłem! - jego towarzysz powtórzył z naciskiem. - A ty - zwrócił się do Tomka - rzuć broń!

Tomek położył rewolwer na deskach pokładu, tuż przed sobą.

- Powoli! - dyktował. - I uspokój psa.

Tomek zagwizdał na Dinga, który przywarował u jego stóp. "Stoję za daleko, by zaatakować... Zdaży strzelić do Sally... Może poszczuć psa... Nie, to zbyt ryzykowne... Czegóż, u diabła oni chcą?" - tłoczyły się chaotyczne myśli.

- Czego od nas chcecie? - bezwiednie powtórzył na głos. Kątem oka dostrzegł jednak, że na dachu kajuty Sally pojawił się ciemny zarys potężnej postaci.

- Czego, do licha, od nas chcecie! - rzucił podniesionym głosem.

- Kopnij w moją stronę rewolwer - padła spokojna odpowiedź. Zanim Tomek zdażył ruszyć nogą, zaświstał korbacz i kolt potoczył się po deskach pokładu. Rozległ się głośny śmiech Harry'ego.

I nagle wypadki znów potoczyły się z szybkością błyskawicy. Z dachu zwała się potężna postać. Pod ciężarem reisa napastnik, który sterroryzował Sally, upadł na deski, wypuszczając broń. Wtedy z zadziwiającą szybkością zareagował Patryk. Podniósł i rzucił Tomkowi jego rewolwer. Tomek chwycił kolta w locie i wystrzelił do biegnącego w jego stronę Araba. W tym samym momencie załoga statku włączyła się do walki po stronie napadniętych. To przesądziło sprawę. Napastnicy czmychnęli na ląd. Nowicki jeszcze rozejrzał się za Harrym, lecz tamten, atakowany przez dwu marynarzy, dał sobie z nimi bez trudu radę i również podbiegł do burty. Zanim wyskoczył na ląd, odwrócił się, machnął korbaczem i krzyknął do Nowickiego:

- Jeszcze się spotkamy, ty bryło mięsa!

Na statku pozostał jedynie Arab ranny w pierwszym starciu i drugi, obezwładniony przez załogę. Tomek rozejrzał się za Sally. Stała wciąż przy kajucie, opierając się plecami o ściankę, uzbrojona w rewolwer odebrany napastnikowi. Drugą ręką trzymała za obroź zdezorientowanego psa, który warczał teraz na każdego przechodzącego Araba. Na chwilę przytulili się do siebie, ale Sally już miała mnóstwo roboty. Jak przystało na córkę australijskich pionierów, szybko zajęła się rannymi. Opatrzyła najpierw Nowickiego, którego twarz była niezłe pokiereszowana, a odzież w strzępach.

- Znów miałeś szczęście, Tadku. Śmierć spudłowała tym razem o włos. Gdyby kula trafiła nieco w bok...

- Gdyby, sikorko, gdyby... Za duże mam doświadczenia, żeby tak marnie zginąć - wesoło mrugnął do Sally.

Obejrzała się za innymi, ale ci poradzili sobie sami. Opatrzyli również rannego z ramieniem przeszytym kulą na wylot. Ranę zasypano warstwą prochu, który podpalamo. Potem polano ją dość gorącą oliwą. Ranny nawet nie jęknął, ale... zemdlał z bólu. Sally pozostało więc jedynie obandażowanie rany.

Patryk, który gdzieś się znowu zawieruszył, wkroczył na pokład.

- Oni wszyscy uciekli... - powiedział.

- Nieznośny pędraku - westchnął Nowicki, gładząc go po głowie. - Przecież mogli zrobić ci coś złego.

- Wcale mnie nie widzieli, wujku - uspokoił go chłopiec.

Nie było sensu dalej tkwić w miejscu, tym bardziej że wiatr znowu ożył.

Kiedy ruszyli w drogę, przyszła kolej na mozolne śledztwo. Pytania zadawał Tomek, tłumaczył je reis. Z odpowiedzi jeńców wynikało, że był to napad rabunkowy.

- Nie bardzo chce mi się w to wierzyć - powiedział do przyjaciół Tomek, kiedy skończyli. - Wątpię, by na tę nikłą zdobycz, jaką stanowimy, połakomili się ci dwaj Europejczycy.

- Do stu beczek zjełczalego tranu! - zaklął Nowicki. - Przecież chcieli nas zamordować!

- Czułam, że ten, który nas sterroryzował rewolwerem, gotów był do mnie strzelić. Był bardzo brutalny - powiedziała Sally.

- Ale powód, Tadku, jaki mieli powód? - w głosie Tomka brzmiało napięcie.

- Przecież, brachu, nie jedziemy na wycieczkę - obruszył się marynarz.

- Zakładasz związek ze sprawą "faraona"?

- A jak to inaczej wytłumaczyć?

Tu wreszcie udało się włączyć Patrykowi, który opowiedział treść niezrozumiałej wtedy dla niego, podsłuchanej pierwszej nocy rozmowy.

- To znaczy, że o nas wiedzą? - zdumiał się Tomek.

- Tak by wynikało! - marynarz był pewny swego.

- Ale skąd? Czyżby ktoś nas zdradził?

- A czy ja wiem?

- Może się coś wyjaśni, gdy oddamy jeńców w ręce władz - łudził się Tomek.

- W ręce władz... Hm... - w głosie Nowickiego brzmiało coś więcej niż wątpliwość.

- Nie mamy wyjścia, Tadku! Przecież to złoczyńcy.

- No, w końcu niczego takiego złego nam nie zrobili, a i tak dostali za swoje. Mam propozycję. Porozmawiam z reiselem, może ich przekona... Powiem, że puścimy ich wolno, jeśli powiedzą prawdę...

- Może masz i rację - zmiękł Tomek. - Tylko że mnie nie bardzo wypada poddawać taką myśl.

- Ekscelencjo! - pomógł Nowicki. - O niczym nie wiesz! Oni po prostu uciekną w czasie transportu do więzienia...

- Rób co chcesz! - odrzekł Tomasz.

No wieki poszedł więc prowadzić pertraktacje. Tymczasem w dali widać już było białe i szare minarety Beni-Suef, wystrzelające nad palmowe gaje. Bliżej wynurzały się kominy coraz liczniejszych w Egipcie cukrowni i fabryk bawełny.

- O dzień drogi stąd na zachód, nad pięknym, malowniczym jeziorem Birket Kuarun, za faraonów nosiło ono nazwę Moeris, leży oaza Al-Fajjum - przypomniała Sally.

- Myślę, że ojciec i Smuga już tam docierają - dodał Tomasz. Wiatr tymczasem pędził stateczek do wybrzeży miasteczka Beni-Suef, z zajazdem portowym i przytulną kawiarenką, całą pokrytą zieleniejącym bluszczem, malowniczo położoną na brzegu, pod rozłożonym drzewem. W dali wśród starych drzew, widać było pałac beja[\[101\]](#), a za nim ogromne koszary. Nim przybili do brzegu, Nowicki zakończył śledztwo.

- No, brachu - poinformował - pękli...

- I co?

- To biedni ludzie. Z jakiejś wioski niedaleko Kairu. Biali dostarczyli im opium i haszysz. A gdy zabrakło pieniędzy zaproponowali im ten napad w zamian za nasze mienie.

- A ci dwaj biali?

- Nic o nich nie wiedzą. Dostarczali towar z Kairu sami albo przez pośredników.

- Z Kairu - zamyślił się Tomasz. "Ślad prowadzi do Kairu". Tak powiedziano Smudze w Aleksandrii. - Po co więc jedziemy do Doliny Królów?

- Do źródeł, ekscelencjo, do źródeł... Wszak stamtąd pochodzą kradzione rzeczy - uśmiechnął się Nowicki.

Zamyślony Tomek nie zauważył nawet, że przybili do brzegu.

Nowicki z reiseem odprowadzali jeńców do brytyjskich koszar, by oddać ich w ręce władz. Majtkowie przepadli w tawernie. Patryk włóczył się po brzegu z Dingiem. Sally i Tomek przysiedli w kawiarence, obrzucani ciekawymi spojrzeniami obecnych. Zamówili kawę i rozmawiali.

- Mam nadzieję, że Nil już nie będzie się na nas gniewał, złożyliśmy mu przecież w ofierze barana - powiedziała Sally, patrząc na leniwie toczące się wody rzeki.

- Dla starożytnych ta rzeka była bogiem... - Tomek zawiesił głos.

- Owszem! - dopowiedziała Sally. - Nil gniewny i wzburzony rozbijał łodzie, topił ludzi, niszczył, co się dało... Składano mu wówczas ofiary, wrzucając w ogień owoce, jajka, kurę, indyka albo inne zwierzę.

- Tak więc udobruchaliśmy rozzłoszczonego olbrzyma - uśmiechnął się Tomasz. - A właściwie uczynił to Nowicki. Widocznie Nil poznał w nim brata wodniaka, choć zakochanego w innej rzece.

- Nil... Najdłuższa i najbardziej tajemnicza rzeka świata...[\[102\]](#) - zadumała się Sally. - Nic dziwnego, że przypisano rzece stwórczą moc.

- Gdyby nie rzeka, kraj wchłonęłaby przecież pustynia - dodał Tomek.

- Od wieków ziemie Egiptu przemierzali najeźdźcy... Ale najcięższa walka toczy się tu między pustynią, utożsamianą przez starożytnych ze złym bóstwem, a bogiem-ojcem Nilem.

- Masz rację. Coś w tym jest, co mówisz o tajemniczości tej rzeki, Sally - przyznał Tomek. - Nawet jej źródła odkryte zostały całkiem niedawno[\[103\]](#).

- Na mapie "bóg" przypomina wyglądem palmę daktylową. Jej pień to dolina Nilu ukoronowana deltą. Stare podanie mówi, że gdy Bóg ulepił ciało człowieka, z jego dłoni spadł na Egipt okrusz mułu i na nim wyrosła palma daktylowa. Pierwsze zaś słowa Koranu spisano na liściach palmy, nie na papiirusie. Także w raju rosną przede wszystkim drzewa palmowe.

- Dlatego i palmy należą do tutejszych świętości. Za uszkodzenie czy zniszczenie palmy surowo niegdyś karano - dorzucił młody Wilnowski.

- A daktyle świeże, suszone, marynowane, przyrządzane na rozmaite sposoby, są jedną z podstaw tutejszego pożywienia.

- Cała dolina Nilu upstrzona jest tymi palmami.

- O delcie rzeki mówi się też, że ma kształt odwróconej piramidy, której stożkiem jest Kair, a podstawą Damietta i Rozetta[\[104\]](#).

- Całe życie tutejszych mieszkańców skupia się w zasadzie w dolinie i delcie Nilu. Jak się nad tym zastanowić, zaczyna się wierzyć Herodotowi, że Egipt jest darem Nilu...

Tomek, zanim jeszcze dokończył to zdanie, spostrzegł, że wracają Abdullah i Nowicki. Opowiedzieli przebieg swojej "wizyty" w angielskich koszarach. Tomek, aczkolwiek

flegmatycznie, okazał niezadowolony, że jeńcy po drodze uciekli, ale kiedy zostali sami powiedział do swego "lokaja":

- Chyba miałeś rację, Tadku. To byli bardzo biedni ludzie. Może spotka ich jeszcze coś dobrego w życiu.

Nie wiedział, że stanie się akurat odwrotnie...

Informacja o napadzie na Europejczyków wywołała, według Nowickiego, swego rodzaju sensację. Angielski oficer stwierdził, że od czasów Muhammada Alego napady na Europejczyków praktycznie się nie zdarzają. Karano za to surowo i kary były egzekwowane. Do dziś straszą gdzieś tam spalonych wiosek.

\*\*\*

Liczne osady i żyzne wybrzeże już niebawem miały ustąpić miejsca pustyni. W czasie postojów podróżnicy często robili krótkie wypadki, podczas których przekonali się, iż pustynia nie składa się jedynie z piasku, lecz przede wszystkim z twardego, żwirowego podłoża. Na brzegu palmowego gajku ujrzeli kiedyś dwa szakale. Nad oazami krążyły stada ptaków: gęsi, kaczek, nurów. Tomek od czasu do czasu polował, by urozmaicić posiłki. Na dźwięk strzału oaza ożywała. Wrzask, świst, krzyk podrywającego się ptactwa trwał przez chwilę. Ptaki krążyły, łopotały skrzydłami, zawracały, wreszcie siadały z powrotem, a Dingo aportował upolowane sztuki. Sally wypatrywała ibisa czczonego, niestety, wciąż na próżno.

Podróż, od czasu kiedy w tak dramatycznych okolicznościach, pozbyli się uciążliwych współtowarzyszy, stała się o wiele przyjemniejsza. Podróżni coraz bardziej zżywali się z załogą, a w odniesieniu do Nowickiego i Patryka można by mówić wręcz o przyjaźni. Marynarz niemal nie rozstawał się z resem. Żałował jedynie, że ten, jako gorliwy mahometanin, nie podziela jego ciepłego stosunku do rumu jamajki, ale i to nie przeszkodziło im prześpiewać jednej nocy aż do rana.

Po dwunastu dniach dobili do Asjut, stolicy Górnego Egiptu, głównego ośrodka koptyjskiego. Tam uzupełnili zapasy żywności. W cztery dni po wizycie w Asjut minęli miejscowość Kina, zwaną w starożytności Cenopolis, leżącą na szlaku karawan idących do Mekki. O cztery dni pustynnej drogi na zachód, nad Morzem Czerwonym, położony był port Al-Kusajr, gdzie pielgrzymi wsiadali na statki. W połowie kwietnia dotarli wreszcie do Luksoru. Pustynia miejscami sięgała tu już samego Nilu, a łańcuch Gór Libijskich zdawał się być w zasięgu ręki. Wzdłuż brzegu ciągnęły się monotennie ogrody oraz zasiane trawą i bawełną pola, uzbrojone w urządzenia do nawadniania. Krajobraz urozmaicały długie szeregi palm tybetańskich, zwanych *dum*.

Sally była urzeczona. Marzyła o tej chwili od lat. Patrzyła z zachwytem na szczątki kamiennego wybrzeża, pamiętającego czasy faraonów. W wyobraźni widziała pełne ludzi, żyjące, bogate miasto. Wydawało się jej, że już za chwilę zobaczy lektykę dostojnika, rydwany wojowników albo Charona przewożącego z Karnaku i Luksoru do Teb Zachodnich zmarłą osobistość... Śniła na jawie, nie słysząc że Tomek powtarza już po raz trzeci.

- Sally, kochanie, jesteśmy na miejscu!

Tak, czuła to! Byli na miejscu. Tym miejscu, które powoli odsłaniało tajemnice sprzed tysięcy lat.

## CHWILE GROZY

Wilmowscy postanowili używać w Luksorze panińskiego nazwiska Sally. Lord Allan z małżonką i siostrzeńcem oraz towarzyszący im lokaj zamieszkali w apartamencie na jednym z wyższych pięter hotelu "Winter Pałace". Z tarasu apartamentu mogli oglądać ponury pejzaż ruin Karnaku, rozległy fragment Nilu i piętrzące się na zachodnim brzegu skalne urwiska. Sally nie pozwoliła im ochłonąć po trudach przebytej drogi. Najpierw nalegała na spacer wśród starożytnych ruin Karnaku, co zajęło im dobrych kilka godzin. Teraz, po półgodzinnym wykładzie z historii Teb, gdy wymieniła już wszystkie panujące dynastie i co ciekawszych faraonów, "powędrowała" do nekropolii na zachodnim brzegu [105] i rozpoczęła opowieść o odkryciu poszczególnych grobowców. Jak zwykle nie wytrzymał Nowicki.

- Sikorko, daj odetchnąć! Mam już dosyć tych trumiennych historii. Znów od samego początku karmisz nas mumiami... Na razie pobędziemy w mieście żywych, umarłakami zajmiemy się potem.

- Myślę, że za parę dni dołączą do nas ojciec ze Smugą - wszedł w rozmowę Tomasz, by zmienić nużący dla nich temat.

- Tymczasem nie siedzmy z założonymi rękami, wdychając ten przeklęty, suchy pustynny pył - westchnął Nowicki.

Rzeczywiście, wiał *chamsin* [106], południowo-wschodni wiatr pustynny. Jak zawsze niósł ze sobą tumany piasku, kurzu, suchej mgły. Nazywany przez Arabów trującym, zazwyczaj wiał niemal bez przerwy przez pięćdziesiąt dni. Była to zaiste "przeklęta pora", powodująca napięcia także między ludźmi. Przejmujące wycie nie wpływało bowiem kojąco na nerwy. Niemal wszyscy stawali się nerwowi i skorzy do sporów. Sally nie zorientowała się w nastrojach towarzyszy i wystąpiła z propozycją, która nie mogła być, po Kairze, entuzjastycznie przyjęta.

- Możemy przecież zwiedzać tutejsze zabytki.

- Ech, ta znowu swoje... Tylko te kamienie ci w głowie. Mam już od nich łepetynę pełną zamętu. Nic, tylko zwiedzaj i zwiedzaj! - zirytował się Nowicki.

- Wypada nam jednak zobaczyć to i owo - łagodził Tomasz.

- To sobie zwiedzajcie! Ja wolalbym nieco powęszyć - zaznaczył Nowicki.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu - mitygowała Sally. - Proponuję zobaczyć jeszcze dziś świątynię w Luksorze.

- Po cóż tam iść. Przecież widać - Nowicki gestem wskazał pobliskie ruiny i niespodziewanie począł parodiować styl przewodników oprowadzających wycieczki.

- Jesteśmy na dziedzińcu, oto wschodni portyk. Stąd mamy widok na kolumnadę, a kolumny stoją jak na paradę... To są reliefy, ten posąg z wieku przed wiekami, a tamten jeszcze wcześniejszy. Te kolumnienki są papirusowe, bo rozłożyste jak liście, a tamte, proszę państwa, zamknięte, mają kształt kwiatu lotosu, a to tutaj to jest brr... pyton, nie,

pylon. Przez westybul przechodzimy do sali hypostylowej. Patrzymy na ściany. Co widzimy, proszę szanownych państwa? To sceny prowadzenia jeńców, a to zarzynanie wołów[107]... - młodzi Wilmowscy byli zdumieni zarówno nagle ujawnionym rozdrażnieniem starego druha, jak i jego talentem do zapamiętywania trudnych terminów.

- Niech się zamienię w sardynkę zamkniętą w blaszanej puszcze, jeśli wkrótce nie stanę się znawcą sztuki egipskiej - marynarz odetchnął głęboko. - Co masz jeszcze w zanadru, sikorko? Wyciągaj, bo niecierpliwie czekam. Czy tylko ta świątynia w Luksorze tak cię absorbuje? Wolałbym już, do stu funtów hawajskiego tytoniu, jechać i popatrzeć na tych umarłaków naprzeciw.

- Raz mówisz tak, raz tak, kapitanie - Sally poczuła się całkiem rozbrojona. - Jesteśmy przecież tu dopiero od wczoraj i już zwiedziliśmy cały kompleks świątyń w Karnaku, który był północną dzielnicą Teb. W Luksorze, stanowiącym niegdyś południową część miasta, jest tylko jedna świątynia.

- Wszystko jak na dłoni widać z tego tarasu - z uporem powtórzył No wieki.

- Tak, możemy się czuć trochę jak żołnierze Napoleona, którzy przybyli tu w pogoni za Mamelukami pokonanymi w bitwie pod piramidami i zaprezentowali broń na znak zachwytu dla tej świątyni. - Sally znowu nie mogła się powstrzymać. - Zbudował ją Amenhotep III, ojciec faraona, który próbował zmienić wiarę w Egipcie.

- Pamiętam, pamiętam - odrzekł No wieki. - Miał na imię Echnaton... To ten, co w nazwie bóstwa zmienił jedną literę...

- Tak, właśnie on. Echnaton albo Amenhotep IV - uzupełniła Sally.

- Zięciem, którego z kolei był Tutanchamon - tym samym tonem wtrącił Tomasz.

- Niech wam będzie. Piękna świątynia, zbudowana wzdłuż Nilu, ma ze 260 metrów długości, jak porządny okręt dalekomorski - uspokajał się Nowicki. - Ale, skoro już jesteśmy przy tym, jak go zwał... Tu, tam... Tuman... Cham... - marynarz zaplątał się niczym Patryk. - Niech mnie wieloryb połknie, jeśli nie połamię sobie na nim języka - westchnął. - Skoro już przy tym trudnym faraonie jesteśmy, to weźmy się do rzeczy i zaczniemy węszyć. Po to tu przecież przybyliśmy...

- To dziwne, że pamiętasz tyle szczegółów z wykładów Sally, a zapominasz imię tego faraona.

- Zawsze miałem kłopoty z nazwiskami. Zresztą, ty, Tomku, też! Pamiętasz, opowiadałeś mi o tym - roześmiał się już ze zwykłą dla siebie pogodą Nowicki.

- Stare dzieje... - westchnął Tomek.

- Nic mi o tym nie mówiłeś - nalegała Sally, ciekawa szkolnych przygód męża.

- Po prostu nie było okazji... To było w rosyjskiej szkole w Polsce. Nauczyciel geografii uparł się nie przepuścić do następnej klasy mojego przyjaciela, Tymowskiego.

- A Tymowski i Wilmowski to bardzo podobne nazwiska - wtrącił Nowicki.



- Tak, no i na dodatek tego właśnie dnia Krasawcew, bo tak się ów nauczyciel nazywał, zapomniał okularów, bez których bardzo słabo widział[108]. Poszedłem więc do odpowiedzi za mojego przyjaciela...

- To dopiero była heca - roześmiała się Sally.

Ale już znowu Nowicki przypominał im, że powinni zająć się poważnymi sprawami.

- Cierpliwie czekajmy na naszą grupę ubezpieczeniową - powiedział Tomasz. - Napad na statku świadczy, że o nas wiedzą.

- Co nie przeszkadza, by się nieco rozejrzeć - zdecydowanie odparł Nowicki. - Smarujcie jutro rano z Patrykiem na suk[109], rozejrzyjcie się po sklepach. Pogadajcie z handlarzami... Ja pochodzę trochę własnymi ścieżkami... I obiecuję, że będę codziennie wyprowadzał Dinga na spacer, jak na porządnego lokaja przystało. Przysięgam, że nie będę się wyryczał Patrykiem. A przy okazji... Warto byłoby też odwiedzić owego duchownego, którego polecał nam ten Kopt w Starym Kairze.

Nowicki wyraźnie postanowił położyć kres turystyce.

- Ów koptyjski mnich żyje gdzieś w pobliżu wioski Medinet Habu - odrzekł Tomek, który rozumiał starego druha, gdyż jego również znużyło już miasto i tęsknił za otwartymi przestrzeniami.

\*\*\*

Dzień rozpoczęli od spaceru po targu i pobliskich sklepach. Tomek, ubrany w białe eleganckie ubranie z przewiewnego materiału i takiż kapelusz, prezentował się bez zarzutu. W jednej ręce trzymał białą parasolkę, w drugiej zaś modny "przyrząd" do opędzania much, podobny do lisiej kity.

- Stanowczo powinienesz kupić sobie monokl! - kpił, zlustrowawszy druha krytycznym okiem, Nowicki. - Stanowczo!

Łatwo dał się jednak namówić do współudziału w przedsięwzięciu, rezygnując na razie z własnych ścieżek. W znakomitych humorach, we czwórkę, wraz z Patrykiem, myszkowali na pobliskim suku. Wydawało im się, że suk w tak małym jak Luksor miasteczku będzie skromniejszy niż w Kairze. Nic biedniejszego. Taki sam gwar, smród i tłok, tyle że plac o wiele mniejszy. Najwięcej było oczywiście owoców: daktyli, pomidorów, oliwek, cytryn, pomarańczy, nie znanych korzeni i ziół. Ziarno przechowywano w skrzyniach, workach i węzełkach, owoce po prostu na piasku, zwłaszcza większe jak dynie czy melony. Sporo było także ohydnych stanowisk handlarzy mięsem, przeważnie baraniną, którą obsiadały dziesiątki much. Sprzedający od czasu do czasu odganiaли je leniwie czymś w rodzaju chorągiewek.

Europejczykom kilkoro dzieci ofiarowało natychmiast swe usługi w charakterze przewodników i tragarzy. Patryk z namysłem wybrał dwóch chłopców i wyruszyli w obchód. Kupili sporo owoców, które tutaj były tańsze i wydawały się świeższe niż w hotelu. Przepychali się wśród straganów i kobiet o zakrytych twarzach. Ich wzrok

skierowany był na towar, nigdy na kupca. Oto jakiś kupujący mężczyzna przycupnął na piętach i zawzięcie targował się z siedzącym na ziemi handlarzem daktyli. Tamten cmokał i sprzeciwiał się, ale obniżał cenę aż doszli do zgody. Sally również nie od razu mówiła "tak", słysząc cenę, co nieraz obniżało tę cenę niemal dziesięciokrotnie! Wszystko trwało bardzo długo, aż wreszcie dotarli do straganów z kolorowymi materiałami i różnymi pamiątkami, wśród których zdarzały się tu i ówdzie starożytności. Obejrzeliby także sklepy, gdzie młody angielski arystokrata interesował się głównie przedmiotami związanymi z XVIII dynastią. Obaj mali przewodnicy okazali się przy tym bardzo pomocni, za co w końcu obdarowano ich obfitym bakszyszem.

Powtarzali te wycieczki co rano przez kilka dni. Kupili kilka drobiazgów, które Sally oceniła jako wartościowe. Wieczorami Tomasz i No wieki włóczyli się po najciemniejszych zakamarkach miasta, poznając je od najmniej znanej strony. Odbyli wiele rozmów i nawiązali wiele kontaktów, wciąż szukając czegoś z czasów bliskich Echnatonowi. Szybko też nauczyli handlarzy szacunku, gdyż dzięki wykształceniu Sally nie dawali się zbyć byle czym. Na ogół bowiem umawiali się w hotelu, dokąd przybywali "kupcy" i gdzie Sally oceniała wartość przedmiotu, Tomek zaś przeprowadzał transakcje. Starali się zakończyć je zawsze bakszyszem, by nie zniechęcać drobnych handlarzy. Któregoś wieczora jakiś mężczyzna nie do rozpoznania w swoim arabskim stroju, łamaną angielszczyzną stwierdził, że wie, gdzie można nabyć przedmioty z okresu dynastii Echnatona. Tomek natychmiast wręczył mu jednofuntowy banknot. Rozpoczął się targ. Nowicki rad byłby wprowadzić po swojemu przyspieszyć informacyjną transakcję, ale ufał nieomylnemu instynktowi przyjaciela. W końcu dowiedzieli się, że można się dowiedzieć więcej w położonej na przeciwnym brzegu Nilu wsi El-Kurna.

- U kogo w El-Kurna? - dążył Tomek.

Arab nie powiedział jednak nic więcej, nawet wobec obietnicy hojniejszego bakszyszu i wkrótce znikł w ciemnościach.

Pewnej nocy, przebrani za Arabów, usiedli w pełnym gości lokalu nad brzegiem Nilu. Grała muzyka, niemal wszyscy palili. Miejscowi nargile, Europejczycy najczęściej cygara lub fajki. Tomasz z Nowickim znaleźli miejsce w ciemnym kącie pomieszczenia. Obok popijał kawę samotny mężczyzna w białym stroju. Rozmawiali ścisłymi głosami po polsku.

- Niewiele nadal wiemy, niestety - mówił Tomasz.

- No, nie tak znowu mało - oponował Nowicki. - Ta ostatnia wiadomość może być bardzo cenna.

- Rzeczywiście, jeżeli jest prawdziwa.

- Sprawdźmy i to... Muszę jednak przyznać, brachu, że mam dość pustyni. Odkąd wieje ten przeklęty chamsin, czuję się jak podczas ciągłego sztormu - nieco głośniejszym głosem powiedział Nowicki.

Siedzący obok mężczyzna drgnął i pochylił się w ich kierunku, jakby nadśledzając.

Nowicki tymczasem ciągnął dalej:

- Ten przeklęty piach chrzęści wszędzie, nawet w zębach. Czyż nigdy, do stu tysięcy zdechłych wielorybów, nie przestanie wiać? Mam dość.

- Dość!?! Czyżby takiego potężnego mężczyznę, na dodatek Polaka, tak łatwo miał zmóc niewielki wicherek? - przerwał mu sąsiad najczystsza polszczyzną.

- Niech mnie kule biją! - wykrzyknął Nowicki. - Rodak!

- Cóż, bywa! Pozwolicie, panowie, Piotr Bieńkowski[\[110\]](#).

- Tomasz Wilmowski i Tadeusz Nowicki - przedstawili się, mile zaskoczeni.

- Czyżby panowie incognito chcieli wrócić do ojczyzny? A może to nowa inwazja islamu? - pytał żartobliwie nowy znajomy. - Czy też chcecie panowie podkreślić przez te stroje wdzięczność, jaką nasi rodacy żywią dla życzliwej nam Turcji? - dowcipkował dalej.

- Proszę, niech pan usiądzie z nami - zaprosił Tomasz. - Co za spotkanie!

Bieńkowski, profesor Akademii Umiejętności w Krakowie, brał udział w austriackiej wyprawie archeologicznej, prowadzącej swe badania w Górnym Egipcie, około dwudziestu kilometrów na północ od pierwszej katarakty Nilu, w miejscowości El-Kubanija. Właśnie zakończyła ona swe prace i Polak wybrał się, by raz jeszcze zwiedzić fascynujące go zabytki. Żywo zainteresowani sobą nawzajem rozmawiali już prawie godzinę.

- Egipt to kopalnia dla historyków, zwłaszcza archeologów - mówił właśnie Bieńkowski. - Kopalnia bardzo głęboka. Na najniższych piętrach faraonowie, wyżej Egipt grecko-rzymski, zmieszany z chrześcijaństwem, tuż pod powierzchnią arabski. Historia tego kraju jest bogata.

- Bogata również w grabieżców - Tomek spróbował skierować rozmowę na ważny dla nich wątek.

- Hm... To prawda... Do dziś każdy chce coś uszczknąć dla siebie - zgodził się Bieńkowski. - Sprzyja to kupcom i... złodziejom.

- Czy ktoś z tym walczy?

- Nie znam dokładnie spraw czysto kryminalnych, ale słyszałem to i owo...

- Może nam pan opowiedzieć coś budującego? - ujmująco poprosił Tomek.

- Proszę bardzo. To jedna z bardziej znanych w naszych kręgach opowieści. Rzecz działa się dokładnie przed trzydziestu laty. Profesor Gaston Maspero[\[111\]](#), dyrektor Muzeum Egipskiego w Kairze dowiedział się, że jakiś Arab handluje cennymi dokumentami i zabytkami z Doliny Królów. Miejscowa policja okazała się bezradna. Maspero zlecił więc sprawę swemu asystentowi Emilowi Brugschowi. Ten udał się do Luksoru, gdzie rozpowiedział, że skupuje różne antyczne przedmioty.

Znoszono mu więc to i owo. Okazał się znawcą nie lada, więc nie dał się oszukiwać. Wreszcie trafił na ślad. Sprzedano mu posążek z grobowca, który od dawna stał pusty.

- No i chwycił byka za rogi - wtrącił Nowicki.

- Tak, uczepił się tego śladu i natychmiast oznajmił, że poszukuje innych, podobnych przedmiotów. Po paru godzinach zjawił się u niego wysoki, barczysty, brodaty Arab, proponując sprzedaż na większą skalę. Był to Abd el-Rasul ze wsi El-Kurna.

Nowicki i Tomek błyskawicznie wymienili spojrzenia. I ich ślad prowadził do tej wioski. Słuchali uważniej.

- Prywatny detektyw kazał aresztować Araba - kontynuował tymczasem Bieńkowski.

- I co, czy się przyznał? - spytał Nowicki.

- Gdzie tam... To był twardy człowiek. Milczał nawet, gdy ćwiczone mu stopy różgami. Cała zaś wieś murem świadczyła o jego uczciwości.

- A to pech - westchnął Nowicki.

- Najdziwniejsze jednak miało dopiero nastąpić. Po kilku dniach Abd el-Rasul przybył na policję i przyznał się do wszystkiego.

- Ów Arab? Czyżby ruszyło go sumienie? - spytał Tomek.

- Gdyby tak było... Ale niestety... Chodziło o rozgrywki wewnątrz szajki. Rasul po powrocie z więzienia, zażądał dla siebie połowy zysku z handlu za milczenie.

- No i nie doszli do zgody - roześmiał się Nowicki.

- Tak! Doszło do kłótni, nawet bójki i rozżalony Rasul zgłosił się na policję.

- Tak, tak, pieniądze potrafią wiele zniszczyć - westchnął Tomek.

- Tym razem pomogły sprawiedliwości - rzekł Bieńkowski. - Dzięki tej aferze doszło do jednego z najcenniejszych odkryć w dziejach Doliny Królów.

- Pewnie mumii, które okradali ludzie Abd el-Rasula - domyślał się Nowicki.

- Otóż to! I to bardzo cennych mumii! - potwierdził polski archeolog.

- Czyżby byli tam sami faraonowie? - spytał Tomek.

- Prawie - znów potwierdził Bieńkowski. - Otóż, dawno, dawno temu, gdy kradzieże stały się taką plagą, że nawet strażnicy i kapłani brali w nich udział, jeden z faraonów wydał nakaz przeniesienia mumii wszystkich swych poprzedników do jednego, wspólnego grobowca.

- To ci dopiero był pogrzeb! - wykrzyknął Nowicki.

- Pewnej nocy, zebrani potajemnie kapłani w makabrycznej procesji przenieśli zwłoki wąską górską ścieżką i pochowali w zbiorowej krypcie.

- Cóż za niesamowity musiał być nastrój tego pogrzebu - rzekł Tomek, a Nowicki spytał:

- I co, tego grobowca nie okradziono?

- Nie! Uczynił to dopiero bohater naszej opowieści. Znalazł wejście, spuścił się po linie do otwartego, pionowego szybu i znalazł trzydzieści siedem trumien faraonów, ich żon i księżniczek. Potem, spokojnie sprzedawano to i owo aż do opowiedzianego przeze mnie wydarzenia.

- To ci dopiero sensacja! - rzekł Nowicki.

- Jeszcze jaka! Poruszyła cały Egipt. Gdy mumie płynęły Nilem do kairskiego muzeum, ludzie wychodzili na brzeg i zachowywali się jak na pogrzebie kogoś bliskiego. Mężczyźni strzelali w powietrze, kobiety zawodziły, lamentowały, płakały...

- Niesamowite to wszystko! - powiedział Tomek.

- Niesamowite! - powtórzył zadumany Nowicki.

Bieńkowski obiecał oczywiście, że pokaże im najważniejsze zabytki Miasta Umarłych. Co najdziwniejsze Nowickiemu nawet nie śniło się protestować. Umówiwszy się z nim, wrócili do hotelu.

\*\*\*

Sally czułaby się pewniej, gdyby poczekali z wszelkim działaniem na przyjazd Smugi.

- Przeprowadźmy się na drugą stronę i przyjrzyjmy tej wsi, El-Kurna - kusił jednak Nowicki.

- Przy okazji coś przecież zwiedzimy - poparł go Tomek.

- Tym bardziej że będziemy mieć przewodnika - gorączkował się Nowicki nagle pełen zapału do zwiedzania.

- Przewodnika? - Sally była naprawdę zdziwiona. Opowiedzieli jej o spotkaniu z rodakiem.

- Skoro umówiliście się z nim - ustąpiła Sally - trzeba jechać... Zostawiwszy w recepcji informację dla Smugi, wynajęli dwóch arabskich służących, w tym tabbacha, czyli kucharza, i przeprowili się promem na lewy brzeg Nilu, który w tym miejscu miał szerokość Wisły w Warszawie. Woda rzeki okazała się mętna i mulista. Tabbach, znający nieco angielski, proponował podróżnym, by jej spróbowali:

- Kto napije, nigdy nie zapomni smak i powróci... - powiedział.

- Spróbuj, sikorko - rzekł Nowicki do Sally. - To ty tak bardzo pragniesz poznać Egipt. Posmakuj go!

- I bez tego wrócę. Najchętniej z tobą, Tadku - w Sally odezwał się buntowniczy duch.

- Mnie tu nawet za cenę żywej mumii już nic i nikt nie przyciągnie - mówiąc to, marynarz splunął do wody. - Nawet w ślinie chrzęści piasek.

Rozbili namioty w cieniu drzew, w pobliżu Kolosów Memnona[112]. Miejsce nadawało się do tego idealnie, tak ze względu na swe położenie, umożliwiające wypady we wszystkich kierunkach, jak i ze względu na bliskość przystani. Sally twierdziła nadto, że to

jedno z najbardziej romantycznych miejsc w okolicy.

Gdy rozstawili namioty, a Sally z niefrasobliwą choć ochoczą pomocą Patryka zaczęła urządzać obozowisko, Nowicki zaproponował:

- Nic tu teraz po nas. Przejdźmy się do tego "kurnika"... Trzeba brać byka za rogi.

- Bądźcie tylko, chłopcy, ostrożni! - przestrzegła Sally. "Chłopcy" spojrzeli po sobie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Obaj przewyższali Sally co najmniej o głowę.

El-Kurna, wioseczka widoczna z miejsca ich obozowiska, leżała na jednym z południowych stoków Płaskowyżu Libijskiego. Kilkanaście chałupek rozrzuconych na łagodnym wzniesieniu. Ścieżką wśród pól szybko do nich doszli. Spędzili tam sporo czasu, ale nie odkryli niczego. Wynajęli jedynie osiołki i ich poganiaczy na wyprawę z Bieńkowskim do Miasta Umarłych.

Zamierzali tam dotrzeć jak najszybciej i przeznaczyć na obejrzenie Miasta Umarłych nie więcej niż jeden dzień. Musieli więc liczyć się z szybkim, forsownym marszem. Po raz pierwszy mieli też nie tylko wyruszyć w góry, ale i zagłębić się w pustynię. Były to okoliczności, które nie skłaniały do zabrania ze sobą chłopca w wieku Patryka. Co do tego "wujkowie", a nawet pobłażliwa zwykle dla Patryka Sally, wyjątkowo się zgadzali. Ale że nie wzięli go nawet na ów krótki wypad do tego, jak mówił Nowicki, "kurnika", postanowili złagodzić rozgoryczenie, powierzając mu nadzór nad obozowiskiem i arabską służbą na czas swej nieobecności. Oczywiście przydali Patrykowi do pomocy i towarzysztwa, jak mówili, niezawodnego Dinga. Obiecali też solennie już wkrótce łatwiejszą i bezpieczniejszą wycieczkę.

Tak więc o świcie następnego dnia na przystani spotkali się z Bieńkowskim oboje Wilmowscy i Nowicki. Wyruszyli kamienistym wąwozem w kierunku doliny Deir el-Bahari[113]. Z obu stron wznosiły się rude, brązowawe i liliowe urwiska, z rzadka poprzecinane żółtawym pasmem piasków.

- Przypomina mi to Tatry wczesną wiosną albo późną jesienią - powiedział Nowicki. - Tylko tamte turnie miały inny kolor, były szare, granatowe, czarne, gdzieś pokryte śniegiem, tak jak te żółtym piaskiem... Byłem dzieckiem, kiedy wywieźli mnie w górzyska i odtąd już ich nie lubię...

Ponury dość nastrój harmonizujący z wyglądem przyrody pogłębiały jeszcze chłód i szarość cienia, wypełniająca cały, wąski wąwóz, którego dolne partie nigdy nie widziały słońca.

Droga prowadziła prosto, potem z lekka wznosiła się. Za jednym z ostrych zakrętów strome zbocze prowadziło do Deir el-Medina[114]. Miejscami trzeba było schodzić z osiołków, by je bezpiecznie przeprowadzić. Zakładano im wtedy na oczy specjalne zasłony, by przestraszone zwierzęta nie stoczyły się w przepaść.

- W czasach faraonów była to być może osada pracujących przy wykuwaniu i

ozdabianiu grobowców rzemieślników i robotników[115]. Później osiedli tu mnisi koptyjscy, stąd nazwa kotlinki - objaśniał Bieńkowski.

Z Deir el-Medina łagodne przejście prowadziło do Deir el-Bahari.

- Tu właśnie mieści się kryjówka, w której złożono mumie faraonów Nowego Państwa, wskazana władzom przez Rasula dokładnie 30 lat temu. Jeszcze kilometr i ujrzymy świątynię Hatszepsut[116] - mówił dalej.

Wyszli niemal wprost na nią.

- To fascynujące! - zawołała Sally.

- Niczego piękniejszego nie ujrzyjecie chyba w Egipcie - bardzo cicho powiedział Bieńkowski. - Zerwano tu z kanonami sztuki wymyślonej przez ludzi, by naśladować przyrodę.

Rzeczywiście, świątynia tuliła się do ogromnej, wznoszącej się nad nią na ponad sto metrów skały.

- Skalna ściana robi wrażenie dobudowanej do świątyni - z podziwem powiedział Tomek.

Stali długo, wpatrzeni w trzyschodkowe, poziome tarasy wspaniałej budowli. Każdy z nich zakończony był krużgankiem wspartym na kolumnadzie.

- Nie wszystko jeszcze odkopano. Prace tutaj trwać będą wiele, wiele lat - opowiadał Bieńkowski. - Niegdyś tarasy były zielone, utworzono bowiem z nich kolorowe, kwietne ogrody, rosły bujnie drzewa... Możliwe, że między innymi dlatego nazywano świątynię "najwspanialszą z najwspanialszych".

- Ileż to wszystko musiało kosztować - westchnęła Sally.

- Nawet bez zieleni świątynia wygląda imponująco - przyznał Nowicki. - Niczym potężny okręt z równie potężnym żaglem.

- Tobie wciąż tylko morze w głowie - pokiwał głową Tomek.

- Przecież to dobre porównanie - Sally wzięła w obronę kapitana. - Chociaż świątynia bardziej harmonizuje z przyrodą niż okręt, który na morzu wygląda jak intruz.

Nowicki nic nie powiedział, ale znać było po jego minie, że z oceną Sally wcale się nie zgadza.

Wkrótce zatrzymali się na nocleg. Następnego dnia znowu wsiedli na osiołki i wyruszyli w stronę Doliny Królów. Jechali najpierw wzdłuż Nilu, by skrócić na północny zachód, na drogę omijającą dżebel[117] z Deir el-Bahari. Z obu stron piętrzyły się coraz wyższe, poszarpane, górskie granie, przechodzące niżej w piaszczyste stoki, poprzetykane gdzieś tam wyschniętą, szarą, krzaczastą gęstwiną. Miejscami wąwóz przechodził w cieniste rozpadliny, których przyjemny chłód zderzał się z żarem powietrza. Po dwu godzinach męczącej podróży w upale i kurzu, podczas której nie spotkali nikogo, ponieważ zamieszkane były jedynie niektóre groty u stóp gór, dotarli do miejsca, gdzie wąska droga

przechodziła w szeroką kotlinę.

- Doświadczenie wieków nauczyło faraonów, że widoczne z daleka piramidy nie stanowią dobrego zabezpieczenia dla zwłok. Obmyślili nowy system chowania zmarłych - wyjaśniał Bieńkowski. - W górzystej, poprzecinanej wąwozami dolinie, w rozmaitych jej zakamarkach wykuwano w wapiennej skale stromy, niemal dwudziestometrowy korytarz, wiodący do ukrytych pod ziemią komnat[118]. W jednej z nich mieścił się skarbiec, w kilku innych bogate wyposażenie zmarłego, najniżej umieszczano sarkofag z mumią i urny z wnętrznościami królów. Po pogrzebie wejście do grobowca dokładnie zasypywano.

- Ale i te grobowce mimo zabezpieczeń, nie uchroniły się przed grabieżą - powiedziała Sally.

- Owszem - potwierdził Bieńkowski. - Chociaż budowano je w sporej odległości od zamieszkanym terenów, pod najwyższym w okolicy szczytem, zwanym przez Arabów El-Karn, czyli Róg, a przez starożytnych Egipcjan Świętą Górą lub Szczytem Zachodu.

Zmierzając w kierunku góry, zatrzymali się, by obejrzeć prowadzone właśnie w Dolinie Królów prace wykopaliskowe. Oglądane z daleka nie wydawały się czymś ciekawym. Ot, po prostu grupa Arabów, która pod nadzorem Europejczyka w korkowym hełmie wydobywa kosztami ziemię i wysypuje ją do większych skrzynek lub wprost na ręcznie pchane, ustawione na prowizorycznych szynach wagoniki. I rytmizujący tę nużącą pracę monotony, chóralny śpiew.

Nikt nie miał jakoś ochoty przyglądać się temu dłużej. Może poza Nowickim, którego wzrok przyciągnęło coś w sylwetce nadzorcy, niezbyt dokładnie stąd widocznej, a jednak dziwnie znajomej. Ale zbliżały się już najgorętsze godziny dnia, więc i on uległ ogólnemu roztargnieniu. Tym bardziej, że wszystkich wkrótce całkowicie zaabsorbował spór o drogę powrotną: czy ma to być wygodna droga północna, jak proponował Bieńkowski, czy wąska górską ścieżka prowadząca do Deir el-Bahari. A tego bardzo pragnęła Sally, zwłaszcza że Bieńkowski określił to górskie przejście jako bardzo atrakcyjne widokowo.

Nie mogli zatem wiedzieć, że ich obecność została dostrzeżona i była pilnie obserwowana odkąd tylko wjechali w Dolinę. Ruchliwy nadzorca, który tak szybko zniknął im z oczu wszedłszy między robotników, porozmawiał przez chwilę z jednym z nich i to z zadziwiającym skutkiem. Robotnik porzucił bowiem swoje zajęcie, dosiadł osła i w pośpiechu odjechał z rejonu wykopalisk. W pobliżu nie było już jednak nikogo, kogo ów nagły odjazd mógłby zastanowić.

Niewielka, nie tak dawno przyglądająca się wykopaliskom kawalkada, przeczekawszy upał w cieniu skał, rozdzieliła się na dwie grupy, z których każda wybrała inną powrotną drogę. Bieńkowski z osłami i poganiaczami poszedł północną. Sally z Tomkiem i nie do końca przekonanym Nowickim, jak zawsze podejrzliwym wobec wszelkich górskich wypraw - górską ścieżką.

Początkowo ścieżka pięła się dość łagodnie, ale wkrótce pojawiły się pierwsze trudności: po obu stronach urwistych wapiennych skał ziały przepaście. W dole widoczna po lewej stronie była teraz cała, piaszczysta Dolina Królów. Z prawej brzeg Nilu: urodzajna



plaszczyzna pociętych na kwadraty pól, dalej wioski El-Kurna i Medinet Habu, Kolosy Memnona i horyzont otoczony palmami.

Słońce świeciło jasno, powoli zmierzając ku zachodowi. Lekki podmuch wiatru wznosił momentami tumany sabbachu[119], ale nie utrudniało to wędrówki. Dobre parę godzin przed zmierzchem niebo zaczęło powoli zmieniać barwę. Dotychczas niebieskoszare stawało się coraz bardziej czerwone. Powietrze zgęstniało jakby od kurzu i coraz trudniej było oddychać. Czerwień przesyciła nawet żółty zwykle piach. Pierwszy zwrócił na to uwagę No wieki:

- Coś się dzieje, brachu. Czerwono i cisza dzwoni w uszach... - powiedział, próbując głębiej odetchnąć.

- Cisza... jak przed burzą - odrzekł Tomek. - Lepiej pospieszmy się.

- Niedługo zacnie się chyba łagodniejszy teren - Sally zamierzała dodać im otuchy.

- Lepiej poszukajmy szybko jakiejś kryjówki - ponaglił Nowicki. Przez ścieżkę przebiegło raz i drugi pionowe pasmo piasku. Z oddali zaczął dochodzić jakiś szmer. Spojrzeli w tył. Doliny już prawie nie było widać, z przodu Nil wydawał się teraz bardzo wyrazisty i jakby ciemniejszy. Tam właśnie wschodziła czerwień. Sabbach, coraz gęściejszy, omiatał im twarze. Poczuli lęk. Przywarli plecami do skały. Dłonie szukały jakiegoś załamania, rozpadliny, gdzie można by się wcisnąć i schronić przed rosnącą siłą wiatru. Nagle tumany sabbachu wzniosły się wysoko, przesłoniły słońce i opadły. Niemal w tym samym momencie Sally poczuła, że skała nie jest już tak jednolita, wcisnęła się w zagłębienie i pociągnęła za sobą Tomka. Skuleni w półokrągłej skalnej wnęce usłyszeli przerażający świst, który szybko przemienił się w wycie. Wiatr ciskał falami piasku. Zasłonili twarze przed ostrymi, raniącymi uderzeniami.

Nie wiedzieli, co dzieje się z Nowickim. Łudzili się, że choć niewidoczny, może być tuż obok nich. Tomek szukał na oślep, dotykał jednak tylko skały. Spróbował wysunąć się na zewnątrz, ale na powrót wcisnęło go w skalną ścianę. Zresztą i tak niczego by nie zobaczył. Gdyby nie byli do siebie przytuleni, z pewnością nie dostrzegaliby się nawzajem. Siła wiatru, chcieli tego czy nie, unieruchomiła ich w ciasnym, skalnym zagłębieniu. Piach wdzierał się wszędzie. Wydawało się, że zostaną nim przysypani. Grozę powiększała ciemność i straszliwy niepokój o Nowickiego. Jeden podmuch takiego wiatru mógł zepchnąć w przepaść. Pozostało jedynie cierpliwie czekać...

A burza trwała... Ile czasu już minęło? Pięć, dziesięć, czy piętnaście godzin? Nie wiedzieli. Dręczyło ich pragnienie, bo chociaż oboje mieli w manierkach wodę, oszczędzali jak mogli, myśląc o zaginionym. Z trudem oddychali przez zakurzone chustki. Piasek palił w ustach i w gardle. Na przemian drzemali, przysiadłszy w kryjówce, to znów wstawali, otrząsając piasek, by za chwilę znowu przysiąść i zapaść w nerwowy sen.

Wreszcie wiatr ustał i wyjrzało słońce. Wszystko dokoła pokryte było piaskiem. Dolina Królów przypominała zasypane żółtym śniegiem miasteczko. Gdzieś snuli się ludzie, próbując porządkować teren. Mniej ucierpiała druga strona góry. Nil lśnił jak poprzednio, a zieloność palm budziła wiarę w zwycięstwo życia. Gnani niepokojem ruszyli

na poszukiwanie. Może ocalał, przeżył, może nie zepchnęło go w przepaść... Jeśli tak, to pilnie potrzebował pomocy. Kilka metrów dalej ścieżka schodziła łagodnym łukiem w dół, tworząc płytką, może dwumetrową nieckę i wznosząc się znowu łagodnie ku górze. Teraz niecka była niemal całkowicie zasypana piaskiem.

- Tommy, Tommy, tutaj, patrz! - zawołała nagle Sally.

Oboje zeszli niżej. Tomek jednym ruchem ręki odgarnął piasek z prześwitującego przezeń ciemnego przedmiotu.

- Mój Boże! - zawołał ochryple.

Była to bowiem prawa, obuta w solidny trzewik stopa Nowickiego. Przerażeni rzucili się, by jak najszybciej rozgarnąć piasek. Marynarz leżał z twarzą ukrytą w niewielkim wgłębieniu. Gdy odwracali go na plecy, zdawało się im, że jęknął. Tomek przyłożył ucho do serca. Sally, wiedzona zawodowym odruchem szukała pulsu. Bił lekko, ale rytmicznie.

Żyje - westchnęła przez łyzy.

- Tadku! Tadku! - powtarzał Tomek i zaczerwienionymi oczyma wpatrywał się w druha.

Podnieśli go i oparli o skałę.

- Wody, Sally, wody! - ponaglił Tomasz.

Przytknęli manierkę do ust marynarza, przechylając mu głowę do tyłu. Przełknął kilka łyków i nie otwierając oczu próbował coś mówić, lecz poruszył jedynie wargami. Pochylony nad nim Tomek odczytał z ruchu warg znajome sylaby:

- Jamajka!

Czym prędzej zaczęli szukać. Rzeczywiście, obok bukłaka z wodą znaleźli manierkę. Łyk ulubionego trunku i Nowicki otworzył oczy. Obity ze wszystkich stron i obolały krztusił się i otrząsał z piasku. Wkrótce mógł wstać o własnych siłach i mówić.

Okazało się, że podmuch cisnął nim o ziemię i rzucił w stronę niecki. Próbował wstać, ale nie dał rady. Siła wiatru była straszliwa. Szukał więc miejsca, gdzie mógłby łatwiej oddychać. Znalazł je między dwoma skrawkami skały i to chyba uratowało mu życie. Przykrył głowę koszulą i oddychał powietrzem z zagłębienia między okruchami skały. Wkrótce zasnął czy też stracił przytomność. Nie pamiętał szczegółów...

Z położenia słońca wynikało, że znów zbliża się południe. Burza musiała więc trwać około dwudziestu godzin.

Przeczekawszy upał w tej samej skalnej wnęce, po odpoczynku, ruszyli wreszcie ku Deir el-Bahari. Wydawało im się, że najtrudniejsze mają już za sobą, gdy nagle... urwała się droga. Pojawiła się znowu o zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej, tyle że za opadającą pionowo w dół przepaścią. Głęboko na jej dnie dostrzegli płaski zarys trzeciego najwęższego tarasu świątyni Hatszepsut.

- Do stu beczek zepsutych śledzi - zaklął marynarz, z westchnieniem opierając się plecami o skałę. - To naprawdę moja ostatnia wyprawa w góry.

- Ależ Tadku, możemy przecież wylądować w grobowcu, prosto w ramionach królowej - z wisielczym humorem zauważył Tomek.

- Przynajmniej ty, sikorko, nie mów tylko, proszę, jakie to piękne - jęknął Nowicki. - Lepiej nic już nie mów.

Sally, w przeciwieństwie do mężczyzn, czuła się w swoim żywiole. Z takim samym dreszczem emocji, jak wtedy gdy przyszło jej skoczyć w kilkudziesięciometrową przepaść z tarasu świątyni zagubionej w południowoamerykańskiej puszczy, trzymając się oburącz skał, dała krok nad urwiskiem i już była po drugiej stronie. Obu mężczyznom nie pozostało nic innego jak iść w jej ślady. Nowicki sceptycznie spojrzał w dół, pokręcił głową, wziął głęboki wdech i wylądował bezpiecznie z co najmniej kilkudziesięciocentymetrowym zapasem. Tomek poradził sobie równie sprawnie. Klucząc wśród skalnych występów, spadzistym skłonem płaskowyżu zeszli do Deir el-Bahari, gdzie mocno zdenerwowany Bieńkowski organizował wyprawę ratowniczą. Pożegnali go serdecznie i już na osiołkach z całodobowym opóźnieniem dotarli do swego obozu w pobliżu Kolosów Memnona, radośnie witani przez Dinga i z ulgą przez mocno już wystraszonego Patryka.

*llah akbar!*

*- Salaam!*

Przychodzący obmywali ręce i siadali, skrzyżowawszy nogi, na zdobnych poduszkach wokół niskiego stołu-ławy. Ściany pokrywały kilimy, podłogę dywan. Nie rozpoczynali rozmowy. Czekali... Kobiety wniosły ogromny półmisek z pieczonymi kurczakami i wielką tacę z ryżem. Umieściły na stole miseczki z różnymi potrawami i przyprawami. Położyły talerz z chlebkami baladi.

Rozpoczęli posiłek. Nabierali ryż i jedli go na przemian z kurczakiem. Przełamawszy chleb, zanurzali go wedle upodobania w rozmaitych przyprawach. Najczęściej w tych ostrych. Ludzie, którzy tu siedzieli, prowadzili burzliwe, pełne ryzyka życie i preferowali mocne przyprawy. Milczeli... Nawet ci, którzy już zaspokoiili głód, poruszali ustami tak długo, dopóki ostatni nie skończył posiłku. Uważali się bowiem za ludzi nie tylko zasobnych, ale i dobrze wychowanych. Kiedy skończyli, wszedł Arab o surowych rysach twarzy, głębokich, gorejących oczach, wielu Europejczykom znany jako "władca Doliny", "potomek faraonów" lub po prostu "faraon". Przez Arabów nazywany "żelaznym faraonem". Powitał obecnych, wśród których był także Europejczyk, gestem rozłożonych dłoni i zasiadł przy stole. Nie posilał się. Czekał aż kobiety sprzątną jedzenie. Wtedy przemówił:

- Przeklęci giaurzy! Są tutaj i kręcą się wszędzie!
- Może Allah sprawi, że pójdą inną niż nasza ścieżką - odezwał się któryś.
- Sadim, czy otworzyłeś tę ścieżkę? - z naciskiem zapytał przywódca.

Sally zapewne mogłaby rozpoznać Araba niewielkiego wzrostu, w średnim wieku, do którego skierowane było pytanie. Oglądała go bowiem bardzo dokładnie na kairskiej ulicy przed wejściem do domu Ahmada al-Saida, obdarzonego przez Anglików zaufaniem, urzędnika kedywa. Zwrócił na siebie jej uwagę tym, jak płochliwie i tajemniczo się zachowywał. Nie rozpoznałiby go za to ani Tomek, ani Nowicki, chociaż niedawno z nim rozmawiali; tak skutecznie osłoniły go wtedy arabski strój i niepozorny wygląd.

- Tak, powiedziałem im, żeby szukali w El-Kurna...
- Na brodę Proroka, jeżeli Rasułowie się o tym dowiedzą... - przeraził się inny.
- Będą milczeć. Nie zawsze u nich czysto - odezwał się przywódca.

- Nasi wrogowie są groźni - z namysłem zabrał głos Europejczyk. - Umieją posługiwać się bronią. Wczoraj niewiele brakowało, by rozpoznali, dozorującego prace i czuwającego nad naszymi interesami w Dolinie Królów, Harry'ego. Przeżyli w górach burzliwą noc i wyszli cało...

- Na Allacha! - zawołał trzeci. - Przeżyli taką burzę?! Może to dżiny?
- Gdybyż byli dżinami - ze złością rzekł "faraon" - poradziłibyśmy sobie.

Wpatrzyli się w niego z zabobonnym lękiem. Zawdzięczali mu wszystko. Uczynił ich bogatymi. Wystarczyło być posłusznym i robić, co każe, bo był rzeczywiście twardym, prawdziwie “żelaznym” człowiekiem. Zjechali tu dzisiaj z różnych części kraju. Niektórzy z północy, z Kairu, inni z Asuanu, a jeszcze inni z Nubii i Sudanu, tam gdzie kwitł ich “południowy interes”. Ci właśnie znali go najdłużej. Czekali w milczeniu.

- Giaurzy... Trzeba, by zapadli w ciszę - zdecydował.
- A kobieta i dziecko? - spytał Europejczyk.
- Kobietę wystarczy przestraszyć. Sadim, ty! - wskazał.
- A giaurzy? Kto? - ktoś chciał wiedzieć dokładniej.
- To należy do władcy Doliny - odrzekł przywódca. - Już nie istnieją.

Wymieniali szeptem uwagi. Podano kawę. Przy kawie omówili interesy. Europejskie szły nieźle, udało się przemyścić nową partię przedmiotów autentycznie antycznych i podrabianych pamiątek. Północne, związane z haszyszem i opium, kwitły. Południowe także nieźle prosperowały.

Byli zadowoleni. “Żelazny władca” jak zwykle wziął na siebie najtrudniejszą część zadania. “Tak, to prawdziwy władca - myśleli. - Prawdziwy faraon...”.

\*\*\*

Sally śniła...

Po niebezpiecznej drodze na pola Jaru wędrował zmarły. Przebył cztery niebezpieczne bramy i stanął na brzegu Krętej Rzeki oddzielającej go od Krainy Umarłych. Przewoźnik miał twarz Nowickiego. Z uśmiechem oczekiwał na magiczną formułę... Zmarły, pochylił się do jego ucha i wyszeptał ją:

- O ty, który odcinasz sitowie, przewoźniku... O mocy niebiańska, która otwiera dysk słoneczny. O Re, Panie Jasności, przewieź mnie, nie zostawiaj mnie opuszczonego.
- Jakie jest imię tej łodzi? - chytrze spytał przewoźnik.
- Znam wszystkie imiona jej części składowych - odrzekł podróżujący.
- Wskakuj, brachu - odparł przewoźnik. - Tylko do rufy, nie do dzioba, bo jedynie to zapewni ci szczęście... A co tam trzymasz w ręku?
- To prezent dla Ozyrysa - odparł podróżujący, a Sally ujrzała niewielkie zawiniątko, które przyciskał do piersi i tak nagle, jak bywa to tylko we śnie, ze zdumieniem rozpoznała w podróżującym Tomka.

- Nie bój się, brachu, Ozyrysa - odpowiedział przewoźnik. - To swój chłop. Nie mogę tam wprawdzie z tobą iść, bo tu czeka mnie dużo pracy, ale poradzisz sobie...

- W Sali Obu Prawd[120] nic się nie ukryje - odparł podróżujący. - Wiem o tym: “Kto prawo omija, będzie ukarany. Skromność otrzyma bogactwo, a nieprawość nigdy nie osiągnie celu”.

Przed wejściem do Sali Obu Prawd czekała bogini Hepter-Hor z dwiema głowami: lwicy i krokodyla, z nożami w obu rękach. Podróżujący zatrzymał się, by wygłosić inwokację:

“Bądź pozdrowiony, Boże Wielki! Panie Obu Prawd! Przyszedłem do Ciebie. O mój Panie! Przywiedziono mnie, bym ujrział Twą doskonałość. Znam Ciebie, znam Twoje imię, znam imiona czterdziestu dwu otaczających Cię... Przybyłem, aby poznać Ciebie w pełni. Przyniosłem Tobie Obydwie Prawdy”.

Tomek - Sally była teraz zupełnie pewna, że to on - wszedł do środka. Sally rozejrzała się wokół jego oczyma. Na tronie siedział, stojący na czele sądu, Ozyrys.

Wagę dobra i zła obsługiwał Anubis, ale zamiast głowy szakala ujrziała łagodną twarz Wilmowskiego. Thot, zapisujący wyniki, miał twarz ojca Sally, pana Allana. Tomek poważnie skinął im głową, a potem pozdrowił dostojny trybunał, podając jednocześnie na wyciągniętej dłoni swe serce, usta i oczy. “To pierwszy etap sądu” - pomyślała Sally. “Wszystko, co w ciągu życia słyszał, widział i myślał było czyste i szlachetne. Zaraz rozpocznie się długa deklaracja niewinności”.

- Usunąłem z siebie moje grzechy.
- Nie zgrzeszyłem przeciw ludziom.
- Nie grabiłem biednych.
- Nie trulem.
- Nie zabijałem.
- Nie rozkazywałem mordercy.
- Nie wyrządziłem nikomu krzywdy.
- Jestem czysty, jestem czysty, jestem czysty - powtarzał Tomek, a Anubis i Thot uśmiechali się do niego.

Później trybunał rozpoczął przesłuchanie. Sprawdzone, czy podróżujący mówi prawdę. Jego serce położono na jednej szali wagi, na drugiej zaś - symbol bogini Maat, pióro. Sally zadrżała. Szale wagi chwiały się niepewnie to w jedną, to w drugą stronę. Gdy przechyliła się szala z piórem, potwór zwany Am-mutu, czyli Pożeracz Zmarłych o pysku krokodyla, z łbem i przednią częścią korpusu lwa, z zadem hipopotama szeroko otworzył przerażającą paszczę.

W tym momencie Tomek rozwinął zawiniątko i uniósł jego zawartość ku Ozyrysowi. W blasku świec zalśnił posążek faraona. Ozyrys tryumfalnie podniósł go do góry.

Szale wagi zadrżały i wyrównały się. Ozyrys wstał i uroczyście ogłosił podróżującego za “usprawiedliwionego głosem”. Thot z twarzą starego Allana poprowadził Tomka do Ozyrysa. Razem z Sally spojrzeli w jego twarz i obojgu zdumienie odebrało głos. Ozyrys miał bowiem twarz Smugi. Znacząco położył palec na ustach, nakazując milczenie.

- Przyznaję ci prawo pobytu na błogosławionych Polach Jaru, abyś mógł żyć wiecznie i

szczęśliwie.

\*\*\*

Sally obudziła się i odetchnęła z ulgą, widząc Tomka obok siebie. Opowiedziała swój sen przy śniadaniu, gdyż wyraziście odcisnął się w jej pamięci i budził zaniepokojenie.

- Widocznie Ozyrys jest nam życzliwy - Tomek tylko się uśmiechnął.

Ale Nowicki powiedział w zamyśleniu:

- Sny są jak przecucia. Może to jakieś ostrzeżenie?

- Ech! Zawsze byłeś zabobonny! - wyraźnie już roześmiał się Tomek.

- Nie kpij, brachu! Ozyrys to poważna osoba - ni to poważnie, ni to żartobliwie wycofał się Nowicki.

- Co planujemy na dzisiaj? - Sally szybko zmieniła temat.

- Obiecaliśmy coś małemu i chyba mu się to należy - przypomniał Nowicki. - Chociaż z drugiej strony... przyznaj się Tomku, czy cię czasem nie świerzbi, żeby wynająć kilkunastu Arabów i gdzieś w kąciuku pokopać? Wszyscy prawie tutejsi Europejczycy zabawiają się w ten sposób. Może znajdziemy jakiś stary grobowiec i nazwiemy go imieniem naszej Sally...

- Proszę nie żartować, kapitanie. Sam mówiłeś, że z tych rzeczy nie należy się śmiać.

- A mówiłem, mówiłem - odrzekł Nowicki. - Pewnie, brachu, bylibyśmy pierwszymi Polakami szukającymi tutaj skarbów...

- Na razie dość przygód. Zaczekamy na ojca i Smugę - stanowczo powiedział Tomek. - Wybierzmy się tymczasem do Medinet Habu, koptyjskiej wioski. Pamiętajcie jeszcze, że mamy list polecający do jednego z jej mieszkańców? Do przyjaciela owego koptyjskiego duchownego, któremu Patryk oddał w Kairze tak cenną przysługę? Może dowiemy się czegoś? Tak czy inaczej zresztą nie wymyślimy chyba nic przyjemniejszego, zwłaszcza dla Patryka - zdecydował.

Gdybyż tylko mógł wiedzieć, że już wkrótce, to stwierdzenie okaże się odległe od rzeczywistości!

- No cóż, racja to racja. Ty masz, brachu, głowę! Ja już całkiem o tym zapomniałem - skapitulował Nowicki. - Byle tylko nie trzeba było się wspinać na szczyty, idę z wami - próbował jeszcze trochę ponarzekać.

- Jako lokaj niewiele masz, Tadku, do gadania - zaśmiał się młody Wilmowski.

- Nie wódź mnie, brachu na pokuszenie - odrzekł na to marynarz I nawiązując do snu Sally, żartobliwie dodał: - bo cię na drugi brzeg nie przewiozę...

Odpoczynek, poczucie przyjacielskiej więzi, łagodny blask porannego słońca odsunęły w przeszłość napięcie niedawnych zmagania z bezlitosną siłą przyrody. Chcieli się nacieszyć tym odprężeniem i ani im były w głowie wszelkie niebezpieczeństwa. Tylko Sally nie opuszczał wewnętrzny niepokój. Wciąż pod wrażeniem snu nie mogła się powstrzymać od

napomnień o potrzebie zachowania ostrożności. Tym bardziej, że sama postanowiła zostać w obozowisku, by uporządkować swe notatki.

- Kochana turkaweczko... Złego diabli nie wezmą, jak się o tym przekonałaś.

Nowicki komentował właśnie ze śmiechem przestrogi Sally, kiedy z pożegnalną wizytą przybył do ich obozu Bieńkowski. Na razie odłożyli więc wszelkie plany na rzecz interesującej rozmowy z ciekawym gościem. Przy kawie Nowicki wrócił do tematu, który zaledwie udało mu się przed chwilą, jak mawiał, "napocząć" i zapytał archeologa:

- Jest pan chyba jednym z pierwszych kopiących tutaj Polaków...

- Jednym z pierwszych - powtórzył Bieńkowski. - Tak! Lecz nie pierwszym. Pierwszym był hrabia Michał Tyszkiewicz.

- Znów arystokrata - skrzywił się Nowicki.

- Kopał w Karnaku w 1861 roku. Wynajął 60 chłopów, sam siedział na trzcinowym fotelu pod parasolem, pilnując, by kopacze nie kradli.

- A to leniuch - Nowicki nie mógł jakoś zrezygnować z niechęci do arystokracji.

- Szybko jednak musiał zakończyć swe prace, gdyż w tym czasie wprowadzono przepis, by starać się o oficjalne zezwolenia na wykopaliska.

- Dokopał się do czegoś? - zaciekawił się Tomek.

- Same drobiazgi: alabastrowa statuetka Izydy, kałamarz, kilkanaście skarabeuszy, drewniana szkatułka, złoty pierścień...

- Jednym z pierwszych chyba Polaków, który w sposób naukowy zaczął traktować Egipt był Józef Sułkowski - powiedział Tomek. - Uważa się go za pierwszego egiptologa rodem z naszej ojczyzny, prawda?

- Ach - westchnął Nowicki. - Kiedy wreszcie nadejdzie czas, że my, Polacy będziemy mogli we własnych barwach, dla sławy własnego kraju, a nie w obcej służbie pracować...

- Słuszna uwaga - potwierdził Bieńkowski. - Tyle że my, Polacy, nawet w obcej służbie, pracujemy dla Polski...

Przez chwilę wszyscy trzej w zadumie spoglądali przed siebie. Po chwili Bieńkowski podjął wątek:

- Czy wiecie, panowie, że w austro-węgierskim poselstwie w Kairze pracują dwaj Polacy, Antoni Stadnicki i Tadeusz Koziębrodzki[121]? Pomagają oni, jak mogą, swoim rodakom. Dzięki ich kontaktom, błyskotliwą karierę zrobił w Egipcie młody archeolog, Tadeusz Smoleński[122].

- Nie słyszałem o nim - zainteresował się Tomek.

- Przyjechał do Egiptu w 1905 roku, by podratować zdrowie i dzięki poparciu naszych dyplomatów został zatrudniony przez samego Gastona Maspero. Szybko osiągnął wybitne rezultaty, Maspero uważał go za jednego z najzdolniejszych swych współpracowników.



Niestety, w 1909 roku zabiła go choroba płuc.

- Jak pech, to pech - westchnął Nowicki. - Nie dość, że uwzięli się na nas zaborczy sąsiedzi, to jeszcze i choróbska wywlekają na obce kontynenty i niszczą najlepszych...

- Cóż, ma pan rację - rzekł Bieńkowski. - Smoleński bardzo przeżywał rozstanie z Polską. Pisał do przyjaciół, że marzył o pracy w kraju i dla kraju, ale skoro los mu nie sprzyja, to honor Polaka wymaga, by objawił się dobry egiptolog także znad Wisły.

- Brawo, brawo! - zawołał Nowicki. - Po tym zawsze można poznać Polaków, że honor cenią i dla Ojczyzny wiele poświęcić gotowi.

Na milej pogawędce upłynął im niemal cały dzień. Na planowany spacer do Medinet Habu wybrali się dopiero około czwartej, wystawiwszy na ciężką próbę cierpliwość Patryka. Szli piechotą, wolno, najpierw wśród pól, a potem jak zwykle przez piaski. Wioska rozłożyła się w kotlinie wśród gór. Zobaczyli już palmy, ogrody i kopulasto wzniesione chatynki. Rozmawiali po drodze oczywiście o Bieńkowskim i jego bezcennej dla nich wiedzy o tutejszych zabytkach.

Patryk uwolniony od opieki nad psem, który został z Sally, myszkował swoim zwyczajem w różnych dziwnych miejscach, a tych wśród skał nie brakowało. W uskoku, w który właśnie zamierzał się zapuścić, dostrzegł niewyraźny zarys ludzkich postaci. Zawahał się na moment i zaczął wycofywać do Tomka i Nowickiego. Zza skał wybiegło jednak kilku ludzi. Poruszali się cicho jak zjawy. Jeden chwycił chłopca, który nie zdążył nawet krzyknąć, by ostrzec "wujków". Marynarz odwrócił się w ostatniej chwili, zanim spadła na niego ogromna sieć. Szamotał się w niej bezskutecznie. Dostrzegł jeszcze nieruchomo rozciągniętego na piasku Tomka i uderzony w głowę stracił przytomność.

Nie czuli, kiedy ich wiązano i ciągnięto w ciemny wąż, gdzie czekały gotowe do drogi wierzchowce. Przywiązani do koni, nieprzytomni, wyruszyli w nie znane.

W szponach pustyni

Tomek nie mógłby powiedzieć czy w jakimś momencie tej piekielnej podróży odzyskał przytomność. Nie na wiele by się zresztą przydała człowiekowi związanemu, z omotaną głową i przytroczonemu do konia niczym pakunek. Zwiększyłaby tylko niewygodę związane z tak dolegliwym sposobem przymusowego podróżowania.

Był jednak przytomny, kiedy w końcu się zatrzymali. Rzucono go na piasek i ściągnięto zawój z głowy. Mógł wreszcie otworzyć oczy i rozejrzeć się dokoła. Ale zamknął je równie chętnie jak przed chwilą otworzył nie tylko dlatego, że oślepiał blask słońca odbijany przez złocisto-czerwone piaszczyste wzgórza. O wiele skuteczniej poraziła go świadomość miejsca, gdzie się znalazł. Sahara! Bez wątpienia Sahara, nazwana tak z arabska rozległa pustynna równina rozciągnięta od Oceanu Atlantyckiego aż po Morze Czerwone, od Morza Śródziemnego aż do sudańskiego sahelu. Poraziła go świadomość bezkresu tej wypełnionej piaskiem przestrzeni, tak jak przeraża zwykle ciemność w zupełnie nie znanym miejscu. I niemal natychmiast targnął nim jeszcze straszliwszy niepokój. Co z chłopcem, co z Nowickim? Spróbował zmienić pozycję. Tak! Byli tutaj wraz z nim. Patryk

z e skrępowanymi rękami siedział oparty o skałę. Obok niego leżał związany i zakneblowany Nowicki. “Na szczęście żywi” - z ulgą odetchnął Tomek.

Czuł, że nie zdoła się odezwać. Nie mógłby nawet poruszyć zeszywniałym, suchym z pragnienia i kurzu językiem. Ale mógł myśleć. Rozpaczliwie starał się przywołać z pamięci wszystko, co wiedział o Saharze, a co mogłoby zawęzić bezkresny obszar do jakiejś konkretniejszej, możliwej do ogarnięcia umysłem przestrzeni.

“Piasek jest wszędzie” - myślał gorączkowo. “Ale nie wszędzie przecież jednakowy. Inny, zalegający płytko na równinnym serrirze, inny, w postaci wydm przesypywanych w kierunku wiatru, na kamienistej, skalnej hamadzie[123]. Miejscowi nazywają je divnami, co oznacza wały” - przypomniał sobie. “A te potrafią zasypać bez śladu całe karawany”.

Nie, na razie lepiej było odsunąć te myśli. Pod plecami Tomek czuł piasek, porośnięty kruchą pustynną roślinnością. Wzgórza zaczynały ciemnieć od dołu i przybierać kolor niebieskawy. Wyraźnie zbliżała się noc. Wyruszyli do Medinet Habu po południu, a więc nie mogli jechać dłużej niż parę godzin. Arabowie wyraźnie przygotowywali się do noclegu. Czerpali wodę - zdał sobie sprawę Tomek - z czegoś w rodzaju studni. Rozkubaczyli konie i wielbłądy, napoili je, rozciągnęli swe legowiska. Któryś oddawał mocz, pustynnym zwyczajem klęcząc na piasku. Więźniami nikt się na razie nie interesował.

Od pewnego już czasu Tomek czuł na sobie wzrok Nowickiego, który wpatrywał się w niego z wyraźnym natężeniem, coś mu chciał przekazać, ponaglał tym uporczywym spojrzeniem. Ale do Tomka podszedł właśnie któryś z Arabów. Sprawdził najpierw jego więzy, a potem, przechylając mu głowę do tyłu, wlał do gardła parę łyków zimnej, ożywczej wody.

Arab podszedł z kolei do Nowickiego. Teraz nie sprawdzał już więzów. Po prostu kolejnemu więźniowi wlał do gardła, podobnie jak Tomkowi, nieco wody. Marynarz przełknął wodę, a kiedy Arab odwrócił się, by odejść chwycił go za powłóczyste szaty i przerzucił przez siebie. Tamten jęknął, głucho uderzył o ziemię, wzniecając tuman piasku. Ściągnęło to uwagę i szybki atak innych. Niestety, najwidoczniej uwolnił się z więzów zbyt niedawno, by wróciła mu w pełni władza w całym ciele. Ciosy pozbawione zwykłej siły i szybkości nie mogły dać mu przewagi. Tomek natężył wszystkie siły, by się uwolnić. Na próżno. Straszna walka przyjaciela dobiegała końca. Resztką sił udało mu się przedrzeć do koni. Dosiadł jednego z nich i ścisnął mu boki kolanami. Zwierzę zareagowało, ale niestety było... spętane. Runęło na kolana, a niefortunny jeździec poleciał do przodu. Chmura kurzu, kwik wystraszonych zwierząt, okrzyki walczących niosły się daleko w pustynię.

W walce nie brało dotąd udziału dwu ludzi. Przyglądali się zmaganiom z zadziwiającym spokojem. Gdy Nowicki dopadał konia, roześmiali się. Jeden wstał i podszedł do swego wielbłąda. Z wolna zdjął zawój i przez głowę ściągnął arabski strój. Ze schowka przy kulbace wy dobył długi bicz, odwrócił się i strzelił nim w powietrzu.

Nowicki właśnie podnosił się z piasku. Świst korbacza sprawił, że napastnicy odstąpili i marynarz nagle został sam. Harry stanął naprzeciw z drwiącym uśmiechem na ustach.

Chwycił się znacząco za ucho i powiedział:

- Pamiętasz?

Marynarz dyszał ciężko. Raz i drugi przełknął głośno ślinę i pokonując wysiłkiem woli suchość w gardle, wyraźnie powiedział:

- Stęskniłeś się może?

Niebezpiecznie blisko jego twarzy strzelił bicz. Nowicki odchylił się do tyłu i bat owinał mu się dokoła nóg, zwalając go na piach przy akompaniamencie głośnego śmiechu widzów. Harry niespiesznie zwinął korbacz i odsunął się nieco. Teraz Arabowie mogli skrepować Nowickiego, niczym niemowlę. Kiedy zakończyli swe dzieło, stanął nad nim Harry. Przez chwilę mu się przyglądał, potem lekko pochylił i klepiąc go po twarzy.

- Grzeczny! Bardzo grzeczny chłopiec! Pozostało tylko mocno zacisnąć szczęki...

Noc była zimna. Różnica temperatur między południem a północą sięgała 20° C. Jeńcy nie byli w stanie zasnąć ani na chwilę. Milczeli, nadsłuchując mowy pustyni. Pohukiwała gdzieś sowa, przerzucane wiatrem ziarenka piasku, uderzając o siebie, wydawały dziwny, melodyjny dźwięk. Ledwie świt otulił ich ciepłem wschodu, ruszyli dalej. Jeńców nie nakarmiono, ale nie zawiązano im przynajmniej oczu, mogli się więc spokojnie przyjrzeć swoim przeciwnikom. Było ich ośmiu. Wszyscy w zawojach na głowach, z czołami lśniącymi od tłuszczu i potu, twarzami osłoniętymi przed pustynnym kurzem. Spod ciemnych, długich sukien wyglądały ręce i nogi. Wszyscy, poza Harrym, uzbrojeni w prymitywne karabiny i długie, przypominające szable, noże.

Jechali po dnie ogromnego, wyżłobionego potokami deszczu, wąwozu hamady, co w świetle dnia łatwo było rozpoznać. Znali widać doskonale drogę, bo nigdzie nie natrafiali na zasypane kamieniami przejścia.

Patryk jadący na wielbłądzie za jednym z nich, sprawiał wrażenie pogodzonego z losem, przestraszonego chłopca. Niezłomnie jednak wierzył, że "wujkowie" dadzą sobie radę, kiedy przyjdzie pora. Nie wiedział jak, ale jednego był pewien: żeby mogli wrócić, trzeba zapamiętać drogę. Od razu uznał, że to należy do niego. Z wysokości wielbłąda mógł obserwować otoczenie. Bezwiednie rejestrował w pamięci wszystkie dostrzeżone szczegóły.

Z wąwozu wyjechali wprost na sypkie, piaszczyste diuny. Z trudnością pięli się na szczyt każdej piaskowej góry, skąd otwierał się widok na niezliczone fale następnych. Przypominało to rozciągające się nieruchomo jezioro lub morze. Coraz częściej szukali łagodniejszych zboczy, by w ogóle móc zjechać w dół. Na ogół było jednak tak stromo, że konie staczały się, kwicząc z lęku. Nowicki i Tomasz, którym rano rozwiązano nogi, starali się utrzymać w siodłach, co ze związanymi rękami przychodziło im z trudem, choć przecież byli doskonałymi jeźdźcami. Wokół panowała głęboka cisza, rozpalony piasek oślepił blaskiem, a powietrze drgało od gorąca.

Nadchodziło południe, ale jeźdźcy zanurzeni w piaskach pędzili dalej. Kiedy wreszcie stanęli, obaj przyjaciele, brutalnie ściągnięci z koni, upadli twarzami do ziemi. Tomek pluł

piaskiem i próbował wytrzeć zapocone oczy. Wywołało to huragan drwiącego śmiechu.

- Kim jesteście! - zdołał wreszcie zapytać młody Wilmowski. - Czego od nas chcecie?

Przywódca gestem nakazał milczenie. W ciszy słyhać było tylko mruczenie wielbłądów i parskanie koni.

- Chcesz naprawdę wiedzieć, gjaurze? - spytał po angielsku. - Naprawdę chcesz wiedzieć?... To popatrz, bo pierwszy i ostatni raz możesz zobaczyć żelaznego faraona!

Pochylił się nad jeńcami. W zakrytej twarzy fanatycznie płonęły oczy.

- Nie zabiję was. Uczyni to skutecznie słońce. - Powiedział zimno i znowu już wyprostowany dodał. - Tu rządzi władca Doliny, nie wy, przekłęci gjaurzy!

I to było wszystko. Jeźdźcy dosiedli wielbłądów i koni. Ruszyli galopem. Zakurzyło się i nastąpiła cisza.

- A tośmy, brachu, przepadli - wykrztusił Nowicki.

- Spróbujmy się uwolnić.

Pod pałącym słońcem podjęli próbę rozwiązania rąk, ale usłyszeli tętent konia. Ktoś wracał galopem. Zatrzymał konia tuż przed nimi, obsypując ich piaskiem tak, że instynktownie pochyliłi głowy. "Żelazny faraon" pochylił się w siodle i śmiejąc dziko, rzucił na piasek gurtę<sup>[124]</sup> z wodą.

- Jestem miłosiernym władcą! - wykrzyknął i jeszcze raz wybuchnął śmiechem. Wkrótce znikł.

W milczeniu, pospiesznie uwolnili z więzów ręce. Rozwiązali Patryka i sięgnęli po gurtę. Każdy wydzielił sobie kilka maleńkich łyków wody.

- Uff! - powiedział Nowicki, rozcierając przeguby. Ręce w tym upale zgrabiałły mi, jak na mrozie. I dodał z wisielczym humorem:

- Deczko mi się pić chce... Patryk stłumił płacz.

Nie mieli dość sił, by szukać odrobiny cienia, ale żar powoli przygasał. Niemiłosierne słońce obniżyło swą tarczę, zamykając się w sobie i tuląc do snu. Znów wypili po łyku wody.

- No, marynarzu! - rzekł Tomek. - Ruszajmy w drogę.

- Ano, nie mamy wyboru!

Nowicki i Tomek zdawali sobie sprawę, że w tak beznadziejnej sytuacji chyba jeszcze nie byli: bez odrobiny pożywienia porzuceni na pustyni, z ilością wody, która w tym upale, nawet ściśle dozowana, mogła wystarczyć najwyżej na dwa, trzy dni, praktycznie nie mieli szans. Ale był z nimi chłopiec, za którego odpowiadali i który potrzebował otuchy. Nie zwykli zresztą bez walki poddawać się losowi.

- Musimy dotrzeć do studni, gdzie obozowali ostatnio.

- Hm... Nie wiem, czy obserwowaleś niebo... Zdaje się, że jechaliśmy wciąż na zachód. Przebyliśmy z pięćdziesiąt kilometrów.

- Przez cały czas?

- Nie, dziś od rana, od tamtej studni...

- Trzeba do niej dotrzeć. Niewiele mamy wody. Rzeczywiście, w gurgie było jeszcze z dziesięć litrów.

- Może starczy... - westchnął Nowicki. - A potem...

- Jeśli nie dojdziemy do studni... - zaczął Tomasz, ale rzuciwszy okiem na Patryka, dokończył inaczej niż zamierzał: - ... to będziemy musieli znaleźć wodę!

- Wedle naszych porywaczy nie wchodziło to w rachubę - mruknął Nowicki.

- To dlaczego zostawili nam gurtę? - Tomek, jak mógł, ratował sytuację.

- Zakpili sobie... To ludzie z fantazją - odparł marynarz.

- Szkoda tylko, że z fantazją na tak niewiele litrów. Ja miałbym większą - uparcie żartował Tomek, któremu żal było chłopca.

Ale to właśnie Patryk w końcu ich ponaglił.

- Wujku! Chodźmy już - zażądał bardzo zdecydowanie.

- Ruszajmy! - rzekł Tomek. - Nie możemy zabłądzić.

- Z pewnością nie zabłądzimy. - Nowicki, któremu dostało się najwięcej, z twarzą naznaczoną śladami walki, uśmiechnął się do Patryka. - Lepiej jednak dobrze pomyślmy, nim wyruszemy.

- Najlepiej iść prosto na wschód! - rzekł Tomek. - Chociaż niekoniecznie. Nie wiem, Tadku, czy pamiętasz mapę. Otóż w okolicach Nag Hammadi Nil skręca dokładnie na wschód i płynie w tym kierunku aż do Kina, jakieś 70 kilometrów. Potem łagodnym łukiem zawraca w kierunku zachodnim, by niedaleko Luksoru podjąć znów swoją wędrówkę...

- Myślisz, że jesteśmy jakby wewnątrz tego łuku?

- Oczywiście! Zamiast na wschód, możemy więc udać się na północ i dotrzeć w rejon Nag Hammadi.

Nowicki przez chwilę milczał.

- Nie wiem czy to dobry pomysł - rzekł wreszcie. - Moim zdaniem, lepiej wracać po własnych śladach.

- Jest jeszcze jedno - Tomek powiedział to z pewnym naciskiem. - Nie wiem czy zauważyłeś... Gdy pędziliśmy przez pustynię, mijaliśmy dwa, czy trzy wyschnięte uady[125], wyschnięte koryta pustynnych potoków. Jakiś czas jechaliśmy dnem jednego z nich. Wszystkie biegną z południa na północ. Idąc wzdłuż nich, dojdziemy do Nilu...

- Tak - mruknął Nowicki. - Byle tylko najpierw je znaleźć. Niespodziewanie włączył się Patryk.

- Wujku... Wiem jak. Tu wszędzie piasek... Ale za tą wydumą, dobrze pamiętani... drzewo... A od drzewa, widać wszystko daleko. Tam jest taka skała. Minęliśmy ją z prawej strony. A potem...

- Wspaniale, chłopcze! - zdumiony Tomek przerwał Patrykowi, który opisując drogę, pełen przejęcia, pomagał sobie rękami.

I Tomek i Nowicki byli jednakowo zdziwieni. Wiedzieli, że chłopiec jest więcej niż spostrzegawczy, ale żeby w pełnych strachu chwilach pamiętał o takich szczegółach?

- Zatem ruszajmy!

- I jak mawiał mój dziadek spod Jabłonny: "Niech Bóg nam dopomoże" - dodał Nowicki.

Ze szczytu wydmy rzeczywiście ujrzeli zgrupowanie niskopiennych krzewów.

- Może trudno to uznać za drzewo - uśmiechnął się Tomek. - Ale, z braku laku...

- Och, wystarczy, żeby miały trochę wilgoci... - wzdychał Nowicki. Próbowali dobrać się do wnętrza suchorośli[126], ale uniemożliwił im to bardzo gruby pancerz z ziaren piasku, twardy i niełamliwy. Zrezygnowali i postanowili kilka godzin odpocząć. Zanim przytulili się do siebie i spróbowali zasnąć, Tomek wyjął chustkę do nosa i rozłożył na powierzchni piasku. Za jego radą uczynili to samo. Gdy po parogodzinnym odpoczynku ruszali dalej, chustki na skutek gwałtownego, nocnego ochłodzenia, nasiąkły rosą i z każdej udało się wyjąć dosłownie kilka kropel.

Noc była jasna. Księżyc bladym światłem oświetlał drogę. Patryk pewnie wskazywał drogę. Tak jak zapowiadał, w dali wystrzelała w niebo ostra iglica skalna. Rażnym krokiem ruszyli na wschód. Do świtu opuścili diuny piaskowe i znaleźli się w przetkanej piaskami hamadzie.

Tomek szedł pierwszy, co chwila ustalając z Nowickim i Patrykiem kierunek.

- Musieli jechać jakimś znanym, przejezdnym szlakiem, bo nie utknęli i nie zawracali nigdzie - powiedział.

- Szkoda, że go nie oznakowali - mruknął marynarz.

- Oznakowała za to natura, prawda Patryku? - spytał Tomek.

- Musimy iść tam - powiedział chłopiec, wskazując nieco na południe. Tam gdzie te dwa duże kamienie.

Świt zastał ich przy owych skałkach, między którymi wiódł ślad wyschniętego potoku. Gdy usiedli, tuż obok nich przemknął gekkon[127]. Zauważyli też skoczka[128].

- Jeśli są tu zwierzęta, jest z pewnością i woda.

- Woda i woda... Tylko o niej mowa, do stu fontann wielorybich. Muszę trochę się

zdrzemnąć - rzekł Nowicki. - Strasznie chce mi się pić.

Tomek spojrział na niego z niepokojem. Sam czuł się znośnie. Patryk, cały skupiony na swojej roli przewodnika, też nie wyglądał najgorzej. Nowicki za to cierpiał widocznie. Jego potężnie zbudowane ciało pocilo się podwójnie i podwójnie wystawione było na słoneczny żar. Tomek postanowił przydzielić mu dodatkowy łyk wody.

Marynarz przechylił gurtę. W tej samej chwili usłyszeli łopot skrzydeł. Przeleciało nad nimi stado stepówek[129].

- Ptaki też wskazują drogę na południe - powiedział Tomek. - Zostańcie tu i czekajcie aż wrócę.

Nowicki, jakby zubożniały, skinął głową, powoli usypiając. Patryk chciał jednak towarzyszyć Tomkowi. Obaj ruszyli więc śladem uadi i lecących ptaków. Wyszłe koryto było jedyną rozpadliną w zasięgu wzroku. Robiło się coraz jaśniej i wkrótce zza horyzontu wynurzyło się słońce, niemal natychmiast podnosząc temperaturę o kilka stopni. Po półgodzinnym marszu, doszli do załomu koryta. Teren wyraźnie się tu obniżał i wznosił dopiero za zakrętem.

- Wujku - powiedział Patryk, tu musi gdzieś być woda.

- Cicho - odrzekł Tomek, chwytając go za rękę. - Cicho! Nadśluchiwał przez chwilę.

- Nic nie słyszysz Patryku? - spytał. Chłopiec przecząco pokręcił głową.

- Zdawało mi się, że brzęczy komar...

Teraz usłyszeli wyraźnie. Nad ich głowami pojawił się ni stąd ni z owad cały rój tych owadów.

- Hej, chłopcze! Już dawno nie słyszałem tak cudownej muzyki!

- zawołał Tomek.

- To woda! Musi, musi tu być - radośnie wtórował mu Patryk.

- Chodźmy!!!

Tomek ruszył za nim. Chłopiec zszedł do najniższej położonej części koryta. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby szukając czegoś po omacku.

- Tutaj! Tutaj! - zawołał wreszcie, wskazując w samym rogu, na stromym brzegu ostrego zakrętu miejsce zarośnięte skąpą, pożółkłą roślinnością. Piasek był głęboko rozgrzebany w wielu miejscach. Gdy podeszli bliżej, z jednego z głębszych wykopów uleciało w górę kilka stepówek.

- One też szukają wody - domyślił się Tomek. - Nie do wiary, że potrafiły porobić tak głębokie wykopy...

Rozpoczęli żmudną pracę, pogłębiając rozpadlinę. Rosła suchość w gardle, dokuczał upał. Na szczęście stromy brzeg zasłaniał ich od słońca tak, że pracowali w cieniu. Ale tuż po wschodzie zaczął wiać dość ostry wiatr. Nie tylko niweczył ich pracę, zasypując szeroki

otwór, ale unosił tumany pustynnego pyłu i powodował suchą mgłę, tak gęstą, że Tomek z Patrykiem ledwie się nawzajem widzieli[130]. Po kilku godzinach pracy dokopali się do wilgotnego piasku, który chłodził ich dłonie i twarze.

Niestety woda ujawniła się tylko w tej postaci. Głębiej było jej pewnie więcej, ale trzeba by kopać przez kilka dni... Zdjęli więc koszule i podkoszulki, wyjęli chustki do nosa i zakopali wszystko w mokrym piasku, przyciskając dużymi kamieniami. Wodą uzyskaną w ten sposób po kilku godzinach ugasili pragnienie, a nawet uzupełnili gurtę. Postanowili, że spędzą tu noc. Tomek zostawił Patryka, by nadal gromadził cenny płyn, sam zaś wrócił po Nowickiego.

Zastał go pod skałkami, śpiącego. Wyglądał bardzo źle. Gorące czoło, opuchnięta twarz, podkrążone, zaczerwienione oczy. Obudzony, nie stracił jednak warszawskiego animuszu.

- Do stu przesolonych beczek śledzi - wymyślił dostosowane do sytuacji nowe powiedzonko. - Znaleźliście wodę?

- Owszem! Pół godziny marszu stąd.

- Wszystkie kości mnie boją, brachu - pozałił się. - Ale po ten wspaniały płyn, pójdę z tobą. Lepiej mi chyba będzie smakował od jamajki...

Próbował żartować i Tomek:

- Nigdy nie słyszałem, Tadku, takiego żalu w twoim głosie.

- Bo jak człowiek głodny i spragniony, to wyrzekłby się każdej przyjemności - powiedział marynarz. - Ale wieczorem na ten chłód, przydałby się łyk jamajki. Rozgrzałby grzeszne cielsko, poprawił krążenie, a kości bolałyby może mniej.

Ciężko wstał z piasku, przeciągnął się, syknął z bólu i poszedł za Tomkiem.

- Oj, przydałby się deszcz - westchnął.

- Głowa do góry! Wodę znaleźliśmy, nie za dużo, ale na razie starczy. Niektórzy mówią, że na pustyni więcej ludzi utonęło niż umarło z pragnienia. Tu jak pada, to krótko, ale to prawdziwe oberwanie chmury. Koryta i zagłębienia błyskawicznie napełniają się wodą. Tworzą się potężne rzeki i porywają kogo i co się da.

Tomek starał się mówić rażnym i pewnym głosem, ale szczerze niepokoił się wyglądem marynarza. "Fatalne jest to zaczerwienienie oczu" - myślał. "Widać w nich udrękę i gorączkę... Co będzie, jeśli Nowicki zachoruje? Co będzie, jeśli przestanie widzieć...?".

Doszli do zakrętu, gdzie Patryk mozolnie zbierał wodę do prawie już pełnej gurty. Podał ją Nowickiemu, który przechylił głowę i wypił litr płynu.

- Tfu - powiedział. - Fatalna.

Woda miała smak nadgniętego mułu z dodatkiem gorzkich ziół. Na dodatek pachniała koźlą skórą i wielbłądzim potem, którym przeniknięta była gurta. Mimo to marynarz dodał po chwili:



- Ale jaka smaczna!!! Roześmiali się.

Noc spędzili, drzemiąc i czuwając na przemian. Wczesnym rankiem Tomka i Nowickiego obudził krzyk Patryka:

- Wujku! To... To... Miasto! Ja widzę! Miasto!!! Zerwali się i podbiegli do niego.

Rzeczywiście. W oddali rysowały się mury, domy i meczety. Wydawało się, że dostrzegają nawet jakiś ruch. Cudownie, na lekkim wietrze chwiały się kielichy daktylowych palm.

- Jak to blisko! - cieszył Patryk. - Jesteśmy uratowani.

Miraż trwał jednak jeszcze zaledwie parę chwil. Potem obraz zaczął drżeć, zamazywać się i znikł. Patryk wybuchnął płaczem.

- To fatamorgana - cicho wyjaśnił Tomek, głaszcząc chłopca po głowie. - Bardzo rzadkie zjawisko. Występuje rankiem lub z wieczora. Na skutek rozrzedzonego powietrza widać okolice odległe nawet o sto kilometrów. Ludzie pustyni nazywają to "krajem stającym na głowie".

W płaczu Patryka znalazł ujście niepokój, w jakim chłopiec żył od kilku dni i nagle, gorzkie rozczarowanie, choć on sam o tym nie wiedział. Mężczyźni pozwolili mu się wypłakać, a potem Nowicki wziął go za ręce i powiedział:

- Dostyc, brachu! Wystarczy! - A gdy chłopiec na próżno starał się uspokoić, dodał: - Jesteś dzielny irlandzkim chłopcem. Co teraz powiedzieliby twój ojciec i dziadek, no?

Patryk uśmiechnął się przez łzy.

- Już dobrze... Ja przecież wiem, że wujek Ted, jest jak mój dziadek, a wujek Tom jak ojciec. Muszę być dzielny!

Nowicki z Tomkiem wymienili uśmiechy.

- No to, mały brachu - powiedział marynarz - ruszamy.

Tego dnia przekonali się, co może z człowiekiem uczynić pustynia. Tomek nakłaniał, aby dotrzeć jak najdalej. Nie mówił o tym, ale dobrze widział, że z Nowickim dzieje się coś niedobrego. Marynarz starał się trzymać fason, nadrabiał miną, ale szedł prawie na oślep, z zamkniętymi oczami, starając się osłonić je choć trochę przed kurzem i słońcem.

Nagrzane powietrze drgało lekko, tworząc niesamowite, fantastyczne złudzenia. Daleko unoszący się pył pustynny wydawał się płonącym ogniskiem, wznosił się jak wąż, kręcił i opadał... Promienie słońca załamywały się tak, że przedmioty odbijały się jak w wodnym zwierciadle, tworząc złudne obrazy jezior czy kałuż. Podczas jednego z odpoczynków w przytulnym cieniu Nowicki powiedział z niezwykłą u niego powagą:

- Szalona ta pustynia. Widzisz wodę, idziesz ku niej, a to morze piasku. Niech się zamienię w wieloryba, jeśli to nie szatańska sztuczka.

- Bahar esz-szaitar! - szepnął Tomek.

- Co tam klarujesz, brachu?

- To po arabsku - wychrypiał Tomek. - Znaczący: "morze diabła". Tak miejscowi nazwali to zjawisko.

- No, no, od kiedy znasz arabski...

- Ech, tylko parę charakterystycznych słów.

Ruszyli dalej, bardziej już odporni na obietnice pustynnych mirażów. To, co z daleka wydawało się wzgórzem, było zaledwie większym kamieniem. Kępy traw udawały gęsty las, a małe nierówności wybuchały w niebo jak kominy. To, że nie zabłądzili zawdzięczali żelaznej konsekwencji Tomka oraz instynktowi i nieprawdopodobnej wręcz spostrzegawczości Patryka, który bezbłędnie nauczył się odróżniać charakterystyczne, naturalne znaki od złudnych mirażów.

Nowicki słabł. Czuł to sam i ogarniało go przerażenie. Lękał się nie tyle śmierci, ile kłopotu, jaki sprawi Tomkowi i tak przecież obciążonemu odpowiedzialnością za dziecko. Oczy łzawiły i zaczynały chyba ropieć. Przypomniawszy sobie dziesiątki spotykanych w tym kraju ślepców[131]. "W Egipcie na dwu Egipcjan przypada tylko troje oczu" - jak tu mówiono. Poza tym męczyło go straszliwe pragnienie. Myśl o wodzie stawała się powoli obsesyjna. Momentami zdawało mu się, że siedzi w jamie pełnej wody i pije, pije, pije...; albo że pływa rozkosznie gdzieś w słodkim, przejrzystym jeziorze. Tomek dawał mu pić, częściej niż sobie czy Patrykowi, ale raz czy dwa niemal siłą musiał odebrać mu gurte. Marynarz miał halucynacje i zaczynał chwilami bredzić w gorączce.

Z półprzytomnym i na wpół tylko widzącym Nowickim oraz śmiertelnie znużonym Patrykiem dotarli jednak do upragnionej studni! To był ogromny sukces. Nie zabłądzili i nie opadli całkiem z sił. Znaleźli się przy źródle wody, a więc w miejscu, które musiało być znane pustynnym wędrowcom.

Woda znajdowała się w głębokim, szerokim rowie otoczonym z jednej strony wzgórzami skalnymi, a z drugiej żwirowo-piaszczystą równiną. Rów miał około 6 metrów głębokości. Tomek natychmiast podał marynarzowi gurte z wodą, którą ten wysączył do ostatniej kropli. Przy studni stał duży gliniany garniec, z przywiązaną do niego liną. Naciągnęli wody i ugasili pragnienie. Woda była tu chłodna i czysta. Tomek polał nią nabrzmiałą twarz Nowickiego i kładł zimne, mokre kompresy na jego oczy. Nie spał dobrze w nocy. Słuchał pustyni i jej stałych mieszkańców - zwierząt. Zawył gdzieś szakal i rechotały pustynne żaby[132]. Nad ranem zaczęły brzęczeć moskity i pojawiły się wszędobylskie, ohydne muchy. Nowicki obudził się w nieco lepszym stanie.

- Oj, brachu, ledwo zipię. Łyk jamajki postawiłby mnie na nogi - powiedział.

- Słuchaj, Tadku, porozmawiajmy, zanim obudzi się Patryk. Dotarliśmy do wody. Mamy jedną trzecią drogi za sobą. Co dalej?

- Jak to co?! Ruszamy...

- Nie jestem pewien - Tomek przecząco pokręcił głową. - Chłopiec jest już bardzo

zmęczony, ty... chory.

Zapadło milczenie. W końcu Nowicki zapytał:

- Co zatem proponujesz?

- Tu jest woda, a więc życie. Zostawię was i pójdę po pomoc. Wezmę ze sobą gurtę. Jeden przeżyje o wiele dłużej niż trzech. Poza tym... - przerwał.

- ... Poza tym? - pytająco powtórzył Nowicki.

- Poza tym to musi być uczęszczany szlak. Pustynne studnie znają przewodnicy karawan i miejscowi Beduini. Ktoś więc was znajdzie.

- Może więc czekajmy razem?

- Nie! W ten sposób tracimy jedną z szans. Muszę spróbować. Pożegnaj ode mnie Patryka.

Uściskali się.

- Idź z Bogiem, brachu - powiedział marynarz i przeżegnał Tomka ruchem dłoni.

\*\*\*

W blasku wschodzącego nad pustynią słońca wszystko stawało się jasne. Tylko w oczach i w duszy Nowickiego trwała noc.

## CZWARTY POSĄŻEK

- Sadim!

- Jestem, panie!

- Giaurzy odeszli w pustynię... Pójdiesz z tym do kobiety - przywódca podał mu posązek faraona w myśliwskim stroju.

- Tak, panie!

- Powiesz, że od jej męża. Powiesz, że każe jej iść z tobą. Powiesz, że odnalazł grobowiec.

- Tak, panie!

- Zaprowadzisz kobietę do groty...

- Do groty, panie?

- Tak! Tam znikniesz i uwolnisz zapadnię.

- Ale, panie...

- Uwolnisz... Zasypiesz wykopane przez nas przejście i wrócisz.

- Ale...

- Sadim! Odejdź! Nikt nie może igrać z władcą Doliny.

Sadim aż skulił się w sobie porażony wewnętrznym chłodem. Owszem, przestraszyć, oszukać, pokreć. Do tego był gotowy... Ale zabić... Wątpliwości opanowały jego serce. Zostawienie w grocie kobiety samej równało się z wyrokiem śmierci... Tak samo pewnym jakby wykonał go od razu. "Żelazny faraon", o czym Sadim dobrze wiedział, był jednak człowiekiem nieubłaganym. Ruszył by wypełnić swą powinność.

\*\*\*

Sally nie mogła sobie znaleźć miejsca, pełna niepokoju. Położyła rękę na łbie Dinga. - Gdzie pan, piesku? - spytała. - Nawet ty nie wiesz...

To, że Tomek, Nowicki i Patryk nie wrócili na noc, było wytłumaczalne. Wyruszyli dość późno, a spotkanie mogło być interesujące. Ale teraz dzień dobiegał końca bez żadnej wiadomości. Uznała w końcu, że sama nie zdołała niczego. Postanowiła zawiadomić policję.

Raz podjąwszy decyzję, poczuła się lepiej.

Zaczęła przygotowania do opuszczenia obozu, kiedy podszedł jeden z arabskich służących, aby ją zawiadomić, że przybył posłaniec.

Sally wyszła przed namiot. Posłaniec wydał się jej jakiś znajomy. "Gdzie tę twarz widziałam?" - myślała.

Posłaniec nisko się pokłonił, podając jej jednocześnie coś zawiniętego w płótno. Zanim

rozwinęła przesyłkę, ze zdziwieniem stwierdziła, że zna tego człowieka, że gdzieś musiała go już widzieć. Próbując umiejscowić znajomą twarz, powoli odwijiała płótno. Kiedy ujrziała zawartość, przestała myśleć o czymkolwiek innym. Nie było wątpliwości.

To był czwarty, oderwany od złotej tacy posążek Tutanchamona. Lśnił złociście, a jednak wydawał się zbyt lekki. Zdumiało to Sally. "Musi się za tym kryć jakaś tajemnica" - myślała. "Gdyby posążek był ze złota, ważyłby z pewnością więcej". Wróciła do namiotu i odszukała fotografie. Wszystko zgadzało się doskonale. Młody faraon z myśliwską dzidą w jednej ręce, w drugiej trzymał "anch"[\[133\]](#), symbol nieśmiertelności. Kolejną oznaką wskazującą, że chodzi tu o zmarłego była wąska, zawinięta na końcu broda.

Sally wybiegła rozgorączkowana, zapominając o bożym świecie.

- Skąd to masz? - spytała z wypiekami na twarzy. Sadim odpowiedział łamaną angielszczyzną:

- Twój mąż znaleźć. On mnie przysłać i kazać powiedzieć: zono przyjdź, ja znaleźć grobowiec.

- Grobowiec? Grobowiec Tutanchamona?

- Nie wiedzieć. Iść ze mną. Ja zaprowadzić.

- Zaraz będę gotowa.

Oczywiste było, że Sally nic już nie powstrzyma. Posłaniec jednak ponaglał:

- Iść zaraz - rzekł z naciskiem. - Niedługo ciemność.

Przypomnienie o zbliżaniu się nocy odniosło wręcz przeciwny skutek. Ostudziło nieco rozpaloną głowę. Sally znalazła dość rozwagi i tyle przynajmniej zimnej krwi, by napisać kilka słów do Smugi. Wysłała też natychmiast służącego do "Winter Pałace", polecając zostawić tam list. Załatwiwszy to, ruszyła za posłańcem.

Sadim z pozoru szedł w kierunku Medinet Habu, często jednak klucząc. Całkiem zresztą na próżno, bo Sally nie zwracała uwagi na drogę. Wciąż oglądała czwarty posążek pełna pytań, wątpliwości i marzeń. Ważyła go w dłoni, podejrzewając, że pod warstwą złota coś się kryje. "Może jest wydrążony wewnątrz i zawiera jakieś tajne inskrypcje? Albo papirus z zaklęciem?" - myślała. "Nie bez powodu jest taki lekki."

Z obozu wybiegł za nią Dingo, ale wobec ostrego sprzeciwu Sadima, Sally odesłała go z powrotem. Zawrócił niechętnie, warcząc głucho. Normalnie nie zlekceważyłaby takiego zachowania psa, ale teraz przepełniała ją radość, że jest na tropie wielkiego archeologicznego odkrycia. Odnaleźć grób Tutanchamona, to dopiero będzie sensacja i sława! Nie mogąc opanować niecierpliwości, ciągle pytała posłańca:

- Kiedy, gdzie, jak znaleźli grobowiec?

- Nic nie wiedzieć, nic nie mówić - odpowiadał niezmiennie Sadim. Zapadał zmierzch, kiedy krętymi ścieżkami doszli do Doliny Królów. Sally poczuła lęk. Powoli rodził się niepokój.

- Gdzie jest Tomek? Przecież już noc - powiedziała. - Może wrócimy tu jutro.

Sadim zauważył jej wahanie.

- Mąż kazał dziś... być chory... - i widząc nagłe zdenerwowanie Sally, dodał chytrze:

- Nie tak bardzo. Tylko trochę.

Sally sprawdziła, czy rewolwer spoczywa w kieszeni i już bez ociągania ruszyła za nim.

“Dlaczego nie ma tu Nowickiego? Dlaczego nie przyszedł po mnie sam?” - pomyślała jeszcze gorączkowo, ale zanim zdążyła zrozumiale sformułować pytanie, Sadim oznajmił:

- To tutaj!

Przeszli między dwoma skalnymi blokami, które osłaniały otwór przypominający wejście do groty. Sadim zapalił gliniany kaganek, jeden z kilkunastu stojących obok siebie i podał go Sally. Sam wziął drugi. Przekroczył próg, schylając głowę. Korytarz prowadził osiem, może dziesięć metrów poziomo, a potem gwałtownie, stromo, niemal pionowo schodził w dół[134]. Z boku widniały otwory wiodące do bocznych komór. Sally bardzo chciałaby je poznać, zobaczyć, ale Sadim bardzo się spieszył:

- Mąż później pokazać. Teraz nie ma czasu. On chory - mówił bez ładu i składu.

- Ale gdzież w końcu jest? - prawie krzyknęła Sally.

- Najniżej. W pokoju, gdzie mumie... - odrzekł.

Mijali więc szybko krypty ze skarbami i pośmiertnym wyposażeniem zmarłego. Doszli wreszcie do szeregu najniżej położonych krypt, gdzie musiał znajdować się sarkofag z mumią i urny z wnętrzościami. Pisnęła pod nogami mysz. We wnętrzu głównego pomieszczenia drgało niewielkie światełko.

- Mąż tam! Idź! - Sadim pchnął ją lekko do przodu. Spojrzała mu w oczy. Zawahała się.

- Idź! Idź! - ponaglił.

Zdecydowała się. Szybko przeszła parę ostatnich metrów i weszła do środka. Stała w przejściu zdumiona. W krypcie nie było nikogo. Grobowiec nie zawierał również ani jednego sarkofagu, lecz w skalnych niszach spoczywało wiele spowitych w białe płótna ciał zmarłych przed wiekami Egipcjan. Sally zadrżała od wewnętrznego chłodu. Obejrzała się za przewodnikiem. Nigdzie go nie było.

Zrozumiała, jak była naiwna, jak łatwo dała się zwabić w pułapkę. “Wiem, skąd znam tego człowieka z zalęknionymi oczyma” - nagle sobie to przypomniała. Nowy służący - tak żona ważnego urzędnika kiedyś w Kairze odpowiedziała na jej pytanie. “Pamiętam, że przemknęło mi wtedy przez myśl: jakież to dziwne zbieg okoliczności, że ten człowiek pochodzi ze stron, w które wyruszamy”. W wyobraźni widziała teraz dokładnie całą tę scenę. “A więc możliwe, że wiedzieli o nas i od początku nas ścigali, podczas gdy my dokładaliśmy starań, aby ich znaleźć” - myślała dalej. “Wszystko układałoby się wtedy w logiczny ciąg: napad na statku, zniknięcie chłopców, pułapka zastawiona na mnie”. Pomyślała jeszcze, że także chłopcy musieli dać się podejść nieznanemu, niebezpiecznemu

wrogowi.

Nie zamierzała bezradnie czekać. Postanowiła jak najszybciej wrócić do obozu. Nie dotarła jednak daleko. Usłyszała huk spadających kamieni. Podmuch o mało nie zgasił kaganka, który kurczowo ścisnęła w dłoni. Z trudem oddychając, pobiegła do przodu. Zatrzymała ją ściana z kamieni. Zrozumiała... Została zasypana, żywcem pogrzebana...

Przez chwilę nie mogła zrobić jakiegokolwiek ruchu. W końcu się otrząsnęła. Była wszak córką australijskiego pioniera i żoną podróżnika. Wróciła do krypty z mumiami. Zgasła swój kaganek, widząc, że płonący tutaj ma jeszcze spory zapas oliwy. Posążek postawiła obok światła.

“Skoro już tu jestem - pomyślała - rozejrzę się nieco, może znajdzie się jakieś wyjście”.

Nie trzeba było wielkiego znawcy, by stwierdzić, że ktoś tu buszował. Naruszono dostojny spokój grobowca.

- Kiedy to się mogło stać - szepnęła do siebie Sally. - Przed wiekami czy teraz?

W migotliwym świetle kaganka zaczęła pilnie rozglądać się wokół... Coś zalśniło w blasku płomienia. Pochyliła się i podniosła ostro zakończony niewielki sztylet. Obejrzała go ostrożnie. Widziała dziesiątki podobnych na targu.

- Więc to tak - szepnęła. - Chyba trafiłam na właściwe miejsce.

- Może tego właśnie szukaliśmy?

Postanowiła dokładniej obejrzyć niektóre mumie. Podchodziła dokładnie je oświetlając. Spod nóg czmychnęła jakaś wystraszona jaszczurka. “Nietoperze, dlaczego nie ma nietoperzy?” - przemknęła myśl.

Mumia, nad którą właśnie się pochyliła, miała rozcięte bandaże. Złodziej szukał ukrytych między nimi kosztowności, ozdób, amuletów. “Czyżby stąd pochodziły starożytności, których szukamy? Jak to możliwe?” - pytała samą siebie. “Przecież nie znaleziono grobu Tutanchamona, a ten także nim, niestety, nie jest. To nie mogą być mumie faraonów... Tyle tych mumii... Za dużo ich...”

- myślała, oświetlając kolejne ciała i przyglądając się im dokładnie. Bez wątpienia wszystkie były naruszone.

“A może tylko grobowiec Tutanchamona tego uniknął?”... - mało brakowało, by wypowiedziała to głośno. “Nie to niemożliwe” - odpowiedziała sama sobie. “Przecież od niepamiętnych czasów okradano grobowce. Czyżby tylko Tutanchamon tego uniknął?... Nie, to niemożliwe!”

Niemal już zapomniała o swoim tragicznym położeniu.

“Może ktoś okradł i ten grobowiec, przeniósł część jego skarbów tutaj i zginął? A inni złodzieje, po wiekach, znaleźli to miejsce i udają, że odkryli grób legendarnego faraona?”[\[135\]](#).

Myśli kłębiły się w głowie. Wtem z przeciwległego kąta dobiegł przedziwny dźwięk,

jakby zawodzenie:

- Aaa... Aaaaaa... - zrazu cicho, potem głośniej, tonem raz wysokim, raz niższym, niczym jakaś egzotyczna, wschodnia melodia.

Sally otarła pot z czoła.

- Coś mi się przywidziało - powiedziała głośno, próbując wrócić do swego zajęcia.

Ale coś jakby otarło się o mur. Wibrujący jęk rozdarł ciszę pomieszczenia.

- Aaa - brzmiał - aaaa - przechodził w skowyt.

Sally, teraz naprawdę przerażona, stłumiła krzyk, zasłaniając ręką usta. Płomień kaganka w niepewnej dłoni zamigotał gwałtownie, rzucając na ściany przedziwne tańczące cienie. Tylko przez chwilę trwała cisza. Biała postać, spoczywająca w jednej z nisz, wyraźnie poruszyła się. Ukazały się spowite w biel nogi. Mumia z wolna się prostowała. Ciszę przerwał znowu jęk:

- aaaa...

Sally przypomniała sobie naraz wszystkie niesamowite opowieści o zemście tych, których spokój naruszano. Jak sparaliżowana tkwiła w miejscu, trzymając w jednej ręce płonący wciąż kaganek, a w drugiej znaleziony sztylet. Zapomniała, że w kieszeni spodni spoczywa rewolwer. Cóż zresztą można zrobić zmarłemu? W końcu ruszyła się. Zaczęła powoli, nie odwracając oczu od tajemniczego zjawiska, przesuwać się wzdłuż ściany, w kierunku, skąd przyszła. Ale mumia uczyniła to samo, zagrządzając jej drogę. W pełgającym blasku kaganka złowrogo zaśniły przedziwnie żywe oczy...

Ale Sally zapanowała już nad obezwładniającym przerażeniem. Znalazła otuchę we wspomnieniach. Ujrzała twarz męża, pogodne oblicze Nowickiego, opanowane rysy Smugi i kojący uśmiech Wilmowskiego. "Ach, Tommy, Tommy" - westchnęła. Wróciła do rzeczywistości. Postanowiła się bronić.

- Jesteś czy nie jesteś trupem, odejdz! Odejdz, bo zabiję! krzyknęła.

Ostrzegawczo uniosła sztylet. Wtem płomień kaganka zachybotał i zgasł. Zapanowała ciemność. Sally odruchowo rzuciła w stronę białej postaci glinianym naczyniem. Przeraźliwy jęk rozległ się tuż obok. - Aaaaaa... Aaaaaa... - Poczuli dotknięcie śliskich palców na szyi, jednocześnie dłoń ze sztyletem znalazła się w żelaznym uścisku. Sztylet potoczył się na ziemię. Oślizłe palce zaciskały się na gardle. Trwało straszliwe, nieustanne zawodzenie. Sally walczyła, ale słabła, powoli traciła przytomność.

\*\*\*

- Sadim!

- Tak, panie!

- Dobrze się spisałeś!

- Tak, panie!



- Zasłużyłeś na nagrodę!

- Tak, panie!

- Masz - rzucił mu sakiewkę.

- Dziękuję, panie!

- Nie dziękuj! Tylko milcz! Pamiętaj, że jestem władcą Doliny! Sadim wpatrywał się w ciemność, w której znikł przed chwilą przywódca, z zabobonnym lękiem. "Jestem mordercą" - pomyślał, ściskając w ręku pieniądze.

## PRZYBYWA SMUGA

Wdali widać już było smukły minaret, królujący nad Luksorem. Kolejna w Egipcie podróż Smugi, Wilmowskiego i cierpliwie towarzyszącego im Abbera dobiegała niemal końca. Przejęci ostrzeżeniem Jusufa, wybrali pociąg, najszybszy środek lokomocji, jaki na trasie z Al-Fajjum do Luksoru mieli na szczęście do dyspozycji. Od Kairu dzieliło ich już 680 km, a wciąż wracali tam myślą. Jeśli bowiem Jusuf miał rację, to od czasu rozmowy w domu Ahmada al-Saida, zawisło nad nimi prawdziwe niebezpieczeństwo. Spieszyli się, wierząc, że zdążą ostrzec albo przynajmniej ubezpieczyć grupę Tomka.

Obserwowanie monotonnego krajobrazu za oknem szybko nużyło: wszędzie takie sama podmiejskie domki z suszonej cegły, chaty fellachów, oparte jedna o drugą, by nie runąć, małe mroczne domki wzdłuż torów, ludzie umęczeni i spracowani, gdzieś gaje palm daktylowych i niknąca w dali roślinna zieloność, kończąca się nagle pasmem brunatnych wzgórz. Jechali pierwszą klasą, przeznaczoną dla Europejczyków. Wilmowski, którego bardzo interesowało to, jak wyglądają inne wagony, postanowił przejść wzdłuż pociągu. Arabscy pasażerowie, w większości pałacy smrodliwe specjały, mościli się na siedzeniach w kucki. W całym pociągu okna były szczelnie zamknięte i dodatkowo chronione drewnianymi okiennicami. Spoceni, umęczeni pasażerowie zdawali się to znosić cierpliwie, aż wreszcie Wilmowski, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, otworzył okno w jednym z przedziałów. Natychmiast wdarła się tam fala wzniesionego pędem pociągu pustynnego kurzu, który niczym mgła pokrywał horyzont. W mgnieniu oka przysypał wszystkich pasażerów kilkumilimetrową warstwą. Zażenowanemu Wilmowskiemu nie pozostało nic innego, jak zamknąć okno, przeprosiwszy co prędzej poirytowanych podróżnych, i wrócić do swego wagonu.

W końcu pociąg powoli wtoczył się na dworzec w Luksorze. Smuga, Wilmowski i Abeer wysiedli z ulgą, a na peronie natychmiast otoczyli ich tragarze, oferujący swe usługi. Wsiedli więc do wygodnej arabija, tutejszej dorożki, aby dotrzeć do hotelu "Winter Pałace". Krętymi uliczkami wzdłuż niskich domków, z przylegającymi do nich sklepikami i kafejkami, dotarli do nadbrzeżnego bulwaru. Chłodzeni lekkim wiatrem od Nilu, z przyjemnością jechali ocienioną rozłożystymi tamaryszkami aleją. Radował oczy widok szeroko tu rozlanych, błękitnych wód rzeki. W dali widać było dzielnice willowe, zanurzone w osłaniających je palmach, figowcach, tamaryszkach, sykomorach i gajach bananowych. Za nimi lśniły liliowo ogromne, starożytne kolumny, połączone z ruinami potężnych murów, wspartych na plecach kolosalnych posągów.

- To resztki świątyni, u stóp której zatrzymywały się łodzie podróżnych, którzy przybywali do Teb. Najpierw musieli oni złożyć hołd bogowi tego miejsca, Amonowi. Tu odbywały się też powitania wracających z wojennych wypraw okrętów, wiozących cenne łupy - opowiadał Abeer.

Nowoczesnym podjazdem dotarli do hotelu. Tutaj zaledwie zapisali się w księdze gości, recepcjonista obrzucił ich uważnym spojrzeniem i zapytał:

- Który z panów nosi nazwisko Smuga?

- Ja - odrzekł podróżnik. - O co chodzi?

- Jan Smuga? - powtórzył recepcjonista.

- Tak. Jestem Jan Smuga.

- Mam list dla pana.

- Dziękuję.

Smuga niecierpliwie rozerwał kopertę.

- Sally - powiedział i przebiegł wzrokiem treść.

- Co pisze? - zapytał Wilmowski.

- Sam przeczytaj - Smuga podał mu kartkę.

“Obozujemy u stóp Kolosów Memnona. Chłopcy wyszli wczoraj do Medinet Habu i nie wrócili. Przybył posłaniec z wezwaniem od Tomka, który znalazł grobowiec. Idę z nim. Sally.” - głośno przeczytał Wilmowski.

- Kto i kiedy przyniósł ten list? - Abeer niecierpliwie wypytywał recepcjonistę.

- Zostawiono go przedwczoraj, dwunastego kwietnia, ale nie ja miałem wtedy dyżur. Musiałbym zapytać kolegę - wyjaśniał recepcjonista.

- Czy państwo Allan są teraz w hotelu? - przerwał z nadzieją Wilmowski.

- Państwo Allan?... Zaraz sprawdzę... Nie, niestety, klucze od ich apartamentu wiszą tutaj. Wynajęli dla panów apartament obok.

- Tak! Dziękujemy. I prosimy bardzo o informacje o liście. To bardzo ważne i pilne.

Recepcjonista spojrział na zegarek.

- Kolega zmienia mnie za godzinę - powiedział.

Ulokowali się więc w apartamencie, umyli, zjedli kolację i przebrali. Po godzinie zeszli na dół.

- List przyniósł wynajęty przez młodego pana Allana służący - wyjaśnił, młody, uśmiechnięty Arab, urzędujący teraz w recepcji.

- Ale nie wiem tego na pewno - dodał. Wyszli na zewnątrz.

- Mam złe przeczucia - powiedział Wilmowski.

- Cóż, trzeba płynąć na drugi brzeg - odrzekł Abeer.

- Czy wzięliście broń? - zapytał cicho Smuga.

Wilmowski spojrział na niego z namysłem i zawrócił do hotelu.

Na drugi brzeg przeprawili się szybko jednożaglową łodzią, dając właścicielowi odpowiedni bakszysz. Kolosy Memnona i rozbite przy nich namioty dojrzeli niemal natychmiast. Radosnym szczeniem z daleka już powitał ich Dingo. Arabscy służący

udzielili informacji.

- Tak, to ja zaniósłem list. Pani Allan poszła z nieznanym człowiekiem. Mówiła, że do męża. Mąż wyszedł wcześniej na spacer do Medinet Habu i nie wrócił. Pani się niepokoiła.

Dodatkowe pytania niewiele wniosły nowego. Dowiedzieli się, że nikt ze służby nie zna człowieka, z którym Sally poszła. Tak, to był Arab. Niski, chudy, w galabii. Mówił trochę po angielsku. Chyba by go poznali. Czekali do wczoraj zdenerwowani. Mieli już dać znać policji... I to było wszystko. Mogli jeszcze tylko określić kierunek, w jakim poszła Sally.

- Czemu nie wzięła psa? - zapytał Wilmowski, a Abeer przełożył jego pytanie.

- Wzięła, ale zaraz potem pies wrócił - wyjaśnił służący.

- Gdzie Sally, piesku? Sally, Sally... - Wilmowski odwrócił się do psa, który zaskomlił niepokojąco.

- Może to i dobry sposób - powiedział Smuga. - Spróbujmy! - i podsunął psu jedną z bluzek Sally.

Dingo obwąchał bluzkę dokładnie, popatrzył mądrymi ślepiami na Wilmowskiego i pewnie ruszył tropem. Biegli za nim wąskimi, skalnymi załomami. Skomlenie psa, chrzęst piasku pod nogami i ich zdyszane oddechy przerywały ciszę. Dingo nieco ich wyprzedził i zniknął między dwoma blokami skalnymi. Zaraz też usłyszeli przeciągłe wycie. Zobaczyli go po chwili obwąchującego zawałony kamieniami otwór w skale. Tu urywał się trop.

Popatrzyli na siebie. Abeer usiadł na kamieniu jakby opadł z sił.

- Boże drogi! - łamiącym się głosem rzekł Wilmowski. - Co oni zrobili mojemu dziecku?

Smuga zachował spokój.

- Zastanówmy się, co mogło się tu wydarzyć! - zaapelował do towarzyszących mu mężczyzn.

- Cóż, to proste. Weszli do groty i zasypało ich - odparł Abeer.

- Weszli? Kto? - także Wilmowski przychodził już do siebie.

- No... Żona pańskiego syna i ten... posłaniec.

I w tym momencie uświadomili sobie, że owego posłańca wysłał Tomek. Czyżby więc wszyscy znaleźli się pod głazami? Nowicki, Tomasz, Patryk, Sally i posłaniec? Kto mógł jeszcze z nimi być? Nie padło ani jedno słowo. Pierwszy ruszył Wilmowski i zaczął przerzucać kamienie.

- Daj spokój, Andrzej - powstrzymał go Smuga. - Potrzeba nam ludzi i sprzętu. Musimy zorganizować ekipę.

- Idźcie - odrzekł Wilmowski. - Ja zostanę.

- Nie wolno tracić nadziei. Nie wiemy, co i w jakiej części zostało zasypane. Możliwe że żyją.

- Tym bardziej się pospieszcie.

W tym momencie przerwał im Abeer.

- Na Allacha! Ciszej!

Smuga uspokoił psa. Abeer przyłożył ucho do skały.

- Allah kerim! Ktoś stuka - zawołał.

Wilmowski i Smuga uklękli przy ścianie. Rzeczywiście, ktoś równomiernie w nią uderzał: trzy krótkie, trzy długie, znowu trzy krótkie i przerwa. Potem to samo od nowa.

- To SOS! - krzyknął Wilmowski. - Nowicki wzywa ratunku, używając alfabetu Morse'a[136].

- A więc żyje! Żyją! - z naciskiem rzekł Smuga. Chwycił duży kamień i zaczął regularnie uderzać w skałę. Dawszy znać uwięzionym, że ratunek jest bliski, przejął inicjatywę.

- Ty, Abeer, zorganizuj ekipę w najbliższej wiosce. Płać hojnie! Niech przyniosą łopaty, kilofy, liny, wiadra... Wszystko, co może być do takiej pracy konieczne. Ja biegnę do obozu po służbę. Ty, Andrzej, zostań tu i czuwaj. I bądź ostrożny! Nie wiemy przecież czy to był wypadek.

- Przypuszczasz, że mogli zostać zasypani?

- A czy możesz to wykluczyć? Nie możesz. Bądź więc ostrożny! Wilmowski został sam. Rozejrzał się wokół. Wejście do grotty było doskonale zamaskowane przez skały. Natrafić na nie można było chyba tylko przypadkiem. "Jak to dobrze, że był z nami Dingo, wciąż zadziwiająco sprawny jak na swe lata. Po chorobie wkroczył jakby w swą drugą młodość" - Wilmowski pogładził ulubieńca.

Poczucie, że traci czas stało się wkrótce nie do zniesienia. Spróbował odrzucać kamienie z zawalonego przejścia, ale szybko zrozumiał, że na nic się to nie zda. "Do zmierzchu zostało jeszcze parę godzin" - pomyślał. "Lepiej będzie rozpoznać teren. To pomoże zorganizować pracę, kiedy nadejdą ludzie".

Rozejrzawszy się dokładniej, zauważył rodzaj skalnych schodów prowadzących aż na szczyt. Nierównych, dziwnie ukształtowanych przez naturę, ale przecież możliwych do pokonania.

- Leczyć tu moje dolegliwości, to był zaiste dobry pomysł. Czuję się rzeczywiście doskonale - ironizował wchodząc na pierwszy stopień. Szybko pokonał następne i stanął na płasko zakończonym wierzchołku. Od razu spostrzegł otwór, prowadzący w głąb, i metodycznie zwiniętą grubą linę w zagłębieniu obok. Podniósł niewielki kamień i wrzucił do środka. Nadśluchiwał, licząc sekundy.

- Raz, dwa, trzy... dziesięć... dwanaście... Powoli doświadczenie.

- Cóż - rzekł do siebie. - Strasznie głęboko...

Zmierzył linę. Miała ponad pięćdziesiąt metrów długości. Pochylił się nad otworem.

- Tomku! Sally! Tadku! Patryku! - nawoływał. Wewnątrz wtórowało mu echo, po czym wszystko umilkło. Ponowił okrzyk, ale trwała cisza. Zastanowił się, czy nie zejść po linie w dół i uznać, że nie byłoby to rozsądne. Nikt życzliwy nie czuwałby przecież u góry. Pozostawało cierpliwie czekać na powrót Abeera i Smugi. Postanowił zatem zejść do miejsca, gdzie przyjaciele spodziewali się go zastać. Załedwie ruszył, gdy z dołu dobiegł kobiecy głos:

- Tu jestem! Jestem!!! Poznał Sally.

- Sally, czy wszystko w porządku? - zawołał.

- Tak! - odpowiedziała.

- Kto jest z tobą?

- ... nikogo. Jestem sama.

Echo zwielokrotniało ich głosy, a niecierpliwość utrudniała porozumienie.

- Czekać, idźcie pomóc! - zawołał jeszcze Wilmowski, aby dodać Sally otuchy.

Z dołu dobiegło jednak pytanie, przed którego zadaniem Wilmowski, choć targany niepokojem, na razie wolał się uchylić.

- Gdzie Tommy?

Zawisło jak niemożliwy do udźwignięcia kamień.

\*\*\*

Sally dawno ocknęła się z omdlenia. Najpierw nie mogła zapanować nad strachem. Bała się choćby spojrzeć czy poruszyć. Niczym nie zmałona cisza dodała jej odwagi. Wracała zdolność myślenia. Instynkt nakazywał szukać wyjścia z sytuacji.

“Muszę dokładniej obejrzyć grootę” - postanowiła. Siłą woli narzuciła sobie spokój. “Mumia” okazała się wszak żyjącym człowiekiem. A człowiek musiał się tu dostać, podobnie jak ona, a potem wydostać. Mógł skorzystać z tego samego wejścia, ale nie mógłby tamtędy wyjść, skoro zostało zawałone zanim “mumia” ją zaatakowała. Oczywistość tego rozumowania podniosła ją na duchu. Ruszyła w głąb groty, rozglądając się uważnie.

Najpierw spostrzegła padający z wysoka wąski promyk światła. Wkrótce zrozumiała, że w nieprzeniknionej dla wzroku ciemności, w niewidocznym z dołu sklepieniu groty musi być otwór. “Jak się tam dostać?” - pomyślała.

Nad niszami, w których spoczywały mumie, ściana do wysokości dwunastu, czternastu metrów była jednak gładka, co wykluczało wspinaczkę. Dopiero powyżej można by było oprzeć dłoń czy nogę o wystający załom lub wgłębienie. Bez liny nie mogłaby tam dotrzeć. Powoli, niczym piasek w klepsydrze, przesypywały się minuty. Nie mogła dłużej czekać bezczynnie. Wróciła ciemnymi korytarzami do wyjścia. W blasku kaganka zaczęła mozolnie przenosić kamienie. Zmęczona odpoczywała, a potem znowu zabierała się do pracy, chociaż niemal straciła nadzieję. Nagle wydało się jej, że coś słyszy: głosy ludzkie,

ujadanie czy wycie psa?

“Pomoc” - pomyślała. - “Dingo!”.

I zaczęła mocno walić kamieniem w ścianę.

\*\*\*

Od tego momentu wszystko potoczyło się szybko. Wkrótce usłyszała Wilmowskiego. Czekwała spokojnie.

- Sally - krzyknął wreszcie Wilmowski. - Rzucamy linę.

Po chwili znalazła się w ramionach Smugi, który zręcznie opuścił się na dół. Przytulił ją mocno do siebie. Opowiedziała wszystko po drodze do obozowiska.

- Nie rozumiem tylko jednego - zakończyła już przy kolacji. - Skoro zasypali przejście, po co jeszcze ta nieszczęsna “mumia”? Ten ktoś wystraszył mnie tak bardzo, że nie wiem jak i kiedy straciłam posążek. I to zanim zdołałam dokładnie go obejrzeć - dodała z niekłamanym żalem.

- Być może ja rozumiem - odparł Smuga, spowity kłębam dymu. A gdy wszyscy spojrzeli na niego, powiedział:

- Czynił to szalenie!

\*\*\*

Zapadła już wprawdzie noc, ale dla nich nie przyszła jeszcze pora odprężenia i odpoczynku. Musieli działać szybko. Wyjaśnienia Sally nie pozostawiały wątpliwości, że Tomek, Nowicki i Patryk musieli się znaleźć w okolicznościach groźniejszych niż określane mianem niebezpiecznej sytuacji. W obozie została na noc tylko Sally. Wilmowski zabrał jednego z arabskich służących na drugi brzeg, by złożyć meldunek policji. Smuga i Abeer wsiedli na osiołki, by spotkać się z koptyjskim mnichem, żyjącym samotnie w pobliżu wioski Medinet Habu.

Droga wiodła skalnymi, kamienistymi, pustynnymi wąwozami. Kiedy skręciła w dół, nagle otworzył się widok na piękną dolinę z potężnymi pylonami wspaniałego zespołu świątyń[137]. Za nimi radował oczy widok palm, ogrodów i kopulastych chat Medinet Habu. Ale Smuga i Abeer wcale tego nie dostrzegli. Był już dzień, kiedy zatrzymali się przed ruinami i wioską, przy kopulastym, szeroko rozbudowanym koptyjskim kościółku św. Teodora. Wąska furтка prowadziła przez otaczający świątynię biały mur. Mnicha, dostojnego starca, zastali pracującego w ogródku. Chudy, wysoki, z cienkim nosem i bielusięnką, ściętą w szpic brodą, prezentował się okazale. W ciemnej twarzy uderzały nieco skośne, ciemne oczy. Nieźle mówił po angielsku. Pochylił głowę na powitanie i z radością przyjął pozdrowienia od swego kairskiego przyjaciela.

- Jesteście chrześcijanami? - zapytał. Smuga potwierdził, a Abeer powiedział:

- Nie! Ale wyznaję jednego Boga.

Staruszek pokiwał głową i zaprosił ich do kościółka. Zobaczyli ubogie wnętrze, ściany

bielone i nagie. Zatrzymali się przed skromnym, drewnianym ołtarzem, ozdobionym ludowym malowidłem. Tkwił nad nim, przymocowany do ściany, duży krzyż, z zakończeniem przypominającym staroegipski symbol życia. U jego stóp leżały wiązańki z ziół i kwiatów. Ubitą z gliny podłogę, jak w meczecie, przykrywały maty. Mnich ukląkł na jednej z nich. Modlił się na sposób arabski, bijąc pokłony. Smudze nie pozostało nic innego, jak uklęknąć także. Abeer z szacunkiem pochylił głowę.

Chata pustelnika, była równie uboga i skromna jak on sam i jego kościółek. Gospodarz posadził ich za stołem, stawiając na nim dzbanek koziego mleka i talerz z daktylami. Rozmowa toczyła się spokojnie i niespiesznie. Kiedy mogli wreszcie wyłożyć zasadniczy powód swego przybycia, mnich okazał zaniepokojenie.

- Mówicie, że szli do Medinet Habu i do mnie... Ciągłe zdarzają się u nas takie sprawy...  
- zamilkł i na chwilę popadł w zadumę.

- Cóż, jutro jest niedziela. Przybędą wierni. Porozmawiam, może ktoś coś widział. Dam znać, przyślę kogoś do waszego obozu - zdecydowanie zakończył rozmowę.

Mimo zmęczenia gnani niepokojem wracali do obozu nocą, nie skorzystawszy z noclegu.

\*\*\*

Sadim od kilku dni chodził ponury i smutny. Dzieci schodziły mu z drogi, a żonie, gdy ośmieliła się go zagadnąć, odburknął coś z taką złością, że przerażona uciekła. Jak co wieczór wyszedł z domu i poszedł w stronę skał otaczających wioskę. Szedł nad urwisko, by odpocząć i odetchnąć, spojrzeć stamtąd na dolinę Nilu. Słońce chyliło się powoli ku zachodowi, gdy dotarł na miejsce.

- Sadim - usłyszał nagle swoje imię i zobaczył przywódcę.

- Tak... Panie...

- Czemu krążysz wokół obozu giaurów?

- Nie krążę, panie. Tylko tak...

- Wiesz, że źle wykonałeś robotę.

- Nie, panie! Uczyniłem, jak kazałeś.

- Kobieta żywa i zdrowa jest w obozie.

- Zawałem przejście...

- Ale wydostała się. Co ty na to?

- Nie wiem, panie.

Przywódca krok za krokiem zbliżał się do niego, a nieszczęsny Sadim krok za krokiem cofał się w stronę urwiska.

- Sadim! Chcesz mnie zdradzić!



- Nie, panie, nie! Ja... Wykonałem przecież wszystko, jak mi kazałeś.

- Widzę zdradę w twoich oczach. Widzę to... Przywódca zaśmiał się dziko.

- Panie - jęknął Sadim. - Litości! Nie zabijaj!

- Zabić cię! Ja...!? Ciebie!? Ja, władca Doliny, ciebie pacholku? Ja nie zabijam ludzi! - zrobił w stronę Sadima jeden krok, drugi, trzeci... Ten przerażony, wpatrzony w oczy rozmówcy, cofnął się gwałtownie. Zachwiał. Runął w przepaść. Głośny krzyk utonął między skałami. Towarzyszył mu krótki przeraźliwy śmiech. Echo powtórzyło krzyk i śmiech równocześnie, niczym płacz gór...

- Ja nie zabijam ludzi - powtórzył "faraon". - Oni robią to za mnie sami.

I zniknął w ciemności.

\*\*\*

Wilmowski wrócił do obozu z dwoma policjantami z Luksoru i z całą ekipą robotników. Jeden z policjantów natychmiast wyruszył z ludźmi i Abeerem do grotty, by dopilnować odkopania zasypanego przejścia, zabezpieczyć grotę i to co w niej pozostało oraz sporządzić raport. Drugi, który pochodził z wioski El-Kurna, został w obozie.

- Nazywam się Mohammad Rasul - przedstawił się. - Mam dla panów telegram z Kairu adresowany do pana Smugi.

- To z ambasady brytyjskiej - rzekł Smuga i przeczytał głośno: "Wiedzą o was - stop - wracać natychmiast".

- Z telegramem przyszła instrukcja, by znaleźć panów w którymś z luksorskich hoteli lub na zachodnim brzegu Nilu - wyjaśnił policjant.

- Kiedy nadeszły te wiadomości?

- Wczoraj wieczorem. Zostawiliśmy informację w "Winter Pałace", bo tam byli państwo zameldowani.

- Cóż, wszystko za późno! Widzi pan, jakie mamy kłopoty.

- Owszem! Jestem zorientowany w sprawie. Od miesięcy szukamy tego "faraona", ale na próżno. Nic nie wiedzieliśmy o przyjeździe panów - dodał z wyraźną pretensją w głosie.

- Wyznaczyliśmy tu sobie miejsce spotkania z przyjaciółmi. Gdyby doszło ono do skutku, mielibyśmy dość informacji, by skontaktować się z policją - wyjaśnił Smuga. - Tymczasem przyjaciele zniknęli, a żonę jednego z nich próbowano zamordować.

- Zrobimy, co w naszej mocy - odparł Muhammad, odruchowo uciekając się do zdawkowego zapewnienia stosowanego przez każdą policję świata. Zaraz zresztą dodał:

- Zostałem oddelegowany do waszej dyspozycji. Mogę tylko powiedzieć, że Rasulowie nie mieli z tym nic wspólnego. Ktoś chciał skierować was na fałszywy trop. Dlatego proszę przyjąć zapewnienie, że ta sprawa stała się dla mnie sprawą osobistą.

- Pan Rasul jest wyśmienitym przewodnikiem, jak zresztą wielu innych mieszkańców

El-Kurna, a także znawcą okolicznych, pustynnych terenów - wyjaśnił Wilmowski.

Abeer wrócił w południe, a wieczorem doczekali się posłańca od koptyjskiego mnicha z Medinet Habu. Posłaniec opowiadał bezładnie, chaotyczne i oczywiście po arabsku. Tłumaczył jak zwykle Abeer.

- Widział dwu mężczyzn i chłopca, Europejczyków. Zmierzali ku Medinet Habu. Napadli ich Arabowie. Obezwładnili, wsadzili na konie i wielbłądy i odjechali na zachód. Ten człowiek wszystko widział, ukryty między skałami. Przestraszył się i nie chciał nikomu mówić, ale nakłoniony przez abbuna[138], przybył, aby nam to opowiedzieć.

- Zapytaj czy pamięta jakieś szczegóły - prosił Smuga.

Abeer rozmawiał przez chwilę z posłańcem po arabsku, a potem zrelacjonował:

- Mówi, że nie. Byli bardzo sprawni i wszystko nastąpiło tak szybko, że niewiele pamięta. Poza tym szamotanina wzbija tumany kurzu. Dziwi się jedynie, że niektórzy z napastników, udając się w kierunku pustyni, używali koni.

Rozmowa nie wniosła już nic nowego. Kopt odszedł uszczęśliwiony hojnym bakszyszem, a podróżnicy uzyskali pewność, że Tomasz, Nowicki i Patryk zostali porwani. Gdy zawiadomili o wszystkim Rasula, ten rzekł:

- Ów człowiek zeznał, że część napastników była konno?

- Owszem - potwierdził Abeer.

- To dziwne - mówił z namysłem policjant. - To bardzo dziwne. Musi oznaczać, że nie zamierzali wieźć ich daleko. Trzeba więc przeszukać pobliskie obozowiska Beduinów... Tak czy inaczej, o świcie ruszamy na pustynię.

Wydarzenia potoczyły się znowu z szybkością lawiny. O świcie Smuga ruszył wraz z Rasulem i jego ludźmi. Zabrali ze sobą Dinga, który mógł przydać się przy przeszukiwaniu beduińskich obozowisk.

Wilmowski, Abeer i Sally zostali w obozie, by stąd koordynować poszukiwania i być w kontakcie z władzami. Policja nie wykazała zresztą innej aktywności niż oddelegowanie Rasula oraz dwu policjantów, którzy dniem i nocą pilnowali obozowiska. Na razie pozostawało więc czekanie i bezczynność, którą najgorzej znosiła Sally.

Przed wieczorem wyruszyła, po prostu po to, by coś zrobić, w kierunku Kolosów Memnona. W pewnym momencie podeszła do niej Arabka i płacząco zaczęła coś mówić. Przy obu kobietach natychmiast znalazł się uzbrojony Wilmowski. Zaprowadzili kobietę do namiotu i poprosili Abeera.

- Przysłał ją mąż. Chce, by z nią iść - tłumaczył Arab.

- Czyżby znowu pułapka?

- Ona mówi, że jej mąż umiera. Chce nam powiedzieć coś ważnego.

- Niech powie policji. Kobieta długo coś perorowała.

- Przysięga na Allacha, że mówi prawdę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Mąż boi się czegoś, czy kogoś, i nie może rozmawiać z policją, dlatego przysłała ją prawie nocą. Dziwi się, że dorośli mężczyźni lękają się słabej kobiety.

- Powiedz, żeby przyszła rano.

- Rano będzie za późno. Jej mąż umiera.

- Twój mąż... - zaczął Wilmowski, lecz kobieta coś mówiła, więc przerwał.

- Ona mówi, że nasz wróg zabija jej męża, Sadima. On umiera i prosił, aby sprowadzić Sally. To on był jej przewodnikiem do groty i on zasypał korytarz - przetłumaczył wyjaśnienia kobiety Abeer.

Wilmowski nie był przekonany. Niepewnie spojrział na Sally, a ona, powodowana nagłym impulsem, powiedziała:

- Idziemy...

- Ale... - rozpoczął Wilmowski.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ojciec. Zaryzykujemy... Ta kobieta nie kłamie...

Abeer przetłumaczył tę wypowiedź i wtedy kobieta przypadła Sally do nóg.

Do wioski Sadima nie było daleko. Gdy ujrzeli rannego, zrozumieli, że to jego ostatnie chwile. Tylko przedziwnym trafem przeżył upadek z urwiska, ale życie ledwo się w nim tliło. Sally została z nim sama, z Abeerem jako tłumaczem. Wilmowski wyszedł czuwać przed chatą.

Po godzinie spotkali się ponownie. Sally była widocznie poruszona, a z domu Sadima dobiegały lamenty. Abeer powiedział cicho:

- Nie żyje... Spieszmy się. Wiem, gdzie mieszka "faraon". Może zdążymy. Musimy jednak zachować ostrożność, bo to człowiek gotowy na wszystko.

- Sally? - pytająco rzucił Wilmowski.

- Idziemy - Sally nagliła. - Ojciec, szajka liczy niewiele osób, a i tak większość z nich się rozjechała. Przywódca jest więc sam, chyba że umknął...

Z bronią gotową do użycia ruszyli za Abeerem, który prowadził bardzo pewnie.

Szli w stronę Nilu, mijając pola i gaje. Doszli do wioski położonej nad samą rzeką. Na jej północno-zachodnim krańcu stał duży, jednopiętrowy dom. Pomalowany na żółto, ze ścianami ozdobionymi bogatą, wschodnią ornamentyką, przypominał sklep. W blasku księżycy wyglądał jak jasna plama.

W oknie na piętrze po prawej stronie dostrzegli światło. Drzwi, uchylone, zapraszały do wejścia. Ostrożnie obeszlili dom dookoła. W pobliżu nie było nikogo.

- Wchodzimy? - zapytał Wilmowski. Abeer wziął go delikatnie za ramię i szepnął:

- Zostawcie to mnie, proszę...

Wewnątrz panował bałagan, jakby ktoś bardzo się spieszył. Abeer skradał się cicho po schodach ku oświetlonemu pokojowi. Zajrzał do środka. Przy stole, ukrywając twarz w dłoniach, siedział stary człowiek. Płakał, między palcami ciekły łzy.

- Salaam! - rzekł Abeer Starzec drgnął zaskoczony.

\*\*\*

Historia była banalna. Opowiedział ją Abeer, kiedy wracali do obozu. Starzec był ojcem "faraona". Jako wójt wioski marzył o wykształceniu syna. Osiągnął to niemałym kosztem. Chłopiec okazał się tak uzdolniony, że ukończył w Anglii renomowany uniwersytet. Ale wrócił do kraju, do rodzinnej wioski, jakiś dziwny. Zaczął włóczyć się po skałach, jakby czegoś szukał. Na długi czas wyjechał na południe. Później pojawiły się duże pieniądze, dziwne wyjazdy, tajemniczy ludzie. Syn nabrał pewności siebie i pogardzał ojcem. zaczął nazywać się władcą, "żelaznym faraonem", ubierać na wzór starożytnych Egipcjan. W wiosce zaczęto go uważać za nienormalnego. Ludziom z wioski nie mówił o swoich zamiarach. A były one niesamowite. Przerazały ojca. Syn uważał, że to on ustanowi prawo, zmieni oblicze kraju, przywróci mieszkańcom tej ziemi panowanie i wypędzi wszystkich cudzoziemców. Dysponował podobno pieniędzmi z interesów, które jego ludzie prowadzili w Europie, na północy kraju, a także na południu, w Czarnej Afryce, dokładniej w rejonie jeziora Alberta.

- Jezioro Alberta! - powtórzyła Sally. - Ależ to samo mówił zmarły Sadim! - zawołała.

- No cóż, to może znaczyć, że skoro tutaj grunt palił mu się pod nogami, "faraon" uciekł na północ lub południe.

- A to akurat kierunki dokładnie przeciwne - ironicznie pokiwał głową Wilmowski.

Następnego dnia zza Nilu przybyli policjanci, którzy zmienili swoich kolegów. Jeden z nich przywiózł ze sobą gazetę "Al Ahram", w której zamieszczono lapidarną notatkę zatytułowaną: "Współpracownik kedywa przemytnikiem". Potwierdzała ona przypuszczenia Sally.

"Jak już donosiliśmy, od kilkunastu miesięcy w niektórych państwach europejskich pojawiały się bardzo cenne, antyczne przedmioty pochodzące z Egiptu. Policja wielu krajów poszukiwała organizatorów przemytu. Wielki sukces odniosły nasze służby, aresztując wczoraj w Kairze Ahmada A., jednego z urzędników kedywa. Okazał się on organizatorem przemytu zakrojonego na wielką skalę. Szczegóły w najbliższych numerach" - tłumaczył głośno Abeer.

- Ahmad A... Któż to może być? - zastanawiał się Wilmowski.

- Ahmad al-Said ben Jusuf - odparł Abeer. - Dobrze mówił nasz przyjaciel z Al-Fajjum, że nie można mu ufać. Miał rację.

- Miał więc też rację ów kupiec z Aleksandrii, twierdząc, że ślad prowadzi do Kairu - przypomniał Wilmowski.

- Al-Habiszi to naprawdę uczciwy człowiek - odparł Abeer. Przed południem wróciła

ekipa ratunkowa. Przywiozła śmiertelnie wyczerpanego Patryka i ciężko chorego, prawie niewidzącego Nowickiego. Obu znaleziono przy jedynej w tej okolicy studni, zaledwie o dzień drogi na zachód od Luksoru. Tomka z nimi nie było.

## POSZUKIWANIA

Abeer i Smuga poruszyli niebo i ziemię. Na pustynię ruszyły oddziały poszukiwaczy. Z Kairu przybył znajomy Smugi z angielskiego konsulatu. Po jego interwencji, do akcji włączyli się brytyjscy żołnierze. Przeczesywano teren na zachód od Doliny Królów.

Wilmowski niemal urzędował w siedzibie policji w Luksorze, koordynując ruchy poszczególnych oddziałów. Siedział blady, z podkrążonymi z niewyspania oczyma, wpatrując się w mapę. Większą jej część pomalowano czerwonym kolorem, znaczącym zbadane już tereny. Czarnymi kreskami wyrysowano trasy ekip ratunkowych.

Pukanie do drzwi przerwało jego smutne myśli. Przyszedł brytyjski dyplomata. Podeszedł do mapy, przyglądając się jej z uwagą. Wilmowski zapalił papierosa.

- Nie ma pan żadnych wieści z Kairu? - spytał.

- Żadnych nowych. Gdy wyjeżdżałem, trwały przetargi między konsulem a ludźmi kedywa. Ahmad al-Said to człowiek wysoko postawiony w egipskiej hierarchii. Kedyw uznał, że to ich wewnętrzna sprawa.

- Jak pan wie - chłodno powiedział Wilmowski - nasze kłopoty zaczęły się od wizyty u "godnego zaufania człowieka", Ahmada al-Saida. Stąd, z tego źródła od początku o nas wiedzieli.

- Cóż, rozumiem, co pan czuje. Nie sądzę jednak, aby przydały się na coś usprawiedliwienia - odparł Anglik. - Robię wszystko, aby wam pomóc.

- To doceniam. I dziękuję.

Rozmawiali dalej, już spokojniej, o malejącej szansie odnalezienia Tomka. Przed wieczorem wróciła któraś z ekip. Do pokoju weszli Smuga i Abeer. Poszarzali ze zmęczenia, ze spalonymi od wichru, kurzu i słońca twarzami. Usiedli na podsuniętych taboretach. Obyli się bez słów. Wracali sami...

Wilmowski podniósł się i zaznaczył czerwonym kolorem kolejną partię mapy. Usiadł ciężko. Smuga podparł głowę. Milczeli. O czym mieliby mówić?

\*\*\*

Nowicki powoli wracał do zdrowia. Leżał w łóżku hotelowym z kompresami na oczach. Przy nim siedziała Sally z zaczerwienionymi oczyma. Kiedy marynarz zasypiał, popłakiwała z cicha. Była kompletnie rozbita. Gdyby nie Patryk, który z uporem i dziecięcym entuzjazmem zmuszał ją do rozmów i spacerów, całkiem zamknęłaby się w sobie. Chwilami odzyskiwała dawny wigor i wtedy chciała uczestniczyć w ratunkowych wyprawach. Gdzieś jechać, pędzić, coś robić. Potem jednak wracało przygnębienie.

Za to Nowickiego, jak się wydawało, nie opuszczała nadzieja. Mimo swojego trudnego i niepewnego położenia, mimo dotkliwego poczucia straty z powodu nieobecności Tomka, bywał ożywiony, a nawet tryskał humorem i po swojemu żartował, zwłaszcza w obecności Sally. Gdy zostawał sam, popadał w przygnębienie, po którym następowały ataki

wewnętrznej wściekłości i buntu. Wstawał wówczas z łóżka i chodził po pokoju, objając się o meble, zanim nauczył się ich położenia na pamięć. Zaciskał aż do drżenia dłonie, a jego twarz wykrzywiała nienawiść. Unieruchomienie przez chorobę, tak bardzo sprzeczne z jego ruchliwą naturą, sprawiało, że cierpiał istne katusze. Gdy jednak proponowano mu spacer w pobliżu hotelu, niezmiennie odmawiał.

- Warszawiak nie będzie robił z siebie widowiska! - mówił przez zaciśnięte w uporze zęby.

Męczył się, zamknięty i chory, poddany przemożnej, nie zaznanej dotąd nienawiści. I o ile wszystkim chodziło o "żelaznego faraona", b tyle on pragnął raz jeszcze zmierzyć się z człowiekiem z korbaczem, z Harrym. Wierzył, że kiedy go pokona, karta się odwróci i odnajdą Tomka. Ledwie wytrzymał w dusznym hotelowym pokoju. Wkrótce też poprosił, jak tylko poczuł się lepiej, by go przeprowadzono "do tych liliputów naprzeciw", jak określał Kolosy Memnona, u stóp których leżał obóz. Tam mógł przebywać częściej na świeżym powietrzu, powoli odzyskując siły i zdolność widzenia. A wraz z tym rosła w nim nadzieja. Nadzieja, że wszystko dobrze się skończy. Tak jak zawsze dotąd się kończyło!

\*\*\*

Smuga jadł w milczeniu. Za chwilę wyruszał z Rasulem znowu do Medinet Habu, by wraz z koptyjskim mnichem objechać siedziby Koptów na południowym zachodzie. Twarz miał spokojną. Jedyne na dnie oczu czaił się gniew. Miał dość Egiptu. Jakieś fatum przesładowało go tutaj. Drugi jego pobyt kończył się dramatem. Przed laty towarzyszyła mu śmierć, a dziś...? Czy odnajdą Tomka? Chociaż nie był przesądny, zaczynała go nękać myśl o zemście faraona. Dla nich zresztą zemsta konkretnego człowieka, "żelaznego faraona", była straszliwa. Tylko dlaczego ten człowiek wybrał najlepszego z nich, właśnie Tomka?

Smuga od dawna kochał Tomka jak syna, choć nigdy tego nie okazywał. Nie było zresztą okazji i potrzeby. A teraz zaczynał tego żałować, bo tracił nadzieję, że go jeszcze zobaczy żywego.

- Ruszasz?! - ni to spytał, ni stwierdził Nowicki, przerywając dręczące milczenie.

- To już chyba ostatnia wyprawa - odrzekł Smuga, a Sally i Nowicki nie wiedzieli, czy ma na myśli: poszukiwania na pustyni czy ich dotychczasowy tryb życia.

- Tak - szepnęła cicho Sally. - Wracajmy do domu. Nie mamy już tu czego szukać.

Nowicki jak na komendę zerwał się z łóżka.

- Ależ, sikorko... - zaczął, ale wyręczył go Smuga.

- Wrócimy do domu, gdy wyrównamy rachunki z "faraonem" - powiedział z tym swoim budzącym respekt, niewzruszonym spokojem.

- Jeśli nie znajdziemy Tomka...

Przez chwilę milczał. A potem dodał cichym, przerażająco kontrastującym z treścią jego słów, tonem:

- Wiesz, Sally, gdyby teraz stanął przede mną ów "żelazny faraon", to zastrzeliłbym go z zimną krwią, a potem spokojnie skończył posiłek.

Przechylił lekko talerz, wybierając łyżką resztę zupy. Potem wstał. Sally płacząc, wtuliła mu się w ramiona.

- Tak! Odnajdziemy go! Odnajdziemy! - szeptała, a oni nie wiedzieli, czy ma na myśli męża, czy "faraona".

Tak zastał ich Rasul. Obaj ze Smugą wskoczyli na konie. Szybko dojechali do Medinet Habu, gdzie funkcję przewodnika objął koptyjski mnich. Koptowie byli życzliwi i rozmowni. Niczego jednak nie wiedzieli. Abeer jeszcze raz wypytał dokładnie człowieka, który był świadkiem porwania Nowickiego, Tomka i Patryka. Potwierdził on, że napastnicy byli konno.

- Ale dwóch na wielbłądach - dodał. - I jeden z nich trzymał w ręku długi bicz.

Potwierdziło to jedynie relację Nowickiego, że jednym z porywaczy był Harry.

- Może jednak widziałeś ich twarze? - spytał Smuga.

- Wszyscy byli zamaskowani - stanowczo zaprzeczył Kopt.

Przed nocą zostawili koptyjskiego duchownego w ostatniej z odwiedzanych wiosek, nie przyjmując zaproszenia na nocleg. Ruszyli w drogę powrotną przez pustynię w blasku pochodni. Prowadził Rasul. Noc była jasna, a piasek w blasku księżyca wydawał się czerwieniec. W ciszy zaskowyczał szakał, zawtórował mu drugi. Drogę przebiegł pustynny lisek. Jechali w milczeniu. Konie brnęły ciężko przez pustynię. Nad ranem byli już blisko Medinet Habu. Nagle konie zaparskały i gwałtownie odskoczyły w bok. Rasul z trudem utrzymał się w siodle. Smuga, doskonały jeździec, szybko opanował zwierzę i zeskoczył na piasek.

- Czegoś się przestraszyły - powiedział.

Podał cugle Rasulowi, rozejrzał się i zmartwił. W piasku tkwiły dwie ludzkie czaszki patrzące pustymi oczodołami na wschód. Smuga upadł na kolana. Po raz pierwszy w życiu przez chwilę nie był w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu, bo po raz pierwszy pomyślał o tym spotkaniu jak o znaku, o złej wróżbie. Po powrocie do obozu nie powiedział o czaszkach ani słowa.

\*\*\*

Z Kina i Luksoru wyruszyły naprzeciw sobie niewielkie, ale bardzo sprawne, patrole żołnierzy brytyjskich. Penetrowały one wioski fellachów położone na zachodnim brzegu Nilu. Oddziałem luksorskim dowodził bardzo operatywny sierżant White. Przed chwilą opuścili jedną z wiosek. Dowódca rozmawiał z wójtem, żołnierze zaś kręcili się wśród chałupek, rozglądając się, czy nie znajdą czegoś podejrzanego. Fellachowie patrzyli na nich nieufnie, niechętnie udzielając informacji. Sam fakt poszukiwania w wioskach zaginionego Europejczyka wywoływał lęk i zdziwienie, - Czemu szukacie w wioskach, jeśli zginął na pustyni? Jesteśmy spokojnymi ludźmi, nie włóczymy się po pustyni. Nie, nie



słyszeliśmy o niczym podejrzanym. Żyjemy cicho i spokojnie.

Na White'a spoglądały nieufne, obojętne oczy. Patrol jechał dalej na północ, choć efekt poszukiwań wydawał się wątpliwy. White otarł pot z czoła i powiedział do jednego z żołnierzy:

- W następnej wiosce zanocujemy.

- Tak jest! - odparł żołnierz. - Konie są zdrożone.

- Wkrótce powinniśmy spotkać oddział, który wyruszył z Kina. Podjechał inny z żołnierzy.

- Panie sierzancie! Zbliża się południe. Może odpoczniemy! White spojrzał na swoich podwładnych. Byli już bardzo zmęczeni.

Zarówno oni, jak i ich konie. Teren schodził tu łagodnie w stronę Nilu. Miejsce nadawało się na odpoczynek. Sierżant skinął ręką. Zjechali nad rzekę. Napoili konie, rozkulbaczyli je i przysiedli w cieniu palm. Odpoczywając, dzielili się wrażeniami i snuli domysły.

- Cóż to za osobistość, że jej tak szukamy?

- Pół Egiptu chyba za nim goni.

- Gdybyśmy za każdym zaginionym tak pędzili...

- Po co laź na tę szaloną pustynię?

- Jeżeli zaginął na pustyni, to dlaczego szukamy go nad Nilem? White, który lubił imponować swoim ludziom, czekał aż się wygadają.

- Tom Allan, człowiek, którego szukamy, nie znalazł się tam z własnej woli - powiedział. - Został porwany! A my, Brytyjczycy, nie możemy pozwolić, by nam grano na nosie. Mogę jeszcze dodać, że to nie taki sobie zwykły człowiek. W jego sprawie interweniował ktoś z konsulatu. Przybył specjalnie z Kairu.

Żołnierze byli coraz bardziej zaintrygowani, ale musieli poczekać. Sierżantowi zależało, by uznali, że jest dobrze poinformowany.

- Słyszeliście o aferze w Kairze? - podjął w końcu.

- Coś tam czytałem w prasie - odezwał się jeden z żołnierzy.

- Aresztowano jakiegoś współpracownika kedywa za przemyt.

White skinął głową.

- Wiecie o jaki przemyt chodzi?

- A co można wywozić z Egiptu? Pewnie znowu jakieś zmurszałe skarby...

- I ten Europejczyk, ten Allan, handlował nimi? Sierżant przecząco pokręcił głową.

- Nie! On właśnie szukał takiego handlarza i tamten okazał się sprytniejszy. Porwał

Allana, zostawił go na pustyni, a sam uciekł gdzieś na południe.

- Zniknie na bezdrożach Afryki.

- Mówi się, że i tam ma swoje interesy - dodał White. - To, co wam teraz powiem, nie jest do publicznego powtarzania...

Przerwał znowu, a żołnierze zaintrygowani milczeli także. White słyszał jedynie, że "żelazny faraon" prowadzi na południu podejrzane interesy, ale bardzo chciał ubarwić swoje opowiadanie.

- Słyszeliście o handlu niewolnikami?

- Już dawno nikt się tym nie trudni - wywołał tylko rozczarowanie.

- Tutaj może nie, ale kto wie, co dzieje się w Czarnej Afryce?

- I miałby się tym zajmować człowiek pochodzący stąd? Kim jest? Jak się nazywa?

- To nie takie istotne - odpowiedział White. - Znany jest pod imieniem "władcy" albo "żelaznego faraona". Radziłbym dobrze zapamiętać to przezwisko.

Uśmiechnął się do siebie, zadowolony z wrażenia, jakie jego słowa wywarły na żołnierzach. Byłby doprawdy szczęśliwy, gdyby wiedział, jak niewiele się pomylił.

Jeszcze przed wieczorem spotkali patrol, który wyruszył z Kina. Niewiele mieli sobie do powiedzenia. Z pustymi rękami wracali do macierzystych koszar.

Następnego wieczora White informował o tym Wilmowskiego. Ten zaznaczył na czerwono cały obszar wzdłuż Nilu, od Luksoru aż po Kina. Przed chwilą otrzymał bowiem depezę o fiasku poszukiwań podjętych przez żołnierzy, którzy zbadali tereny od Nag Hammadi aż po Denderę i Kina. To był już chyba koniec. Wilmowski ciężko usiadł przy stole i objął głowę rękami. Nie było żadnej nadziei...

Jeszcze nigdy nie przeżywał równie tragicznych chwil. Nawet wtedy, kiedy opuszczał ojczyznę. Nawet wówczas, gdy na wieść o śmierci żony niemal się załamał. Uratowała go wtedy przyjaźń Nowickiego, a przede wszystkim myśl o synu, który został w okupowanej przez trzech zaborców Polsce. Żył dla niego. Otrząsnął się z osobistej tragedii i wybrał niebezpieczny, chociaż nieźle płatny zawód łowcy dzikich zwierząt. Poznał wtedy Smugę i była to jedna z najpiękniejszych przyjaźni jego życia. Razem przeżyli tyle przygód, z tylu niebezpieczeństw wyszli obronną ręką. A teraz nadszedł kres... Nie było wątpliwości: Tomasz, jedyny syn, zaginął na pustyni.

Wilmowski stracił poczucie miejsca i czasu. Wrócił pamięcią do jednej z najstraszniejszych chwil w swoim życiu. Oto po latach, na Syberii, stanął oko w oko z Pawłowem, carskim szpiclem, przez którego musiał uciekać z kraju. "Nareszcie spotkaliśmy się! A więc dobrze, życie za życie." - napłynęły skądś dobrze zapamiętane słowa.

Z trudem powracał do terażniejszości. Ze zdziwieniem spostrzegł, że stoi na środku pokoju z wyciągniętymi rękami, stężyły z bólu. Odetchnął głęboko, próbując pokonać napięcie.

- Dopadnę cię, "faraonie"! Choćbyś był z żelaza! - szepnął do siebie.

Nazajutrz, wczesnym rankiem przepłynął Nil i przybył do obozu przy Kolosach Memnona. Byli tam: Sally, Nowicki, Smuga i Patryk. Nie było Tomka... I tak miało być już zawsze.

Późnym popołudniem dołączył do nich Rasul, zmęczony nie mniej niż pozostali. Włożył w poszukiwania wiele wysiłku, wszystkie swoje umiejętności, a także serce. Nie tylko dlatego, że miał osobisty powód, by pokrzyżować plany "faraona". Im dłużej pracował z tymi dotkniętymi ogromnym bólem ludźmi, tym bardziej ich podziwiał. Nie załamali się w tak dramatycznej sytuacji i podjęli walkę z nieubłaganym losem. Wiedział, że będą walczyć do końca, dopóki nie odnajdą zaginionego albo nie oddadzą sprawcy zła w ręce sprawiedliwości. Podziwiał ich za to, że cierpienie przyjmowali w milczeniu.

Wypił nieco soku, zanim ostrożnie powiedział:

- Jest jeszcze mała szansa.

Popatrzyli na niego z nagle obudzoną nadzieją.

- Bardzo niewielka, ale musimy to sprawdzić. Powiadomiono mnie, że niedaleko stąd pojawił się mały obóz koczujących Beduinów. Może oni coś wiedzą.

Podawali się natychmiast wszyscy.

- Ruszajmy! - szorstko rzucił Smuga. - Sally i Patryk zostaną z Nowickim - wydawał polecenia. - Dingo, waruj!

Pies był niezadowolony. Wyczuwał przygnębienie przyjaciół i tęsknił za Tomkiem. Czuł się zaniedbany. Jedynie Patryk lojalnie dotrzymywał mu towarzystwa. Zaskomlił w proteście, ale posłuszny władcemu głosowi Smugi, położył się w kącie.

Rasul, Wilmowski i Smuga wskoczyli na przygotowane do drogi konie i popędzili w dal. Ledwo ucichł tętent, gdy przed namiot wybiegł Patryk z Dingiem. Pies ruszył świeżym śladem, ale powstrzymał go gwizd i długa smycz. Zawrócił, patrząc błagalnie na małego Irlandczyka. Ten bystro rozejrzał się dookoła. Tuż przy namiocie służby stał jeszcze jeden gotowy do drogi koń. Parsknął niecierpliwie, jakby zachęcająco. Dingo znowu zaskomlił i pociągnął chłopca w kierunku śladu. W ten sposób znaleźli się w pobliżu konia. Patryk właśnie go z żalem pogłaskał, gdy Dingo szarpnął raz i drugi. Smycz wymknęła się z ręki chłopca. Pies zaszczekał triumfalnie i nie bacząc na gwizdanie ruszył w pustynię.

\*\*\*

Zmierzchało. Wilmowski, Smuga i Rasul z daleka dostrzegli ognisko, usłyszeli śpiew. Podjechali bliżej do kilku rozbitych na piasku namiotów. Śpiew umilkł, a przy ognisku pozostał jeden tylko mężczyzna. Pozostali skoczyli za namioty. Szczęknęły zamki strzelb. Rasul zeskoczył na ziemię. Rzucił cugle Smudze i podszedł do stojącego w blasku ogniska człowieka.

- *Salaam* - pozdrowił go.

Tamten dumnie skinął głową. Uspokoił się wyraźnie na widok policyjnego munduru, ale nie nakazał wyjść z ukrycia swoim ludziom. Smuga i Wilmowski nie zsiadli więc z koni, gotowi do sięgnięcia po broń. Rasul rozpoczął rozmowę, którą od razu tłumaczył Wilmowskiemu i Smudze.

- Wędrują po sól. Są bardzo nieufni. Byli w Luksorze na targu. Na pustyni nie spotkali Europejczyków. Nie, nie pozwoli zajrzeć do namiotów. To ich własność. Hm, nawet grozi! Wie, że ma do czynienia z przedstawicielem władzy. "Twoje prawo nie dla synów pustyni" - mówi. To taki pustynny szejek, dumny ze swej niezależności. Mówi, że jest jak pustynny wiatr. Jutro stąd zniknie.

- To podejrzane - szepnął Wilmowski.

- Może tylko zastanawiające - sprostował Smuga. - Tacy są Beduini, niezależni jeźdźcy pustynni.

Rasul wycofał się powoli i dosiadł konia.

- Trzeba będzie wrócić tu jutro - powiedział.

Wilmowski zamierzał protestować, gdy dobiegło ich szczekanie psa. Poznali Dinga, który wpadł przed ognisko. Wydarzenia potoczyły się z szybkością błyskawicy. Ciszę smagnął strzał. Beduin, który mierzył do psa z flinty, chwycił się za ramię. Smuga z dymiącym jeszcze rewolwerem stał przy szejku, przykładając mu lufę do skroni. Wilmowski zdążył zeskoczyć z konia i ukryty za nim mierzył z karabinu w kierunku namiotów. Rasul uniósł ku górze dłoń i głośno wzywał do spokoju. Jakby tego wszystkiego było za mało, nagle pojawił się zdyszany Patryk.

- Wujku! Ja... - jego piskliwy głos niespodzianie rozładował napięcie.

Wilmowski przywołał psa. Dingo przywarował, ale skomlił niespokojnie.

- Tomek, piesku? Tomek! - powtarzał Wilmowski. Pies zaskowyczał. Ciągle węszył.

- Janie! Pies coś poczuł.

- Niech szuka! - rzucił Smuga.

Szejek nakazał swoim ludziom spokój. Patryk obserwował wszystko rozszerzonymi ze zdumienia oczyma. Rasul nadal z rękoma uniesionymi ku górze wciąż zapewniał o pokojowych zamiarach.

- Szukaj! - rzekł wreszcie zdławionym głosem pobladły z wrażenia Wilmowski.

Pies zaszczekał i pobiegł do namiotu szejka. Wilmowski opuścił broń i poszedł za nim.

- Uważaj na nich, Rasul - powiedział i wszedł do namiotu za psem. Wewnątrz były dwie kobiety. Jedna karmiła piersią dziecko. Nic nie wskazywało na obecność jakiegokolwiek mężczyzny. Dingo węsząc, wskoczył na jedną ze skrzyń. Tymczasem pojawił się szejek ze swym uzbrojonym cieniem - Smugą. Wilmowski poczuł na czole krople potu. Smuga na widok psa skowyczącego na dużej skrzyni zbladł. Przywołał go, pchnął szejka rewolwerem i gestem nakazał mu uchylić wieko. Uśmiechając się dziwnie, krnąbrny Beduin uczynił to.

Dingo stanął na tylnych łapach i sięgnął zębami, jakiś przedmiot.

Była to gurta na wodę. Wilmowski z ulgą otarł pot z czoła i spojrział na Smugę. Ten gestem wskazał szejkowi wyjście. Wilmowski wziął gurtę i wyszedł za nimi.

- Znaleźliśmy to! - rzekł do Rasula. Wtem włączył się Patryk:

- Wujku! Ja... To ja wiem! Poznaje! - zawołał. - To ten worek, co nam zostawili. Wujek Tom wziął go z wodą, gdy poszedł po pomoc.

Rasul wypytywał szejka. Ten wzruszył ramionami, ale gdy policjant kazał mu pakować manatki i zagroził aresztowaniem, zaczął opowiadać. Gurtę znaleźli na pustyni, gdy wracali z Luksoru.

- Pojedziesz z nami! Pokażesz, gdzie!

Szejk, wciąż pod czujną opieką rewolweru Smugi, zarzucił ich lawiną słów. Rasul cierpliwie coś tłumaczył.

- Grozi mu, że zaaresztuje cały obóz, bo gurta należała do Europejczyka, którego szukamy - powiedział Wilmowskiemu Smuga.

- Może wiedzą coś więcej - podsunął Wilmowski.

- Poczekajmy! - odpowiedział Smuga. - Zdajmy się na Rasula. Śledztwo, podjęte przez Rasula niczego nie wykazało. Policjant był przekonany, że szejk nie kłamie: Beduini znaleźli gurtę na pustyni, niedaleko od Doliny Królów. Czy Tomek ją wyrzucił, gdy zabrakło wody? A może przywłókł ją tu jakiś szakal? Jeszcze raz dokładnie przeszukali okolicę wokół miejsca, gdzie została znaleziona. Nie było żadnych śladów. Dingo również nie podjął tropu.

Nieubłagana prawda przedstawiała się już jasno. Długo nie mogli się z nią pogodzić. Tomasz Wilmowski przepadł w piaskach Sahary. Pochłonęła go pustynia. Stracili nadzieję na znalezienie go żywego. Pragnęli więc odnaleźć chociaż ciało, by je godnie pochować. Ale i to okazało się niemożliwe. Ostatecznie usypali na małym cmentarzyku kop tyj skini pamiątkowy kopczyk. I tam, nad tym symbolicznym grobem, Smuga złożył swą przysięgę:

- Tomku! Ślubuję ci! Nie spocznę, dopóki nie odnajdę "faraona". A gdy to uczynię, przyjdę tu i opowiem ze szczegółami, co z nim zrobiłem... Tak mi dopomóż Bóg!

- Tak mi dopomóż Bóg! - zawtórował Nowicki.

Wilmowski milczał. Sally łkała. Ale oboje myśleli to samo. Opuszczali Luksor niemal chorzy z bólu i nienawiści.

## U WRÓT POŁUDNIA

Smuga, Nowicki, Wilmowski i Sally z kurczowo trzymającym się jej dłoni Patrykiem wsiedli do pociągu w Luksorze. Żegnali Dolinę Królów z żalem i ściśniętym sercem. Nie tak dawno fascynowała ich, kusila obietnicą przygody. Teraz ciążyła przypomnieniem nieodwracalnej tragedii.

Do Asuanu wyruszył z nimi także Abeer. Nie wiedział, w jakim stopniu mógłby im być jeszcze pomocny, ale nie potrafiłby ich opuścić w tak trudnej dla nich chwili. Bardzo chcieli być razem w czasie tej podróży. Razem, a także blisko siebie. W pierwszej klasie nie było jednak tylu wolnych miejsc, więc prawie bez wahania wybrali drugą, nie bacząc na to, że zwyczajowo nie jest ona przeznaczona dla Europejczyków.

Zaledwie wyruszyli, przyszło im pożałować tej decyzji.

W wagonie panowała niesłychana duchota. Niektórzy z siedzących na ławkach mężczyzn jedli cebulę, inni zaś palili. Na podłodze, obok pudeł, skrzyń, tobołków, usadowiły się dzieci i kobiety, które pitrasily coś na przenośnych kuchenkach. Wilmowski, zamknięty w sobie, pogrążony we własnym świecie, nie pomyślał w porę, że powinien był przestrzec swoich niedoświadczonych w podróżowaniu druga klasą towarzyszy. Rzecz jasna, niemal natychmiast doszło do identycznego incydentu jak w jego poprzedniej podróży.

Okno tym razem otworzył, niczego nie świadom, Nowicki. Natychmiast jeden ze współpasażerów, potężnie zbudowany mężczyzna, zatrzasnął je z powrotem. Coś przy tym mówił, gwałtownie gestykulując. Wilmowski, nie mogąc znieść grzmiącego mu nad głową głosu, westchnął:

- Niechże on wreszcie przestanie! Zrób coś, Abeer! A ty, Tadku nigdy nie narażaj się, otwierając okna w egipskim pociągu.

Nowicki mruknął coś do siebie, a mężczyzna długo jeszcze perorował, chociaż na szczęście przeniósł się w drugi koniec wagonu.

Mijali szare od pyłu miasteczka z niewielkimi meczetami oraz wioski fellachów, smutne jak w całym Egipcie. Minęli miejscowość Isna i dojeżdżali do Edfu. Abeer, by jakoś rozładować ciężką atmosferę i choć trochę zmienić nastrój, zaczął opowiadać:

- W Edfu [\[139\]](#) znajdowała się w starożytności stolica nomu, czyli powiatu, na czele z nomarchą. Do dziś zachowały się tu ruiny świątyni Horusa.

- Horus to bóstwo przedstawiane pod postacią sokoła? - Smuga podtrzymał rozmowę, rozumiejąc intencję przyjaciela.

- Tak. Był on bogiem niebios, z którym identyfikowano faraona za jego życia - kontynuował Abeer.

- A po śmierci, dostojny umarłak zmieniał się w Ozyrysa - włączył się Nowicki, zerkając na Sally.

Marynarz odzyskał już siły po saharyjskiej przygodzie. Tylko zaczerwienione mocno powieki świadczyły o tym, że przebył chorobę oczu. Głęboko rozpaczał po stracie Tomka i gorąco pragnął wyrwać Sally z przygnębienia. Sally nie dała się jednak wciągnąć do rozmowy. Abeer monotonicznie opowiadał dalej:

- Egipskie świątynie budowano według pewnego stałego wzoru. Na ogół w linii północ-południe i zawsze na żyznej ziemi. Tak właśnie wzniesiono w okresie ptolemejskim świątynię w Edfu. Pylony prowadzą na ogromny dziedziniec, zakończony wejściem do przedsionka, stanowiącego początek właściwej świątyni. Z przedsionka wchodzi się do sali hypostylowej, z niej do komnaty ofiar, skąd z kolei jest wejście do kaplicy. Od sali hypostylowej aż po kaplicę otacza świątynię wewnętrzny, okrężny korytarz. Całość osadzona jest na planie prostokąta.

Pociąg minął Edfu i zmierzał dokładnie na południe, kiedy doszło do kolejnego konfliktu. Tym razem z powodu psa. Ten sam potężny, gadatliwy Arab dość brutalnie odepchnął Dinga, który podniósł łeb i warknął. Potoczyła się lawina słów wypowiedzianych denerwującym, piskliwym głosem.

- Co on znów trąkocze? - spytał zdenerwowany Nowicki.

- Klnie na psa, że to parszywe stworzenie - odpowiedział Abeer.

- Czemu Arabowie tak nie lubią psów?

- To proste - cierpliwie wyjaśniał Abeer. - My muzułmanie nie lubimy psów, bo jeden z nich, jak mówi Święta Księga, ugryzł Mahometa w nogę.

Widok za oknem stawał się coraz bardziej ponury, brzeg Nilu jałowy, a osiedla coraz nędzniejsze. Na stokach skalistych gór, które chyliły się coraz bardziej ku rzece, stały kamienne wioseczki, skrajnie ubogie. Nędzne, gliniane chaty, gołębniki, kurniki, poletka kukurydzy, nieco drzew owocowych. Nil i wszechogarniająca pustynia dominowały w krajobrazie. Nic więc dziwnego, że nastrój podróżnych nie ulegał poprawie. Za Kom Ombo Abeer raz jeszcze spróbował:

- Egipcjanie nazywają Asuan[140] wrotami południa, zaś sudańscy kupcy bramą północy. Nie dzieje się tak bez przyczyny. Miasto stanowi bowiem naturalną granicę między północą a Czarną Afryką. Tutaj kończyły się najczęściej wycieczki Europejczyków. Tu w poszukiwaniu źródeł Nilu zatrzymał się Herodot; tu w swym marszu na południe dotarł Aleksander Wielki, tu także stacjonowały rzymskie legiony w najdalej na południe wysuniętej placówce. Dotąd jedynie doszli w pogoni za Mamelukami żołnierze Napoleona.

- W Asuanie kończyli również swe rejsy Polacy odwiedzający Egipt, jak choćby Maurycy Mann[141], orientalista Józef Sękowski[142] czy Władysław Wężyk[143] - wtrącił Wilmowski, ale zaraz umilkł. Przywołał bowiem obraz Tomka, który tak skrzętnie zbierał wszelkie informacje o Polakach na obcych ładach.

- No, nie wiedziałem, że aż tylu waszych rodaków gościło w moim kraju - żartobliwie wtrącił Abeer, a Wilmowski tłumiąc nagły smutek podjął urwany wątek:

- Największym chyba wśród nich oryginałem był ów Węzyk. Po powrocie z Egiptu wydrukował wizytówki, na których przypisał sobie tytuł beja, co złośliwi skomentowali wierszykiem: "Węzyku - beju, więcej oleju".

Anegdota była dowcipna, ale ani Smudze, ani Nowickiemu nie przyszło do głowy, żeby się roześmiać. Wilmowski przetłumaczył jeszcze wierszyk Sally i Abeerowi. Sally jakby nie usłyszała, a Abeer ledwie się uśmiechnął i wrócił do swej opowieści o Asuanie:

- Asuan graniczy z Nubią. Od starożytności kwitł tu handel wymienny. Do budowy piramid sprowadzano stąd słynny, asuański, różowy granit. Do niedawna jeszcze był w mieście jeden z najbardziej znanych targów niewolników.

- Była także wielka stacja karawan - dodał Smuga.

- Czy jest szansa, by się czegoś dowiedzieć w Asuanie? - zapytał Wilmowski.

- Tak czy inaczej musimy płynąć dalej, aż do Jeziora Alberta - odparł Smuga, a Nowicki zacisnął dłoń.

Sally nadal milczała. Drzemiący na jej kolanach Patryk obudził się i przetarł oczy.

- Wujku, czy dojeżdżamy? - spytał Nowickiego, a ten postarał się odezwać jak zawsze jowialnie, choć bez zwykłego animuszu.

- Masz nosa, chłopcze, jak ten "cheopsiak" w Gizie. Dobrze wyniuchałeś, że czas wstawać. Pociąg zawija do portu... To jest, chciałem powiedzieć, na dworzec.

Miasto ciągnęło się jednak przez wiele kilometrów po wschodniej, górzystej stronie Nilu. Minęli ulice, domy, jakiś las palmowy i kilka starannie utrzymanych ogrodów. Gdy wreszcie wysiedli, z miejsca otoczył ich gwarny tłum. Kogóż tam nie było? Berberowie, włóczędzy, żebracy, dzieci o różnym kolorze skóry. Rzuciły się w oczy śliczne dziewczęta w nubijskich strojach. Niemal nagie, przepasane wokół bioder oryginalną, długą do kolan opaską, zdobną w gałeczki z kości słoniowej lub orzechy, zakończoną gęstymi frędzlami. Każdy miał coś do sprzedania: pałkę z czarnego, "żelaznego" drzewa, dzidę na krokodyla, skóry lamparta, koszyki, strusie jaja, długie berberyjskie noże, noszone przy lewym boku, zawieszane na sznurku dodatkowo obwiązany wokół szyi. Ktoś proponował małąkę na powrozie, inny paciorki lub stroje z piór.

Ledwie się przedarli przez ten tłum nastąpił nowy atak. Tym razem poganiaczy zwierząt i dorożkarzy, którzy donośnie i rozkazująco oferowali swe usługi:

- Weź mnie! Wynajmij!

Najbardziej oryginalny okazał się pewien młody Nubijczyk, który kazał tańczyć swemu koniowi, a ten rzeczywiście zaczął przebierać nogami w wyuczonych drygach. Wszyscy wyciągali przy tym ręce po bakszysz. Konie, wielbłądy i osły parskwały, ryczały i rżały...

Z trudem dotarli do dwóch małych dorożek karo, zaprzężonych w osły. Szeroką promenadą wzdłuż Nilu dojechali do hotelu "Cataracte". Wynajęli pokoje na piętrze z oknami wychodzącymi na porośniętą palmami wyspę, dzielącą Nil na dwie, prawie równe, odnogi.



- To Dżeziret el-Zahar, czyli Wyspa Słonia - powiedział Abeer do Patryka.

- Mówiąc z francuska, Elefantyna. Taka nazwa przyjęła się w geografii - uzupełnił Wilmowski.

- To... ona "słoniowa" dlatego, że taka duża? - spytał Patryk.

- Nie - uśmiechnął się Abeer. - Dlatego, że kiedyś docierał tu słoń afrykański.

- Bardzo tam wiele ogrodów...

- Owszem, ale Elefantyna znana jest przede wszystkim z nilometru, który odrestaurował w 1870 roku kedyw Izmail, i z wielu świątyń...

- Tylko nic już nie mówcie o świątyniach - westchnął Nowicki. - Przygnębiają mnie. Świątynia powinna być pełna ludzi, wtedy żyje... A te tutaj przypominają o śmierci.

Umilkli. Stali na balkonie, obserwując zachodzące słońce. Przed nimi, na skalnych szczytach, trwała przedziwna gra barw. Róż przechodził w fiolet, by w końcu przegrać z granatem. Żółty początkowo horyzont przybrał kolor popielaty, potem szary, aż wreszcie pojawił się księżyc i rozświetlił zapadającą ciemność.

\*\*\*

Nowicki nie mógł zasnąć na niewygodnym łóżku w pokoju, który dzielił z Wilmowskim. Gdzieś koło północy usłyszał stłumiony głos przyjaciela:

- Tadku, śpisz?

- Nie - odparł.

- Sally przeżywa tę tragedię o wiele mocniej niż my.

- Owszem. Zamknęła się w sobie. Jest smutna. Nie wzruszają jej nawet ukochane pylony, reliefy i hypostyle... Milczy!

- Spróbuj ją trochę rozruszać...

- Ba, ale jak? - nie po raz pierwszy zatroskał się Nowicki.

- Zajmij się tym, Tadku, pomyśl. Porozmawiaj ze Smugą i Abeerem. Zabierz ją gdzieś razem z Patrykiem. Coś pokaż... Ty najlepiej to zrobisz.

- Ja? Przecież ja czuję się tak jak i ona - odrzekł zdławionym głosem. - Może lepiej Smuga?

- Smuga i Abeer niech organizują dalszą wyprawę. Oni najlepiej się tutaj orientują.

- Niech mnie wieloryb połknie, Andrzeju, jeśli zdołam dobrze wypełnić to zadanie.

- Podołasz, bo musisz... Sally marnieje w oczach. Nie można na to pozwolić. Wystarczy, że straciłem..., że straciliśmy jedno dziecko - Wilmowskiemu głos się załamał.

Kiedy świt zabarwił szare skały Elefantyny, a przeciwległą, wysoką skarpe objęły promienie słoneczne, nadając zieleni i willom odcień piasku, Nowickiego wyratował z

trudnej sytuacji Patryk.

- Ciociu! - powiedział do Sally, z wyczekiwaniem patrząc jej w oczy. - Chodźmy na spacer.

- Dokąd, synku? - spytała łagodnie, ale bez cienia zainteresowania.

- Pochodzić troszkę...

- Idź może z kimś innym.

- To... Ja... Ja chcę z tobą. Chodźmy - nalegał zdecydowanie. Pomógł mu Wilmowski.

- Idźcie i weźcie Nowickiego. Jemu też się to przyda. A my pójdziemy do mamura[144].

- Załatwcie tylko wszystko jak najszybciej - już bez protestów zgodziła się Sally.

Zaszli najpierw na suk. W centralnej części przykryty wysokim dachem, nie różnił się wiele od kairskiego czy jakiegokolwiek innego bazaru na Wschodzie. Patryka najbardziej zainteresowały towary z Nubii, których była tu cała masa. Pochłonęły go tarcze z rafii i słomy; chętnie wypróbował gliniane bębenki i nie oparł się pokusie kupna jednego z nich. Nowicki kupił Sally naszyjnik z lotosu i drugi, silnie pachnący, z sandałowego drzewa. Krzyki, gesty, rytmiczne piosenki miały zachęcić kupujących. Patryk głośno przełknął ślinę na widok chałwy, a Nowicki poprosił o duży kawał, bo nagle sobie przypomniał, że w dzieciństwie przepadał za tym smakołykiem. Sally nabyła trochę ziemnych orzeszków, daktyli i pomarańczy. Później na dłużej przyciągnął jej uwagę bardzo charakterystyczny kram z glinianymi garnkami, przywiezionymi tu z Asjut, znanego z solidnych garncarzy.

Nowicki, który przed wyjściem z hotelu długo rozmawiał z Abeerem, z zaangażowaniem i bardzo pewnie pełnił funkcję przewodnika.

- Podjedziemy do kamieniołomów. Zobaczymy ów sławny, nazywany nie dokończonym, obelisk.

Dorożka wiozła ich drogą wśród czerwonych granitów. Stanęli na miejscu, zadzierając głowy do góry, by ujrzeć czubek ogromnego słupa z granitu.

- Czemu jest nie dokończony? - Patryk stropił swoim pytaniem Nowickiego, który tego akurat nie wiedział. Pytanie zawisło w powietrzu.

- Bo po prostu zaczął pękać - krótko odpowiedziała, po chwili ciszy, Sally. - Przestali więc nad nim pracować.

Marynarz odetchnął. "Wreszcie przemówiła" - pomyślał i jakby nigdy nic zapytał:

- Ile toto może mieć wysokości?

- Ponad czterdzieści metrów - Sally wciąż odpowiadała krótko i niezbyt chętnie.

- No i po co toto budowano? - Nowicki nie ustępował, żartobliwie naśladując Patryka.

- Miało to związek z kultem słońca. Ale obelisków używano także jako wskazówek zegara słonecznego. Wykuwano te ogromne słupy w Asuanie i dostarczano do świątyń całego kraju.

- Co też ty wygadujesz, sikorko? Przecież takie cacko waży ze czterysta ton!

- Może i więcej - obojętnie odparła Sally.

- Ciociu, a ja to widziałem taki duży słup w Londynie!

- Pewnie, że widziałeś. Już w starożytności modne stało się wywożenie tych ogromnych obelisków. Czynili to Asyryjczycy, Rzymianie, no a całkiem niedawno Francuzi, Anglicy i Amerykanie. Właśnie w Londynie zainstalowano tę, jak ją nazywano, igłę Kleopatry w 1880 roku[145].

- Wujku! - z zapalem rzekł Patryk. - Jak dorosnę, to przywiozę ci taki prezent do Warszawy.

- Nie trzeba, mój mały - odpowiedział Nowicki. - Warszawa ma swoją Kolumnę Zygmunta.

Na wspomnienie Warszawy Sally posmutniała jeszcze bardziej. I nic odezwała się więcej.

Podczas popołudniowego posiłku Smuga zrelacjonował wizyty u mamura.

- Był dla nas bardzo miły. Wystawił stosowny dokument, nazywany tutaj firmanem, zobowiązujący władze do udzielenia nam wszelkiej możliwej pomocy. Potem odesłał nas do agi, dowódcy miejscowego wojska egipskiego. Ten chciał przydzielić nam oddział żołnierzy, ale podziękowaliśmy.

Po południu wszyscy wyszli na promenadę wiodącą wzdłuż Nilu. Błękitne, czyste wody rzeki, spokojnie tu płynącej, odbijały słoneczny blask. Przy brzegach rosła jasnozielona trawa coraz częściej przeplatana łatami piasku pagórkowato odchodzącego w pustynię. Sally szła obok Wilmowskiego zatopiona w myślach. Patryk dokazywał z tyłu z Nowickim. Abeer i Smuga rozmawiali o czekającej ich wyprawie, która zapowiadała się na bardzo niebezpieczną. Zastanawiali się, czy zabierać ze sobą Sally i Patryka. Sally oczywiście zdecyduje sama, ale czy mieli prawo narażać chłopca bez zgody jego rodziców?

- Co z nim jednak zrobić? - martwił się Smuga.

- Na Allacha! Chyba wiem - odparł Abeer. - Mamy tu przecież przyjaciół.

- Masz na myśli...

- Tak, mam na myśli synów Jusufa Medhada el-Hadż - przerwał mu Abeer.

- Nie jestem pewien...

- Byłeś ich bohaterem. Uczyłeś ich strzelać! Noszą cię w sercu głęboko. Na pewno niczego nie zapomnieli.

- No, cóż! Może to i dobry pomysł.

- Na brodę Proroka! Uradujesz ich serca swym widokiem. A kiedy jeszcze dowiedzą się, że na stare rany położono balsam przebaczenia, przyjmą cię gorąco.

Smuga dał się przekonać. Postanowili odwiedzić synów Jusufa, mieszkających w

Asuanie, nie tylko ze względu na Patryka. Obaj oni byli przecież kupcami handlującymi z Sudanem i prowadzili swe karawany w głąb lądu. Może udałoby się nawet wyruszyć wspólnie? Tak czy inaczej mogli stanowić źródło cennych informacji.

Najpierw jednak, następnego ranka, Smuga i Abeer pojechali dorożkami do Szellal, gdzie kończyła się linia kolejowa i mieścił port rzeczny. Musieli dowiedzieć się o miejsca na statku do Wadi Halfa i kupić nań bilety albo wynająć jakąś barkę. Z ochotą pojechałby z nimi Nowicki, ale zrezygnował, widząc znaczący gest Wilmowskiego. We czwórkę zatem, razem z Sally, która znów dała się namówić Patrykowi, udali się na przystań łodzi w Asuanie, skąd feluką z przewoźnikiem popłynęli do tamy przez pierwszą kataraktę na Nilu[146].

- Nie można tamtędy - przewoźnik wskazał ręką na wschodni brzeg. - Woda mocna, wielka, bystra. Nie można.

Przemykając zatem między wysepkami i skałami, z przyjemnością chłonęli urok wycieczki. Dzień był nieznośnie upalny, ale orzeźwiał ich wiatr i chłód od wody. Nawet Sally nieco się rozchmurzyła, wystawiając twarz na wiatr i ocierając ją z wody. Wkrótce dotarli do czerwonoburej, legendarnej zapory asuańskiej[147]. Wędrowali jej grzbietem na zachód, mając po jednej stronie wodę cisnącą się kilkoma otwartymi śluzami i spadającą z hukiem w kilkudziesięciometrową przepaść, a po drugiej otwartą przestrzeń jeziora, uderzającego spienionymi falami w podstawę tamy.

- Podziwiam geniusz Anglików - powiedział Wilmowski.

- Z pewnością dobrze zarobili na tej budowie - odrzekł Nowicki.

- Niewątpliwie, ale zyskał jednak przede wszystkim Egipt.

Tuż przed południem dotarli do przystani łódek po wschodniej stronie, w pobliżu wioski Szellal, skąd razem ze Smugą i Abeerem mieli popłynąć na wyspę Fila. Przyjaciele już na nich czekali.

- Mam dobre wieści - od razu powiedział Smuga. - Pojutrze płyniemy do Wadi Halfa. - Tak będzie chyba najszybciej.

Wsiedli do łódki z trzema wioślarzami.

- Sam chętnie zobaczę, co zostało ze wspaniałego zespołu świątyń poświęconych Izydzie, wybudowanych w okresie ptolomejskim na wyspie File. Wszystko ma bowiem swoją cenę - smutno powiedział Abeer. - Budowa zapory spowodowała zalanie tej ślicznej wysepki. W lecie wylania się ona z jeziora w całości. O tej porze roku widać jedynie kolumny.

- File! - westchnęła Sally. - Miejsce pielgrzymek starożytnych Egipcjan, Greków i Rzymian... Ostatni rzymski szaniec i schronisko dla Koptów uciekających przed prześladowaniem... File! File, zalana wodą - dodała z żalem.

- Ciekaw jestem czy wiecie, że przez miejsce gdzie stoi świątynia Izydy, biegnie zwrótnik Raka - Wilmowski na swój spokojny sposób starał się odsuwać smutne myśli. Na

ogół zresztą z nie najlepszym skutkiem.

W drodze powrotnej zatrzymali się, by w pobliżu katarakty obserwować zawody pływackie, jakie urządzili sobie mieszkańcy pobliskich wiosek. Oto jakiś mały Berber chwycił gruby konar palmy, dosiadł go i runął w koryto porohu. Prąd porwał go niesłychanie gwałtownie, rzucił w górę, w dół, lecz on przytomnie i zręcznie utrzymywał się na powierzchni. Znikł w toni, lecz za chwilę pojawił się po drugiej stronie. Wkrótce wrócił i poprosił o bakszysz. Wnet pojawił się drugi, tym razem z wiązką trzciny w ręce. Był to Beduin z niedalekiego obozu Biszarów, plemienia koczującego w pobliżu Asuanu, żyjącego z zebraniny i drobnego handlu.

Przyglądający się temu Nowicki wreszcie wpadł na pomysł - wydawało mu się, że świetny. Oto okazja, by rozproszyć chociaż trochę smutek Sally. Tak, wiedział co zrobić.

- Moment! - zawołał i skinął na Berbera, który nie zdążył jeszcze odejść. Poprosił Abeera o tłumaczenie.

- Spróbujmy zrobić międzynarodowe zawody. Kto jeszcze? - zawołał. Gromada chłopców, mniej więcej w wieku Patryka, otoczyła go natychmiast. Nowicki przyjrzał się im krytycznie i wybrał jeszcze dwóch. Czarnego jak smoła Nubijczyka i niewielkiego chłopca o hinduskich rysach twarzy. Potem podszedł do pozostałych, obejrzał ich pływające dziwactwa i wybrał rodzaj płytkiej, maleńkiej, jednoosobowej łódki. Od innego pożyczył wioselka z łopatkami po obu stronach.

- Co chcesz zrobić? - zaniepokoił się Wilmowski.

- Sam chciałeś, abym postarał się pomóc Sally - szepnął do niego po polsku marynarz i dodał głośno po angielsku:

- Kiedyś pływaliśmy po Wiśle prawie na deskach albo w korytach. Miałem w tym niezłą wprawę... Nie martwcie się o mnie!

I rozebrał się do pasa.

- Powiedz tym kajtkom, że pierwszy, który tu wróci, otrzyma podwójny bakszysz - poprosił Abeera. - I że ruszymy, jak dasz znać!

- Zwariował, na miły Bóg, zwariował - szepnął Wilmowski do Smugi. Patryk i Abeer, obaj jednakowo zdumieni, wyraźnie dawali się ponieść emocjom. Sally jakby się nieco ożywiła. Wilmowski sceptycznie pokręcił głową, a Smuga przyglądał się wszystkiemu z zapowiedzią uśmiechu w kącikach ust.

Trójka miejscowych pływaków wyglądała przy Goliacie z Warszawy jak krasnoludki.

- Gotowi? - spytał Abeer. Wszyscy poważnie skinęli głowami.

- Ruszajcie! - wydał komendę.

Już na starcie marynarz wyprzedził wszystkich. Inni dosiedli swych wodnych rumaków, starając się na nich utrzymać balansowaniem ciała. Ponieważ nurt był najpierw powolny, sporo tracili. Nowicki wybrał inną technikę. Najpierw płynął, trzymając przed

sobą łódkę i wioselka. Dopiero, gdy prąd stał się silniejszy, wsiadł w swoje cacko i utrzymując równowagę za pomocą wiosel, pierwszy dotarł na drugą stronę. Zwycięzył o dobre parę sekund przed młodym Nubijczykiem, za którym finiszowali pozostali.

- Niech cię kule biją, niedźwiedziu - gratulował Wilmowski. - Byłem przekonany, że przegrasz.

- Mówiłem, że mam wprawę - odparł Nowicki. - Przez całe lata ćwiczyłem różne marynarskie sztuczki.

- Ale nie na rzece? - wtrącił Abeer.

- Ech... Co się będę chwalił... Także na ostrej rzece kiedyś igrało się ze śmiercią. Tutaj to zabawka... - powiedział z nagłą powagą.

I tak prysł pogodniejszy nastrój.

## MAKBARAH

Od minaretu do minaretu niósł się płaczliwy głos muezzina: *La illaha, Ula Allah! W a Muhammad Rasul Allah*[\[148\]](#), wzywający do wieczornej modlitwy, kiedy dotarli do hotelu. Już w progu Smuga i Abeer, zaskoczeni, spostrzegli znajomą sylwetkę. Za chwilę witał ich Jusuf Medhat el Hadż, ale jakże inny, jak bardzo odmieniony! Nisko pochylony, z postarzałą twarzą.

- *Allah kerim!* - zawołał. - Odnalazłem was! Gonię za wami od Luksoru.

- Czy coś się stało? - Smugę zaniepokoił i wytrącił z równowagi stan przyjaciela.

Jusuf najpierw jednak mocno uściskał dłoń Wilmowskiemu i po ojcowsku przytulił Sally.

- Wiem wszystko - powiedział.

Przeszli do hotelowej restauracji, żeby spokojnie porozmawiać. Jusuf swoim zwyczajem zaczął od sentencji.

- Czasem ten, kto chce pomóc, sam jest w potrzebie.

- Czy coś się stało? - ponaglił Smuga.

- Stało się... Stare porzekadło powiada, że najlepszym z ludzi jest ten, który dostrzega swoje błędy. Mogłem mieć synów przy sobie, ale nie utrzymałem. Pozwoliłem im odejść na południe, tułać się po Afryce. A teraz płaczę. Moi synowie... Moi kochani. Nadżib i Madżid. Nie wrócili z podróży...

- Utknęli w Czarnej Afryce... - domyślił się Smuga.

- Powinni wrócić dwa, trzy miesiące temu. Mawiają starzy ludzie, że mądry szuka doskonałości, a głupi majątku. Powędrowali tam, gdzie najbardziej niebezpiecznie. Za Sudan, do Czarnej Afryki. Dobrze, że chociaż przysłali z Sudanu wiadomość. Przynajmniej wiem, że udali się nad Jezioro Alberta, żeby zrobić dobry interes.

Spojrzeli po sobie. Wracała nazwa: Jezioro Alberta.

- W tej części Afryki wszystko jest możliwe. Formalnie, w rejonie wschodnich jezior afrykańskich podzielono sfery wpływów, ale trwa rywalizacja Francuzów, Anglików, Belgów, Niemców - wyjaśniał Abeer. - A oprócz tego walki plemienne. Są jeszcze ludożercy, no i zdarzają się, niestety, handlarze niewolników.

- Przecież już dawno skończono z tym procederem - obruszył się Wilmowski.

- Oficjalnie, tak! Ale kto wie, co dzieje się w najodleglejszych częściach dżungli - Jusuf pokiwał głową.

- Słyszałem, że ruszacie na południe. Dla mnie to ostatnia szansa. Cały majątek oddam, tylko ratujcie moje dzieci! - rzekł błagalnie.

- Przyjacielu - ciepło odpowiedział Smuga. - Idziemy tam. Idziemy w nieznane, odnaleźć zbrodniarza. Sami nie wiemy czy wrócimy. Ale przyrzekam ci, jeśli tylko czegoś

się dowiem, to kiedy załatwię naszą sprawę, pójdę tropem jak pies. Jeśli znajdziemy jakiś trop... Przrzekam.

Wilmowski słuchał wyciszony i jakby z poczuciem ulgi, jakie go nagle ogarnęło. Sam był tym zaskoczony. Głęboko wszak współczuł Jusufowi i aż za dobrze rozumiał, co przeżywa. Uświadomił sobie jednak, jak bardzo źle znosił nienawiść, która nimi zawładnęła. Potrzebował, niczym powietrza, innego niż negatywny motyw tej wyprawy. Niespodziewanie dla samego siebie, powiedział:

- Jeśli odnajdziemy ślad... Jeśli w tej Czarnej Afryce odnajdziemy ślad, to gotowi jesteśmy nawet wstrzymać nasze plany, by odnaleźć twoich synów.

Jusufowi oczy zalśniły łzami.

- Niech Allach ci to wynagrodzi, bracie - powiedział, a Wilmowski przyjął to wyjątkowe, przeznaczone wyłącznie dla bliskich słowo, równie wzruszony.

Jusuf mówił dalej:

- Poszedłbym z wami, ale jestem już za stary...

- Powiedz nam lepiej coś bliższego o pracy swoich synów - przerwał mu Smuga.

- Wiem doprawdy niewiele. Nigdy, nawet najbliższym, nie opowiadali o swych przygodach. Przywozili jedynie towar...

Smuga zmienił temat:

- Skąd wiedziałeś, że nie można ufać Ahmadowi al-Saidowi? - spytał.

- Dobrze go znałem. Domyśliłem się, bo nieraz już maczał palce w nieczystych sprawach. "Nie powierza się kotu kluczy od gołębnika". A on to taki kot, który się skrada, czai i porywa, co najlepsze...

- Zdradził nas. Od niego zaczęły się nasze kłopoty - powiedział Wilmowski, a Smuga dodał:

- Z nim wyrównamy jeszcze rachunki...

Nowicki i Sally siedzieli w milczeniu. Wyprawa, zaplanowana jako pościg za przestępcą, zmieniała swój charakter. Już nie tylko zemsta, nie tylko poczucie sprawiedliwości, miało powodować jej uczestnikami. Będą szukać zaginionych w Czarnej Afryce synów przyjaciela Smugi.

Nowicki starał się zrozumieć Wilmowskiego. Jemu nic już nie przywróci Tomka, a Jusuf zyskuje nadzieję. Przebaczenie nie leżało jednak w naturze marynarza. Nie, nie zrezygnuje z pościgu za "faraonem", choćby miał przez to poróżnić się z przyjaciółmi. Nie mógł się skupić. Miał dość rozważań. Czuł, że się dusi. Zapragnął samotności. Przeprosił wszystkich i wyszedł na zewnątrz.

Nerwowo przechadzał się przed hotelem i nagle zderzył się z wychodzącym z pobliskiej spelunki człowiekiem.



- Uważaj pan! - zawołał.

Tamten podniósł głowę, uchylił kapelusza i Nowicki poznał... Harry'ego. Chwycił go za marynarkę, ale tamten wyrwał się i pobiegł piaszczystym ugorem na wschód. Marynarz ruszył za nim bez chwili namysłu. Biegli tak ze trzy, może cztery kilometry, aż nagle znaleźli się w ruinach starożytnego Suanu. Nowicki, nie nawykły do szybkiego biegu, zaczął odczuwać zmęczenie i chociaż nie stracił Harry'ego z oczu, to także nie zbliżył się do niego. Biegli teraz wzdłuż starego muru i marynarzowi udało się wreszcie zmniejszyć dzielącą ich odległość. Harry zorientował się, że nie umknie. Zatrzymał się. Przyjął błyskawiczny atak Nowickiego. Zręcznie uniknął ciosu, trafiając marynarza w ramię. Warszawiak odwrócił się.

- Stęskniłeś się chyba za mną, draniu? - syknął przez zaciśnięte zęby.

Harry, dysząc po szybkim biegu, zdobył się na szyderczy uśmiech. Chwycił się za ucho i rzekł:

- Pamiętasz?

Błyskawicznie zamachnął się nożem. Nowicki zdołał uniknąć ostrza, gwałtownie odchylił się do tyłu. W tym samym momencie otrzymał jednak nokautujący cios w szczękę. Runął na plecy. Usłyszał jeszcze chichot i francuskie słowo: Adieu! Żegnaj! - Po czym zauważył, że Harry zniknął w jakiejś szczelinie. Jeszcze ostrożnie zajrzał do środka, ale panowała tam taka ciemność, że się zawahał. Postanowił wrócić dopiero przy dziennym świetle.

Rano towarzyszyli mu Abeer, Sally i Smuga. Ujrzeni ruiny starożytnego Suanu, a za nimi granitową pustynię: majestatyczną, groźną i dziką. Różowy, szary, zielonkawy granit wydawał się w blasku słonecznych promieni całkiem czarny. Kiedy dotarli do muru, Abeer powiedział:

- To makbarah!

- Makbarah? - zdziwił się Nowicki.

- Starożytny cmentarz muzułmański wzorowany na tradycjach faraonów.

- Zajrzyjmy do wewnątrz.

- Nie radzę - przestrzegł Abeer. - Nie należy naruszać spokoju mahometańskich cmentarzy, jeżeli nie chce się pozostać na zawsze w Egipcie... z nożem w plecach.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odparł marynarz, wcale nie przekonany.

- Lecz jeśli tamten mógł, to i ja. Podeszli bliżej, gdzie mur był niższy.

- A te domki? - spytał Nowicki, stając na palcach.

- To właśnie grobowce - odparł Abeer.

- Bardzo oryginalne - stwierdził Nowicki. - Wyglądają jak mieszkalne domy. W jaki sposób chowa się w nich zmarłych? Czy zwłoki są składane również na piętrach?

Abeer ociągając się, odpowiedział:

- Zmarli leżą w dolnej części, a na górze są pokoje dla przychodzących tutaj rodzin.

- Czy często przychodzą?

- Przeważnie dwa razy w roku i na całą dobę.

- Czy zmarli leżą w trumnach? - dopytywał Nowicki.

- To unikat. Taki cmentarz arabski można ujrzeć tylko w Egipcie - odrzekł Arab, jakby nie słyszał.

Domyślając się, że Abeer, mahometanin, nie chce z nim dalej o tym rozmawiać, Nowicki dodał pospiesznie:

- My obchodzimy dzień zmarłych w listopadzie. Także odwiedzamy wtedy cmentarze, by oddać cześć swoim zmarłym. Uważam, że wasz zwyczaj dowodzi wielkiego szacunku dla zmarłych krewnych.

- Mahometanie czczą swoich zmarłych - Abeer dał się wciągnąć w rozmowę i opowiadał dalej.

Jak wynikało z jego słów, muzułmanie składali swych zmarłych w podziemnej części grobowca w dwóch pomieszczeniach. Jedno przeznaczone było dla mężczyzn, drugie dla kobiet. Zwłoki owinięte w prześcieradła układa się na ziemi posypanej popiołem. W części nadziemnej grobowca buduje się pokoje dla żyjących członków rodziny, która dwa razy w roku, z okazji małego i dużego ramadanu, przychodzi odwiedzać zmarłych i przebywa z nimi przez cały dzień i noc. Z tego względu zamożniejsi nawet meblują te pokoje, by mieć na czym spać i jeść.

- Obecnie Arabowie już nie budują tak kosztownych grobowców - mówił dalej Abeer. - Zarzucono ten zwyczaj z powodu zubożenia ludności.

Nowicki słuchając wykładu, nadal próbował ponad murem obejrzeć cmentarz. Po chwili szybko rozejrzawszy się wkoło, przywołał swoich towarzyszy:

- Spójrzcie, co jest za tym murem - rzekł podniecony. - Poczekajcie tu na mnie. Gdyby ktoś nadchodził, dajcie mi znać. Wejdę i rozejrzę się trochę! Może znajdę jakiś ślad Harry'ego.

- Arabowie siedzą o tej porze w domu - zauważyła Sally. - Tylko turyści mogą włóczyć się w takim upale.

- To już lepiej wejdźmy wszyscy - zdecydował Smuga.

Abeer nie protestował, choć nieufnie rozglądał się dokoła.

Grobowce były parterowe i pozamykane. Jak wiele domostw mieszkalnych w Suanie i one nie miały dachów. Penetrowali cmentarz w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Wszystkie groby były jednak zamknięte. Nagle odezwał się Abeer:

- Uwaga, tam ktoś siedzi przy grobowcu.

- Grób bardzo oryginalny - zauważył Wilmowski. - Doskonale urozmaicenie w tej posępnej pustce!

Samotny, starszy mężczyzna z głową owiniętą turbanem, w obszernej galabii w podłużne pasy, nie mógł stanowić zagrożenia. Siedział na progu grobowca. Bujny zarost okalał jego twarz. Grobowiec, przed którym siedział, przypominał małą kapliczkę z owalnym otworem. Był otwarty! W środku stał katafalk osłonięty czerwonym materiałem.

Abeer podszedł do starego Araba. Pozdrowił go uprzejmie, po czym zapewnił o wielkim uznaniu chrześcijan dla muzułmanów za cześć, jaką okazują zmarłym i poprosił o pozwolenie na dokładne obejrzenie oryginalnego grobowca. Następnie wyciągnął do niego dłoń z bakszyszem. Tamten odmówił gniewnym gestem, porywczo podniósł się i odszedł na bok.

- Możecie obejrzeć grób, ale pospieszcie się - powiedział Abeer.

- I nie wchodźcie do wewnątrz!

Tymczasem po drugiej stronie grobowca zaczęli pojawiać się ludzie. Najpierw tylko dwóch mężczyzn. Ale nim się spostrzegli, już kilkanaście osób, wyrosłych jak spod ziemi, podejrzliwym wzrokiem śledziło każdy ich ruch.

- Coś mi tu zaczyna cuchnąć! - odezwał się po polsku Nowicki.

- Wycofujmy się prędzej!

- Jeszcze tylko chwilę - zaproponowała Sally. - Grobowiec jest otwarty. Tamte pozostałe mają solidne zamki, a tu jest uchylona furtka - rzekła. - Trzeba by wejść do środka. Może to kryjówka...

Nie wydawało się to prawdopodobne, ale powinni sprawdzić.

Abeer zbliżył się do obserwatorów i pozdrowiwszy ich, zaczął rozdawać bakszysze. Brali, nie dziękując ani jednym słowem. Do przodu wysunął się niski, chudy, pochylony staruch w brudnej galabii. Abeer wdał się z nim w rozmowę. Tamten ze zrozumieniem potakiwał głową. Gdy Abeer zapytał, czy w tym grobowcu leży zmarły, starzec wyciągnął rękę i uchylił zasłonę zakrywającą podłużny przedmiot, który wzięli za katafalk. Na ten widok, Arab, który zezwolił na dokładniejsze obejrzenie grobu, podniósł z ziemi duży kamień i ruszył ku nim.

Abeer szybko odszedł, zaczął żegnać rozsierzonego Araba. Jeszcze raz rozdał wszystkim bakszysze. Ręce wolno, jakby z wahaniem wyciągały się po datki, błyszczące ponuro oczy nie wróżyły niczego dobrego.

Nowicki, Sally i Smuga wolno zaczęli wycofywać się w głąb cmentarza, ku wyrwie w ogrodzeniu. Abeer szedł kilka kroków za nimi, a pochylony starzec dreptał obok niego. Gromada Arabów początkowo również szła za nimi, ale stopniowo zaczęła coraz bardziej pozostawać w tyle, aż w końcu zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Abeer dał starcowi, który cierpliwie im towarzyszył, paczkę papierosów i słodycze. Ten, chowając prezenty pod galabiję, mruknął:

- Jestem tutaj dozorcą, mam klucze do kilku większych grobowców...

Mówiąc to, uchylił galabii, pokazując parę wielkich kluczy z; i tkniętych za sznurem, którym przewiązany był w pasie. Nowicki dał się ponieść emocji. Bez słowa wyciągnął portfel i dwa egipskie funty zmieniły właściciela. Starzec bacznie się rozejrzał, po czym skinął głową, mruczając:

- Dobrze, wpuszczę was i będę pilnował, żeby tamci nie nadeszli. Byłoby bardzo źle. Musicie się spieszyć!

Mogli wreszcie wejść do wnętrza grobowca! Budowla składała się z kilku izb, których podłogę stanowił wszechobecny piach, a dach zastępowało lazuruwe, roziskrzzone niebo. W pierwszych pomieszczeniach były ślady uctowania żywych ludzi, dość świeże. W ostatnim, największym pogrzebano zmarłych. Pod lewą ścianą mężczyzn, pod prawą kobiety, a w rzędzie pomiędzy nimi dzieci.

Starzec wciąż przynaglał do pośpiechu, ale wpuścił ich jeszcze do trzech innych grobowców. W żadnym nie znaleźli żadnych śladów. Gdy wyszli z ostatniego, położonego tuż obok wyrwy w murze, Smuga podziękował przypadkowemu przewodnikowi, a Sally wręczyła mu jeszcze jakiś drobny upominek. Na pożegnanie Abeer zapytał, jak dawno ktoś odwiedzał zmarłych. Nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. Tajemnica nie została odkryta.

Obok grobowca, który wzbudził ich największe zainteresowanie, rosła palma daktylowa. Stary Arab zerwał kilka zielonych, podłużnych owoców i wręczył je Smudze.

- Czy są jadalne? - spytał podróżnik.

- Tak! Tak! - potwierdził Arab i gestami zachęcał go, by spróbował.

Smuga rozgryzł owoc. Daktyl nie miał pestki i był dość twardy. Zaczął go więc przeżuwać. Po chwili usta wypełniła mu piana o dziwnym, nieprzyjemnym smaku. Smuga ukrył się szybko za grobowcem i wypluł paskudztwo na ziemię.

- Chodźmy stąd! Chodźmy - ponaglał towarzyszy, mimo że przeszli już przez mur. Po drodze opowiedział o niefortunnym daktylu. Dziaśła i język cierpły mu, usta miał wciąż pełne żółtawej piany.

- Po jakie licho brałeś do ust jakieś paskudztwo rosnące na cmentarzu - zirytował się Nowicki.

- Chodźmy jak najprędzej do hotelu - ponagliła Sally.

Smuga, plując bez przerwy, podszedł do Abeera, który wyprzedził ich o kilkadziesiąt metrów.

- Czy możesz mi powiedzieć, co to jest? - spytał go.

- To odmiana daktyla - odparł Abeer. - Czy ciebie, który tak dobrze znasz Egipt, trzeba ostrzegać?

- Czasem najmądrzejszy robi głupie błędy - odrzekł Smuga. Powiedz mi jeszcze, czy to

gatunek jadalny?

- Ach, nie! Wyrzuć to natychmiast! - zawołał Abeer. - Przecież to trucizna.

Przez całą noc i następny dzień czuł się dziwnie, bo jednak połknął nieco spienionej śliny, ale nic mu się nie stało. Drętwość w ustach minęła. Dlaczego arabski starzec zachęcał go do zjedzenia trującego owocu, nigdy się nie dowiedział.

Następnego dnia, jak tylko zrelacjonowali policji ostatnie wydarzenia, wyruszyli do Wadi Halfa. W Asuanie u gościnnej rodziny Jusufa pozostał Patryk, któremu powierzono pieczę nad Dingiem. Z żalem pożegnali także Abeera, uznawszy, że nie ma dostatecznego doświadczenia, aby bez dodatkowego ryzyka znosić trudy tego rodzaju wyprawy.

## ŚLADAMI POSZUKIWACZY ŹRÓDEŁ NILU

Poniżej Asuanu Nil rozlewał się w trzystukilometrowe jezioro. Wpływali na teren Nubii: rozciągającej się od pierwszej do czwartej katarakty krainy o najgorętszym w całej Afryce klimacie. Piasek jej pustyń uchodził wprawdzie za gojący rany, ale szlaki karawan i armii znaczyły gęsto kości zwierząt i ludzi.

Parowiec płynął wzdłuż niskich, piaszczystych brzegów, mijając zalane aż po pióropusze palmy, nubijskie wioski i pozdrawiając przepływające obok, załadowane najróżniejszym towarem feluki, prawdziwe sklepy na wodzie. Z zachwytem oglądali majestatyczne, wzniesione na zachodnim brzegu, świątynie Abu Simbel[149].

Wadi Halfa, cel ich podróży, to był już Sudan. Zanim na dworzec wtoczył się żółto-czerwony klimatyzowany pociąg, przypominali sobie swój pierwszy pobyt w Afryce. W przestronnym przedziale odetchnęli z ulgą. Gdyby nie szczelnie zamknięte, oszklone niebieskimi szybami okna wagonu, czuliby się jak w Europie. Dwaj przypadkowi towarzysze podróży, brytyjscy oficerowie, okazali się sympatyczni i urzekająco wprost uprzejmi, zwłaszcza wobec Sally.

Po dwóch godzinach jazdy pociąg przystanął, a Nowicki wyjrzał na zewnątrz. W szczerzej pustce stało kilka stożkowatych, pomalowanych na biało baraków z cegły, zakończonych czarnymi szczytami. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych budowli. Ludzie kręcący się przy pociągu wydawali się bardzo sprawni. Szybko uwinęli się z przeładunkiem. Nowickiego zainteresowały bardzo wynoszone z towarowego wagonu pojemniki z jakimś płynem. Wrócił i podzielił się swoimi spostrzeżeniami z towarzyszymi podróży.

- Może to rum jamajka — rzucił podejrzenie głośnym szeptem. Obaj Brytyjczycy wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich wyjaśnił:

- Och, nie, to po prostu woda. Co 75 kilometrów na Pustyni Nubijskiej wybudowano takie właśnie stacje. Dopiero szósta dysponuje naturalnym źródłem wody. Tu natomiast wodę dostarcza pociąg.

- Anglicy nieźle to sobie wykoncypowali - pokiwał głową Nowicki.

- Dalsza nasza droga będzie dużo przyjemniejsza. Po przebyciu pustyni, w Abu Hammad, pociąg spotka się z Nilem i mijając piątą, a potem, przed Chartumem, szóstą kataraktę, przez Berber dotrze do kresu podróży - uzupełnił drugi z oficerów.

- Czyli razem będzie to mniej więcej dziewięćset kilometrów - powiedział Smuga.

I tak przełamana została ostatecznie bariera obcości. Obaj Brytyjczycy przedstawili się. Kapitan Thomas Blake i porucznik Aleksander Gordon wracali z urlopu do garnizonu w Chartumie.

Gdy podróżni wymienili swe nazwiska, jeden z oficerów powiedział:

- Przepraszam, ale nazwiska panów brzmią bardzo obco. Niektóre trudno wymówić.

- Ach tak, oczywiście - uśmiechnął się Wilmowski. - Jesteśmy po prostu Polakami.

- Polacy... No, no... Jakież wiatry was tu przygnały? - zdziwił się Gordon.

- Długo trzeba by opowiadać - odparł Smuga.

- No cóż, dla mnie jest to szczególnie miłe spotkanie, ponieważ... w moich żyłach płynie polska krew. Matka urodziła się wprawdzie we Francji, lecz jej ojciec był Polakiem. Po dziadku jestem więc waszym rodakiem!

- No to miło się zaczyna - Nowicki przyjął oświadczenie z pewną rezerwą.

- Skoro już zaczęliśmy, to dodam jeszcze, że interesuję się historią misjonarzy. Nie wiem czy panowie wiecie, że pierwszym wikariuszem apostolskim Afryki Centralnej był właśnie Polak, Maksymilian Ryłło[150]?

- Co pan powie? - Anglik zupełnie zaskoczył Nowickiego.

- Znowu nasi!

- To był dzielny człowiek, ten Ryłło - kontynuował Gordon.

- Wcześniej działał na Bliskim Wschodzie i tak się dał we znaki Turkom, że skazali go na śmierć, a zarządca Egiptu, Ibrahim Pasza, uznał go za osobistego wroga i wyznaczył cenę za jego głowę.

- I Ryłło, wiedząc o tym, przybył do Egiptu?

- To przecież tak bardzo polskie - uśmiechnął się Gordon.

- Poprosił o audiencję u Ibrahima i zaczął ją słowami: "Znam wielkość twojej duszy, przychodzę więc dobrowolnie". Wywarło to tak wielkie wrażenie, że władca wydał zgodę na wyjazd ekspedycji do Chartumu.

- Wędrowało się wtedy nieco trudniej niż dziś - dodał Wilmowski.

- O wiele trudniej. Podróż łodzią i na wielbłądach trwała pięć miesięcy. Ryłło dotarł do Chartumu, ale tam zmarł z wyczerpania w lutym 1848 roku.

- Zna pan bardzo dokładnie jego życiorys - zdziwił się Wilmowski.

- Tak, bo od wielu lat przebywam w Chartumie i odwiedzałem jego grób wielokrotnie. Ryłło został bowiem pochowany w ogrodach stacji misyjnej[151].

- To z pewnością misjonarz, który tworzył historię tych ziem - rzekł Wilmowski.

- Szkoda więc, że nam tak nie znany - uprzejmie dodał Smuga. Polakom niełatwo było ukryć wzruszenie. Chyba już zawsze, kiedy przyjdzie im słuchać lub mówić o Polakach, rozsianych na różnych kontynentach, oczyma duszy ujrzą Tomka, z całą tą żarliwością, z jaką chłonał informacje. Usłyszą jego głos i zatęsknią za komentarzem, którym tak często ich zaskakiwał.

By nie poddać się przygnębieniu, z wdzięcznością przyjęli zaproszenie Blake'a do wagonu restauracyjnego.

- To i wagon restauracyjny jest w tym pociągu? - nie chciał uwierzyć No wieki.

- Ho, ho! I to jaki! - rzekł Gordon i pochylił się ku marynarzowi, szepcząc mu na ucho:

- Mają tam z pewnością rum!

- W to mi graj! - odparł No wieki.

Obfita, składająca się z siedmiu dań kolacja podana była elegancko na stolikach pokrytych białymi obrusami. Obsługiwał, z niezwykłą wprost grzecznością, czarny kelner w oryginalnym uniformie. W centrum Afryki poczuli się tak jakby znaleźli się w najnowocześniejszej, paryskiej restauracji.

\*\*\*

Jednostajnie mijały godziny: pora snu, posiłki i jako główne urozmaicenie - rozmowy. Gdyby byli sami, zapewne obsesyjnie tkwiliby wciąż w kręgu sprawy "faraona". Obecność Brytyjczyków pozwalała im się oderwać i zapomnieć. Usprawiedliwiała wręcz to zapomnienie.

Tematów jakoś nigdy nie brakowało. W jednej z rozmów za sprawą Smugi nawiązali do bardzo krwawych wydarzeń, które miały miejsce w Sudanie. Smuga, od początku zaintrygowany nazwiskiem jednego z oficerów uznał bowiem, że przyszedł moment, w którym można sobie pozwolić na osobiste pytanie:

- Przepraszam za niedyskrecję, ale... czy jest pan krewnym "tego" Gordona?

- Nie. Nic nie mam z nim wspólnego - uśmiechnął się oficer. - No, może poza tym, że czasem korzystam z wrażenia, jakie wywiera to nazwisko - dodał żartobliwie. - Zwłaszcza kiedy się przedstawiam, a ono wyraźnie budzi respekt.

- O kim mowa? - spytał, budząc się z drzemki Nowicki.

- Może zacznijmy od początku - powiedział Blake. - Otóż w 1819 roku Muhammad Ali podbił Sudan i zapanowały tu przekupne i okrutne rządy egipskie.

- Odwieczna historia. Jedni podbijają, inni walczą o wolność westchnął Wilmowski.

- Tak było i tutaj. W 1881 roku błyskotliwy fanatyk, Muhammad Ahmed wezwał do świętej wojny przeciw Egipcjanom i Brytyjczykom. Ogłosił, że jest potomkiem samego Mahometa, zesłanym przez niego mesjaszem, czyli mahdim. Pod tym pseudonimem, właśnie jako Mahdi, wszedł do historii. Utworzył armię derwiszów<sup>[152]</sup> i na ich czele zbliżył się do Chartumu, rabując i mordując po drodze. Egipcjanie wezwali na pomoc Brytyjczyków. Po wielu wahaniach posłano wreszcie generała Charlesa Georga Gordona, by pomógł bezpiecznie wyjść Egipcjanom z Chartumu. Wkrótce miasto, a w nim i Gordon, zostało otoczone przez wojska rebeliantów. O zamiarze ataku na miasto uprzedził go sam Mahdi, pisząc w liście w charakterystyczny dla siebie sposób: "Zlitowałem się nad niektórymi moimi ludźmi. Pozwolę im umrzeć, aby mogli dostąpić raj". Po długim oblężeniu miasto padło, Gordon zginął na stopniach pałacu gubernatorskiego przebity włóczniami, a jego uciętą głowę obnoszono triumfalnie po mieście.



- Lepiej wejść do historii jak nasz Ryłło, niż tak jak ten Mahdi... - Nowicki nie mógł się powstrzymać od komentarza.

- Na ironię zakrawa fakt - kontynuował Blake - że Gordon zginął w momencie, gdy odsiecz była o trzy dni od miasta. Sam zaś Mahdi zmarł kilka miesięcy później, w tym samym, 1885 roku, jako 37-letni mężczyzna.

- No to Brytyjczycy pozwolili sobie w kaszę podmuchać - znowu wszedł mu w słowo Nowicki.

Blake, obdarzony na szczęście poczuciem humoru, roześmiał się.

- Nie tak szybko, mój panie. Powoli, powoli. Śmierć Gordona odbiła się szerokim echem w Europie, a w Anglii wywołała szok. Następcą Mahdiego został Abdullah, zwany kalifem, czyli namiestnikiem. Wojna trwała jeszcze 13 lat i dopiero w 1898 roku generał Horatio Kitchener rozgromił buntowników ostatecznie w bitwie pod Ordurmanem, miasteczkiem leżącym naprzeciw Chartumu. Padło tam kilka tysięcy [\[153\]](#) derwiszów, podczas gdy sprzymierzone wojska egipsko-angielskie straciły zaledwie 48 żołnierzy.

- Ilu? - nie uwierzył Nowicki.

- Czterdziestu ośmiu! - powtórzył Blake. - Stało się to w Wielki Piątek 1898 roku. Wojsko Kitchnera zaatakowało najpierw ogniem artylerii, a potem przy dźwiękach kobz, fletów, bębnów i trąb ruszyła piechota i konnica.

- Ależ musiały być jatki - skrzywił się Nowicki. - I jeszcze sobie przygrywali... - Mówił po polsku, więc obaj oficerowie nie zrozumieli. A Smuga, aby uniknąć pytania, szybko dopowiedział:

- I tak Sudan stał się kondominium brytyjsko-egipskim.

- W zasadzie rządzą tu jednak Brytyjczycy - zakończył opowiadanie Blake. - Naczelnym gubernatorem Sudanu był lord Kitchener, a obecnie jest nim Reginald Wingate [\[154\]](#).

\*\*\*

Pociąg brnął przez ponurą Pustynię Nubijską, pozbawioną roślinności, niemal bezludną, zatrzymując się na kolejnych stacjach. Przed Abu Hammad przeżyli niespodziewaną przygodę. Oto nagle, gdy pociąg zwolnił, zza pustynnych skał wyłonił się na zgrabnym, szarej maści koniu, uzbrojony w ciężką dzidę jeździec. Ubrany był w lekką, starą kolczugę i białe spodnie. Głowę okrywał mu biały zawój, kontrastujący z czarną twarzą. Siedział swobodnie w niewielkim, zgrabnym, przykrytym derką siodle, bosa stopy opadały luźno wzdłuż boków konia. Pędził, mijając pociąg, zawracając i znowu galopując, jakby chciał udowodnić, że w zawodach z techniką, górą jest natura. Wykrzykiwał coś przy tym, groźnie machając bronią. Nagle gwałtownie spał konia i zniknął między skałami.

- Cóż to za demonstracja? - zwrócił się do Brytyjczyków Wilmowski.

- Trzeba przyznać, że jeździec jest znakomity - dodał Nowicki. Nie zdążyli usłyszeć odpowiedzi. Nagle zza pagórków wyłonił się konny oddział czarnych jeźdźców. Zbliżali się do pociągu, krzycząc coś i strzelając w powietrze. Wzrok Nowickiego spoczął na karabinie,

leżącym na półce, a ręka niemal bezwiednie powędrowała do kieszeni. Wilmowski również wyglądał na zaniepokojonego. Smuga uśmiechał się zagadkowo, a obaj oficerowie spokojnie wymieniali jakieś uwagi.

- Co oni zamierzają? - zawołał Nowicki.

- Bez paniki, Tadku, panowie zaraz to wyjaśnią - odpowiedział Smuga.

- To tylko pokaz jeźdźców pustyni, Sza'ikijczyków - rzekł Blake.

- Za chwilę pojawią się na stacji w Abu Hammad i zbiorą zasłużony bakszysz.

- A to dopiero - westchnął Nowicki, wyjmując z kieszeni portfel zamiast rewolweru.

- Lepiej nie dawać im pieniędzy, bo i po co? - poradził Gordon.

- Zadowolą się papierosami, żywnością... Najchętniej zresztą wezmą proch lub śrut.

Rzeczywiście, jeźdźcy czekali na stacji. Ustawili się karnie w szeregu, krótko trzymając parskające, parujące konie. Nie był to bynajmniej koniec popisu. Przed szereg wyjechał ów pierwszy. Na końcu peronu ustawiono tarczę wielkości dobrze zbudowanego człowieka. Sza'ikijczyk wolno posuwał się wzdłuż pociągu. Koń szedł to prosto, to bokiem, wolniej, szybciej... Stawał w miejscu, zawracał, tańczył... Jego pan kierował nim głosem i lekkimi ruchami nóg, choć w każdym ze strzemion tkwił tylko jeden, duży palec. Pasażerowie patrzyli urzeczeni. Wreszcie jeździec dojechał do końca peronu i nagle zawrócił galopem. W jego rękę ni stąd ni zowąd pojawiło się cztery czy pięć lanc. Rzucone niemal jednocześnie, a jednak kolejno, wszystkie utkwily w tarczy. Rozległy się gromkie brawa. Jeździec przejechał jeszcze raz wzdłuż wagonów, jakby dziękując za uznanie. Dwu innych zsiadło z koni i zbierało podarunki.

- Sza'ikijczycy uchodzą za rabusiów i łupieżców. Są narodem wojowników, gardzących rolnictwem i handlem - opowiadał Blake, gdy wrócili do pociągu. - W czasie wojny z Mahdim stanęli po stronie Brytyjczyków, stąd znam niektórych z nich, zwłaszcza tych starszych. Są honorowi i bardzo gościnni. Zdarzyło mi się raz, kiedy zapuściłem się samotnie w pustynię, że napadli mnie i doszczętnie obrabowali. Gdy dojechałem do pobliskiej wioski, gdzie miałem znajomych, niemal natychmiast zwrócono mi moją własność. Gość i przyjaciel są dla nich osobami świętymi, nietykalnymi.

- Czy zauważyli panowie regularne blizny na twarzy najśmielszego z jeźdźców? - spytał Gordon.

- Oczywiście! Czy one coś oznaczają?

- U niektórych plemion z pustyni górnego Egiptu i południowego Sudanu zaznacza się w ten sposób przynależność do znakomitego rodu - wyjaśnił Blake.

\*\*\*

Pociąg jechał teraz niemal wzdłuż Nilu. Krajobraz wyraźnie się zmienił. W okolicy Barberu, gdzie do Nilu wpada Atbara[155] wśród grup palm daktylowych pojawiały się coraz częściej sykomory i akacje. Wjeżdżali w sahel[156], teren przejściowy między

pustynią a sawanną. Powierzchnia porośnięta była zielonymi przy brzegu, a dalej żółtymi, niskimi trawami oraz kolczastymi krzewami, splątanymi ze ścielącą się po ziemi byliną, która rozkwitała właśnie dużymi różowoczerwonymi kwiatami. Ten widok towarzyszył im już do samego Chartumu.

Rozmawiali teraz coraz częściej o trudzie życia mieszkających tu ludzi.

- Wszystko rozumiem - podsumował jedną z dyskusji Nowicki. - Ale jak oni radzą sobie z taką małą ilością wody... Ani się napić do syta, ani umyć, ani uprać...

- Radzą sobie doskonale - odparł Blake. - Jeśli wyjrzy pan przez okno, to między akacjami dostarczającymi arabskiej gumy[157], zauważy pan krzew, uzbrojony w kolce o skórzastych liściach i jadalnych, podobnych do daktyli, owocach. Otóż nasion tej rośliny używa się tu do prania zamiast mydła.

- Niedaleko stąd, w Kordofanie, spotyka się tak zwane wodne melony, których sok doskonale gasi pragnienie i służy za przyprawę do potraw. Soczyste łupiny owoców nadają się na pokarm dla kóz i wielbłądów - dodał Gordon.

- Popatrzcie - przerwał im nagle Smuga. - Gazele![158]

Spojrzeli przez okno. Przestraszone przez pociąg, umykały najpierw równolegle do niego, a potem uskoczyły w bok.

- To dorkas - dodał Gordon. - Bardzo wytrzymałe na upał. W porze chłodnej wytrwają bez wody aż dwanaście dni, w gorącej cztery. Jeszcze bardziej wytrzymałe są oryksy. Gdy jest trochę zieleni, z powodzeniem mogą nie pić przez miesiąc.

- Są zatem bardziej wytrzymałe od wielbłąda! - powiedział Wilmowski. Nowicki zaś zwrócił się wprost do Gordona:

- Doskonale orientuje się pan w faunie sahelu - ni to stwierdził, ni zapytał.

- Owszem! - odparł Gordon. - Kiedyś dużo polowałem. Można tu oprócz antylop dorkas i oryks, spotkać jeszcze także odporne na niedostatek wody addaksy oraz całą masę gryzoni, zajęcy, susłów, myszy, chomików.

Poznawanie przyrody i zwierząt różnych krajów było nie tylko pracą grupki podróżników, ale także ich wielką przyjemnością. Dostrzegli, że także pod tym względem znaleźli w osobie Gordona prawdziwie bratnią duszę. Pomyśleli, jak bardzo Tomek ucieszyłby się takim zbiegiem okoliczności. Po tej rozmowie zamilkli nagle, bo dotknęła znowu rany zbyt świeżej, by zdążyła się zabiżnić. Obaj oficerowie angielscy zdawali się nie zwracać na to uwagi. Gordon jednak przy pierwszej okazji, kiedy opuścili przedział, zapytał Nowickiego:

- Przepraszam za niedyskrecję, ale... jakoś tak nagle wszyscy panowie posmutnieli. A młoda pani Wilmowska sprawia wrażenie jakby przeżywała coś bardzo dramatycznego?

- Cóż, chyba nie da się tego ukryć. Niedawno wszyscy straciliśmy przyjaciela. Pan Wilmowski zaś syna, a Sally męża - z prostotą odpowiedział Nowicki.

- Mój Boże - szepnął Gordon. - Jeszcze raz przepraszam.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy, chociaż przyznaję, że niełatwo o tym mówić.

- Czyżby to był wypadek?

- Nie ma czego ukrywać - zdecydowanie powtórzył Nowicki i kiedy wkrótce dołączył do nich Blake, opowiedział wszystko obu oficerom.

- Wstrząsająca historia - Blake był wyraźnie poruszony.

- Ścigacie zbrodniarza, który może ukrywać się gdzieś w pobliżu Jeziora Alberta? - Gordon chciał znać konkrety.

- Tam prowadzi trop - odrzekł krótko Nowicki.

- W Chartumie spróbujemy się czegoś dowiedzieć, pomóc. Stanowcza obietnica Gordona zakończyła tę trudną rozmowę.

\*\*\*

U zbiegu Nilu Błękitnego z Białym Egipcjanie założyli w 1823 roku miasto Chartum. Zrujnowane przez derwiszów Mahdiego, odbudował w 1899 roku, a w następnych latach rozbudował, Kitchner. Długie, poprzecinane licznymi przecznicami, pochyłe ulice noszą przeważnie angielskie nazwy, ale spotyka się też tabliczki z nazwami arabskimi, greckimi, a często we wszystkich trzech językach jednocześnie. Na zachodnim brzegu Nilu, niczym przeciwwaga dla europejskiego w swym charakterze Chartumu, leży arabski Omdurman.

Grupa Polaków na krótko zatrzymała się w Chartumie, głównie ze względu na ekwipunek niezbędny do wyruszenia w głąb kraju. Szczupły zasób finansowych środków i tak już nadszarpnięty przez pobyt w Egipcie sprawił, że propozycja zakwaterowania, bardzo zresztą skromnego, w angielskich koszarach, została z wdzięcznością przyjęta. W dwa dni po przyjeździe, do skromnego pokoju, gdzie kwaterowali nasi przyjaciele, wpadł jak burza Gordon.

- Moi panowie! Moi panowie! - wołał entuzjastycznie. - Jadę z wami! Jadę z wami nad Jezioro Alberta!

- To ci niespodzianka - uradował się Nowicki.

- Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy sygnał, że dzieje się w tamtym rejonie coś dziwnego. Potem przysły inne, bardziej szczegółowe, ale i chaotyczne wiadomości. Mówi się o przemyśle, rabunku na bardzo dużą skalę. Niedawno w dżungli napadnięto na misjonarza. Ktoś także twierdzi, że organizuje się tam grupa handlarzy niewolników. To oczywiście przypuszczenia, ale gdy mój dowódca dowiedział się o panów wyprawie, polecił, by wam towarzyszyć i potraktować to jak rekonesans.

- Kiedy zatem ruszamy? - rzeczowo spytał Smuga.

- Jeśli jesteście panowie gotowi, to choćby jutro.

- Chętnie! Mamy już potrzebny ekwipunek.

Gordon natychmiast przeszedł do omawiania konkretów:

- Tragarzy wynajmiemy w Rejaf lub Dżuba. Co prawda linia kolejowa z Chartumu do oazy EFObejd w Kordofanie nie została jeszcze wprowadzie oddana do użytku[159], ale możemy dojechać pociągiem towarowym najdalej jak się da, a w Kostii wsiąść na statek, o ile tylko uda się nam go dogonić. Proszę się nie martwić o transport. To biorę na siebie. Pomogą nasi ludzie.

Pomoc przychodziła w najmniej oczekiwanym momencie. Dzięki niej wszystko mogło okazać się łatwiejsze niż przewidywali. Może to przełame złą passę? Czuli się pokrzepieni i pełni energii. Nie na długo. Byli spakowani, kiedy spadło na nich kolejne nieszczęście. Gwałtowny atak malarii powalił Sally. Sprowadzony przez Gordona lekarz orzekł, że w jej wypadku żadna podróż nie jest możliwa.

Mieli więc wyruszyć w przygnębieniu, z nowym niepokojem w sercu. Choć przecież zostawiali Sally w koszarowym szpitalu, pod fachowym okiem lekarzy i przyjazną opieką żony dowódcy placówki, którą specjalnie o to prosił Wilmowski. A jednak zostawiali ją samą.

Pociąg towarowy włókł się niemiłosiernie przez pustkowie Kordofanu. Miał jednak tę wielką zaletę, że chronił przed deszczem. Od marca bowiem aż do października trwała tu pora dżdżysta. Deszcz lał często i ulewnie. Nieraz towarzyszyły mu burze. Jedna z nich omal nie doprowadziła do katastrofy.

Około południa, gdy słońce sięgało zenitu, po wschodniej stronie nieba wzniosła się powoli czarna ściana chmur. Ich brzeg wkrótce zabarwił się bladoczerwono, choć słońce żółtym światłem próbowało rozproszyć zapadający nagle zmrok. Zerwał się gwałtowny wichur, który z mocą uderzył w pociąg. Wagony zaczęły się kołysać, przedmioty przesuwając z miejsca na miejsce, niczym na statku przy sztormowej pogodzie. Potężny wiatr łamał drzewa jak zapałki, co dostrzegli w świetle błyskawic, obejmujących w posiadanie całe niebo. Przerazającym grzmotom towarzyszyło wycie wiatru, który niósł ze sobą masy czerwonego piasku, wdzierającego się do wnętrza pociągu. Gdyby pociąg nie zatrzymał się w pierwszej napotkanej kotlinie, potężne uderzenia wichury przewróciłyby go po prostu jak papierowe pudełko. Wkrótce całą ścianą lunął deszcz, a kiedy ustał, niemal natychmiast zapanowała prześliczna, tropikalna pogoda.

- Co to było? - spytał Nowicki, otrzepując się z czerwonego pyłu.

- Tornado[160] - krótko odparł Gordon.

Wraz ze zmianą pogody pojawiły się ptaki. Obszar między Chartumem a Kostii okazał się bowiem prawdziwym ptasim królestwem.

- Miejsce to upodobali sobie, zwłaszcza w porze zimowej, goście z północy - objaśniał Gordon. - Spotyka się tu wtedy jaskółki, pelikany, derkacze, północne żurawie i bociany, które mieszają się z gospodarzami we wspaniałej mozaice świergotu i barw.

W Kostii dogonili parostatek, wędrujący w górę rzeki. Nil rozlewał się tu tak szeroko, że czasami nie było widać drugiego brzegu. Jedyne urozmaicenie równinnego terenu

stanowiły rzadko rosnące drzewa i łyse pagórki. Całym bogactwem zieleni kusila oczy tylko strefa przybrzeżna. Od czasu do czasu widzieli tam hipopotamy i coraz więcej krokodyli. Niepodzielnie panowało jednak rzeczywiście ptactwo. Prawdziwy raj dla myśliwych. Polowali więc dla urozmaicenia posiłków.

Gordon odnosił się do towarzyszy podróży z rosnącym szacunkiem. Imponował mu zwłaszcza Smuga, bardzo opanowany, znakomity strzelec. Nieco kłopotu przysparzał niekiedy Nowicki, który zwykł działać trochę za szybko. Kiedyś ustrzelił kilka kaczek i zamierzał je zabrać, gdy wtem, jak spod ziemi, wyrosło przed nim kilku czarnych, długonogich dzikusów, uzbrojonych w prymitywne, długie dzidy. Grożąc nimi marynarzowi, zabrali upolowane ptaki i zamierzali odejść. Nowicki zarepetował na to karabin i wystrzelił w górę. Tamci przycupnęli, ale bynajmniej nie zamierzali oddać kaczek.

- Do stu zdechłych... krokodyli - zaklął marynarz. - Chudziaczki, oddajcie po dobremu, bo...

I znowu repetując broń, zbliżył się do Murzynów.

- Zaczekać! Zaczekać! - dobiegł go nagle głos Gordona.

- Dzięki Bogu! Uniknęliśmy nieszczęścia! - powiedział Brytyjczyk, wręczając czarnym przyniesione koraliki. Ci chętnie oddali kaczki i obie grupy rozeszły się, każda w swoją stronę.

- O co im chodziło? - pytał, nadal zdziwiony i zaskoczony, Nowicki.

- Tereny nadrzeczne, ze wszystkim, co na nich spoczywa, należą do poszczególnych osób - wyjaśnił Gordon.

- Tak, ale ustrzeliłem te kaczki w powietrzu - marynarz nie dawał się łatwo przekonać.

- Niewątpliwie - odrzekł Gordon. - I wówczas były niczyje. Ale podniósł je pan z ziemi, należącej do tych czarnych gentlemanów.

- Niech mnie kule biją, niczego sobie obyczaje - westchnął marynarz. - Wobec tego, jeśli ukradnę krowę sąsiada i będę ją pasł na moim polu, to ona będzie jego czy moja?

- Na każdym kroku spotykamy się w Afryce z takimi problemami - odpowiedział na to Gordon. - To byli ludzie z plemienia Dinka. Zamieszkują wschodnią stronę rzeki i na okolicznych równinach hodują bydło i otaczają je czymś w rodzaju kultu. Mężczyźni mają swoje ulubione krowy, chłopcy przeglądają się w kałużach, by znaleźć sposób na upodobnienie się do tych zwierząt. Cenę żony przelicza się także na sztuki bydła...

Nowicki nie mógł powstrzymać śmiechu i po swoim skwitował rzecz dowcipem:

- Niejeden chętnie zamieniłby żonę na, przepraszam, pocziwą krowinę. Mniej gada, a ile daje mleka!

Gordon roześmiał się także i kontynuował:

- Narzeczona kosztuje czasem dziesięć i więcej krów. Kobiety są więc w cenie. Nie

mogą jednak, jako nieczyste, zajmować się bydłem, przeto pracują na roli. A co do pańskiego żartu, to powiedziałbym, że tu lepiej ukraść komuś żonę niż krowę. Kobietę można bowiem kupić za bydło, a kradzież krowy może wywołać wojnę...

- Chronь mnie, Panie Boże, przed takimi konsekwencjami. Chyba już lepiej nie będę porywał w tym kraju ani kobiet, ani krów - odrzekł marynarz. - Wiem, że w Indiach istnieje kult krowy. O mało nie zostałem pobity, gdy chciałem kopniakiem potraktować bydło, które rozłożyło się na środku drogi, ale tutaj...

- Wkrótce zbliżymy się do siedzib Szylluków po zachodniej stronie Nilu. Ci czczą krowę, wierząc, że urodziła wszystkich ludzi i zwierzęta. Nigdy nie zabijają krów, chyba tylko chore albo z okazji jakiegoś święta. Bydło stanowi dla tych ludzi warunek istnienia, nic więc dziwnego, że gdy zapanuje zaraza, w serce wkrada się rozpacz.

Na takich rozmowach upływał czas podróży. Mijali często wsie Dinków z kopulastymi, przypominającymi ule chałupkami. Zdumienie budzili wysocy, chudzi jak szczapy pasterze, stojący przeważnie nieruchomo, jak bociany, na jednej nodze, podparci dzidą, nieodłącznym elementem stroju. Godzinami potrafili czuwać tak nad stadem, wieczorami rozpalając ognisko z krowiego łajna, by odstraszyć drapieżniki i jeszcze bardziej dające się we znaki Moskity.

Powoli zbliżali się do Faszody. Prawie całkowicie zniknęły palmy daktylowe, a coraz liczniej pojawiały się baobaby[161], rozciągające nad sawanną swe ogromne, rozłożyste parasole. Tuż przed Faszodą utknęli na mieliźnie. Noc była dość mglista, chociaż księżyc prześwitywał przez warstwę chmur. Nagle z otaczającego sitowia wyłoniły się ciężkie łodzie z ludźmi, wysmarowanymi kolorowymi farbami.

- To Dinka w barwach wojennych - krzyknął Gordon.

Chwycili za broń. Ostrzegawcza salwa nie powstrzymała napastników. Wielu pasażerów wcześniej udało się na spoczynek i teraz dopiero, obudzeni krzykami i strzałami, wybiegli na pokład. Łodzie podpłynęły tymczasem zupełnie blisko i wszyscy poczuli uderzenia dzid w burtę stateczku. Zaczęto pospiesznie przygotowywać obronę, gdy nagle, z przeciwnej strony usłyszeli nowe, bojowe okrzyki. Z przerażeniem ujrzeli nową flotyllę łodzi.

- Następna salwa, do nich! - ryknął Nowicki, biorąc na cel rosnącego Murzyna w pierwszej łodzi.

- Stójcie! Nie strzelać! - zawołał Gordon. - To Szyllukowie, wrogowie tamtych. Trafiliśmy na wojnę plemion.

- Pewnie o krowy - roześmiał się już znowu uspokojony Nowicki. Rzeczywiście, Dinkowie ujrzawszy nieprzyjaciół, wyminęli statek i rozpoczęła się walka. Wkrótce będący w mniejszości Szyllukowie ratowali się ucieczką, a przeciwnicy pognali za nimi. Podróżni odetchnęli, ale do rana nie zmrużyli oka.

O wschodzie słońca, gdy zabierali się do ściągnięcia statku z mieliżny, ujrzeli Dinków i Szylluków wracających w najlepszej komitywie.

- Pogodzili się! Teraz wspólnie napadną na nas - powiedział kapitan.

Flotyła łodzi ruszyła ku stateczkowi, ale tym razem ostrzegawcza salwa ostudziła bojowy zapał. Wraz ze światłem dnia bojowy duch nieco osłabł. Mogły rozpocząć się pertraktacje. Kapitan statku aiprosił na pokład obu wodzów. Pojawili się, dumni i godni, uzbrojeni w tarcze i dzidy.

- Co on ma na głowie? - No wieki szeptem spytał Gordon a, wskazując wodza SzyHuków. - Wygląda jakby okradł cesarza Napoleona.

- Albo ubrał kozacką czapkę - dodał stojący obok Smuga.

- To tylko fryzura - uśmiechnął się Gordon. - Pielęgowana przez całe lata...

Kręcone włosy Murzyna przechodziły ku górze w przedziwną szope, do złudzenia przypominającą monstrualny kapelusz czy hełm.

Do ugody doszło dość szybko. Obaj wodzowie dostali po woreczku szklanych paciorków, a w zamian ich ludzie pomogli ściągać statek z mielizny.

Jeszcze tego samego dnia minęli Faszodę, a następną noc spędzili w Malakal, osadzie konwojujących ich Szylluków. Rzeka skręcała tu na zachód, wchodząc w najtrudniejszy do żeglugi odcinek. Powietrze stawało się coraz wilgotniejsze, brzegi coraz bardziej zielone. Nil zakręcał znowu na południe tuż za wpływającą doń rzeką As-Saubat, która bierze swój początek w górach Abisynii i jeziorze Nau[162]. Po czym wchodził w As-Sudd[163], prawie czterystukilometrowy, bagnisty teren, raj dla zwierząt, ale nie dla ludzi. Zamieszkane tu były jedynie niektóre maleńkie wysepki.

- W nikomu nie znanych zakątkach jeszcze żyją ludożercy Niam-Niam, gardzący "ludźmi jak kije", czyli tymi, którzy żywią się prosem i mlekiem. Dinkowie z kolei nazywają tamtych z pogardą "zarłokami" - opowiadał Gordon.

- Z tymi ludożercami nie można sobie poradzić? - spytał Nowicki.

- Niech pan spróbuje - roześmiał się Gordon. - Tereny te są niemal nie do przebycia. Bagna, cuchnące zgnilizną powietrze... Kto może to przeżyć...?

i Kilkanaście następnych dni trwała piekielnie męcząca droga. Przedzierali się zakrętami, bocznymi kanałami, przesmykami przez porośnięty zwałami roślin, traw i mchów Nil Górski. Wody rzeki rozlewały MV na szerokość dwudziestu pięciu kilometrów, ale główny nurt mierzył czasami zaledwie sześć metrów od brzegu do brzegu. Spotykali .lady zatopionych w bagnie zwierząt, uduszone ryby, hipopotamy, krokodyle. Gordon zwrócił uwagę na papirusy, wyrastające do sześciu metrów wysokości, tworzące małe, ciemnozielone kępy, wyglądające jak miniaturowe lasy.

Żegluga wymagała wielkiego mistrzostwa. Parowiec lawirował wśród lagun, mielizn, wysp i bagien, prowadzony pewną ręką przez pilota z plemienia Dongolla, który wsiadł na statek w małej przystani za Faszodą.

Po pomyślnej podróży, minąwszy Lado, Gondokoro i Dżubę, wysiedli w pierwszych dniach czerwca w Rejaf na wschodnim brzegu Nilu. Port, malowniczo położony u stóp



ogromnej, granitowej skały, kończył żeglugę po Nilu. Stąd rozpoczynała się piesza wędrówka. Jej organizacją zajęli się wspólnie Smuga i zaprzyjaźniony Gordon. A nie były to łatwe przygotowania. Wyruszyli w głąb Czarnej Afryki, gdzie czekały na nich niebezpieczeństwa trudne do przewidzenia.

## W MURZYŃSKIEJ WIOSCE

Wódz Kisumu wyszedł na próg mieszkalnej chaty. Popatrzył na zachmurzone niebo, pomyślał o deszczu i podziękował bogom za ich dar. Wspominał lata suszy, gdy zdychało bydło, gdy nawet specjalnie zamawiani zaklinacze nie zdołali przekonać niebios. Zadowolony skinął na jedną ze swych żon. Wszyscy przebywający w ogrodzeniu mężczyźni wyszli teraz na zewnątrz. Kobiety zaś przykryły szczelnie głowy. Najmłodsza i najbardziej ulubiona z jego żon, Agoa, podała mu garniec z porannego udoju i odwróciła się. Nikt nie może oglądać wodza pijącego rankiem mleko, bo sprowadziłby na wioskę nieszczęście. Po spełnieniu rytualnego obowiązku Kisumu wyjął tytoń z uszytego ze skóry małego gryzonia kapciucha i zapalił swą długą fajkę. Lubił ten kapciuch, zrobiony przez Awtoniego, jednego z jego synów.

Był odprężony i w dobrym nastroju, kiedy usłyszał tam-tamy[164]. Wyszedł na górę i z przejęciem słuchał dziwnych wieści. Przypomniały mu dzieciństwo: rzeź, pożogę, krzyki i łkania... Pamiętał swój strach, gdy po powrocie z buszu nie zastał matki, a ojciec usiadł na zgliszczach chaty i milczał przez cały dzień i całą noc, dopóki syn nie zaczął płakać z głodu.

- "Strzeżcie się ludy" - wołały bębny. - "Zły człowiek w puszczy. Pali. Morduje. Porywa".

Kisumu wiedział, że nie zdoła obronić wioski.

Spojrzał na nią z miejsca, gdzie siedział. Kilkanaście okrągłych chat z drzewa i trzciny, rozrzuconych na polanie u zejścia do jeziora.

Niewielu tu mężczyzn, zwłaszcza wojowników. Jak w każdym plemieniu hodowców bydła o wiele więcej jest kobiet i całe mnóstwo dzieci. Wódz niepokoił się o wioskę i o swoje wygodne w niej życie. Wiele prac robili za niego inni. Jemu przypadało z polowań najsmakowitsze mięso, za darmo otrzymywał piwo, skórę z lamparta czy jeden z kłów słońca.

Spojrzał dalej, na jezioro Luta Nziga[165], które rozciągało się w kierunku północnym. Cały południowy brzeg zajmowało królestwo Bunyoro[166], jego rodzinny kraj. Kobiety właśnie wyruszały, aby wydobywać sól na terenach należących do wioski. Mężczyźni wybierali się na połów ryb, ale większość pasła bydło.

Wódz zamyślił się głęboko. Wiele nieszczęść spadło na nich ostatnio. Część bydła ukradli złośliwi sąsiedzi Bahima, a z podjętej w odwet wyprawy nie powróciło kilku mężczyzn. W okolicy zaczął żerować lew samotnik. Najpierw zjadał bydło, potem posmakował w ludzkim mięsie. I na nic zdały się wszystkie zastawiane pułapki. "Podły zwierz" - myślał Kisumu. "Pożarł już tyłu, co palców u rąk i jednej nogi".

Popatrzył na zwierzęta podchodzące do wodopoju. Jak zwykle wychodziły z dżungli uważnie, powoli, pojedynczo i stadkami, by po zaspokojeniu pragnienia znów do niej wrócić. Zapatrzony i zamyślony, sam zapomniał o ostrożności, którą tak podziwiał. Gdy usłyszał szelest i odwrócił głowę, na obronę było już za późno. Krzyknął głośno, uniósł się z ziemi i zasłonił włócznią. Lew uderzył silnie ogonem w ziemię i poderwał się do skoku. Trzasnęła złamana dzida. Zwierz trafił go na wysokości bioder, jedną łapą miażdżąc prawe

udo. Stoczyli się obaj z pagórka. Odrętwiały Kisumu nie czuł bólu, chociaż był przytomny i wszystko dokładnie obserwował. Nie umiałby powtórzyć wszystkich szczegółów, ale dokładnie pamiętał moment, kiedy znalazł się oko w oko z bestią i wyczytał z tych oczu kpinę i wyrok. Drapieжник potrzęsnał nim jak kot bawiący się myszą, zawarczał i uniósł głowę. Ryk triumfu przetoczył się nad okolicą. Lew musiał być jednak najedzony, bo na widok nadbiegającego o strony wioski rozkrzychanego tłumu, oddalił się dostojnym krokiem i zniknął w buszu. Dopiero wtedy Kisum stracił przytomność...

\*\*\*

... Było to wciąż jeszcze na początku pory deszczowej. Kisumu powoli wracał do zdrowia. Poszarpana noga nie wróciła do pełnej sprawności, ale mógł chodzić, opierając się na lasce. Któregoś dnia odpoczywał, siedząc przed chatą. Agoa akurat coś opowiadała dzieciom. Głos dobiegał wyraźnie i wódz machinalnie słuchał.

- Niedaleko stąd, w buszu, żyła sobie kiedyś bardzo, bardzo stara zebra. Tak brzydka, że wszystkie inne zebry z niej kpily i tak słaba, że nie miała siły z nimi biegać. Była za to bardzo mądra.

- Tak! - przerwał jej mały, może pięcioletni szkrab. - Zebry są mądre, delikatne, łagodne - wyliczał na palcach. - I nikomu nie wyrządzają krzywdy!

- Nie przeszkadzaj! - ofuknęła go matka, ale zaraz potem zapytała synka:

- A kogo boją się zebry?

- Najbardziej lękają się lwa i lamparta - odparł z dumą.

- Doskonale! - pochwaliła i opowiadała dalej.

- Pewnego razu została przy wodopoju sama, bo dopiero na końcu, po wszystkich innych zebkach, mogła zaspokoić pragnienie. Zapłakała głośno nad swym losem i nawet nie zauważyła, kiedy przybiegł lew i delikatnie pogładził ją po grzbiecie. Dopiero wtedy wzdrygnęła się z przerażenia.

“Jesteś jak wszystkie inne zebry, płaczesz. Próbuję cię pocieszyć, nie zamierzam zrobić ci nic złego, a ty i tak trzęsiesz się ze strachu” - powiedział lew z pogardą. Zebra opowiedziała mu o swoim smutnym losie.

“Skoro tak bardzo jesteś nieszczęśliwa i nikomu niepotrzebna, to chyba najlepiej będzie jak cię zjem” - zafrasował się lew.

“Oczywiście królu zwierząt!” - odparła zebra. “Będzie to wielki zaszczyt dla całego mojego plemienia. Ale pozwól królu, żebym mogła, zanim to uczynisz, zadać ci jedną zagadkę. Wszak jesteś najmocniejszy i najmądrzejszy ze wszystkich zwierząt”.

“Zgoda. I tak jestem aż za bardzo łaskawym władcą, że w ogóle z tobą rozmawiam. Ten nędznik lampart po prostu podkradłby się i zjadł cię bez ostrzeżenia”.

W tym momencie nadszedł lampart i rzekł do lwa:

“Czemu królu straszysz to słabe, niewinne stworzenie. Jeśli jesteś taki dzielny, to

wyberz na przeciwnika kogoś, kto jest ci równy”.

Oba drapieżniki zaczęły warczeć i groźnie spoglądać na siebie. Mądra zebra chciała wymknąć się z pułapki, ale lampart to spostrzegł:

“Hola, hola, moja pani! Może jednak powiesz swoją zagadkę i pożre cię ten, który ją odgadnie. Dobrze królu?”.

“Niech i tak będzie” - łaskawie odparł lew.

Zebra namyślała się przez chwilę i rzekła:

“Kto to jest? Ma wielkie pazury i wspaniałe ogon. Nie boi się nikogo i niczego. W każdej walce odnosi zwycięstwo. Potrafi przegryźć zębami najtwardszą kość. Chodzi powoli, ale biega bardzo szybko. Może iść małymi kroczkami, ale także wykonywać wspaniałe, wielkie susy”.

“To lew” - odparł lew.

“To lampart” - odparł lampart.

I oczywiście obaj się pobili. Walczyli długo. W końcu lew, jak niepyszny, uciekł z pola walki, a lampart zdyszany przysiadł, by odpocząć i pożreć zebkę. Ale tej dawno już nie było. Rozeźlony lampart do dziś szuka lwa, a ten przed nim ucieka. I tak biega i biega... - śmiała się Agoa.

Dzieci milczały chwilę, a potem najmłodszy zapytał zamyślony:

- Mamusiu! A zagadka? Zebra mówiła o lwie czy o lamparcie?

- A jak myślisz? - odparła Agoa.

- Ja myślę, że o lamparcie - rzekł z namysłem.

- A ja, że o lwie - powiedział drugi. I oczywiście zaczęli się kłócić.

- Uspokójcie się! - zawołała Agoa. - Uspokójcie się, moje lamparty i lwiątko, bo pójdecie sobie jak pani zebra!

- Nie!!! - wrzasnęły maluchy.

Kisumu niechętnie oderwał uwagę od sielankowej rodzinnej scenki. Piętrzyły się przed nim jednak poważniejsze problemy. Od czasu gdy przestał być w pełni sprawny, zaostrzyła się zadawniona niechęć między nim a zazdrosnym o swe wpływy czarownikiem. Kisumu interesowały bowiem nauki chrześcijańskich misjonarzy[\[167\]](#), którzy przed kilku laty pojawili się w okolicy.

Tego ranka bęben nie milkł ani na chwilę i Kisumu wiedział, że wkrótce przyjdzie mu odeprzeć atak ośmielonego jego słabością czarownika. Nie czekał długo. Czarownik pojawił się przed jego obliczem.

- Rozmawiałem z duchami - powiedział po ceremonialnym powitaniu.

- Słyszałem - krótko odparł Kisumu.

- Lud dotknęło nieszczęście. Złe moce panują...

- Ktoś rzucił urok - przerwał mu Kisumu.

Czarownik, przygotowany na opór, poczuł się zaskoczony. Wódz, zdawał się wprost proponować rozwiązanie, do którego on zmierzał okrężną drogą.

- Tak - rzekł, udając zamyślenie. - Lew grasuje. Bydło zdycha na śpiączkę...

Kisumu przytaknął. Chodziło przecież o nieszczęście, które tu, nad Jeziorem Alberta, w górzystym klimacie, nie powinno się zdarzyć. Wódz nie pamiętał, by kiedykolwiek choroba ta dotknęła wioskę. Co dziwniejsze śpiączka ominęła jego bydło. Nie ulegało wątpliwości, że wdały się w to złe moce. Ale jakie i jakich wymagają ofiar? Wyglądało na to, że czarownik wie, przeciw komu skierować działanie.

- Dużo nieszczęść - powiedział. - Dużo, dużo... Bydło pada. Lew grasuje. Ludzie mogą chorować... Dużo, dużo nieszczęść - cmokał i kiwał głową. - Duchy, złe duchy...

Zapadło milczenie. Palili fajki, popijając bananowe piwo i obserwując się wzajemnie.

W końcu czarownik podjął decyzję:

- To rigilah-sukuo[168]...

Kisumu poczuł zimny dreszcz strachu. Czarownik wskazał złego ducha, który sadowił się zazwyczaj w stopach człowieka. Jeden ze starszych synów Kisumu, dwunastoletni Awtoni, urodził się ze zdeformowaną prawą stopą. Czarownik odczynił wtedy urok i powiedział, że uspił złego ducha, ale ten może się obudzić, gdy chłopiec będzie wchodził w wiek dojrzewania.

- Mówisz, że duch się obudził!?! - Kisumu podniósł się z miejsca. Górował teraz nad czarownikiem.

- Tak. Obudził się! Obudził! - czarownik czuł swą przewagę. Ludzie w wiosce byli po jego stronie.

Kisumu usiadł. Spadło tyle nieszczęść... Kisumu znał naukę chrześcijan, pozwolił ochrzcić syna, ale przekonanie, że czarownik rozmawia z duchami tkwiło w nim równie niezachwianie jak całe dziedzictwo przodków.

- Naznaczył go! Naznaczył od dziecka - syczał czarownik. Wybrał go dla siebie. Usadowił się w stopie. Siedzi tam!!!

Kisumu nie mógł od niego oderwać oczu.

- Chciał mnie zniszczyć. Wysłał lwa, by mnie zabił... Wysłał lwa - szepnął bezwiednie i sam już nie wiedział czy mówi o synu, czy o złym duchu.

- Wreszcie zrozumiałeś wodzu. Niech cię strzeże twój fetysz spokojnie już powiedział czarownik i podniósł się ciężko.

Kisumu odprowadził go, potem zaś usiadł i zaczął uważnie przyglądać się Awtoniem», a im uważniej to czynił, tym wyraźniej w oczach syna dostrzegał drapieżne, zapamiętane z

oczu lwa, błyski.

Agoa snuła tymczasem kolejną opowieść.

- Pewnego dnia boa dusiciel okręcił się wokół liany, by się pobujać jak zwykli mali chłopcy. Akurat przechodził tamtędy słoń. Kiedy zobaczył, że wąż jest bezbronny, związany przez siebie samego, roześmiał się zadowolony. Był wreszcie panem życia i śmierci zręcznego pełzacza.

“Miej nade mną litość, słoniu! Zmiłuj się!” - błagał wąż.

“A co mi z tego przyjdzie?” - słoń podniósł trąbę i zaczął kołysać lianą.

“Przyrzekam, że ile razy mnie wezwiesz, zawsze przybędę ci na ratunek”.

Słoń zastanawiał się. W jego wielkiej głowie pojawiła się myśl, że dobrze byłoby mieć takiego mocnego sprzymierzeńca.

“Zmiłuj się, słoniu!” - prosił dalej boa. “Mam tyle małych dzieci... Byłby to wielki wstyd dla ciebie, gdybyś pozbawił je ojca”.

“Ma racje” - znowu pomyślał słoń. Ale głośno powiedział:

“Czy ty miałeś litość dla tych dzieci, które dusiłeś w skrętach swego wielkiego cielska? Nawet nie dałeś sposobności, by o nią poprosiły. Dusiłeś i tyle... Brrr...” - wstrząsnął i zakołysał lianą. Boa pofrunął aż pod szczyty drzew.

“Nie zasługuje na miłosierdzie ten, kto sam go nie ma. Ale dam ci szansę... Jeśli potrafisz odwinąć się i spaść na ziemię szybciej niż ja zdołam podnieść i opuścić trąbę, by cię zmiażdżyć, odzyskasz wolność”.

Wężowi tylko o to chodziło. Rozmawiał ze słoniem, nie dlatego, że liczył na litość. Szukał sposobu na wyplątanie się z pułapki. Zanim słoń zaczął opuszczać trąbę, błyskawicznie zsunął się na ziemię i owinał wokół nogi słonia.

“Cha! Cha! Cha!” - zaśmiał się boa. “Teraz ty, panie słoniu, jesteś zdany na moją łaskę. A ja nie mam w sercu litości. Umrzesz!”

I wąż zaczął kęsać słonia w gruby brzuch. Słoń zniósł to z wielkim spokojem, bo na brzuchu ma bardzo twardą skórę. Spokojnie podniósł nogę i przydeptał kark węża. Ten jęknął z bólu, puścił słonia i znów zaczął błagać o litość. Ale słoń zmiażdżył mu łeb.

“Nie ma litości dla tego, kto nie zna litości” - rzekł i trąbą rzucił ciało węża wysoko na drzewa, gdzie zaczęły z niego szydzić złośliwe małpy.

Agoa skończyła opowieść, a dzieci natychmiast zaczęły prosić o następne bajki.

- Opowiedz o wyścigach węża z lampartem.

- Nie! O małpach i myśliwym.

- O tym, jak gazela oszukała lamparta.

Kisumu z żalem przerwał tę scenę. Skinął na żonę, aby za nim wyszła i surowo

popatrzył przy tym na Awtoniego. Gdy Agoa podbiegła do niego, pochylił się ku niej i powiedział:

- Rigilah-sukuo.

Agoa z trudem stłumiła okrzyk przerażenia, przyciskając dłonie do warg. Potem przeniosła wzrok na bawiącego się z dziećmi Awtoniego. Chłopiec był wesoły, a jego kalectwo prawie niedostrzegalne.

\*\*\*

Bęben czarownika nie milkł całą noc. Czarownik tańczył rytualny taniec poprzedzający złożenie ofiary. Dla niego był to również taniec triumfu. Pokonał wodza. Szala panowania nad wioską wyraźnie przechyliła się na jego stronę.

W wiosce nikt nie spał. Wszyscy przerażeni wsłuchiwali się w głos bębna. Dżungla wtórowała mu swymi nocnymi, tajemniczymi odgłosami. Rano bęben ucichł. Ucichła dżungla. Odezwały się jedynie, tysiącem głosów, ptaki. Budził się piękny, gorący dzień. Ludzie wstawali do swej pracy, nocne zwierzęta układały się do snu, dzienne ruszały na łowy.

W wiosce Kisumu porządek ten został zakłócony. Wyruszał z niej właśnie upiorny pochód ku ziemiom pasterskich plemion Bahima. Tak chciał czarownik, który oznajmił, że stamtąd przysły złe moce. Prowadzono płaczącego Awtoniego, krowę, kozła, psa, niesiono kilka kur.

Chłopiec przez łzy spojrział na rodzinną chatę, ogarnął wzrokiem jezioro.

Przechodzili właśnie obok wzgórza nad wodopojem, gdzie lew zaatakował jego ojca i małej polanki, gdzie Awtoni często się chronił. Stało na niej kilka kopców termitów[169]. Lubił je obserwować od czasu, gdy ojciec przyprowadził go na tę polanę i zaczął cicho bębnić w opancerzone ziemne kopce. Młode termyty masowo wyszły wówczas na zewnątrz, sądząc, że pada deszcz. Tak też nakazał czynić synowi. Zebrane w ten sposób, owady służyły jako pikantna przyprawa do monotonnych, mdłych, codziennych posiłków. Awtoni często tu przychodził. Dostrzegł niezwykłą ruchliwość termitów i ich straszną moc. Gdziekolwiek się udały, zostawiały za sobą pustkę... Potrafiły oczyścić teren z padliny, albo zjeść całe drzewo z korzeniami, pnem i konarami. Drażyły w nim korytarze, atakowały z zewnątrz i od wewnątrz. Z resztek budowały wysokie na kilka metrów kule, których niczym nie dawało się rozbić.

Dla Awtoniego stanowiły przedmiot podziwu i zazdrości. Nie umiałby tego wypowiedzieć, ale starał się je naśladować. Niepozorny, cichy, ułomny, był jednocześnie uparty, twardy i ruchliwy jak termit. Z dwu przeciwstawnych cech afrykańskich mrówek, niszczącej i budującej, nieświadomie wybierał i wolał naśladować tę drugą. Najpierw z ziemi, a potem i z drzewa zaczął tworzyć podobne do budowli termitów zamki i rzeźby.

Żegnał teraz z rezygnacją i żalem ukochaną polankę z braćmi-termitami, jak je nazywał. Żegnał też najlepszego przyjaciela.

Przed dwoma laty znalazł w pobliżu szczątków gniazda i śladów krwi, nie umiejące jeszcze fruwać, prawie nie opierzone pisklę. Podniósł je i poczuł w dłoniach ciepło, a zaraz potem bicie maleńkiego serduszka. Ptak szybko rósł i niebawem był chłopcu równy wzrostem. Gdy zaczął fruwać, Awtoni był przekonany, że szybko o nim zapomni. Ale nie. Ptak wracał i krótkim, szerokim, zakrzywionym na końcu dziobem dopominał się o smakołyki.

Wciąż jeszcze o tym myślał, kiedy pochód dotarł do terytorium Bahima. Ludzie Kisumu ukradkiem przekroczyli graniczny strumień. Minęli pas buszu i znów zagłębili się w dżunglę. Zatrzymali się zresztą zaraz na samym skraju. Nadszedł kres drogi. Awtoni lkał głośno. Strażnicy połamali nogi zwierzętom, by nie mogły uciec i pozarzynały kury. Chłopca przywiązali do drzewa. Tak miała dopełnić się ofiara. Wraz z nią z wioski miały zniknąć złe duchy. Czarownik triumfował. Nie wiedział, jak blisko czai się prawdziwe niebezpieczeństwo.

\*\*\*

Wydarzenia w Kairze i Dolinie Królów głęboko naruszyły poczucie wszechwładzy, którym od dawna upajał się “żelazny faraon”. Uderzyły w jego interesy i ograniczyły teren jego działania. Upokorzyły go, zmusiły, by się ukrył. Głęboko przeżywał to upokorzenie, ale tu w Afryce, na terenach wokół Jeziora Alberta, miał dość sił, aby panować bezpiecznie. Tu mógł pomnożyć pieniądze i zacząć odbudowywać swoją pozycję.

Od dawna już jego ludzie, ukryci przy ścieżkach w dżungli chwyтали kobiety i dzieci, samotnych mężczyzn albo kupowali ludzi wprost od wodzów, by sprzedać ich później jako niewolników. Teraz “faraon” postanowił działać skuteczniej i z większym rozmachem. Wybrał wszak tereny wokół wybrzeży Jeziora Alberta na swoje tymczasowe państwo, w którym miejscowi Murzyni mieli być tylko niewolnikami. Postanowił “oczyścić” teren, zdobywając po kolei położone tu wioski. Na jego drodze znalazła się też wioska Kisumu.

Noc ataku była bezdeszczowa i pogodna. Ludzie w wiosce Kisumu spali uspokojeni przez swego czarownika. Przed brzaskiem na skraju dżungli w ciszy pojawiły się błyski pochodni. Po chwili chaty zapłonęły jasnym płomieniem. Ludzie wybiegli z domostw, uciekając w stronę buszu, by ukryć się w wysokiej trawie. Ale step także płonął. Mogli jedynie zginąć w płomieniach albo wrócić, by oddać się w ręce napastników. Wielu próbowało jednak przedrzeć się do dżungli i niektórym się to udało.

Ludzi “faraona” prowadził Metys[170], którego nazywano “sztych”, od mistrzowskiego uderzenia szablą, jego ulubioną bronią. Sześćdziesięcioletni staruch mógł być dosłowną ilustracją znanego powiedzenia: “Bóg stworzył białego, Bóg stworzył czarnego, ale Metysów sam diabeł”. Dobrze odżywiony, ale nie otyły, niewielkiego wzrostu z wyłupiastymi, bezlitosnymi oczyma. Kręcone czarne włosy i mięsiste murzyńskie wargi nadawały jego twarzy wyraz zimnej obojętności. Siedząc po turecku w czymś w rodzaju lektyki z daszkiem, niesionej przez czterech niewolników, przybrany w lekkie, wschodnie szaty, z pękiem koralu na szyi i złotymi bransoletami na rękach, sprawnie dowodził trzydziestoosobowym oddziałem bezwzględnych zabijaków. Wywodzili się oni z różnych stron Afryki, lecz w większości z Zanzibaru[171] lub spośród sudańskich plemion,



zwanych Ruga-Ruga, od wieków trudniących się łowami niewolniczymi. Ci mieli w tym procederze wielkie doświadczenie. Niektórzy byli uzbrojeni w broń palną, większość posiadała szable lub maczugi. Każdy z Ruga-Ruga wyposażony był w wąską, długą lancę i tarczę.

Wioska, którą otoczyli nocą, chroniona od strony dżungli palisadą, od buszu była bardzo łatwo dostępna. Zamierzali zapędzić Murzynów na brzeg jeziora, gdzie już czekały łodzie mające zabrać ujętych niewolników. Przy zaskoczeniu i sile nie wydawało się to trudne.

Kiedy Kisumu, obudzony okrzykiem “ulugus” (polowanie), wybiegł z bronią na próg domostwa, wieś już płonęła, a ludzi pędzono w stronę jeziora. Tych, którzy stawiali opór, bezlitośnie mordowano. Wódz zgromadził wokół siebie kilkunastu wojowników, próbując przedrzeć się w kierunku dżungli. Obok niego biegł najstarszy syn, przyszyły następcą, dwudziestoletni Munga. Munga nie stracił głowy, nie uległ panice. Nie wdawał się w walkę z napastnikami, chyba że stawali na drodze. Chronił ojca, który niezdarnie kuśtykał na niesprawnej nodze. Do dżungli było coraz bliżej. Na nieszczęście “szych” zauważył niewielki oddziałek. Z kilku doborowymi zabijakami dopadł ich przed samym skrajem zbawczej kryjówki.

Rozgorzała krótka, zacięta walka. Munga zręcznie zasłonił się tarczą przed uderzeniem szabli i próbował zadać cios swoją krótką bojową dzidą. Trafiał jednak na zręcznego szermierza, który uchylił się sprytnie i spróbował go dosięgnąć swoim ulubionym sztychem. Munga umknął. Krążyli wokół siebie jak lew i lampart. Syn wodza został tymczasem sam. Inni wojownicy zginęli bądź zniknęli wraz z jego ojcem w głębi dżungli. Otoczony, postanowił walczyć do końca. Ale przeciwnicy nie mieli zamiaru go zabijać. Zbyt dużą przedstawiał dla nich wartość. Młody, zbudowany jak atleta, zręczny we władaniu bronią. Za takiego można osiągnąć niezłą cenę. Munga uderzony maczugą w głowę, stracił przytomność.

Na Jeziorze Alberta czekały dwie długie, beczkowate łodzie, zwane barkasami, każda wyposażona w osiem par wiosel. Wpędzono do nich i sadzano na dnie spętanych niewolników. Wraz z nimi wsiadła także część napastników. Sam “szych” zajął miejsce w specjalnym, własnym barkasie, w którym mieściło się zaledwie kilka osób. Usiadł na rufie, chroniąc się pod parasolem, gdyż weszło słońce. Nie był zadowolony. Zbyt wielu Murzynów zdołało umknąć do dżungli. Zbyt wiele chat ocalało. “Trzeba będzie tu wrócić” - myślał, przygotowując dla swego szefa relację, w której powinien przedstawić siebie w najlepszym świetle.

Łodzie odbiły od brzegu, kierując się na północ, gdzie handlarze mieli swą kryjówkę. Mieszkańcy wioski, powiązani, oszołomieni strachem, siedzieli na dnie barkasów, nie bardzo rozumiejąc, co się wydarzyło. Wiedzieli tylko, że stało się coś strasznego.

Munga powoli odzyskiwał przytomność. Nie czuł więzów. Widocznie wrzucili go po prostu na dno łodzi, gdy był nieprzytomny.

Spędzono do niej głównie kobiety i dzieci, a także kilku lżej rannych mężczyzn.

Sterował stojący z tyłu Murzyn Ruga-Ruga. Strażnicy właśnie się posilali, suto zakrapiając posiłek alkoholem. Szesnastu czarnych wioślarzy wiosłowało z zapalem. Walka nie wchodziła w grę. Munga bał się nawet podnieść wyżej głowę, by nie zauważono, że odzyskał przytomność. Rozumiał tylko tyle: “płyniesz po jeziorze, trzeba uciekać”. Myśl zamieniła się w decyzję, a decyzja w czyn. Munga zerwał się jak sprężyna, przebiegł kilka metrów ku rufie barkasu, pchnął sternika, który z pluskiem wypadł za burłę, wyskoczył i natychmiast zanurkował. Rozległ się krzyk, padł jakiś strzał. Wszyscy patrzyli w kierunku, gdzie skoczył. Munga tymczasem zawrócił pod wodą i płynął nie w stronę brzegu, lecz ku środkowi jeziora. Zanim się zorientowali, zdążył nabrać powietrza i znów zniknął pod wodą. Na wargach czuł słonawy smak rodzimego jeziora. Gdy wynurzył się powtórnie, łódzie sporo się od niego oddaliły. Munga rozejrzał się i zaczął płynąć ku wschodniemu brzegowi. Teraz dopiero poczuł ubytek sił. Obtarcia i rany piekły i szczypały. Zmęczenie ogarniało całe ciało. Do brzegu zaś było jeszcze bardzo daleko. Pływak cierpliwie pokonywał metr po metrze, odpoczywając co jakiś czas na plecach. Ale brzeg, zdawałoby się niedaleki, przybliżał się coraz wolniej. Munga poczuł lęk...

## ROZGRYWKA Z CZAROWNIKIEM

Nieliczna grupa białych podróżnych, której towarzyszyło kilku czarnych askari[172] i kilkunastu tragarzy, rozbiła obóz w pobliżu Jeziora Alberta.

Wszyscy mieli za sobą forsowną wielodniową wędrówkę przez dżunglę, ale mimo zmęczenia starannie wybierali miejsce obozowania. Położenie obozu musiało spełniać wiele warunków. Potrzebowali bowiem łatwej do obrony i nie rzucającej się w oczy bazy, z której mogliby sprawnie przeszukać rozległe tereny po tej stronie jeziora. A przy tak szczupłych siłach było to nie byle jakie zadanie. Wybrali w końcu polanę nad niewielkim strumykiem, rozbili namioty i otoczyli obóz zeribą[173].

Dżungla wokół nich kipiała niezrozumiałym niepokojem i gamą dźwięków odmiennych niż zwykle. Smuga szczególnie pilnie wsłuchiwał się w mowę tam-tamów. Wciąż nieodmiennie przekazywały to samo ostrzeżenie: przed łowcami niewolników na wodach Luta Nziga, jak nazywały Jezioro Alberta. Aby dowiedzieć się czegoś więcej, Gordon postanowił wysłać do okolicznych wiosek dwuosobowe patrole formowane z podległych mu czarnych żołnierzy, którym towarzyszył zawsze jeden spośród białych.

Plemiona królestwa Bunyoro, na którego terenach obozowali, niechętnie poddawały się jednak władzy Anglików i żywiły do białych głęboko zakorzenioną nieufność. Nie pomagały paciorki weneckie, nie pomagały koraliki. Po wielu trudach dowiedzieli się w końcu tyle tylko, że na czele grupy porywającej Murzynów przy ścieżkach w dżungli i wprost w murzyńskich wioskach stoi człowiek nazywany przez nich "Ingeleza"[174], ponieważ znakomicie mówi po angielsku.

Któregoś poranka Smuga wracał z dwoma czarnymi żołnierzami z jednej z wiosek Bahima. Murzyni przyjęli białego i jego podarki z kurtuazją, ale - jak wszędzie - milczeli. Zbliżało się południe. Zmęczony Smuga zamierzał zarządzić odpoczynek, ale i jemu, i żołnierzom wydało się nagle, że słyszą krzyk przerażenia. Pełni napięcia zaczęli przedzierać się w kierunku, skąd dobiegał. Zastali widok, który ich zmroził: przywiązany do drzewa chłopiec, a wokół ślady uczyty dzikich zwierząt. Smuga, wiedziony instynktem, powstrzymał gestem czarnych żołnierzy. Czujnie rozejrzał się dokoła. Ależ tak! Instynkt go nie mylił.

Wśród gałęzi figowca, między dwoma konarami, wisiała głową w dół, martwa koza. Widocznie lampart swoim zwyczajem wciągnął zdobyty łup na drzewo. Wkrótce dostrzegł drapieżnika w całej okazałości. Czołgał się po grubym konarze, przytulony do drzewa i niemal zlewający się z nim w jedno. Wśród liści migotały czarne cętki na żółto-białym futrze. Smuga zauważył błysk ślepi i usłyszał głuchy pomruk. Zrozumiał, że lampart za chwilę zaatakuje. Dobrze znał zwyczaje tych zwierząt i wiedział, że wielki kot najpierw zeskokczy na ziemię. Spokojnie przygotowywał broń. Obaj czarni cofnęli się nieco z bronią gotową do strzału. Smuga przyłożył sztucer do ramienia, mierząc starannie. Kiedy padł strzał, kot zamiauczał i stracił równowagę. Pazury przez chwilę darły korę figowca, aż drapieżnik runął na ziemię.

Dopiero teraz jeden z askari mógł uwolnić chłopca. Dziecko było wyczerpane ze

strachu i głodu. Na zmianę ze Smugą nieśli je do obozu. Drugi z żołnierzy został, by pilnować lamparta, a raczej lamparciej skóry, do czasu zanim z obozu nie zostaną przysłani Murzyni, którzy potrafią ją zdjąć i wyprawić.

Dwa dni później, wczesnym rankiem, Nowicki i Wilmowski wyruszyli z jednym z żołnierzy nad brzeg Jeziora Alberta, wyjątkowo tu nizinny. Między górami i skałami na południowym krańcu jeziora spostrzegli łunę.

- Płonie busz! - z niepokojeni powiedział Nowicki.

Wkrótce dotarł do nich dziwny zgiełk i coś, co rozpoznali jako odgłosy walki. Uważnie obserwowali więc ten teren, czekając na rozwój wydarzeń. Na jeziorze niebawem pojawiły się dwie wielkie, przypominające barki, łodzie. Poprzedzał je niewielki barkas z zieloną flagą na rufie i murzyńską tarczą w tle. Nowicki przyglądał się tej kawalkadzie przez lornetkę. W pewnej chwili podał ją Wilmowskiemu. mówiąc:

- Doprawdy, trudno wierzyć własnym oczom. I nawet nie próbują się ukrywać!

- Niewiarygodne, ale to chyba niewolnicy... - zaczął mówić Wilmowski, kiedy nagle czarny żołnierz zwrócił ich uwagę na jedną z łodzi, gdzie powstało zamieszanie. Rozległy się okrzyki i padły strzały.

Nowicki pierwszy spostrzegł rosnącego Murzyna skaczącego do wody.

- Andrzej! - krzyknął. - Umknął im chyba! Towarzyszący im czarny żołnierz wdrapał się na drzewo.

- Oni odpłynąć! - zakomunikował. - On płynąć!

Łodzie szybko oddalały się na północ. Nowicki i Wilmowski podeszli do samego brzegu jeziora. Marynarz chłodnym okiem obserwował głowę pływaka, migającą między falami. W pewnej chwili zaczął się rozbierać.

- Co robisz, Tadku? - spytał zdziwiony Wilmowski.

- Jest ranny albo osłabł. Nie dopłynie! - odparł krótko i już po chwili potężnymi ramionami rozgarniał wodę.

Pomoc przyszła w samą porę. Munga tracił siły w tempie, które nie wróżyło powodzenia jego rozpacziwemu przedsięwzięciu. Zaczynał wątpić, czy ów wymarzony brzeg w ogóle istnieje, kiedy poczuł, że wspiera go silne ramię. Nie mógł spodziewać się wsparcia jakiegokolwiek człowieka, z głębi serca podziękował więc bóstwu jeziora. Wydostawszy się na brzeg, dostrzegł wprawdzie aż dwóch innych ludzi: drugiego białego i obok niego czarnego żołnierza, a jednak padł na kolana przed swoim wybawcą, bijąc korne pokłony.

- Co robisz brachu? - obruszył się marynarz.

- On tobie dziękować! - tłumaczył słowa Mungi czarny żołnierz.

- I ja jemu dziękować, że dał się holować - Nowicki także się pokłonił, skrzywił komicznie i mrugnawszy porozumiewawczo do Wilmowskiego, dodał: - Już raz mnie w

Afryce za bóstwo uznali... Widać znowu awansowałem!

Munga nie wiedział, co myśleć o dziwnych Wazungu[175], którzy go ocalili. Byli ludźmi czy dobrymi duchami na jego drodze? Pytanie nurtowało go, gdy wędrował z nimi do obozu, a wątpliwości wzrosły na widok Awtoniego. Żywego, całego i najwyraźniej zadomowionego w obozie dziwnych ludzi. Kochał brata, ale nie mógł przełamać magicznej bariery wiary w wyrok, który zdecydował, że Awtoni miał odejść nieodwołalnie i na zawsze. Patrzyli teraz na siebie nieufnie i zamienili ze sobą zaledwie kilka słów.

Ich zachowanie zastanawiało Smugę. Obserwował więc obu uważnie. Wiedział, że Awtoni potrafi, dzięki misjonarzom, swobodnie radzić sobie z angielskim. Chłopiec opowiedział mu przecież o sobie i swoich perypetiach. Ale nie użył języka angielskiego, aby wyjaśnić, że Munga jest jego bratem. „Tumbo modje [176]“ - powiedział, wskazując na niego i na siebie. Nie sposób było też nie zauważyć, że Munga, z taką rezerwą odnoszący się do odzyskanego w niezwykłych okolicznościach brata, z zabobonnym podziwem wodzi oczyma za Nowickim. Po namyśle Smuga skinął na marynarza i obaj na chwilę odeszli na bok.

- Tadku niczego na razie nie wyjaśnij. Może niech sądzą, że jesteśmy dobrymi duchami.

- Ależ Janie, nigdy tego nie popierałeś - obruszył się Wilmowski, który usłyszał ostatnie zdanie w momencie, kiedy do nich podchodził.

- Przyjdzie czas na wyjaśnienia. Niech tymczasem myślą, co chcą. To może być ważne - z naciskiem powiedział Smuga.

Nowicki tylko się roześmiał.

- Sam mówiłeś, Andrzeju, że trzeba szanować zastane obyczaje. Czasem to nawet, niech mnie licho... całkiem miłe!

\*\*\*

Wioska Kisumu nie uległa całkowitej zagładzie w wyniku zuchwałego napadu i powoli wracała do życia. Ci, którzy znaleźli schronienie w dżungli, wracali, by pogrzebać zmarłych. Winni byli zmarłym ceremonie, bez których ich dusze nie zaznałyby spokoju.

Po czasie płaczu, tarzania się w pyle, przyszedł czas uczty i tańca. Przygotowano jedzenie, wszyscy przyodziali białe, żałobne szaty z rafii i gliną kaolinową pomalowali na białą twarze. Zanim jednak zasiedli do uczty, czuwające wokół wioski strażę zasygnalizowały zbliżanie się obcych.

Do brzegu przybiła niewielka rybacka łódź. Grupa jej pasażerów ruszyła ścieżką, prowadzącą wzdłuż gęstych zarośli, wprost do wioski. Na czele szedł Gordon. Obok niego Munga, a tuż za nimi Nowicki, Smuga i Awtoni.

- Chwileczkę! Zatrzymajcie się! - zawołał nagle Nowicki. - Coś tam leży!

Wszedł w zarośla i wyciągnął sporej wielkości bęben.

- Niech to wieloryb połknie! Cóż za znalezisko! Munga gestykulując, tłumaczył coś Gordonowi.

- Mówi, że to bęben czarownika i że nie wolno go dotykać.

- Skąd się tu wziął? - zastanawiał się Nowicki, który lekceważąc ostrzeżenie, dokładnie oglądał znaleziony przedmiot.

- Właściciel mógł go zgubić w czasie ucieczki - odparł Gordon. - Niech pan zwróci uwagę na skórę pokrywającą bęben. Jest twarda i odporna. Murzyni często wyrabiają te bębny z uszu słonia...

- Co za obyczaje w tej Afryce - Nowicki z sarkazmem pokręcił głową. - Jedni strzelają do "cheopsiaka", bo im jego nos przeszkadza, inni zaś zniszczą słonia, bo jego uszy nadają się na bęben. Co za kraj...

W tym momencie podszedł do niego Munga i znowu coś powiedział z błyskiem lęku, ale i determinacji w oczach.

- On prosi, aby pan zostawił bęben - przetłumaczył Gordon. Nowicki wyzywająco popatrzył w oczy dorównującemu mu wzrostem Murzynowi.

- Powiedz mu pan - odpowiedział - że białych nie imają się cudze czary, bo sami są czarownikami.

Gordon przetłumaczył, Munga odsunął się od nich, nagle spokorniały, a Nowicki spokojnie schował bęben do marynarskiego worka.

Tuż przed wejściem na teren wioski po obu stronach ścieżki stanęły kobiety, przegradzając przejście grubą lianą. Nowicki pochylił się, by pod nią przejść. Stojący po drugiej stronie wojownicy nastawili dzidy, a Munga przytrzymał zadziornego marynarza.

- Chwileczkę - tłumaczył Gordon. - Wieś jest tabu[177].

- Tabu? A cóż to znów znaczy?

- Aby wejść dalej, musimy złożyć okup na stypę - wyjaśniał cierpliwie Gordon.

- Skąd pan to wie? - dociekał Nowicki.

- Murzyni pomalowali twarze na białe... - zaczął mówić Gordon.

- A to znak żałoby - wpadł mu w słowo Smuga.

Kiedy złożyli dary na wieczorną, żałobną ucztę, Munga poprowadził gości ku domostwu wodza - swego ojca. Towarzyszyli im wszyscy chyba mieszkańcy wioski. Coś mówili, gestykulowali, wskazując to na Mungę, to na Awtoniego.

Kisumu czekał w progu swego domu. Gordon wyjaśnił widoczny wszem i wobec cel ich przybycia: Mungę i Awtoniego; i prosił, by mogli pozostać na noc. Przy okazji wręczył Kisumu podarki, a te zostały przyjęte.

Wszystko przebiegało według rytuału, zanim nie pojawił się czarownik. Awtoni natychmiast schował się za szerokimi plecami Nowickiego, zaś Kisurmi wyraźnie stracił

pewność siebie. Smuga i Gordon zauważyli zmieszanie wodza, ale z miejsca, gdzie stali, nie mogli dostrzec przyczyny. Stojący nieco z tyłu Nowicki od razu zorientował się w sytuacji. Przytulił chłopca do siebie i w zamyśleniu przyglądał się starcowi. "Jak go przechytryć" - zastanawiał się. "Gdybyż był z nami Tomek" - westchnął i łzy zakręciły mu się w oczach.

Wódz przydzielił gościom stojącą na uboczu wioski chatę: okrągłą, przykrytą kopulastym słomianym dachem, z otworami, okiennym i wejściowym, zasłoniętymi sznurami z lian i matami, wewnątrz stosunkowo czystą.

- Ten staruch, czarownik, wyraźnie zamyśla jakiś podstęp... zaczął mówić Nowicki, ale kobiety wniosły właśnie poczęstunek.

- Przyszyła wam to Munga - powiedziała jedna z nich.

- Coś rzeczywiście jest nie tak... Wedle zwyczaju wódz powinien dać nam jakiś prezent, abyśmy czuli się bezpieczni. Okazał nam lekceważenie. Przyjął podarki, ale w zamian nie ofiarował nawet poczęstunku - Gordon potwierdził podejrzenia Nowickiego. - Szkoda, że nie ma z nami żołnierzy - dodał wyraźnie zaniepokojony.

- Wkraczać do wioski z całą armią, to bardzo angielskie, ale nie pomaga zdobyć zaufania - z przekorą zauważył Nowicki.

- Żołnierze dotrą tutaj razem z Wilmowskim jutro wieczorem - przeciął dyskusję Smuga. - Ale lepiej trzymać broń w pogotowiu.

Nowicki nie zabierał już głosu. Siedział obok Awtoniego, który wyraźnie bał się oddalić choćby na krok od białych opiekunów. Nie należał do wioski. Należał do duchów, którym złożono go w ofierze.

Spojrzenia i agresywna reakcja mieszkańców wioski uświadomiła to Nowickiemu dokładniej niż jakiegokolwiek wyjaśnienie. Zdał sobie sprawę z faktu, że przywiezienie chłopca mogło okazać się błędem, za który trzeba będzie zapłacić. Zrozumiał też, dlaczego Smuga, zawsze przeciwny wykorzystywaniu przesądów pierwotnych mieszkańców dżungli, tym razem odstąpił od tej zasady.

W pewnej chwili podjął decyzję i ku zaskoczeniu przyjaciół zaczął przygotowywać się do snu. Ułożył się wygodnie na macie, zamykając oczy.

- Ależ Tadku - powiedział Smuga - niedługo pójdziemy na ucztę.

- Nie zaszkodzi przedtem zdrzemnąć się nieco - odparł warszawiak i po chwili rzeczywiście rozległo się jego tubalne chrapanie.

Wieczorem Munga przybył z zaproszeniem na ucztę i tańce. Obudzony przez przyjaciół Nowicki zapowiedział, że przyłączy się do nich później, po czym korzystając z pomocy Awtoniego jako tłumacza, poszeptał coś z Mungą, który zaprowadziwszy Smugę i Gordona do borny[178], natychmiast zniknął.

Obu gości posadzono obok wodza, co było oznaką życzliwości. Wkrótce wniesiono wielkie, napełnione kopiasto ryżem blaszane miednice, mleko, maniok, orzechy w liściach

i kartofle pieczone w ognisku. Przed wodzem i gośćmi postawiono misę z kurzym mięsem i jajami. Do glinianych kubków nalano jakiegoś podejrzanie wyglądającego płynu. Kisumu sięgnął po napitek i zachęcając białych do tego samego, wyjaśnił:

- Marafu!

- To wino palmowe - głośno przetłumaczył Gordon i znacznie ciszej ostrzegł Smugę, by pił niewiele, bo wino może być "wzmocnione" jakimś specjałem.

- Kali sana - Kisumu jakby usłyszał i zrozumiał Gordona.

- Mówi, że to bardzo ostre - rzekł Anglik.

Przepili do siebie. Wino miało rzeczywiście ostry smak i paliło gardło. Posiłek, suto zakrapiany alkoholem, coraz bardziej ożywiał nastroje biesiadników. Smuga na próżno rozglądał się za Nowickim. Zauważył, że nie ma również Mungi. Niepokoił się, nie mógł bowiem przewidzieć, co planuje marynarz.

Tymczasem Murzyni pochłaniali niesamowitą ilość jedzenia. Smuga zwrócił uwagę Kisumu na to, że mogą się rozchorować. Wódz tylko się roześmiał i wytłumaczył, że ma wspaniałe lekarstwo od białego uzdrowiciela. Smuga, któremu zależało na utrzymaniu wodza w trzeźwości, poprosił o dokładniejsze informacje. Kisumu skinął głową na jednego ze swych ludzi.

- Chupa!

- To znaczy butelka - szepnął Gordon.

Po chwili przed zdumionymi Europejczykami postawiono wielki kosz. Wódz odesłał posłańca, osobiście rozwiązał sprytnie uszczelnione wieko, uchylił je, włożył dłoń i wyciągnął małą, może ćwierćlitrową butelkę, na dnie której znajdowało się nieco płynu. Z nabożeństwem i skupieniem podał ją Smudze, mówiąc:

- *Dawa kali sana!*[\[179\]](#)

- To popularny środek na przeczyszczenie! - zaśmiał się podróżnik, ale potem pochylił się, uważnie studiując napis na nalepce. - Nie do wiary - szepnął sam do siebie.

- Co się stało? - spytał Gordon.

- Proszę spojrzeć, gdzie ów środek został wyprodukowany! - rzekł Smuga.

- "Kraków, 1905" - czytał Gordon. - Ależ to polski lek!

- Tak, to nieprawdopodobne - powiedział Smuga i zamierzał wypytać wodza o "białego uzdrowiciela", gdy nagle wszyscy umilkli. Smuga zdumiony uniósł głowę.

Przed ogniskiem stanął czarownik w rytualnym stroju i władczym gestem uniósł rękę. Niewielkiego wzrostu, o pomarszczonej, groźnej twarzy, z błyszczącymi oczyma o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach. Niemal nagi pod przerzuconą przez ramię lamparcią skórą, zdobny w miedziane bransolety przeplecione czarnymi strusimi piórami, w barwnym pióropuszu również nimi gęsto poprzątkany. W ciszy rozpoczął swój



rytualny taniec. Krążył wokół ogniska, sypiąc na ogień jakimś zieleń wydającym ostrą, nieprzyjemną woń. Wysoki słup dymu wznosił się niemal pionowo w górę. Czarownik dołączył do rytmicznych kroków zawodzący śpiew.

Najpierw w śpiewie, a potem w tańcu zaczęli towarzyszyć mu mieszkańcy wioski. Mężczyźni ciasno otoczyli ognisko, tak że wódz i jego goście znaleźli się wewnątrz kręgu. Uderzali rytmicznie w swe skórzane tarcze. Z tyłu zawodziły kobiety. Kisumu ocierał pot z czoła, mimo że noc była chłodna. Jeszcze siedział, ale i on zaczął podrygiwać w rytm śpiewu i tańca. Smuga wymownie spojrzął na Gordona i obaj dyskretnie przygotowali broń.

- Spróbujmy się wycofać - szepnął Anglik.

- Owszem, to najlepsze wyjście - odparł Smuga. Nieznacznie zaczęli przesuwać się do tyłu, poza blask ognia. Nie uszło to uwagi czarownika, z pozoru całkowicie pochłoniętego rytuałem. Nagle pojawił się tuż przed nimi. Zaczął coś rytmicznie wykrzykiwać. Odpowiadał mu chór mężczyzn. Smuga uważnie wsłuchiwał się w ten swoisty dialog. Spokojnym gestem sięgnął po fajkę, żarzącym się ognikiem starannie przypalił tytoń i zaciągnął się.

- Jeszcze czekajmy - szepnął. Gordon przyjrzał mu się z podziwem.

- Na co? Trzeba się stąd wyrwać!

- Tak! Ale jeszcze nie teraz.

Kłęb dymu fajkowego splątał się z tym znad ogniska.

- Kiedy? - gorączkował się Gordon.

- Gdy zupełnie się zatracą w tym szaleństwie i przestaną widzieć.

- Ale kiedy? - z naciskiem powtórzył Gordon.

- Wkrótce! Powiem! - odparł Smuga. - Obaj strzelamy wtedy do czarownika i w nogi! Tylko celuj pan dobrze, prosto między oczy!

Napięcie rosło. Czarownik zawodził coraz szybciej, a chór odpowiadał coraz głośniejszemu:

- Kto chce zabrać nam nasze obyczaje?

- Wazungu! - ryknął chór.

- Kto przybył z łowcami niewolników?

- Wazungu!

- Kto chce zabrać nam nasze żony?

- Wazungu!

- Kto nienawidzi czarnych?

- Wazungu!

- Kto ma skórę w barwie żałoby?
- Wazungu!
- Kto przybył z północy, by podbić nasz kraj?[\[180\]](#)
- Wazungu!
- Kto jest winien busingizi?[\[181\]](#)
- Wazungu!
- Kto przysłał lwa ludojada?
- Wazungu!
- Kto nie pozwolił na złożenie ofiary?
- Wazungu!
- Kto przybył do wioski, by nas zniszczyć?
- Wazungu!
- Kogo trzeba zabić?
- Waazuuunguu!!!

Smuga zgasił fajkę i cicho spytał Gordona: - Gotów?

- Tak! - odparł tamten, wyjmując z kabury pistolet.

W tym samym momencie usłyszeli dziki warkot bębna. W blasku ognia pojawił się niewielki orszak. Na czele Awtoni, co sił wałący w bęben czarownika, za nim Munga, pozbawiony jakichkolwiek elementów żałoby, ale za to uzbrojony po zęby, na końcu cudacznie przebrany No wieki. Pomalowany na czarno, w narzuconej na nagi tors skórze lamparta, upolowanego przez Smugę, z opaskami z lamparciej skóry na«> rękach i nogach, w mosiężnej obręczy na szyi, z pękiem bajecznie kolorowych piór we włosach, z kolczykami w uszach wyglądał dostojnie, groźnie i... bardzo komicznie. Uniósł ku górze obie ręce i głośno krzyknął:

- *Bassi!*[\[182\]](#)

Zapadła cisza. Czarownik, zaskoczony, znieruchomiał. Murzyni jakby nagle oprzytomnieli. Gordon schował broń, a Smuga ledwie powstrzymał śmiech. Nowicki okrążył najpierw ognisko, powoli niczym potężny niedźwiedź, potem nagle zatrzymał się przed czarownikiem. Wskazał palcem na swoją głowę i powiedział z naciskiem:

- *Ras-Sukuo!*

Miało to oznaczać, że dobry duch rezyduje w jego głowie.

Czarownik sięgał mu zaledwie do piersi. Wykazał jednak sporo odwagi, stając mu naprzeciw. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w złowrogiej ciszy.

Nowicki pochylił się gwałtownie nad Murzynem i jednocześnie uczynił krok do przodu.

Zdawało się, że tamten stawia mu opór, ale marynarz zrobił następny krok i czarownik zaczął się cofać. Nowicki, pochylony, niemal następował mu na stopy. Znowu rozległ się warkot bębna i marynarz rozpoczął swoją wielką przemowę.

- Przybyliśmy, aby was ocalić. Ras-Sukuo! Ras-Sukuo! Awtoni tłumaczył z angielskiego, a Munga wykrzykiwał każde przetłumaczone zdanie we właściwym rytmie. Odpowiedział mu szmer zdziwienia.

- Ale spóźniliśmy się, bo trzeba było zabić lamparta, by przywrócić wam Awtoniego. Dobrze mówię? Ras-Sukuo! Ras-Sukuo!

Przez gwar niedowierzania przebiło się nieśmiałe potakiwanie. Nowicki ruszył wokół ogniska w dziwnym rytmie: krok dłuższy, trzy krótkie, dłuższy, krótkie. I znowu...

- Ocaliliśmy Mungę. Prawda? Ras-Sukuo! Ras-Sukuo!

- O, prawda! Prawda! Wielka prawda! - niektórzy zaczęli pokrzykiwać coraz śmieiej.

Nowicki gestem zachęcał do udziału w rytmicznym chodzie.

- A teraz zabijemy lwa, który pożera wasze bydło i waszych ludzi. Zgoda? Ras-Sukuo! Ras-Sukuo!

- *Nawala, buana*[\[183\]](#) - krzyknął Kisumu. Albo uwierzył, albo zrozumiał grę białego człowieka.

- *Hawala, buana* - powtórzył za nim chór jego ludzi.

- Chcemy was ocalić. Zgadza się? Ras-Sukuo! Ras-Sukuo!

- *Hawala, buana!*

- I razem zniszczymy waszych wrogów! Ras-Sukuo! Ras-Sukuo!

- *Hawala, buana!*

Nowicki systematycznie podnosił głos, a ostatnie zdanie już prawie wykrzyczał.

Potem zaczął cicho nucić jakąś melodię. Za chwilę rozbrzmiała głośniejsze. Wokół ogniska zaczęła krążyć w jej rytmie gromada uzbrojonych Murzynów. Rej wodził Munga. Obaj z cudacznym przystrojonym marynarzem wciągnęli do korowodu wszystkich mężczyzn. Czarownik zniknął.

Smuga usłyszawszy pierwsze takty melodii, skrył twarz w dłoniach, nieomal płacząc ze śmiechu. Gordon niczego nie mógł pojąć, zaś Nowicki całkowicie zapanował nad sytuacją: w głębi Czarnej Afryki tańczył swój taniec w rytmie: jeden długi krok, trzy krótsze, znów długi i znów trzy krótkie. Jeden długi i trzy krótkie... I tak w kółko...

- Czy pan wie, co oni tańczą? - Smuga, krztuszący się ze śmiechu, ulitował się wreszcie nad Gordonem.

Anglik przecząco pokręcił głową.

- To polonez!

- Polonez?

- Tak! Polski taniec narodowy! Ten, to akurat jeden z najbardziej znanych: "Pożegnanie Ojczyzny" Ogińskiego - wyjaśnił Smuga i zaczął wtórować Nowickiemu, gwizdząc.

- A ja myślałem - szepnął Gordon, że polski taniec narodowy to mazur.

- To z powodu melodii naszego hymnu narodowego napisanej w rytmie mazurka - odparł Smuga, zapraszając Gordona do korowodu...

\*\*\*

Późną nocą Nowicki zbierał zasłużone gratulacje.

- Co też ci przyszło do głowy? - zapytał Smuga.

- Najpierw przypomniła mi się sztuczka Tomka z naszej poprzedniej wyprawy do Afryki. Cóż... Murzyni są jak dzieci. Jeśli się ich czymś zadziwi, gotowi są to traktować jak nadprzyrodzone zjawisko.

- Ale polonez? - dociekał Smuga.

- Ano, jakoś samo z siebie to wyszło. Myślałem najpierw o polce albo oberku, ale tu potrzeba było czegoś wolniejszego, poważniejszego... Więc, do stu tysięcy wielorybów, rąbnąłem poloneza. Nieźle mi to nawet wyszło, nie? - chełpił się marynarz.

- Całkiem dobrze - uśmiechnął się Smuga. - Warto nauczyć Murzynów jeszcze czegoś polskiego. Tym bardziej że jest tu już polski ślad.

- Polski ślad? Gdzie? - żywo zareagował Nowicki.

- Otóż wódz, w przyływie dobrego humoru, pokazał mi butelkę z lekarstwem na żołądek, wyprodukowanym w Krakowie. Skądże to się tu wzięło?

- Ha! - rozpędził się Nowicki. - Dla nas Polaków, nie ma nic niemożliwego!

- No, wystarczy już o tym. Zastanówmy się, co powinniśmy robić dalej.

- Możemy teraz wykorzystać zaufanie Murzynów - rzekł Gordon. - Ale najpierw trzeba rozprawić się z lwem.

- Poczekajmy na Wilmowskiego. Wtedy zapolujemy - odparł Nowicki.

- Wobec tego, chodźmy spać. Dzień był pełen wrażeń - zakończył rozmowę Smuga. - I możemy spać spokojnie, bo Munga czuwa!

- I Awtoni - roześmiał się Nowicki, wskazując zwiniętego w kłębek i śpiącego smacznie chłopca.

\*\*\*

Zmęczeni walką i ucztą Murzyni spali. Czarownik zniknął w dżungli, obmyślając zemstę. Czuwał jedynie uzbrojony Munga, szczęśliwy, że istoty, które uważał za dobre duchy, obdarzyły go zaszczytem przyjaźni...

## POLOWANIE NA LWA LUDOJADA

Wilmowski, zwinawszy obóz, przybył do wioski Kisumu w asyście czarnych żołnierzy i tragarzy, którzy oprócz normalnego obozowego sprzętu dźwigali upolowanego przezeń po drodze samca impala[184]. Zdecydował o tym przypadek. Natknęli się po prostu na liczące około dwudziestu pięciu sztuk stadko, zamieszkujących wschodnią i południową Afrykę antylop. Co więcej, impala wchodziły właśnie w okres godowy i byli świadkami zażartej walki samców o przewodnictwo. Przeigrany samiec stał się łatwym celem, a odgłos strzału tak przeraził pozostałe, że zniknęły błyskawicznie, pokonując przestrzeń kilkumetrowymi skokami.

W chacie przydzielonej białym przez wodza natychmiast po króciutkim powitaniu odbyła się narada. Postanowiono podzielić siły.

Gordon miał poprowadzić wzdłuż wschodnich wybrzeży Jeziora Alberta grupę zwiadowczą, złożoną z askari i wzmocnioną przez udział Mungi. Liczono, że przy pomocy Mungi uda się zdobyć w sąsiednich wioskach dość informacji, by ustalić, czy "żelazny faraon" ma coś wspólnego z napadami na nie i handlem niewolnikami.

Smuga, Wilmowski i Nowicki musieli jak najszybciej rozprawić się z lwem ludożercą, aby umocnić z trudem pozyskane zaufanie i życzliwość ludzi Kisumu.

Zaledwie się więc spotkali, a już czekało ich kolejne rozstanie.

Patrol Gordona, żegnany przez przyjaciół, wyruszył wczesnym rankiem. Smuga, Wilmowski i Nowicki zaraz potem zaczęli omawiać plan niebezpiecznych łowów.

- Lwy żyją na ogół w stadach złożonych z dziesięciu, dwudziestu osobników - wyjaśniał właśnie Smuga. - I chociaż samce walczą ze sobą o rolę najważniejszego, to wbrew powszechnej opinii, nie są przewodnikami stada. Przewodnikiem stada jest zawsze lwica. Ona daje znak do rozpoczęcia łowów, ona pierwsza atakuje i zabija albo rykiem rozkazuje czynić to samcom.

- Skąd więc lwy samotniki? - spytał Nowicki.

- To przeważnie słabsze samce: ranne lub chore, przepędzone przez gromadę. Atakują bydło domowe, no i ludzi, bo to najłatwiejszy łup.

- Stare, chore, to rozumiem - mówił dalej Nowicki. - Ale skąd ranne? Czy może po walce z silniejszym przeciwnikiem, z rywalem?

- Nie tylko - odparł Smuga. - Zwierzęta, na które polują lwy, nie są tak bezbronne, jakby się wydawało. Potrafią się bronić i to nieraz bardzo skutecznie. Czy widzieliście kiedyś, jak polują lwy?

Obaj jego rozmówcy zaprzeczyli, więc Smuga ciągnął swój wykład.

- Miałem kiedyś to szczęście... Czailiśmy się w pobliżu wodopoju, wykorzystując wybudowany przez myśliwych maczan[185]. Nie lubię tego rodzaju polowania. Myśliwy siedzi sobie wygodnie, bezpiecznie i strzela jak do tarczy.

- To ci dopiero bohaterowie - zadrwił Nowicki. - Najpierw włożą ze strachu na drzewo, z którego potem z wielką odwagą strzelają.

- Nie o tym jednak zamierzam wam opowiedzieć - ciągnął dalej Smuga. - Do wodopoju przyszły zebry. Z góry dostrzeżliśmy podkradające się do nich lwy. To był wspaniały widok! Zręczne, zwinne i ciche jak koty, czołgały się bezszelestnie pod wiatr, który wiał od strony upatrzonego łupu. Było ich pięć. Otoczyły wodopój i uderzyły. Atak powiódł się tylko częściowo. Dwie zebry padły natychmiast: jedna z przegryzionym gardłem, druga ze złamanym kręgosłupem. Pozostałe utworzyły krąg, stając łbami do siebie i wierzgając kopytami. Jakiś mniej ostrożny, młody lew, który zaatakował podbrzusze jednej z zebra, dostał się pod wierzgające kopyta i ledwie uszedł z życiem. I oto odpowiedź na twoje pytanie, Tadku. Z takich potyczek nie wychodzi się bez ran. Stąd też potem osobniki słabsze, żyjące samotnie poza stadem. Coś takiego mogło się przydarzyć naszemu lwu.

Smuga na chwilę zamilkł i wrócił do tematu, który ich interesował.

- Dobrze byłoby, aby pojawił się w pobliżu wioski jak najszybciej.

- Musimy spróbować go do tego nakłonić - odrzekł Wilmowski.

- Cóż, dorosły osobnik potrzebuje codziennie co najmniej pięć kilogramów mięsa, a jest zdolny do spożycia jednorazowo nawet czterdziestu kilogramów...

- A to głodomór - skomentował Nowicki.

- Właśnie, a nasz musi być głodny. Będzie więc szukał czegokolwiek, a wiadomo, że lwy żywią się również padliną. Rzucimy mu część twojego łupu, Andrzeju. Zostawimy antylopę na pastwisku dla bydła.

- Ha, sępy skutecznie zwabią naszego lwa, a hieny ponowią zaproszenie wieczorem. Przyjdzie na pewno! Możecie ufać mojemu nosowi - pogodnie stwierdził Nowicki. - Przyda się lwia skóra dla wielkiego białego czarownika - dodał żartobliwie, prostując swą potężną postać.

- Raczej podarujemy ją wodzowi - z uśmiechem skomentował tę przechwałkę Smuga. - Choć tak naprawdę to zasłużył na nią Munga - Wilmowski, jak zawsze, starał się być sprawiedliwy.

- Mości panowie! Nie dzielmy przed czasem skóry na niedźwiedziu... to jest, chciałem rzec, lwie - roześmiał się Nowicki. - A teraz do dzieła!

\*\*\*

Resztki antylopy pozostawili na przylegającym do dżungli pastwisku, a sami rozpoczęli czuwanie przy małym ognisku, obserwując kołujące nad padliną sępy - sygnał dla wszystkich padlinożerców. Spodziewali się, że lew nadejdzie od strony lasu. Wilmowski proponował wzniesienie niewielkiej zeriby, która dawałaby poczucie bezpieczeństwa, ale Nowicki ani myślał się z tym zgodzić. A tym razem przyłączył się do niego także Smuga.

- Murzyniaki wezmą nas za tchórzy - oponował marynarz. - Ograniczylibyśmy sobie w ten sposób pole ostrzału - poparł go, znacznie racjonalniejszym argumentem, wytrawny

myśliwy.

Czas oczekiwania dłużył się. Z tym większym zainteresowaniem słuchali opowieści Smugi o myśliwskich przygodach, choć ten przestrzegł od razu, że fantazja ludzi polujących na zwierzęta dorównuje co najmniej wyobraźni północnoamerykańskich Indian.

- Miałem kiedyś, jak ty byś to powiedział, Tadku, znajomego, którego tubylcy nazywali "Joe jedna kula" z powodu celności strzału. Mówiono o nim, że trafia w cytryny z odległości czterystu jardów[186].

- Fiu, fiu - zagwizdał Nowicki. A Smuga tylko się uśmiechnął i opowiadał dalej:

- Któregoś wieczora wybrał się na polowanie. Zwierzyna trafiła się już na skraju lasu. Był to siedzący na gałęzi manganowca lampart, co samo w sobie stanowiło wyzwanie losu, ponieważ te akurat drapieżniki na widok ludzi szybko znikają. Joe błyskawicznie podniósł karabin, zarepetował, wymierzył i strzelił... Lampart znikł. Pudło kompletne.

- Zdarza się i najlepszym - skomentował Wilmowski.

- Ano powiadają: "Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi" - dodał Nowicki.

- To jeszcze nie koniec historii. Następnego wieczora Joe znowu wybrał się w tę stronę i znowu na tym samym drzewie ujrzał tego samego lamparta. I tym razem spudłował. Lampart jednym skokiem zginął w zaroślach.

- Czy ten Joe polował sam?

- Otóż właśnie, nie! Towarzyszył mu masajski tropiciel, nasz wspólny znajomy, Mescherje[187]. Tym bardziej więc ucierpiał myśliwski prestiż... Tak! Lampart stał się jego obsesją. Gdy wyszli na step następnego wieczora, drapieżnik rozparty na tym samym drzewie, jak mówił Joe, wyraźnie na jego widok przeciągnął się wyniośle i ziewnął...

- Szkoda, że nie odwrócił się tyłem - zaśmiał się cicho Nowicki. A Wilmowski zapytał: - Trafił tym razem?

- Znowu nie! I tak było przez kolejnych pięć dni. Szóstego - sukces był połowiczny. Raniony w tył karku lampart nie pojawił się więcej.

- A nie roześmiał się czasem na pożegnanie? - zapytał ubawiony Nowicki.

- No, powiedzmy, że z pogardą chrząknął, naśladując pawiana[188]zakończył opowiadanie Smuga.

- Słyszałem, że lamparty są niebezpieczniejsze od lwów - powiedział Wilmowski.

- O tak, są niewątpliwie zwinniejsze i sprytniejsze. Ważą i mierzą o połowę mniej[189]. Atakują w absolutnej ciszy, nie ostrzegając warczeniem, jak czynią czasem lwy. Skaczą na odległość sześciu stóp[190]albo atakują, skacząc z drzewa. Niektórzy twierdzą, że to jedyne spośród zwierząt, które zabijają dla przyjemności. Zdarza się dość często, że żyją na peryferiach afrykańskich miast, podobnie jak kojoty, lisy czy szopy. Otoczyliśmy kiedyś takiego lamparta na przedmieściach Nairobi. Nie miał żadnej możliwości ucieczki. Ukrył

się w stercie drzewa i nie wyczuły go nawet psy. Następnej nocy uciekł, a my strzelaliśmy na wiwat.

- Wobec tego może lampart powinien uchodzić za króla zwierząt? - zastanawiał się Wilmowski. - Masajowie mówią, że królem sawanny jest słoń, następcą tronu bawół lub nosorożec. Lew - to leń! Gdy jest najedzony, w jego pobliżu mogą paść się spokojnie impala, gnu, bawolce, posiadające znakomity węch, zebry ze swym wspaniałym słuchem i strusie, które dzięki swym długim szyjom z daleka dostrzegają niebezpieczeństwo. Struś chowa głowę w piasek, gdy jest zaniepokojony, impala prycha, tomi<sup>[191]</sup> ostrzegawczo tupie, a potem skacze w górę i zmyka, gdzie pieprz rośnie...

Nadchodził zmierzch. Słońce dotknęło linii horyzontu. W krzakach zaszeleścił podmuch wiatru, zadrgało jeszcze rozgrzane powietrze i zapadła ciemność. Lwy, doskonale widzące w ciemnościach, zwykle lubią polować, zanim wzejdzie księżyc. Blask księżyca działa na nie podniecająco, stają się nerwowe i skłonne do napaści. Ten, na którego czekali myśliwi, atakował jednak na ogół około północy, nigdy wcześniej: czasami wybierał nawet wczesny ranek. Tak przynajmniej twierdzili Murzyni. Do północy pozostało jeszcze parę godzin. Noc była widna.

- Przyjdzie? - po raz kolejny zastanawiał się Wilmowski.

- Trzeba czekać - niezmiennie odpowiadał Smuga. Zamilkli, wsłuchując się w nocną ciszę.

- Jak często wśród drapieżników zdarzają się ludojady? - Nowicki zwrócił się z tym pytaniem do Smugi.

- Na człowieka najczęściej poluje tygrys<sup>[192]</sup>. Bywa że lampart, a nawet lew. W Kenii powszechnie znana jest opowieść o pułkowniku Pattersonie, inżynierze budującym most przez rzekę Tsavo<sup>[193]</sup>...

W tym momencie usłyszeli przeciągły skowyt, przechodzący w śmiech. Awtoni, który od dawna smacznie spał u boku Wilmowskiego, zerwał się i szeroko otworzył oczy. Myśliwi drgnęli przy ognisku.

- Hieny. Wabią lwa - rzekł Smuga.

- Brrr... - wstrząsnął się Nowicki. - Przerazający ten chichot. Przegonię je.

Podniósł płonąca głównię i ruszył w kierunku padliny. Mignęło kilka szczerzących zęby cieni. Marynarz rzucił w tym kierunku płonąca szczapę, strzelając jednocześnie do jednej z hien, która zwinęła się w skoku. Pozostałe uciekły.

- Będzie więcej padliny - powiedział, siadając znów przy ognisku, a Smuga powrócił do rozpoczętej historii.

- Z powodu agresji pary lwich ludojadów musiano na kilka tygodni przerwać prace przy budowie kolei. Patterson, nie mający żadnego doświadczenia w tego rodzaju polowaniach, podjął ryzyko. Zastrzelił jednego drapieżnika. Drugiego zwabiono do metalowej klatki, ale zdenerwowany Patterson, strzelając z platformy, trafił w drut przytrzymujący drzwi klatki



i uwolnił zwierzę, które natychmiast zaatakowało. Patterson schronił się na drzewie, skąd strzelał raz za razem. Dopiero dziewiątym pociskiem dobił lwa ludojada.

- Na szczęście ludojady trafiają się rzadko - Wilmowski odpowiedział na pytanie zadane wcześniej przez marynarza.

- Czasami winni są sami ludzie. Tam, gdzie dopuszczono do zagłady dzikich zwierząt, bezsensownie na nie polując, także tam, gdzie stada zdziesiątkuje zaraza, natychmiast pojawiają się drapieżni amatorzy ludzkiego mięsa.

Księżyc oświetlał step i wyniosłą ścianę lasu, pagórki i jezioro. Od czasu do czasu słyhać było wrzaski hien i szakali lub podobne do psiego szczekania dźwięki, jakimi zwoływały się zebry. Z piskiem przemknął nietoperz, zahukała nocna sowa. Brzęczały moskity. Było już dobrze po północy, kiedy myśliwi usłyszeli krzyk od strony wsi, który zerwał ich na równe nogi.

- Do stu tysięcy wielorybów - zaklął Nowicki. - Wlazł do wsi! Biegając blisko siebie, przygotowali do strzału broń. Wydało im się, że między drzewami mignął jakiś cień, ale gałęzie i ciemność nie pozwalały dojrzeć dokładnie.

-! Stójcie! - krzyknął Smuga - Ostrożnie!

Zwolnili. Spozrzedli tyralierę pochodni zbliżającą się od strony wsi.

- To Murzyni! Próbują zagnać lwa w naszą stronę - półgłosem przestrzegł Wilmowski.

- Celujcie dokładnie, aby nie zranić ludzi - dodał Smuga.

W tej samej chwili Nowicki dojrzał cień na tle jasnego nieba i dwukrotnie strzelił w tym kierunku. Usłyszeli przeraźliwy ryk i cień zniknął w trawie.

- Chyba go trafiłem - zawołał marynarz.

- Tadku, ostrożnie! - napominał Smuga.

Ryk zabrzmiał znowu. Tym razem bardzo blisko.

- Raca! Wystrzel racę, Tadku! - krzyknął Smuga, nie mogąc nigdzie dojrzeć lwa.

Nowicki wypalił z rakiety. Pocisk na kilkanaście sekund rozjaśnił teren. Smuga dostrzegł czające się zwierzę tuż przed sobą. Czarna sylwetka zarysowała się wyraźnie, oświetlona blaskiem racy. Łowca błyskawicznie przyklęknął, przyłożył sztucer do ramienia i pociągnął za spust. Lew przeciągle jęknął i wszystko ucichło. Nowicki wystrzelił jeszcze jedną racę, ale zwierzę zniknęło. Podeszli do miejsca, gdzie przed chwilą je widzieli.

- Trafiliśmy! - powiedział Smuga. - Popatrzcie! Trawa była mokra. Nie od rosy. Lepiła się od krwi.

- Czekajmy do świtu - zdecydował Smuga. - Szukać go po nocy, to zbyt niebezpieczne.

Zaniepokojeni, zawrócili do wioski. Jeśli lew kogoś zabił, co będzie z nimi? Czy zerwie to wątłą nić sympatii?

Zobaczywszy, że nadchodzą, Murzyni przerwali krąg. Na ziemi z rozszarpanym zębami

gardłem i brzuchem rozdartym pazurami leżał czarownik. Obok poszarpane resztki antylopy bongo.

Kisumu, trzymający w rękach bryłki soli zaczął opowiadać łamaną angielszczyzną. Czarownik zwabił solą bongo do karmnika[194]. Zabił antylopę i umieścił ją na skraju wsi w pobliżu chaty gości, najwyraźniej po to, by przywabić lwa. Ale lew wszedł w głąb wioski. Widocznie natknął się na czarownika i zabił go.

- Ano, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada - krótko skomentował tę opowieść Nowicki.

Kiedy słońce zabarwiło horyzont gamą różnorodnych barw, ruszyli tropem rannego lwa. Szli ostrożnie, brodząc w wysokiej trawie, z bronią gotową do strzału. Tylko Nowicki w prawej ręce dźwigał murzyńską włócznię, w lewej zaś tarczę. Przez ramię znowu przerzucił skórę lamparta.

Lew musiał być poważnie ranny, gdyż co kilkadziesiąt metrów odpoczywał, o czym świadczyła zgnieciona mocniej trawa, obficie zbroczona krwią. Teren był otwarty, niemal równinny, gdzieniegdzie porośnięty krzewami.

Szli coraz ostrożniej. Nowicki na przedzie, rozgarniając dzidą trawę. Wtem spod jakiegoś krzaka, z głuchym warknięciem wyprysnęło płowe cielsko. Marynarz zdążył zasłonić się tarczą i jednocześnie zadać cios włócznią. Potężne uderzenie przewróciło go, a lew przetoczył się nad nim i runął w stronę Smugi. Powietrzem targnął strzał. Z boku poprawił Wilmowski. Lew zwinął się w powietrzu i upadł dosłownie o dwa, trzy metry od Smugi.

Nowicki podnosił się oszołomiony. Zadziwiająco, ale nie odniósł żadnej rany. Ślady zębów pozostały na tarczy, a pazurów na skórze lamparta, co wprawiło w podziw towarzyszących myśliwym Murzynów. Marynarz rozpoczął wokół lwa triumfalny taniec, a oni ochoczo się do niego przyłączyli. Zgodnie ze zwyczajem zamierzali w tańcu przebić ciało lwa swoimi włóczniami, ale na to Nowicki nie zamierzał się zgodzić w obawie o całość skóry. Łaskawie zezwolił tylko na rozcięcie brzucha zwierzęcia. Uczynił to zręcznie Kisumu, wyjął parujące serce, położył je na przydrożnym kamieniu i pokroił na maleńkie kawałki. Murzyni wierzyli bowiem, że zjadając serce lwa, mogą osiąść jego odwagę.

Smuga i Wilmowski postanowili nie przeszkadzać Nowickiemu w utrwalaniu jego świeżo zdobytej wśród Murzynów pozycji i wracać do wioski.

- Popatrz, Andrzej. Teraz zdejmą skórę, zjedzą mięso, zachowując tłuszcz, szczególnie cenny, posłuchaj tego uważnie, jako lekarstwo na reumatyzm! - mówił Smuga, odchodząc.

- Od Gordona dowiedziałem się, że doskonałą maść na tę chorobę wyrabia się z tłuszczu elanda[195].

- A o tym nie wiedziałem - przyznał Smuga i w zamyśleniu dodał: - Murzyni dziwią się bardzo, że biali nie polują dla mięsa, lecz rogów, czy jak w przypadku słonia dla kości. Dla nich najważniejsze jest mięso, pożywienie.

- Tak. Upolowana zwierzyna jest zwykle niemal w całości wykorzystywana - zgodził się Wilmowski.

\*\*\*

- Janie! Wstawaj! - Nowicki szarpnął Smugę za ramię. - Wrócił Gordon!

- Słyszałem, że panowie nie próżnowali - Anglik już wchodził do chaty. - My też nie! Mamy wieści wręcz nieprawdopodobne!

Towarzyszył mu wychudzony młody Arab niewielkiego wzrostu, o charakterystycznych rysach twarzy. Gordon przedstawił go, a w jego głosie zabrzmiała radość i coś na kształt dumy.

- To jest, panowie, Madżid el-Hadż - powiedział z naciskiem. Zaskoczony Smuga spojrział uważnie.

- Na Boga, toż to syn Jusufa. Jakże to możliwe? - nawet Smuga tracił czasem opanowanie.

- A jednak - odrzekł uradowany Gordon.

Także młody Arab zdawał się gorączkowo szukać czegoś w pamięci.

- Na Allacha! Skąd?... Przecież...

- Tak, Madżid! To ja. Obaj z bratem nazywaliście mnie kiedyś "białym wujaszkiem". Właśnie was szukamy w tej pełnej tajemnic i niespodzianek Afryce.

Madżid nagle spowaźniał i odwrócił oczy.

- Czyżby coś złego przydarzyło się twemu bratu?

- O tak! - odrzekł Arab. - Jest w niewoli u łowców niewolników.

- Czy przynajmniej żyje? - zniecierpliwił się Smuga.

- Żyje - odpowiedział Madżid. - Ale jest uwięziony. Mnie uwolnił pan Gordon.

- Po kolei, panowie! Wysłuchajcie wszystkiego po kolei - Anglik przerwał tę pełną napięcia rozmowę. - Przede wszystkim usiądźmy i podsumujmy to, czego się dowiedzieliśmy.

Tak też zrobili, a Gordon zaczął opowiadać:

- Czwartego dnia po wyjściu z wioski obozowaliśmy na skraju dżungli i sawanny, jak zwykle zachowując ostrożność. Nagle z dżungli wyłonił się dziwny orszak, prowadzony przez niesionego w lektyce Metysa i sześciu uzbrojonych czarnych. Jak się okazało, strzegli oni około pięćdziesięciu niewolników, w tym ze trzydziestu pięciu mężczyzn. To był straszny widok. Wszyscy Murzyni powiązani łańcuchami. Niektórzy z głowami w dybach i związanymi rękami. Dzieci niesione przez matki albo przywiązane sznurami do szyi ojców. Wszystkie kobiety niosły na głowach ciężkie kosze. Munga rozpoznał w tym straszliwym pochodzie kilkunastu mieszkańców rodzinnej wioski. Staraliśmy się zachować spokój, mimo okrucieństwa, z jakim mieliśmy do czynienia. Nagle jeden ze

strażników podniósł lancę, aby uderzyć lub zamordować jedną ze słabnących kobiet. W mgnienia oku Munga cisnął w niego dzidą. Nie pozostawało nam nic innego, jak zaatakować. Nikt nie ocalał. Prowadzącego karawanę zatłukli niosący go niewolnicy, zanim zdążyłem interweniować.

- Nie udało się wam więc zdobyć zbyt wielu informacji... - zaczął sceptycznie Smuga.

- Trudno byłoby winić Mungę za nierozwagę. Ta kobieta to jego narzeczona - przerwał mu Gordon.

- Prowadzono nas - wyjaśnił Madżid - na zachód. Szeptano bowiem, że na południowo-zachodnim krańcu Jeziora Alberta w grubych, piaskowych pokładach znaleziono złoto. Utrzymywano to w tajemnicy, ale najpewniej tam mieliśmy być zatrudnieni.

- Ale czy odnaleźliście przynajmniej kryjówkę tych drani? - Nowicki wymownie zacisnął swe sękatę pięści.

- Owszem - spokojnie, choć nie bez dumy, odrzekł Gordon. Na chwilę zawiesił głos, po czym z wahaniem dodał: - Mówią, że handlarze uwięzili tam jakiegoś Europejczyka.

W nagłym napięciu zwróciły się ku niemu wszystkie twarze.

## ROZPRAWA

Na południe od miejsca, gdzie Nil wpada do Jeziora Alberta, by wkrótce wyrwać się z niego szerokim na kilometr korytem, w swą mozolną drogę ku północy, niemal dokładnie pośrodku między dwoma osadami, Butiabą i Butisą, utworzyła się spora zatoka. Niegdyś zatonął u jej brzegów angielski parostatek[196]. Po latach wody zatoki opadły. Zasilająca je rzeka zmieniła koryto, a teren przeistoczył się w niedostępne bagnisko. Statek powoli zaczął wynurzać się na powierzchnię. Nie mógł zostać zepchnięty na wodę i uruchomiony, ale świetnie nadawał się na mieszkanie dla wędrowców różnego autoramentu: poszukiwaczy skarbów i przygód, handlarzy, uciekinierów przed prawem. Przed kilku laty przybył tu "człowiek z Północy", by przejąć władzę nad mieszkańcami statku. Wkrótce kierował stąd łupieżczymi wyprawami po kość słoniową, futra, skóry i sól. Organizował napady na karawany. Aż wreszcie zaczął uprawiać proceder oficjalnie surowo zakazany: łowienie niewolników. Na ów "towar" nadal jeszcze nietrudno było znaleźć nabywców, zwłaszcza w niemieckich koloniach Afryki Wschodniej[197], jak również na znanej z handlu żywym towarem wyspie Zanzibar.

"Człowiek z Północy", znany też jako "żelazny faraon", znalazł nabywców i dostarczał im ludzi. Przeprowadził wiele takich transakcji. Zaczynał od wyłapywania Murzynów w dżungli bez zbytniego rozgłosu. Napad na wioskę Kisumu był pierwszym z przedsięwzięć zaplanowanych na szerszą skalę. Po którymś z takich "przedsięwzięć" na parostatek sprowadzono dwu arabskich kupców z Asuanu. Czy zostali porwani, czy przybyli tu robić jakieś interesy? Nie bardzo zaprzętało sobie tym głowę. W każdym razie wkrótce po gościnnym przyjęciu zaczęto traktować ich jak jeńców. "Człowiek z Północy" rozstrzygnął o ich losie: jednego zamierzał wysłać do kopalni złota, drugiego sprzedać na Zanzibarze.

Mieszkańcy parostatku nie obawiali się rozgłosu. Działali wszak na terenie królestwa Bunyoro, nie utrzymującego zbyt życzliwych kontaktów z Europejczykami. Czuli się bezpieczni i bezkarni w swojej niedostępnej siedzibie. Można ją było zaatakować jedynie od strony jeziora. Wschodu i południa strzegło bagnisko, północy - ogromny, ponad pięćdziesięciometrowy nawis skalny, z którego spadały w dół liczne strumienie. W bagnisku pozostałym po zatoce pławiły się krokodyle.

\*\*\*

Dzięki Madżidowi dzień, w którym niewielka wyprawa białych odnalazła niezwykłą siedzibę, nadszedł szybko. Rozbili nieopodal niewielki, dobrze ukryty obóz i jak zwykle podzielili siły.

Smuga, Nowicki i Madżid przyczaili się w wybranym punkcie obserwacyjnym na jednej ze skał, tuż nad statkiem. Niemal nieruchomi, wtopieni w skalny krajobraz, od wielu godzin czekali cierpliwie. A miejsce, gdyby nie to wszystko, co już o nim wiedzieli, wydawałoby im się spokojne i pełne uroku. Przez ciągły szum spadającej wody dobiegały ich głosy ptaków: a to spłoszonej czapli, która przeleciała nad nimi, a to przeraźliwy krzyk tropiącego łup jastrzębia. Zbliżał się wieczór i ożywiało się wodne ptactwo. Ciągnął gdzieś sznur dzikich gęsi. Ku wodzie frunęły z traw zimorodki i kormorany. Olbrzymie

marabuty[198] i ibisy brodziły w poszukiwaniu żab. Trójka zwiadowców, wpatrzona w stateczek, nie dostrzegała przedwieczornej urody otoczenia, w którym się znalazła. Każdy zdawał się być zatopiony we własnych myślach.

- Czy masz pewność, co do tego europejskiego jeńca? - Smuga zapytał szeptem Madżida.

- Tak! Na Allacha! Moje oczy nie raz go widziały. Bardzo go strzegą. Przywódca ma do niego bardzo osobliwy stosunek. Czasami wydaje się, że darzy go szacunkiem. Innym razem, że wręcz przeciwnie - żywi do niego jakąś niepojętą nienawiść - zdecydowanie odpowiedział Madżid.

Zamilkli. Wkrótce na spokojnym dotąd pokładzie zaczął się ruch. Kilkunastu zbrojnych ustawiło się wzdłuż obu burt z bronią gotową do strzału. Byli to Murzyni lub mieszańcy, ale dowodził Europejczyk. Nowicki drgnął na jego widok niczym koń potraktowany ostrogą.

- Do stu tysięcy diabłów! - zaklął z pasją. - Toż to Harry! Człowiek z korbaczem!

- Kto? - nieuważnie spytał, zajęty obserwowaniem ruchu na pokładzie, Smuga. Kiedy Nowicki krótko wyjaśnił, powiedział z namysłem: - A więc to człowiek "faraona"! Czyżbyśmy aż dwa grzyby mieli znaleźć w tym barszczu?

- Już ten jeden to niezły... muchomor - rzucił Nowicki. - Mam z nim do wyrównania spory rachunek.

Tymczasem otwarto klapy prowadzące pod pokład. Z czeluści poczęły wyłaniać się postacie. Byli to niewolnicy. Zasłaniali oczy przed blaskiem słońca, słaniali się na nogach. Każdy trzymał w ręku miskę i kubek, w które coś wlewano. Posilali się siedząc, kucając zwyczajem murzyńskim lub stojąc. Było ich dobrze ponad stu. Mężczyźni, kobiety, dzieci... Kilku zapędzono z powrotem na dół.

- Oczyszczą pomieszczenia i wyniosą trupy - półgłosem wyjaśnił Madżid.

Zwłoki wyrzucono bez ceregieli za burtę na łup krokodyli. Nowicki zaciskał pięści, a Smuga, nieruchomy, patrzył na to zimnymi, stalowymi oczyma. W ciągu godziny uporano się ze wszystkim i niewolnicy zostali znowu wpędzeni na dno statku.

- Teraz powinni wyprowadzić mojego brata - szepnął Madżid.

- A potem? - spytał Nowicki.

- Potem Europejczyka.

Zmrok pokrył fioletem całą okolicę. Głośniejszym rechotem ozwały się żaby nad bagnami. Na tle gasnącego nieba zawisły chmary moskitów. Rozległy się piski rozbudzonych nietoperzy i jaskółek, szukających noclegu. Na ciemne niebo wypłynął półksiężyc, rozpoczynając swą wędrówkę po niebie i wodzie niczym żółta łódka. Kiedy otworzyły się drzwi korytarza prowadzącego do mieszkalnych kabin było zbyt ciemno, by dokładnie dojrzeć jeńca wyprowadzonego przez trzech mężczyzn. Coś w sposobie poruszania się, czy może sylwetka jeńca, sprawiły, że serce Nowickiego przeszła nagła,

nieokreślona tęsknota, a żal za czymś nieodwołalnie utraconym na nowo schwytał go za gardło. W milczeniu obserwowali kilkunastominutowy spacer więźnia. Potem patrzyli, jak mieszkańcy statku układają się do snu. Od strony jeziora wystawiono strażę. Trwała noc, zakłócana jedynie monotonnym szmerem spadającej wody. Widzieli i wiedzieli dość. Postanowili wracać do obozu, by odpocząć do rana.

Wilmowski czekał na nich z gorącym posiłkiem. Usiedli przy nikłym ognisku.

- Czy uwolnienie jeńców jest możliwe? - zapytał Wilmowski.

- Tak, ale najłatwiejsze byłoby w dżungli - odparł z namysłem Smuga. - Tutaj są zbyt strzeżeni. Przedarcie się z jeziora nie wchodzi w rachubę.

- Z wojskowego punktu widzenia - wtrącił Gordon, który wysłał już żołnierzy z raportem i prośbą o posiłki - najprościej byłoby obsadzić brzegi skał i wezwać do poddania. A jak nie posłuchają, to podpalić to gniazdo szerszeni...

- Nie zamierzam brać udziału w takich jatkach, w których zginą niewinni ludzie - zdecydowanie sprzeciwił się, dziwnie dotąd milczący, Nowicki.

- Od frontu atak nie ma szans - powtórzył Smuga. - Zwłaszcza że Murzyni boją się krokodyli.

- Na razie cierpliwie obserwujmy. Musimy liczyć na sprzyjający przypadek - rozstrzygnął Wilmowski. - Tymczasem chodźmy odpocząć. Do świtu już niedaleko.

Nowicki nie mógł zasnąć. Zerwał się, zanim jeszcze słońce zaróżowiło horyzont, chociaż zwykle nie lubił wstawać rano. Poleżeć, poleniuchować nieco w pościeli, popatrzeć na ściany, sufit, poziewać - wszystko to uważał za przyjemniejszą stronę życia. Dziś jednak gnała go nieokreślona niecierpliwość. Przy tłącym się ognisku zastał już Wilmowskiego i Madzida. Posiliwszy się, we trójkę ruszyli na wybrany wczoraj punkt obserwacyjny. Ciepło słonecznych promieni uniosło ku górze parujące, wilgotne powietrze. Statek otuliła mgła, a kiedy się roziała, mogli zobaczyć poranny "spacer" niewolników. Tym razem Nadzib, brat Madzida, wyszedł razem z nimi. Nie wyprowadzono za to europejskiego jeńca. Nowicki zwrócił na to uwagę Wilmowskiego.

Przez chwilę rozmawiali szeptem o tajemniczym więźniu, zastanawiając się, kto to może być i w jakich okolicznościach dostał się do niewoli. W końcu zgodzili się z przypuszczeniem Madzida, że chodzi o jakiegoś chrześcijańskiego misjonarza, zwłaszcza że w ostatnich latach, jak wiedzieli, pojawiło się ich w Ugandzie bardzo wielu i anglikańskich i rzymskokatolickich. Prowadzili swoje prace, czasem rywalizując między sobą. Nie zawsze dostatecznie dyplomatycznie traktowali miejscowe, często barbarzyńskie, obyczaje, więc zdarzało się, że ich mordowano[199]. Położyli jednak ogromne zasługi w likwidacji niewolnictwa w tej części Afryki. Trudniący się tym procederem mahometanie mogli ich nienawidzić. Rozumowanie takie mogło być przekonujące.

Tymczasem jednak na pokładzie trwał wzmożony ruch. Wyniesiono wysoki fotel, krzesła i ławki.

- Coś się szykuje - szepnął Wilmowski.
- To będzie sąd! Będą kogoś sądzić - krótko stwierdził Madżid.
- Jak to sądzić? - spytał zdumiony Wilmowski.
- Otóż to! - odparł Madżid. - Ich przywódca uważa się za praworządnego władcę.
- Ależ to szaleniec!. Madżid skinął głową.
- Na Allacha chyba tak!

Na pokładzie przygotowano prowizoryczną salę sądową z fotelem dla sędziego i stołkiem dla oskarżonego. W tle stanęli strażnicy i kilku murzyńskich niewolników, których wyprowadzono na tę okazję.

Kiedy wszystko było gotowe, ukazali się dwaj czarni strażnicy, ubrani w jednakowe, białe szarawary, także same koszule i kamizelki. Na głowach mieli turbany, a w rękach trzymali zakrzywione szable. Za pasem tkwiły zatknięte po dwa srebrzyste pistolety.

- To osobista ochrona przywódcy. Są bezwzględni i bardzo niebezpieczni! - szepnął Madżid.

Za nimi dostojnym krokiem podążał człowiek ubrany w szaty do złudzenia przypominające strój faraona. Rzuciły się w oczy skrzyżowane na piersiach atrybuty władzy: bicz i berło, przypominające pasterską laskę.

“Sally!” - przemknęła myśl. - Prawie jakbym był we śnie Sally... - zaczął mówić Nowicki, ale i on znieruchomiał, dostrzegłszy tuż za “faraonem” człowieka z korbaczem. Na końcu wprowadzono jeńca, którego tym razem mogli zobaczyć dokładnie w świetle białego dnia.

Nagły skurcz w gardle, sprawił, że marynarzowi wypadła z rąk lornetka. Wilmowski spazmatycznie chwycił ustami powietrze jakby chronił się przed uduszeniem i tak, z ustami rozwartymi jak do krzyku, znieruchomiał. Zapomnieli o Madżidzie i o jego wyjaśnieniach. Zapomnieli o całym bożym świecie. Przed sobą mieli bowiem Tomka. Tomka wynędzniałego, wychudzonego, ale przecież żywego! Żywego Tomka!

Niełatwo przychodziło im w to uwierzyć po tych wszystkich dniach i tygodniach poszukiwań, rozdarcia między rozpaczą a nadzieją. Ale w dzień widzieli z tej skały wszystko wyraźnie jak na dłoni. To był Tomek! W niezrozumiałej na razie i jak się wydawało niebezpiecznej sytuacji. Ale naprawdę Tomek zdrowy i cały.

- Jezus, Maria! - wyszeptał Nowicki. - Zostałem wysłuchany! Zostałem wysłuchany!

Po twarzy Wilmowskiego powoli toczyły się łzy.

\*\*\*

Fakt ponownego spotkania Tomka “faraon” uznał za niezwykle zrządzenie losu. Wydał go wszak na pastwę pustyni. A oto pustynia oddała swego zakładnika. Przeznaczenie zaś z powrotem postawiło go na jego drodze. Nie mógł tego pojmować inaczej niż jako



nadprzyrodzony znak, nieznan obowiązek nałożony nań przez Boga.

“Wola Allacha! *Insz Allah*” - myślał. “Skoro sam Bóg odmienił wydany przeze mnie wyrok, zapragnął w ten sposób do mnie przemówić”.

Najpierw w jego chorym umyśle zrodził się pomysł, by Tomasza... zatrudnić! Był przekonany, że to się to uda. Znał wielu Europejczyków i ich nieprawdopodobną chciwość. Zawsze czegoś pożąдали: pieniędzy, sławy, znaczenia, władzy czy choćby antycznych przedmiotów i zwykłych, niewiele wartych pamiątek... Tomek odrzucał jednak wszystkie propozycje. Zdziwiło to “faraona”, a potem rozczarowało i zdenerwowało tak, że zawsze stawał się bliski załamania lub wybuchu gniewu w jego obecności.

Z czasem zaczął traktować opór Tomka jako jedyną przyczynę wszelkich swoich niepowodzeń, symbol fatum, jakie nad nim zawisło.

W panice musiał jednak opuścić Teby, a jego interesy na północy kraju należało uznać za całkowicie zawieszane. Postanowił przeciąć wewnętrzne rozdarcie, wywoływane “złą” obecnością tego więźnia. Ale jak, skoro miał do czynienia z zastanawiającym znakiem bożym? Wybrał... sąd.

Tomek zajął więc miejsce oskarżonego naprzeciw “tronu”. Obaj młodzi ludzie długo mierzyli się wzrokiem. W gorejących oczach sędziego płonęła udreka i nienawiść. W oczach sądownego nikt nie mógłby dostrzec niczego innego niż opanowanie i spokój. Tomek nie miał złudzeń. Uratować mógłby go jedynie cud. Nienawiści mógł przeciwstawić jedynie godność.

Rozpoczęła się rozprawa. Sędzia sam, nienaganną angielszczyzną, zadawał pytania.

Za każdym razem odpowiadało mu milczenie. Tomek zachowywał się tak, jakby to wszystko nie tylko go nie dotyczyło, ale i w ogóle do niego nie docierało. Patrzył ponad pokład statku, na otaczający go, jakże piękny świat. Uniósł głowę ku pobliskim skałom i uśmiechnął się do siebie.

Zapadła cisza. Tomasz, wciąż jeszcze z cieniem uśmiechu na ustach, spojrział z ironią i pogardą w oczy “faraona”. Ten jednak choć zaskoczony postawą Tomka - na co dzień napotykał jedynie lęk swych podwładnych - poważnie traktował swoją rozprawę. Wprowadzono świadków. Najpierw dwu Arabów. Ich zeznania tłumaczono oskarżonemu. Wynikało z nich, że dowodząc daabiją, Tomek znęcał się nad arabską załogą, że pobił i wyrzucił na brzeg arabskich współpasażerów, aby przywłaszczyć sobie wynajęty stateczek.

- Wszystkich? - spytał sędzia.

- Nie - odrzekli świadkowie. - Niektórych zakuł w kajdany i chciał oddać do brytyjskiego więzienia.

Tomasz uśmiechnął się znowu. “Oto - pomyślał - jak łatwo można przeinaczać prawdę”. Ci, którym na prośbę Nowickiego ułatwiono ucieczkę, teraz zeznawali przeciw niemu. Wtedy było ich jednak pięciu, teraz jedynie dwóch. Gdzież mogła być reszta?

- Ilu was było? - sędzia zdawał się czytać w myślach Tomka.

- Pięciu. Ale trzech zostało zastrzelonych w czasie ucieczki odparli.

- Kto jest temu winien? - padło kolejne pytanie.

- Oskarżony - odparli.

“A więc to tak” - pomyślał Tomek. “Trzech pozostałych już zginęło, a ci są tutaj, w centrum Afryki. Próżno Nowicki ludził się nadzieją, że może czeka ich lepszy los”.

Na świadka został także powołany Harry, który oskarżył Tomka o okradanie grobowców. Ten fragment zeznań przetłumaczono nawet murzyńskim niewolnikom, którzy popatrzyli na Tomka przerażonym wzrokiem. Miejsca spoczynku ich zmarłych były bardzo szanowane, a sprofanowanie tych miejsc stanowiło największą winę żyjącego.

Milczenie Tomka wobec pytań i zeznań świadków uznano za przyznanie się do winy. Zapytano go jeszcze, czy chce coś powiedzieć, a kiedy odmówił, “sąd” udał się na naradę.

“Faraon” wstał, przeszedł na rufę statku, obrócił się ku wschodowi i rozpoczął jakiś obrzęd. To wznosił ręce, zdobne insygniami władzy, to je opuszczał. Bił korne pokłony w stronę słońca to znów nieruchomiał z zamkniętymi oczyma. Odwrócony tyłem do wszystkich zamarł w bezruchu i tak trwał. Mijały minuty...

W blasku słońca, pomniejszony przez odległość, w swoim dziwacznym stroju, do złudzenia zdawał się przypominać uszebti, magiczną figurkę sprzed wieków: nieruchomy, zatrzymany w skupieniu posążek faraona. Tomek pomyślał o Sally, która marzyła by móc przenieść się w zamierzchłe czasy faraonów. Pomyślał także o ojcu, jakże samotnym. O Nowickim, pozostawionym na pustyni. O Smudze, podziwianym wzorcem swego życia. “Gdybyż oni tu byli, gdybyż byli” - myślał i żał targnął jego sercem.

Ale już “sędzia” wracał na swoje miejsce, by ogłosić wyrok.

- Oskarżony jest wielkim zbrodniarzem - mówił. - Zasłużył na śmierć. Gdybym był zwykłym sędzią, taki byłby wyrok. Ale ja jestem władcą miłosiernym i nie skazuję ludzi na śmierć. Dlatego wyrok mój brzmi: “kąpiel”! To wszystko.

Zostanie wykonany o świcie.

\*\*\*

Trójka ludzi ukrytych w cieniu skały tuż nad statkiem chłonęła każde słowo.

- Byłem już raz świadkiem takiego sądu - gorączkowo szeptał Madzid; jak tylko usłyszał sentencję wyroku. - Rankiem o 200 metrów stąd przywiążą małe, puste czółno. Potem wyprowadzą skazańca i wrzucą do jeziora. Jeśli dopłynie do łódki, jest ocalony...

- Ale przecież roi się tu od krokodyli!

- Dzięki temu wyrok władzy zostanie potwierdzony przez moce nadprzyrodzone - z goryczą odparł Madzid.

- No to do roboty. Mamy przed sobą całą noc - z naciskiem powiedział Nowicki.

W pośpiechu wracali do obozu. Tu wspólnie rozważyli możliwości ataku. Nie było ich

wielu. Szybko przyjęli więc jedyny możliwy plan. Smuga omawiał go właśnie z Gordonem:

- Czekajcie w czólnach. My spróbujemy dostać się na statek od góry. Obezwładnimy strażników. Jeśli się uda, będziecie mogli bezpiecznie podpłynąć. Pamiętaj: trzykrotny chichot hieny - droga wolna. Jeśli nie, sami wiecie, co robić. My nie oddamy im Tomka. Raczej zginiemy razem z nim.

\*\*\*

Nadchodził zachód słońca. Ogromna, czerwieniejąca kula toczyła się w dół, by skryć się za górami. Na tle jej gasnącego światła wszystko wydawało się wyrazistsze. Odcinały się pagórki, las, pojedyncze drzewa. Poblyskiwały fale jeziora. Las milkł, by później ożyć głosami nocnych zwierząt.

W małym obozie trwały gorączkowe przygotowania. Nowicki i Wilmowski zaopatrzyli Gordona w listy pożegnalne do rodziców Sally, samej Sally i do Karskich. "Na wszelki wypadek", jak powiedział Wilmowski. Tylko Smuga nie napisał do nikogo. - Mam jedynie was - rzekł krótko.

W końcu nic nie zostało już do zrobienia. Nowicki, Smuga, Wilmowski i kilku Murzynów z Mungą na czele, czekali nadejścia nocy wśród skał. Nie ucieszyli się, kiedy nadeszła. Była nad podziw jasna, co zwiększało jeszcze niebezpieczeństwo. Murzyni przygotowywali długie liny, splecione z lian. Wilmowski i Madżid obserwowali dwóch strażników, czuwających od strony jeziora. Co jakiś czas, któryś wstawał, przeciągał się albo wyruszał na mały spacer po pokładzie. Płynęły sekundy, minuty, godziny... Smuga drzemał oparty o skałę. Wilmowski zamyślony wpatrywał się w gwiazdy. Nowicki dokładnie czyścił broń. Ktoś wreszcie ruszył go za ramię. Był to Smuga.

- Pora! - powiedział Smuga.

Skinął głową, wyprostował się i spojrzał w dół.

- Brrr! Do stu tysięcy wielorybów! - westchnął. - Jak trzeba, to trzeba...

Postanowili zejść na dół w miejscu osłoniętym skalnym uskokiem i szumem wody maleńkiego wodospadu. Na wysokości 5 metrów wypatrzyli dogodny skalny występ, gdzie można się było zatrzymać. Spuszczono pierwszą, obciążoną ciężkim kłocem drewna linę, która miała służyć jako dodatkowe zabezpieczenie. Pierwszy ruszył Nowicki. Energicznie przewiązał się lianami pod ramionami i rzekł zawadiacko:

- Życzcie mi szczęścia. Będę miał co opowiadać wnukom...

- Powodzenia! - pokazał gestem Smuga.

Ruszył ostrożnie, starając się schodzić bardzo cicho. Na szczęście szum wody tłumił zdradliwe szmery i hałasy. Pierwsze kilka metrów, gdy widział u góry twarz Wilmowskiego kierującego Murzynami, popuszczającymi owiniętą wokół drzewa linę, było stosunkowo łatwe. Potem spojrzał w dół. "Szkoda, że nie jestem ptakiem. Przypominam raczej niedźwiedzia" - mruknął. Całym ciałem przylgnął do skały, szukając oparcia dla rąk i nóg. Posuwał się bardzo wolno, pilnując jednocześnie rezerwowej liny. Wkrótce zdrętwiała mu

palce. Wiele razy odpoczywał, przywierając sztywno do skały. Do półki skalnej dotarł wyczerpany niemal do cna i całkiem mokry zarówno z wysiłku, jak i wody rozpryskiwanej przez strumień.

Za nim rozpoczął wędrówkę Smuga. Gdy znaleźli się obok siebie, odetchnęli z ulgą. Pierwszą część zadania mieli za sobą. Spojrzeli w dół. Mimo głębszych niż na górze ciemności zarys statku był wyraźny. Z góry spuszczone w dół niewielkie, murzyńskie, jednoosobowe czółno. Smuga wychylił się zza półki skalnej i wypatrując w ciemności krokodyli, powiedział:

- Mam nadzieję, że śpią...

- Jak nie, to może się okazać, że są jeszcze przed kolacją... - cichutko zaśmiał się Nowicki.

- Skoroś taki zuch, to do dzieła - rzekł Smuga.

Jak najciszej spuścili czółno na wodę. Smuga pokazał Nowickiemu pławiące się nieopodal cielsko potężnego krokodyla, przypominające potężny kłoc drewna. Wydawało się, że śpi albo nie żyje. Smuga wiedział jednak doskonale, jak szybko potrafi zaatakować. Trwożliwy na łądzie, w wodzie bywa straszny. Wskazał na potężną paszczę gada, wciśniętą w bagnistą ławicę, podczas gdy ogon spoczywał w wodzie.

- Mieliśmy dotąd wiele szczęścia - szepnął najciszej jak mógł.

- Uważaj - ostrzegł jeszcze - mają doskonały słuch.

- Zginąć w paszczy krokodylszczaka to zaszczyt dla warszawiaka - mruknął Nowicki. Zebrał się w sobie, sprawdził broń i delikatnie zszedł do czółna, które miękko ugięło się pod jego ciężarem. Bezszelestnie dołączył do niego Smuga. Pełni napięcia, delikatnie poruszając wiosłem, zaczęli płynąć ku statkowi. Smuga raz i drugi otarł pot z czoła. Nie spuszczać oka z nieruchomego cielska, opłynęli potężny ogon i dobili do burty. Smuga pierwszy znalazł się na pokładzie. Po chwili obaj, zaczajeni, rozglądali się czujnie.

Na tle jasnego nieba wyraźnie rysowała się sylwetka jednego ze strażników. Przechadzał się miarowo: kilka kroków do przodu i powrót.

- "Gdzie jest drugi?" - Smuga zadał to pytanie gestem uniesionych ku górze dwóch palców, a Nowicki tylko pokręcił przecząco głową.

Nie pozostało im nic innego, jak go szukać. Skradali się bezszelestnie, modląc się w duchu, by w porę dojrzeć drugiego strażnika i by nie? zbudził się żaden ze śpiących na pokładzie. Tymczasem pierwszy strażnik stanął przy burcie i oddał mocz. Potem podszedł do jakiegoś zakamarka i po chwili obok niego pojawił się ten drugi, który widocznie tam drzemał. Rozmawiali cicho, po czym jeden ułożył się do snu, a drugi zaczął obchód.

Smuga spadł na niego jak lampart. Chwycił go z tyłu za szyję, uniemożliwiając krzyk i kolbą rewolweru uderzył w głowę. Ze śpiącym poszło jeszcze łatwiej. Leżeli obaj dokładnie zakneblowani i związani. W ciszy tropikalnej nocy rozległ się chichot hieny. Jeden... drugi... trzeci...

Nowickim i Smugą owładnęła teraz jedna myśl: jak najszybciej odnaleźć Tomka. Znali na pamięć rozkład kajut. Po wielekroć powtarzali informacje uzyskane od Madżida, egzaminując się wzajemnie. Z bronią w ręku śmiało zeszli pod pokład...

Tomka więziono w pomieszczeniu, które było kiedyś schowkiem na narzędzia. Po prostu ciemna nora. Zamknięty w niej dniem i nocą wychudł i zbladł. Fizyczną kondycję zawdzięczał uporczywie powtarzanej gimnastyce, a także temu, że nie załamał się psychicznie. Tej nocy nie spał w ogóle. Chciał przeżyć ostatnie godziny swego życia w pełni świadomie. Mijały minuty. Panowała cisza. Możliwe, że pierwszy szelest zarejestrował czysto instynktownie. Zaczął nasłuchiwać. Tak, nie mylił się. To były ostrożne, skradające się kroki. Coraz bliżej... Ucichły... Czyżby ten ktoś zatrzymał się przy drzwiach jego więzienia? Ciche, jakby znajome chrząknięcie. Tomek zaczął opuszkami palców delikatnie uderzać w drzwi.

- Brachu! - dobiegł szept. - To ty? Tomek pomyślał, że śni.

- Tadku! Ty tutaj? - szepnął przytulony do drzwi. Cichuteńki skrzyp drzwi... i już był w ramionach przyjaciół. Smuga naglił.

- Musimy uwolnić niewolników i uwięzić przywódcę...

- Pokażę jego kabinę - powiedział Tomek. Nowicki podał mu rewolwer.

- Idź ze Smugą. Ja wyjdę na pokład i otworzę luki.

- Gdzie jest reszta strażników? - to znowu Smuga, rozważny, opanowany, gotów do działania.

- Śpią w kabinach wzdłuż korytarza. Niektórzy na pokładzie - szepnął Tomasz.

- Uwolnijmy jak najprędzej niewolników. Pomogą nam unieszkodliwić strażników - gorączkował się Nowicki.

- Mam inny pomysł - pokręcił głową Tomek. - Zamknijmy strażników w ich kabinach.

- Jak? - Smuga natychmiast to zaaprobował.

- Drzwi każdej z kabin można unieruchomić bardzo prosto, zatykając kołkiem. Tak jak ja tu byłem zamknięty.

- No to do dzieła! - zatarł ręce Nowicki.

Uwinęli się z tym szybko i bez zbędnego hałasu. Zatyczki były zadziwiająco solidne. Nawet silnym mężczyznom nie udałooby się ich sforsować od razu.

- Siedzą jak sardynki w puszce - cieszył się Nowicki. - Otwieram luki.

- Tomku, teraz "faraon" - zdecydował Smuga.

Szcęście towarzyszyło im jak dotąd niczym stary, dobry przyjaciel. Smuga i Tomek podeszli do drzwi niewielkiej kajuty. Smuga chwycił za uchwyt, próbując je otworzyć. Były zaryglowane od wewnątrz.

- Janie, zostanę tutaj - powiedział Tomek - a ty idź, pomóż Nowickiemu.

- Dobrze. Strzelaj celnie. I uważaj na jego osobistą ochronę.

W tej chwili w ciszę szarzejącej nocy wdarł się krzyk. Smuga wyskoczył na pokład. Nowicki otwierał właśnie luki. Krzyczał Harry, który nie tracił czasu. Mierzył właśnie do jednego ze zbliżających się murzyńskich czółen.

- Nie! - krzyknął głośno Smuga. Harry drgnął. Kula zamiast w Gordona, dla którego była przeznaczona, trafiła w ramię jednego z Murzynów.

Ci, którzy spali na pokładzie, rozpoczęli bezładną strzelaninę. Tymczasem czółna dobiły do burty. Zanim Gordon wskoczył na pokład, Smuga starł się z dwoma przeciwnikami. Jeden zginął natychmiast, zastrzelony, drugiego, któremu kula przeorała policzek, zwałił z nóg silny cios w podbródek. Sytuacja zdawała się być opanowana. Niektórzy poddawali się właśnie żołnierzom Gordona, z innymi walczyli Murzyni. Do walki włączali się niewolnicy, którzy przez otwarte luki wydostali się na pokład.

Tym razem Nowicki nie zgubił Harry'ego. - Nareszcie! - krzyknął i zaatakował. Harry cudem uniknął zwarcia, a marynarz siłą rozpędu wpadł na barierkę. Odwrócił się błyskawicznie i po swojemu kpiąco uśmiechnął. Od dawna wierzył, że musi pokonać Harry'ego, by naprawdę mogli odzyskać Tomka. Harry cofał się wolno, oczekując kolejnego ataku. Nowicki kocim ruchem zbliżył się do niego. Nagle przeciwnik uskoczył w bok i gwałtownie się schylił, ale Nowicki w porę zrozumiał i tym razem był szybszy. Nogą kopnął trzonek korbacza, wpychając bicz między rzeczy leżące na pokładzie. Jednocześnie wyprowadził cios. Harry zareagował z opóźnieniem i pięść marynarza trafiła go... w ucho. Nowicki nie wytrzymał i roześmiał się głośno:

- Teraz było w ucho - powtórzył dobrze zapamiętane słowa. - A co powiesz na to? - znacząco wskazał podbródek.

Harry, któremu dzwoniło pod czaszką, wycharczał:

- Spróbuj! - I zaatakował. Jego pięść ledwie jednak musnęła twarz marynarza, a jednocześnie potworna kontra w podbródek rzuciła go na ścianę kajuty.

Teraz Nowicki dopadł Harry'ego jak burza. Chwycił lewą ręką za koszulę tuż przy gardle, wciskając go w ścianę. Zacisnął prawą dłoń, uniósł, by zadać nokautujący cios. Zauważył jednak mętne oczy przeciwnika. Powstrzymał wzniesioną do ciosu pięść i puścił Harry'ego. Ten z wolna osunął się na podłogę. Usiadł i nie próbował się podnieść.

- Ma dość! - uznał Nowicki i poczuł ogromną ulgę. Uśmiechnął się do siebie, podszedł i wyciągnął z kryjówki korbacz. Strzelił nim triumfalnie nad głową...

Tymczasem Smuga zszedł pod pokład do Tomka. Młody Wilmowski, pobladły z emocji i wysiłku, czuwał przy drzwiach kajuty "faraona".

- Nie próbował wyjść? - zdziwił się Smuga.

- Nie - odpowiedział Tomek.

- A strażnicy?

- Wciąż próbują na nowo. Chyba słyszysz.

- Przyślę ci kilku ludzi. Zastrzelcie każdego, kto wyjdzie. Tomek skinął głową. Rozumiał, że nie było innego wyjścia.

Na pokład wyprowadzano wciąż niewolników. Niektórzy byli w kajdanach lub tak słabi i chorzy, że trzeba im było pomóc. Harry'ego i kilku jego ocalałych ludzi strzegli żołnierze Gordona.

- Tadku! - zawołał Smuga. - Weź kilku ludzi, zejdziemy pomóc Tomkowi.

Kiedy znaleźli się na dole, Smuga zawołał:

- Otwieraj! Nie masz szans. Jesteś otoczony. Odpowiedziała mu cisza.

- Wyważmy drzwi - zaproponował Nowicki.

- Pamiętajcie o jego ochronie - ostrzegał Smuga.

Marynarz po prostu potężnie kopnął w zamek. Po chwili drzwi stały otworem. Wypadł zza nich Murzyn. Sztychem szabli zaatakował Nowickiego. Ten umknął, stosując unik. Rozległ się głuchy odgłos strzału i Murzyn upadł na twarz. Szabla utkwiała w drzwiach. Smuga spokojnie ładował rewolwer.

- Mówiłem ostrożnie! - powiedział chłodno.

Zajrzeli do środka. Na łóżku dostrzegli postać człowieka. Wydawało się, że śpi, ale kołdrę, którą był przykryty, plamiła krew. Nie był to przyjemny widok.

Smuga, Nowicki i Tomek zatrzymali się tuż przy drzwiach. Oto człowiek, który doprowadził do tragedii wielu ludzi. Zdolny, operatywny, ale z umysłem owładniętym chorobą, złowrogą ideą. Do końca nie potrafili jej zrozumieć. Ich triumf zaprawiony został goryczą.

Nowicki w końcu podszedł i odsłonił twarz leżącego. Była czarna! A więc to nie "faraon", jak sądzili. Najpewniej drugi z Murzynów stanowiących osobistą ochronę. Teraz dopiero zauważyli szeroko otwarty bulaj. Nowicki wyjrzał na zewnątrz. Poblądły odwrócił się w stronę przyjaciół.

- Pełno tam wściekłych krokodylszczaków - powiedział z niechęcią. Smuga i Tomek wyjrzel również i opanowała ich groza.

- Zginął śmiercią, którą przygotował dla mnie - szepnął Tomek.

- Chodźmy. Nic tu po nas - szorstko powiedział Smuga.

- Jeszcze chwilę - Tomek chciał rozejrzeć się po kajucie.

Na jednej ze ścian wisiały insygnia faraonńskiej władzy. Pod nimi na małym stolyczku obok świecznika stał jakiś przedmiot, przykryty kawałkiem złocistej tkaniny. Tomek podniósł materiał. Zalśnił posążek faraona w myśliwskim stroju. Pierwszy wziął go do ręki Smuga.

- Sally mówiła, że jest zbyt lekki, jak na zrobiony ze złota. Rzeczywiście jest zbyt lekki.

- Masz rację, Janie - potwierdził Tomek, uśmiechając się tajemniczo.

- Co się za tym znowu kryje? - zniecierpliwił się Nowicki.

- Kiedyś wam o tym opowiem. - Tomek zabrał posążek z rąk Smugi. Korytarz był pełen hałasu i ludzi. Przy każdej z kabin czuwał jeden z żołnierzy Gordona i Murzyni Kisumu.

- Uciszcie się! - zawołał Smuga. - Dajemy wam dwie minuty, potem was stamtąd wykurzymy i zostawimy Murzynom.

- Puśćcie nas wolno? - spytał zza drzwi jakiś głos.

- Żadnych gwarancji! - odparł Smuga. - Poddajcie się.

- Zapewnicie nam życie?

- Oddamy was Anglikom - odparł Smuga. - Ich sprawa, co z wami zrobią.

- Poddajemy się! - odparł głos.

Wkrótce prawie trzydziestu handlarzy niewolników zakuto w kajdany, których tu nie brakowało. Wszystkich wpędzono pod pokład, gdzie dotąd więzili Murzynów.

\*\*\*

Gordon musiał pozostać ze swoimi żołnierzami na statku, by pilnować więźniów.

Polacy chcieli jak najszybciej wracać ze względu na Tomka, osłabionego długim więzieniem. Wilmowski gorąco pragnął wywieźć go czym prędzej z niebezpiecznego, gorącego, wilgotnego klimatu. Myśleli także o pozostawionej w Chartumie Sally, chorej i samotnej, do której nieprędko dotrą dobre wieści. Marzyli o dniu w którym znowu będą razem. Szczęśliwi jak nigdy dotąd i jak nigdy dotąd świadomi kruchości tego szczęścia.

Jednemu zaproszeniu nie mogli wszakże odmówić. Musieli wziąć udział w ucztach w wiosce Kisumu. Udali się tam całą czwórką. Towarzyszyli im Madzid i Nadzib, uwolniony razem z Tomkiem. Smuga upolował jeszcze dwie antylopy, by nie przybywać z pustymi rękami.

Zanim jeszcze nadszedł wieczór uczyty, do Nowickiego podszedł Awtoni.

- *Kują!* [\[200\]](#) *Kują!* - powiedział.

- Co mówisz? - spytał Nowicki - Iść za mną! - Awtoni powtórzył po angielsku.

Marynarz, a także Tomek i Madzid bez słowa ruszyli za nim. Chłopiec zaprowadził ich na swoją ulubioną polanę i usadowił w zaroślach na jej skraju. Sam zaczął krążyć po łące, pogwizdując z cicha. W krzakach naprzeciw usłyszeli szelest. Zaniepokojony Nowicki chwycił za broń. Tomek uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

W wysokiej trawie pojawił się ptak. Wyciągał szyję i jakby przeciągał się, rozpościerając skrzydła. Podniósł i opuścił głowę, klekocąc, jakby kłaniał się przed Awtonim. Ten chwycił go za szyję i zaczął głaskać. Ptak przyjmował pieśczętę cierpliwie i z wielkim zadowoleniem. Stalowe pióra, z lekko zielonym i granatowym odcieniem, unosiły się z rozkoszą. Awtoni przemawiał do niego półgłosem. Wreszcie zawołał cicho:



- Buana! Buana! Kują![\[201\]](#)

Z wielką ostrożnością podeszli bliżej. Ptak zaczął kręcić głową, otwierając swój ogromny dziób, ale uspokojony przez Awtoniego pozwolił im się zbliżyć.

- Abu markub - szepnął Madzid. - Ojciec pantofla - przetłumaczył na angielski arabską nazwę ptaka.

- Tak, to trzewikodziób[\[202\]](#) - potwierdził Tomek. - Mamy szczęście. Żyje tylko w tej części Afryki.

Byli wzruszeni niezwykłą przyjaźnią chłopca z dzikim, wolnym ptakiem. Przyjrzawszy mu się do woli, zostawili Awtoniego z ulubieńcem, a sami wrócili do wioski.

Wieczorem rozpoczęła się uczta. Smuga poprosił Kisumu, aby pokazał im owo cudowne lekarstwo na przejedzenie. Wszyscy czterej Polacy z prawdziwym zdumieniem oglądali buteleczkę z lekiem wyprodukowanym w Krakowie, lekiem, który Murzyni w tej wiosce czcili niemal jak fetysz. Według wodza, dziwny biały uzdrowiciel gościł w ich wiosce ze cztery lata temu.

- To wielki czarownik - tłumaczył Kisumu. - Wielki jak buana - dodał, patrząc na Nowickiego.

- O! Tak! Wielki czarownik - wtórował Munga.

Kisumu tymczasem począł grzebać w koszu i z nabożną czcią wydobył kajet i... ołówek. W zeszycie było kilka odręcznych szkiców typów ludzkich, charakterystycznych dla tej części Afryki. Murzyni tłumaczyli, że biały mierzył ich, zaglądał do ust i wszystko przenosił na papier.

- Wielki, wielki czarownik! - mówili z zachwytem, przewracając białkami oczu.

- Kto to mógł być? - zastanawiał się Nowicki.

- Przypuszczam, że jakiś uczoney [\[203\]](#)- odparł Wilmowski. - W ostatnich latach organizowano wiele wypraw naukowych do Afryki. Jeśli był Polakiem, to z pewnością pochodził z Galicji, bo lek wyprodukowano przecież w Krakowie.

\*\*\*

Zaplanowali drogę powrotną w ten sposób, by pomóc Gordonowi przy transportowaniu jeńców do Hoima, stolicy królestwa Bunyoro. Gordon obawiał się, że z garstką czarnoskórych żołnierzy nie podoła zadaniu.

Usadowili jeńców w kilku długich łodziach. Ci zachowywali się spokojnie. Zrezygnowani, nie próbowali ucieczki. Harry, zwany człowiekiem z korbaczem, mimo że próbowano z nim rozmawiać, nie wymówił ani jednego słowa. Patrzył tylko z pogardą i nienawiścią.

Z Butiaby, jednego z portów u wybrzeży Jeziora Alberta, dotarli do Hoima drogą wśród wulkanów, poprzetykanych dżunglą z potężnymi, przeszło trzydziestometrowymi drzewami mahoniowymi i hebanowymi. Mijali sawannę pokrytą polami upraw tytoniu,

prosa i kukurydzy. W Hoima przyjął ich wicegubernator z ramienia Wielkiej Brytanii oraz panujący czarnoskóry król Bunyoro, Andrea Luhanga. W kilka dni później, przeznaczoną specjalnie dla nich, rządową szalupą wyruszyli z Butiaby do Rejaf położonego w pobliżu pierwszej, licząc od południa, katarakty na Nilu.

Tomek głównie odpoczywał i nabierał sił. Obiecał przyjaciołom dokładną relację o tym, czego doświadczył i jak żył przez cały ten długi okres, kiedy uważali go za zmarłego. O cokolwiek go jednak pytali, odpowiadał niezmiennie: - Później. Później, kiedy będziemy razem, kiedy spotkamy się wreszcie wszyscy. I nie martwcie się - dodawał z przebłyskiem dawnego humoru - wystarczy tego na długie dni i godziny.

Często oglądali za to posążek faraona, o którego istnieniu i utracie opowiadała Smudze i Wilmowskiemu Sally w obozie u stóp Kolosów Memnona. Zastanawiali się wciąż, jaką też kryje tajemnicę? A Tomek uśmiechał się, biorąc go do ręki. Jakby wiedział...

## OPOWIEŚĆ TOMKA

Tak jak trudno znaleźć słowa, aby opisać spotkanie ojca z nieodwołalnie, jak się zdawało, utraconym synem, czy też szaleńczą siłą nadziei na jego życie, tak też próżno by się trudić, aby wyrazić to, co czuła Sally. W angielskich koszarach w Chartumie, wciąż jeszcze słaba po ataku malarii, witała przyjaciół, zdrowych i całych: Smugę, Nowickiego, Wilmowskiego, którego kochała jak ojca, a z nimi... Tomka. Wśród gwaru powitań było to... jak kropla ciszy, minuta wytchnienia. Dopiero później mogli się cieszyć jak dzieci. Opanowało ich przemożne pragnienie, by jak najszybciej znaleźć się na statku płynącym do Europy. Tak jakby oznaczało to, że wreszcie wracają do domu.

Niewiele czasu spędzili w Chartumie, tyle by pożegnać Gordona, którego polubili. Podobnie było w Asuanie, gdzie witali ich gorąco, równie stęsknieni, Patryk i Dingo. Madzid i Nadzib chcieli również podejmować swoich specjalnych gości. Ale ci nie próbowali dociekać, w jaki sposób obaj kupcy dostali się w ręce "faraona", choć opowiadali barwnie o wszystkich nieszczęściach, jakie ich spotkały ani słowem nie wspominając interesów, które zagnały ich tak daleko na południe. Teraz interesowało ich tylko jedno: przeżycia Tomka. Ale i to odłożyli do momentu, kiedy wsiądą na statek. Chcieli wysłuchać wszystkiego w skupieniu.

A zajęło to wiele popołudni i wieczorów...

### *Porwanie porwanego*

Kiedy was opuściłem, ciebie Tadku i Patryka, poszedłem na zachód. Miałem spory zapas wody, ale coraz mocniej dokuczał mi głód. Coraz mocniej paliły promienie słońca. Uporczywie brnąłem w opornym piasku i skwarze. Ludzie pustyni mawiają: "Wędrowałem samotnie przez wydmy i tylko Bóg mi towarzyszył". Jeszcze nigdy tak dojmująco nie doświadczyłem tej prawdy... Ciężaru dojmującej samotności. Przy życiu utrzymywała mnie woda, siła woli i pamięć. Pamięć zwłaszcza dawała mi nadzieję. Myślałem o tobie Tadku, o Patryku... O Sally. O Smudze i moich rodzicach. Może to dziwne, ale najczęściej o matce, co wówczas wydało mi się złą wróżbą.

Nie wiem, ojcze, czy pamiętasz, dworzec kolei warszawsko-wiedeńskiej. Żegnaliśmy ciebie wtedy, gdy udawałeś się na emigrację. Ta scena tak bardzo utkwiała mi w pamięci, chociaż miałem niewiele lat. Nie rozumiałem, dlaczego mama płacze, a ty ukradkiem ocierasz oczy. Nie rozumiałem, czemu tak mocno przyciskasz mnie do piersi. Byłem pod wrażeniem, bo jeszcze nigdy nie wyjeżdżałeś, a ja po raz pierwszy byłem na dworcu. Na pewno nie wiesz, że kiedy pociąg zniknął, mama powiedziała:

- Nie wolno płakać! Musimy żyć, synku! Musimy żyć dla ojca! Samotny na bezbrzeżnej pustyni często powtarzałem sobie te słowa.

Mówiłem do siebie z uporem:

- Muszę dojść! Muszę ich ocalić! Muszę!

Wydawało mi się zresztą w pewnym momencie, że jestem już blisko, że czuję wilgotny

powiew. I wtedy przyszedł najpoważniejszy kryzys. Z trudem trzymałem się na nogach, kilka razy upadłem. Zabrakło mi wody, suchość paliła gardło, oczy szczypały i kleiły się. Musiałem odpocząć. Musiałem! Nie dałbym rady iść dalej.

Nadchodziła noc, więc usiadłem w cieniu skały i wyczerpany zasnąłem. Jak długo trwałem w półśnie, półjawie, tego nie wiem. Zdawało mi się, że pojawiły się przy mnie jakieś postacie. Ktoś mnie karmił, ktoś poił... Gdzieś jechałem... Kiedy się ocknąłem, leżałem w cieniu palmy, na jakiejś derce czy skórze... Usłyszałem parskanie wielbłądów. Kręcili się ludzie. Dostrzegli, że się poruszyłem. Ktoś podszedł i pochylił się nade mną. Po chwili poczułem smak mleka.

“Cóż to za ludzie?” - myślałem. Próbowałem ich pytać, ale odpowiadali mi w nie znanym języku. Było ich trzech, ubranych zupełnie na czarno. Zasłonili twarze, ale uważałem, że to coś zwyczajnego na pustyni. Przygotowywali się do wieczornego odpoczynku. Przymknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, jeden z owych ludzi odwijał właśnie z twarzy zawój i pochylił się nade mną. Przeraziłem się nie na żarty! Miał zupełnie niebieską twarz, twarz przypominającą trupią. Później trochę ochłonąłem i przypomniałem sobie relacje Arabów o “ziemi strachu” gdzieś w głębi Sahary, którą zamieszkują “błękitni ludzie pustyni”. Ale możecie sobie wyobrazić niesamowite wrażenie. Przez chwilę zdawało mi się, że nie jestem już na tej ziemi. Dlatego tak doskonale to pamiętam i tak szczegółowo o tym opowiadam.

Próbowałem z nimi rozmawiać, wytłumaczyć, że muszę dostać się do Luksoru, ale rozkładali bezradnie ręce. Chciałem, by zrozumieli, że nie mogę z nimi jechać, bo moja droga prowadzi akurat dokładnie w przeciwnym kierunku. Perorowali długo po swojemu, potem wskazywali na mnie i powtarzali jedno słowo:

- Marabut...

Wiedziałem, że ptak ten, podobny do bociana, zamieszkuje Afrykę, ale nie występuje raczej na jej północnych i południowych krańcach. Dlaczego więc zwracając się do mnie, używano jego nazwy? Na razie zrezygnowałem z wszelkiego wyjaśniania, bo i tak nie byłem w stanie porozumieć się z jeźdźcami. Traktowali mnie z powagą i szacunkiem, dzieląc się ze mną jedzeniem. Cóż to była za dieta! Na okrągło wielbłądzie mleko i daktyle. Ich smak towarzyszył mi, kiedy wkraczałem w najosobliwszą chyba przygodę, jaką kiedykolwiek przeżyłem...

### *Karawana*

Minęło kilka dni. Sunęliśmy na zachód. Zbliżał się wieczór, gdy moi wybawiciele zatrzymali się nagle i zaczęli gestykulować, coś pokazywać, wyjaśniać podnieconymi głosami. W dali, na tle gasnącego dnia i żółtych piasków, pojawiły się ciemne, poruszające się plamy. Była to karawana.

Karawana. Cóż to za niesamowite widowisko! Kilkaset wielbłądów i kilkudziesięciu ludzi, bagaże, namioty... Akurat stawali na nocleg. Podjechaliśmy do najbardziej okazałego z namiotów. Zatrzymaliśmy się przed nim. Moi towarzysze podróży zsiadli z wielbłądów i szybko przebrali się w pasiaste, niebieskie, otwarte po bokach, długie i szerokie tuniki,

które nazywali gandurami. Okryli ściśle twarze, tak że widać było jedynie czubki głów. Domyśliłem się, że pewnie się tak stroją, bo w tym okazałym namiocie mieszka jakaś ważna osoba. I tak było! Ale... posłuchajcie! Nie uwierzycie! Z namiotu wyszła młoda i ładna... niewiasta! Okazało się, że to ona prowadzi karawanę! Jakże żałowałem, że nie ma ze mną Nowickiego. Ty zawsze, Tadku, podobałeś się kobietom. Może by nas dzięki tobie wypuścili?

Tymczasem zaczęła się ceremonia powitania. Nie przesadzę, jeśli powiem, że trwała dobrą godzinę. Zauważyłem też, że niektóre zdania powtarzano kilkakrotnie. Później miałem się dowiedzieć, że wymianę uprzejmości i informacji powtarza się dziesięć razy. Ponieważ wiedziałem, ojczy, że zbierasz ciekawostki z życia różnych ludów, starałem się dotrzeć do treści powitania. Otóż, brzmiało ono mniej więcej tak:

- Witaj - rozpoczęli moi znajomi.
- Witajcie! - odrzekła kobieta.
- Pozdrawiamy cię.
- I wam pozdrowienia!
- Jak przebiega podróż?
- Dobrze! A jak wam się wiedzie?
- Wszystko w porządku! Jak się mają ludzie?
- Z łaski Allacha wszyscy zdrowi.
- A więc Jemu dzięki! - odpowiedzieli. - A czy wielbłądy dają dużo mleka? - kontynuowali z grzecznym zainteresowaniem.
- O wiele za mało!
- Palmy dobrze obrodziły?
- Wystarczy! Gdzie ostatnio padał deszcz? - To akurat uznałem za najważniejsze na pustyni pytanie.
- Nie słyszeliśmy. Wszędzie susza - odpowiedzieli.

I tak w kółko kilka razy. Pod koniec powitalnej rozmowy rzekli do niej:

- Oby Allah przedłużył twe życie.
- A wam niech da błogosławieństwo w dzieciach.
- Niech nam Allah drogę rozjaśni - zakończyli tę osobliwą ceremonię.

Czułem się jak Turek na kazaniu w kościele. W końcu kobieta spojrzała na mnie. Mierzyła mnie wzrokiem uważnie, od stóp do głów. I ja nie spuszczałem z niej oczu. I tak gapiliśmy się dość długo... Potem przerwała milczenie i zaczęła mówić. Znowu w jej wypowiedzi powtarzało się słowo "marabut". Oczywiście niczego nie rozumiałem. Przywołała jakiegoś młodzieńca, który znał dobrze, ale jak się okazało, język francuski.

Zabrał mnie do swego namiotu, przed którym płonęło maleńkie, pełne żaru ognisko. Parzył nad nim herbatę.

Muszę przyznać, że się zniecierpliwilem. Musiałem bowiem uczestniczyć w następnej ceremonii. Jak on celebrował przygotowanie tej herbaty! Siedziałem, podobnie jak jego herbata, niczym na rozżarzonych węglach. Tymczasem mężczyzna przelewał napar kilkadziesiąt razy z kubka do kubka. Łał z dużej wysokości, a mimo to nie uronił ani kropli. I milczał... Zdenerwowany, próbowałem mu przerwać, ale zapatrzony w herbatę, nie zwracał na mnie uwagi. Długo trwało, zanim uznał, iż wywar jest gotowy. Rozlał go do dwu kubków, odsłonił swoją błękitną twarz i poczęstował mnie.

To było strasznie mocne! Nie przesadzę, jeśli powiem, że zwykła herbata zakręciła mi w głowie. Na szczęście wypilem tę herbatę. Odmowa, jak się później dowiedziałem, byłaby śmiertelną obrazą. Wyjaśniono mi też potem, że z tej pierwszej, najmocniejszej części można zrezygnować. Kobiety bowiem i dzieci piją dopiero po drugim lub trzecim zaparzeniu. No cóż, wolałem jednak, by nie zaliczali mnie do bab, jak ty byś powiedział, Tadku. Po tej próbie uznali mnie za prawdziwego mężczyznę. Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po wielu, wielu dniach podróży od Ugzana, bo takie imię nosił mój opiekun. Dowiedziałem się też w czyich rękach jestem i kto to jest "marabut"...

### *Przewodnik*

Któregoś dnia tuż przed świtem i wyruszeniem w dalszą drogę znalazłem się w pobliżu czoła karawany. Panował jeszcze nocny chłód, ale było jasno. Ujrzałem tych, którzy nas prowadzili. Było ich czterech. Trójka młodszych ze szczególnym szacunkiem odnosiła się do najstarszego.

Jak widzicie, powoli pozyskiwałem zaufanie moich towarzyszy podróży i cieszyłem się dość sporą swobodą. Miałem nawet "własnego" wielbłąda. Był to młody dromader kawaleryjski, zwany mehari. Mówili mi, że potrafi przebiec bez wody przeszło tysiąc kilometrów, więc o połowę więcej niż zwykły wielbłąd. Ale po takiej wędrówce, w ciągu dziesięciu minut może pochłonąć więcej niż sto litrów wody!

Jak już mówiłem, podjechałem bliżej czoła, by przyjrzeć się ceremonii ruszania karawany w drogę. Najstarszy z przewodników siedział na swym jednogarbnym wierzchowcu, pozostali stali wokół niego. Puścił on wodze i obracał zwierzę w różne strony, kierując kolanami. Badał chyba kierunek leciutkiego podmuchu. Kręcił przy tym głową, to pochylając ją nisko, to podnosząc wysoko. Nieruchomiał co chwila wraz ze zwierzęciem, jakby nasłuchując, i głęboko wciągał wtedy powietrze...

Wreszcie wskazał kierunek i ruszyliśmy.

Po chwili jeden z młodszych przewodników zaintonował pieśń. Refren powtarzali chyba wszyscy. Monotonny, dostosowany do kroku wielbłądów śpiew urzekł mnie. Znowu przypomniiał mi się, ojczyzna, dziecienny dom i pieśni, które przed snem śpiewała mi mama. Tak było bezpiecznie wtedy zasypiać! Ciebie często wieczorami nie było w domu, boś zajęty był patriotyczną robotą. Gdy o ciebie pytałem, mama odpowiadała mi zawsze, że są ważniejsze sprawy, niż ja i ona, niż dom rodzinny. A także, że kiedyś sam poznam te

sprawy i będę z siebie dumny.

Później, kiedy już potrafiłem się jako tako porozumieć z moim opiekunem po francusku, zapytałem o treść tej pieśni. Po wielu próbach wyjaśniania zaczynałem rozumieć. Była to właściwie rozmowa między oczekującą swego ukochanego dziewczyną a podążającym do niej przez pustynię oblubieńcem. Czekająca dziewczyna powtarzała refren: "A gdzieżeś jest, mój ty umiłowany wielbłądzie". Kobiety z tego plemienia takim bowiem, najczulszym z komplementów, obdarzają swych wybrańców.

Bo nie wiem czy już o tym wspominałem, ale przynajmniej pod jednym względem panuje tam matriarchat. To znaczy, kobieta wybiera sobie męża, nie zaś odwrotnie. Mężczyźni, podobnie jak u Arabów kobiety, chodzą z przysłoniętymi twarzami. Oj, Tadku, widzę przerażenie na twoim obliczu. Nie martw się jednak. Moi towarzysze nie byli bynajmniej pantoflarzami! To prawdziwi, dzielni mężczyźni! Przekonałem się o tym na własne oczy...

Ale wracajmy do pieśni. Drugi z jej refrenów to słowa pędzącego przez bezkres pustyni oblubieńca. Śpiewał on: "Daj mi wielbłąda, siodło i namiot, a będę szczęśliwy". Pieśń była długa, bo narzeczony zablądził na pustyni. Miał jedynie nieco wody i trzy daktyle, zwane przez miejscowych "chlebem pustyni". Jeden daktyl może służyć za pożywienie przez trzy dni. Pierwszego dnia koczownik zjada skórkę, drugiego - miąższ, trzeciego zaś kruszy pestkę i popija ją wodą. Do tragedii oczywiście nie doszło, po wielu perypetiach para zakochanych spotkała się wreszcie i obok swej chaty posadziła pestkę ostatniego daktyla, by wyrosła z niej wspaniała palma, świadek ich szczęścia.

Pieśń trwała... Jechałem tuż za przewodnikami karawany, uważnie obserwując zachowanie najstarszego. Co jakiś czas przystawał na moment, podawano mu garść piasku, który wąchał! Gdy zaś wjechaliśmy na hamadę, uważnie badał kształt czy wielkość kamyków, po czym wskazywał dalszą drogę. Wydawało się, że w rozpoznaniu właściwego kierunku pomaga mu zwłaszcza dotyk, węch i smak, nie zaś wzrok! Zdumiało mnie to do tego stopnia, że zacząłem go bardzo pilnie obserwować. Podjechałem najbliżej, jak się dało. Starłem się przyjrzeć jego starczej twarzy. Wydawało mi się, że prowadzi karawanę, mając zamknięte oczy.

Kiedy stanęliśmy na południowy odpoczynek, przyjrzałem się jeszcze uważniej. Kochani! Nie uwierzycie, ale to święta prawda! Przewodnik był niewidomy! Ślepy! I rzeczywiście rozpoznawał drogę po zapachu piasku, podmuchu wiatru, pozycji słońca w różnych porach dnia i kształcie kamyczków. Nie mogłem uwierzyć! Na którymś z kolejnych postojów wyjął z zanadru woreczek i rozsypał dziesiątki niewielkich kamieni. Brał je do ręki, obmacywał, wąchał, ba, niektóre smakował i określał obszar Sahary, z którego pochodzą. A ja wziąłem patyk i rysowałem te miejsca na piasku. Czy jeszcze pamiętasz ojciec naszą ulubioną grę? Wynajdywanie na mapach w atlasie różnych geograficznych nazw? Teraz bardzo mi się to przydało! Przystudiowałem przecież przed wyjazdem arabskie określenia różnych miejsc w Egipcie i na Saharze.

Wprowadziłem tym pustynnych przewodników w nieklamany zachwyt. I znów usłyszałem: "marabut". Przyznam, że miałem już tego dosyć...

Tak czy inaczej wciąż jednak nie była to jeszcze najbardziej niewiarygodna z przygód, które przeżyłem, podczas mojej długiej wędrówki.

### *O skorpionach i Tuaregach*

Kończył się kolejny dzień i rozkładaliśmy się na nocleg. Leżałem na piasku, a mój opiekun kończył obrzęd parzenia herbaty. Spokojnie płonęło ognisko i wtedy właśnie zaczęliśmy rozmawiać. Rozumieliśmy się bowiem coraz lepiej. Dowiedziałem się, że jestem w rękach Tuaregów[204], koczujących górali z północy.

“Mój” Tuareg, o dźwięcznym imieniu Ugzan, parzył więc swój napar, a mniej szlachetne czynności pełnił jego służący, którego nazywał harratinem. Początkowo myślałem, że to imię. Później okazało się, że Tuaregowie, podobnie jak Hindusi, dzielą się na kasty. Ugzan należał do najwyższej: był hodowcą wielbłądów. Niższą warstwę stanowili owi harratinowie, najniżej zaś stali czarni niewolnicy.

Odpoczywaliśmy pod skałą. Ugzan ściągnął właśnie tagelmust, czyli czarny zawój zakrywający twarz i głowę. Nie wiem czy już opowiadałem, że Tuaregowie, a właściwie tylko hodowcy wielbłądów i wojownicy, nosili długie, powłóczyste, czarno-błękitne lub białe szaty. Zakrywali też twarze, zaś ich kobiety nie czyniły tego nigdy... Przedziwne są ludzkie obyczaje i tradycje, prawda?

Pod zawojem twarz Ugzana była błękitna! Wiem, że bardzo was to intryguje, zresztą tak samo jak intrygowało mnie. Uśmiechasz się, Tadku, niedowierzająco... Jednak naprawdę, ich twarze były błękitne! Przynajmniej tak długo dopóki ich nie umyli! Okazało się wtedy, że mają jasną karnację skóry. Do dziś nie wiem, jak uzyskiwali ten niesamowity błękitny odcień. Przypuszczam jednak, że od barwnika, którym nasycają tkaninę zawojów i ubiorów[205].

Tak więc leżeliśmy wtedy na piasku i porozumiewali się po trosze na migi, po trosze za pomocą pojedynczych słów francuskich. Ugzan opowiadał o swoich. Jeżeli nie rozumiałem, powtarzał wiele razy, pokazywał na migi. Tak mijały minuty. Nagle wydało mi się, że poza zasięgiem blasku ogniska coś wpełza spod pobliskiej skały. Najpierw myślałem, że mi się przywidziało. Ale nie!

Z piachu wygrzebywał się potwornych rozmiarów skorpion[206]. Wiem, że zwykle ruszają one na łowy wieczorem. Ten trzymał swój groźny ogon wygięty łukowato do przodu, a więc wyraźnie atakował! Ruszył w kierunku Uzgana. Nie przypuszczacie nawet, jakie to szybkie stworzenie! Nie było czasu do namysłu. Skoczyłem w kierunku Tuarega i obcasem buta wdeptałem skorpiona w piach. Skorpion zdążył jeszcze uderzyć kolcem umieszczonym na końcu ogona w mój but. Nogę na szczęście chroniła cholewa z solidnej skóry. Gdybym zdjął wówczas buty, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą. Jad skorpiona bywa bowiem bardzo trujący.

Ugzan zerwał się przerażony. Wziął moją reakcję za atak, ale gdy popatrzył z bliska, zbladł. Potem spojrzał na mnie z podziwem, pokręcił głową i znowu rzekł:

- Marabut! O! Marabut!!!



Od tej chwili nasze kontakty stały się o wiele bliższe i żywsze. Nawet dogadać się było łatwiej. A mnie wciąż nurtowało jedno tylko pytanie: za kogo oni mnie biorą? Czemu nazywają mnie marabutem?

Pokazałem na siebie, mówiąc:

- Marabut? Marabut? - i rozłożyłem ręce. Milczał.

Potem piliśmy herbatę, pojadali daktyle... I wreszcie coś pękło. Ugzan zaczął mówić.

Najpierw o karawanie.

Narysował na piasku wschodzące i zachodzące słońce, by w ten sposób określić kierunki na swej mapie. Potem postawił punkt, który nazwał Ahaggar[207]. Zrozumiałem, że chodzi o jego rodzinne strony.

- Tuareg - Ahaggar - powtarzał, pokazując na siebie i na punkt naniesiony na piaskową mapę. Później począł szkicować marszrutę ich karawany. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego wybrali taką okrężną drogę. W każdym razie z rodzinnych gór ruszyli na wschód i przez Ghak oraz Mursuk dotarli do oazy Siwa, by później zmienić kierunek na południowy i przez Farafra i Dachel dojść do oazy Charge, gdzie wkroczyli na jeden z najbardziej znanych pustynnych szlaków[208].

Widzę, Tadku, że zaczynam cię tak nudzić tymi nazwami, jak niegdyś Sally opowiadaniem o egipskich zabytkach. Wiem, że najlepiej byłoby pokazywać to wszystko na mapie, ale pozwólcie mi się pochwalić! Wszystkie te nazwy nie były mi obce, dzięki twoim, ojcie, egzaminom z geografii. Mogłem nawet uzupełniać relację “mojego” Tuarega, co go tak zdumiało, że znowu powtórzył, patrząc na mnie w zadumie, kilka razy:

- Marabut! Ho! Ho! Marabut! Odczułem, że rośnie mój autorytet...

*Marabut*

Zacieśniała się także moja przyjaźń z Ugzanem. Spróbowałem więc ponowić prośbę o uwolnienie. Chciałem, by mnie zostawili w którejś z oaz. Przecież mijaliśmy ich sporo po drodze. Mnie nie pozwolono jednak wjechać do żadnej. Zostawałem w rozbitym w pobliżu obozie i byłem strzeżony tak pilnie, że nawet nie próbowałem ucieczki. Zażądałem rozmowy z ową kobietą, szefem karawany. Wciąż zresztą dziwiłem się, dlaczego właśnie ona pełniła tę funkcję. Ugzan wyjaśnił to bardzo prosto. Była żoną przywódcy ich klanu, zwanego amenokai, który zmarł w pobliżu oazy Siwa. Dlaczego jednak ona, a nie żaden z mężczyzn, do dziś nie rozumiem.

Rozmowa nic nie pomogła. Kobieta wysłuchiwała mnie uważnie, a potem odmówiła mi, powtarzając owo sakramentalne słowo:

- Marabut!

Miałem tego doprawdy dość! Uprowadzono mnie w nieznane, z dnia na dzień posuwałem się na południe, w głąb Afryki, na dodatek nie wiadomo, w jakim celu. Zacząłem bez przerwy zadawać Ugzanowi wciąż to samo pytanie.

- Marabut - mówiłem - ptak. Marabut, ja - wskazywałem na siebie i dodawałem - dlaczego!?

Widzę, Janie, że się uśmiechasz. Domyśliłeś się, o co chodzi. Dziękuję, że znając odpowiedź, nie przerwałeś mojej opowieści. Teraz i ja wiem, że niegdyś taką nazwę nadawano w islamie wojownikowi poległemu w świętej wojnie. Dziś muzułmanie przyznają tę godność ascetom, wędrującym mnichom lub pustelnikom. No, Tadku, nie śmiej się! I dla mnie dziś też jest to zabawne, ale wtedy? Cóż bowiem wspólnego mogłem mieć z ptakiem albo z muzułmańskim zakonikiem? Pytałem więc ciągle Ugzana:

- Dlaczego? Dlaczego właśnie ja?!

Odpowiedź była bardzo prosta. Otóż od kilku lat w rodzinnych stronach Tuaregów mieszka dziwny Europejczyk, zwany przez nich "marabutem". Nie mam pojęcia, kim jest, oprócz tego, że wiem, iż czyni wiele dobrego. Ulepił sobie dom z suchego błota i trzciny. Mieszka w nim, przyjmuje wielu ludzi, czasem nawet leczy. Dzieli się tym, co ma i jest pobożny. Ugzan podkreślił też, że "marabut" ułatwia kontakty z "dzikimi poganami", jak Tuaregowie nazywają Francuzów i wszystkich Europejczyków[209]. Zauważyłem w opisie owego człowieka, który mieszka wśród Tuaregów, wiele zabobonnego niemal zachwytu, lęku i ciekawości.

- No dobrze - powiedziałem do Ugzana. - Dlaczego więc mnie także nazywacie marabutem?

No i wytłumaczył mi! Otóż ów francuski "marabut" mieszka wśród Tuaregów, ale sąsiedniego plemienia. "Moi" także marzyli, by mieć swojego "marabuta". Kiedy znaleźli mnie na pustyni, uznali to za dar niebios. Ponadto jestem ponoć do tamtego podobny.

No, no, dobrze wam się śmiać! Jeżeli zostałem honorowym członkiem plemienia Apaczów, to czemu u licha nie mieliby mnie przyjąć Tuaregowie?

### *Walka rozbójników*

I tak z konieczności stawałem się powoli człowiekiem pustyni. Nabierałem obyczajów Tuaregów. Jak oni zacząłem nosić na twarzy zawój, tak dobrze chroniący przed pyłem i żarem. Dotarliśmy, jak się zorientowałem, w okolice oazy Selima, gdzieś na wysokości między drugą a trzecią kataraktą Nilu. Przewodnik raz po raz wciągał powietrze, a Ugzan twierdził, że czuć zapach wody. Nawet zwierzęta jakby przyspieszyły tempo. Zauważyłem również, że od kilku dni Tuaregowie stali się ostrożniejsi. Przodem wysyłali kogoś na zwiady, nosili w pogotowiu broń, gęściej rozstawiali nocne straże.

Był poranek, typowy na pustyni. Nad naszymi głowami przeleciało właśnie stado stepówek. Podobne do gołębi, mignęły brązowo-czarno-żółtymi końcami piór, a mnie załała wprost tęsknota. Przypomniały mi się warszawskie gołębie i ich hodowcy, moi koledzy ze szkoły. Stepówki przemknęły nad nami w kierunku Nilu, a ja zdziwiłem się nieco, że nikt do nich nie strzelił. Ich smaczne mięso urozmaiciłoby przecież jednostajną, daktylowo-mleczną dietę.

To, co wydarzyło się później, trwało szybciej chyba niż moje opowiadanie. Zanim

wzeszło słońce, było po wszystkim... Karawana Tuaregów chyba przestała istnieć...

Oto na wysokiej wydmy przed nami ukazała się postać na dromaderze, odziana w piękne szaty. Jak się później okazało, była to kobieta. Doszedł mnie jej przeraźliwy, wibrujący, powtórzony kilkakrotnie okrzyk:

- Lilli-lilli-lu!

Zanim jeszcze zdołałem się dokładnie rozejrzeć, pojawiły się tumany pyłu i kurzu wzniecone przez szarżujących konno wojowników. W dzikim szale i pędzie byli przerażający. Coś krzyczeli. Myślałem, że to okrzyk bojowy, ale ze zdumieniem zrozumiałem, że szyderczo nas pozdrawiają, wrzeszcząc:

- *Salem alejkum* - a to przecież znaczy "pokój z wami". Chyba że chodziło im o pokój śmierci.

Nie zastanawiałem się nad tym, bo zostałem zaatakowany. Z pyłu wyłonił się jeździec, dosiadający jakiegoś potężnego ogiera. Szarżował wprost na mnie. Jakim cudem uniknąłem rzuconej z ogromną siłą lancy, nie mam pojęcia. Zareagowałem raczej instynktownie na sam zamach jego ramienia. Dzida wbiła się w piach tuż za mną. Chwyciłem ją, by się jakoś uzbroić i kątem oka zauważyłem, że przeciwnik ciska we mnie drugą. I tej zdołałem uniknąć. Wyrwaną z ziemi lancą zasłoniłem się przed ciosem pałasza, zadany z taką siłą, że zdrętwiały mi ręce. Co było dalej? Nie pamiętam dokładnie, sam nie wiem... Ale uratowałem się chyba dzięki sprawności fizycznej i surowemu trybowi życia, jaki od lat prowadzę...

Najpierw jednak, opowiem o czymś, co może was i rozśmieszy. Wykonałem jakiś przedziwny skok i utkwił mi w głowie jeden tylko szczegół. To było jak jakiś błysk, który pozostał w pamięci. W ułamku sekundy zobaczyłem strzemię. Dlaczego to takie dziwne? Dlatego, że nie spoczywała w nim stopa, a jedynie duży palec u stopy jeźdźca. Widzę, że coś wam to przypomina. Mnie tylko śmieszy, że pamiętam tak drobny szczegół.

W jaki sposób schwyciłem mojego przeciwnika w tym moim skoku, nie wiem. W każdym razie obaj znaleźliśmy się na piasku, w pyle i kurzu. On wylądował na plecach, ja, szczęśliwie, na nim. Chwyciłem go za gardło, by zdusić i obezwładnić. Przeciwnik wyraźnie słabł i zwycięstwo było bliskie, gdy poczułem nagle ból w skroni i straciłem przytomność...

Po pewnym czasie podniosłem głowę i pomyślałem, że jestem w raj. Zniknęła pustynia. Szumiała woda rzeki, a tutaj mógł to być tylko Nil. Wzdłuż brzegu rozciągały się żyzne pola uprawne i gaje. Urządzenia nawadniające pracowały, obficie niosąc życiodajny płyn.

Nad pełnymi zieleni wyspami wrzeszczały rozmaite ptaki. Znowu zobaczyłem stepówki. Nadleciały stadem nad rzekę i pikując w dół, nurkowały. Weszło mknęły, popychane wiatrem, feluki. Przy brzegu pasły się wielbłądy i konie.

Gdzieś czytałem czy słyszałem, że jeśli obok siebie spotyka się jeźdźców na koniach i wielbłądach, to widomy znak tego, że jesteśmy w okolicach środkowego Nilu, piątej katarakty i Berberu. Tak też było!

Z zachwytem patrzyłem na ten raj. Ale zachwyt trwał tylko chwilę. Poczulem dotkliwy ból, a gdy chciałem ustalić, w którym miejscu mam guza, okazało się, że ręce mam związane. Wokół siedzieli jacyś czarni ludzie... Kim byli? Okazało się, że to sudańskie plemię Asz Sza'ikija - rozbójnicy pustyni.

Byłem więc jeńcem wojennym i łupem zdobytym w czasie napaści na karawanę Tuaregów. Co się z nimi stało, co stało się z zaprzyjaźnionym Ugzanem, nie wiem... Moim nowym zdobywcą próbowałem tłumaczyć, że jestem ważną osobistością. Rozumieli mnie doskonale, bo co najmniej kilku z nich dobrze mówiło po angielsku. Niezbyt jednak wierzyli moim zapewnieniom. Nazajutrz wywieźli mnie w głąb Pustyni Nubijskiej.

### *Propozycja*

Cały czas byłem dyskretnie pilnowany. Co ze mną zamierzali zrobić Sza'ikijczycy? Powiedzieli, że sprawdzą moją relację. Zbyt mi jednak nie ufali. Jeżeli bowiem mówiłem prawdę, to mogłem zaświadczyć o ich barbarzyńskim napadzie na Tuaregów. Jeśli kłamałem, to byłem po prostu kimś, kto z nimi walczył.

Czekając, obserwowałem więc ich codzienne życie i robiłem notatki. Dzieci zbierały na pustyni osty, cięły je i mieszały z bydlęcym nawozem, susząc na słońcu. Tak uformowane kawałki służyły potem za opał. Starsi czyścili wełnę i mieszając ją z włóknami palmowymi, szyli różne ubiory. Kobiety zajmowały się wyrabianiem produktów mlecznych, między innymi smakowitych serów.

Któregoś wieczora, przed jakimś świętem czy zawodami, połączonymi z targiem, zewsząd zaczęli zjeżdżać goście. Miałem nadzieję, że uda mi się zapłatać i uciec. Ale i tym razem nic z tego nie wyszło. Dlaczego? Zaraz o tym opowiem.

Wyszedłem na górujące nad okolicą wzgórze. Była przedwieczorna cisza i bezruch. Zza jakiegoś krzaka wyskoczył nagle zając. Wypłoszyli go szakal, który ruszył za nim w pogoń, ale szybko zrezygnował i zawrócił. Niespodziewanie w dali pojawił się obłok kurzu, z którego po pewnym czasie poczęły wyłaniać się postacie dwóch jeźdźców.

“Jeszcze jacyś spóźnieni goście” - pomyślałem. Powoli zbliżali się do mnie. Obserwowałem ich cały czas, gdy moją uwagę zwrócił znów ruch w pobliżu. Szarak, przepłoszony przez szakala, zatoczywszy koło, wracał ostrożnie do swej kryjówki. Na to tylko czekał zaczajony wróg. Kilka szybkich susów i dokonał się jeszcze jeden dramat pustyni.

W międzyczasie jeźdźcy znacznie się zbliżyli. Jeden zauważył mnie i pokazał drugiemu, po czym zaczęli wspinać się na wzgórze. Stałem z odkrytą głową, czekając aż podjadą. Twarze mieli ukryte pod zawojami, ale oczy obu wydały mi się znajome. Kiedy mnie zobaczyli, spojrzeli po sobie.

- Witajcie - powiedziałem po angielsku i zaraz dodałem: - *Salem alejkum*.

Nie odpowiedzieli. Gwałtownie pognali wielbłądy i na łeb na szyję popędzili w dół. Zdziwiony ruszyłem ich śladem.

W osadzie panowało ogromne poruszenie. Okazało się, że przybył “człowiek z Północy”, uważany tu za ważną osobistość. Nie mogłem spać tej nocy. Nie mogłem sobie przypomnieć skąd mogę znać oczy tamtych ludzi!

Nazajutrz przydzielono mi strażników. Krok w krok chodziło za mną dwu młodych, uzbrojonych ludzi...

... Nie wiem, czy słyszeliście, że o ośle mówi się tutaj, że ma “południe w gardle”. Ryczy właśnie dokładnie o dwunastej! Ponieważ jest to jednocześnie znak południowej modlitwy mahometan, nazywają oni osła “panem muezzinem”. Tego dnia zaraz po modlitwie rozpoczęły się zabawy. Plac otoczyli ludzie. Pojawili się muzykanci z piszczałkami i bębenkami. W środku stanęli odświętnie ubrani jeźdźcy. Gwar na chwilę umilkł, gdy na plac wkroczyła starszyzna i najdostojniejsi z gości. Byli wśród nich dwaj ludzie, jak się okazało, doskonale mi znani: Harry’ego, mistrza w posługiwaniu się korbaczem, znałem aż za dobrze ze statku; co do drugiego, przez chwilę miałem wątpliwości, ale skojarzyłem oczy z twarzą, która tak bardzo wryła mi się w pamięć na pustyni. To był ten człowiek, który mienił się władcą Doliny. Tu go nazywano “człowiekiem z Północy”. Podszedł ku mnie i spojrzał z góry.

Powoli podniosłem głowę i uśmiechając się, powiedziałem:

- Spotykamy się jednak... Czy i tym razem po raz ostatni? Milczał. Z nieruchomego oblicza trudno było cokolwiek wyczytać. Zagrała muzyka i rozpoczęły się popisy. Konie, sprawnie kierowane przez jeźdźców, tańczyły w zmiennym rytmie. Poruszały się wolniej, szybciej, to naprzód, to w tył, to w bok... Stawały na tylnych nogach, krążyły w miejscu... Cóż to było za widowisko! Musiałem jednak pamiętać o mojej niebezpiecznej sytuacji. Musiałem chwycić się jakiegoś desperackiego pomysłu. W kieszeniach miałem nieco zaoszczędzonych daktyli I spory bukłak z wodą. Nil nie był daleko, wystarczyło jechać na zachód...

Konkurs wkrótce się skończył. Rozpoczęto targ. Widzowie wybrali konia - zwycięzcę. Jego cena natychmiast wzrosła. Niektórzy już rozpoczęli licytację, gdy na arenie pojawił się jeszcze jeden wierzchowiec. Był to prześliczny dongolański ogier, bardzo jeszcze młody i dziki. Wyraźnie wystraszony na widok tyłu ludzi i chyba jeszcze nie ujeżdżony. Czyżby szykowano kolejny pokaz?

Okazało się, że tak. Jakiś młody Sza’ikijczyk miał przekonać konia, że wygodniej mu będzie z ciężarem na grzbiecie... Z trudem założono wierzchowcowi siodło i uzdę. Rozwiązano spętane przednie kończyny. Był gotów do walki. Nieco z boku do tej samej walki przygotowywał się młodzieniec. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl. Podszedłem do starszyzny:

- *Salem alejkum* - zacząłem.

- *Alejkum* - odpowiedzieli nieufnie.

- W moim kraju - rzekłem - uchodzę za znawcę koni. Pozwólcie mi spróbować zmierzyć się z tym.

Roześmiali się.

W tym momencie włączył się ich honorowy gość, “człowiek z Północy”. Nie powiedział ani słowa. Wykonał jedynie lekki gest ręką i głową. Mogłem wsiąść na konia. Najwięcej trudności miałem ze strzemionami. Musiałem ściągnąć buty, bo w każdym ze strzemion mieścił się jedynie duży palec stopy. Koń zadrzał pode mną. Mocniej chwyciłem cugle... Nie będę wam opisywał szczegółowo tego, co dobrze znacie. W każdym razie, w jakimś momencie ogier zdecydował się na galop. I o to mi właśnie chodziło. Udało mi się go skierować na zachód. Ruszył! Kątem oka zauważyłem jednak, że “faraon” nie dał się oszukać. Niemal natychmiast popędziło za mną kilkunastu znakomitych jeźdźców.

Nie chciałem zajeździć konia. Zawróciłem wraz z asystą do osady. Na placu zeskoczyłem z konia i nogi ugięły się pode mną. Usiadłem na piasku i założyłem sfatygowane buty. Odpoczywałem, gdy podszedł do mnie naczelnik osady:

- Pan chce z tobą rozmawiać - rzekł niepewnie.

- Kto? - zdziwiłem się.

- Pan - powtórzył i dodał wyjaśniająco: - “Człowiek z Północy”.

- To niech przyjdzie - odrzekłem.

Nie zamierzał słuchać. Skinął na strażników. Jeden z nich delikatnie pchnął mnie lancą. Nie było sensu się opierać...

Nigdy nie odgadlibyście, co stało się dalej. Oto “faraon”, wyobraźcie sobie, złożył mi propozycję. Znakomitą angielszczyzną powiedział ni to do mnie, ni do siebie:

- Komendant Wszystkich Wierzchowców Jego Majestatu. Nie zrozumiałem.

- Będiesz komendantem kawalerii faraona - powtórzył zniecierpliwiony.

Jakąż ideą był opętany ten człowiek, którego wszyscy tak się bali? Powinniście tego wysłuchać uważnie. Chciał oto stworzyć, wolne od panowania białych, państwo na wzór starożytnego Egiptu, chciał wskrzesić czasy faraonów. Tylko niektórzy z białych, wybrani, mieliby prawo pełnić ważne funkcje. Mnie przysługiwałby starożytny tytuł, odpowiadający dzisiejszemu ministerstwu spraw wojskowych. Nie miałem już wątpliwości. Był szaleńcem! Szaleńcem bardzo zdolnym, a więc bardzo niebezpiecznym!

Stanowczo odmówiłem.

- Będiesz miał wiele czasu, by się zastanowić - odparł obojętnie i już odwrócił się do Harry’ego, nakazując mu gestem, by stanął do licytacji. Towarem miał być ujeżdżony przeze mnie ogier.

Właściciel zaproponował cenę: dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

- Dam sto- odparł Harry.

- Za takiego ogiera! Młody, wytrwały, dzielny - zachwalał właściciel. - Ale dla ciebie opuszczę do dwustu dwudziestu.

– Masz tu sto dwadzieścia.

- Słowo się rzekło - rzekł właściciel. - Dwieście.

- Mówiliśmy sto pięćdziesiąt - zaproponował Harry.

- Mówiliśmy sto osiemdziesiąt!

- Słowo mężczyzny, sto sześćdziesiąt!

- Słowo mężczyzny, sto siedemdziesiąt!

- Zgoda. Sto sześćdziesiąt pięć!

- Niech będzie sto sześćdziesiąt pięć.

Opowiadam to tak dokładnie, żebyście zrozumieli, jak należy się targować z ludźmi Wschodu. Poza tym wszystko dokładnie rozumiałem, bo targowano się po angielsku, a liczby dotyczyły bardzo starego środka płatniczego, jakim są w Sudanie muszelki kauri[210]. I oczywiście, Harry zapłacił kilkoma pękami tych muszelek, a resztę banknotami.

### *Tajemnica posążka*

Wiem, wiem, że wszyscy na to czekacie! Obejrzyjmy jeszcze raz posążek. Tak, macie rację! Nie jest ze złota...

... O, nie, mylisz się, Tadku, nie jest również pusty w środku. A więc, kochana moja Sally, nie zawiera także magicznych zaklęć...

Poznałem tajemnicę tej figurki wtedy, gdy byłem już więźniem na wraku parostatku.

Nie będę wam opowiadał szczegółów mojej podróży. Doznałem wielu upokorzeń, choć “faraon” wielokrotnie ponawiał swoją propozycję. Nie mogłem jej przyjąć. Nie pozwalał mi na to mój honor i moja godność...

Ostatnia z takich rozmów toczyła się w kajucie “faraona”. Wezwał mnie tam. Gdy wszedłem, gestem wyprosił strażników i zostaliśmy sami. Siedział wyprostowany w fotelu, z taką powagą jakby to był tron i bawił się posążkiem.

- Odrzucasz wszystkie moje propozycje - powiedział z wolna. Milczałem.

- Widzisz ten posążek? - postawił go na stole. - Jest potrzebny angielskiemu bogaczowi do kompletu. Gonileś za nim ty i twoi przyjaciele...

Milczałem nadal...

Nie spodziewał się odpowiedzi.

- Żaden kraj nie ma takiej historii jak mój! I znów uczynię go wielkim! - podniósł głos, a ja po raz kolejny upewniłem się o jego szaleństwie.

- Przy mnie i ze mną możesz stać się sławny! - uśmiechnął się. - Takie jest życzenie bogów... Dlatego zdradzę ci coś, co będzie świadczyło o mojej życzliwości. Zdradzę ci tajemnicę posążka.

Tym obudził moje zainteresowanie. Tak długo byłem przecież ciekaw, podobnie jak wy, dlaczego oderwał go od złotej tacki!

- Weź go do ręki! - zachęcił mnie łaskawym gestem. To było silniejsze ode mnie. Sięgnąłem po posązek.

- Nie wydaje ci się za lekki jak na złoto? Mimowolnie skinąłem głową. Uśmiechnął się.

- Zapewne wiesz, kogo przedstawia? Zapewne myślisz, że Tutanchamona? - zawiesił głos. - Nieprawda - stwierdził spokojnie. - To ja.

Gdybym nawet chciał, nie zdołałbym czegokolwiek powiedzieć. Był szalony!

- Wiesz, przecież kim jestem! Jestem faraonem z żelaza - wstał. - Posązek położono tylko z zewnątrz, ale wykonano z żelaza.

... Widzę, Sally, że zaczynasz rozumieć! No, no, nie rób takiej miny, Tadku. Zaraz wszystko wyjaśnię!... "Faraon" tłumaczył dalej.

- Gdybyś znał historię Egiptu, wiedziałbyś, iż uważa się, że w czasach Tutanchamona nie znano żelaza. A więc... wielkie odkrycie!

Byłem poruszony. Moglibyśmy być autorami archeologicznej sensacji, moglibyśmy się stać sławni.

- Jeśli będziesz ze mną współpracował, pozwolę ci wrócić do Europy z posązką... zawiesił wyczekująco głos.

Milczałem. Jakże ogromna była pokusa! Jeśli mówi prawdę... Długo w milczeniu patrzyłem mu w oczy.

Nie, jemu nie mógłbym się sprzedać! Nie mógłbym się zaprzedać złu. Nawet za cenę wolności, pieniędzy i sławy! Nawet dla wielkiego celu! Powiedziałem:

- Nie! "Faraon" usiadł.

- Wobec tego spotkamy się na rozprawie - odrzekł spokojnie. Odtąd czekałem na śmierć. Aż tu nagle wy spadliście dosłownie z nieba!

- Ech, brachu! - przeciągle powiedział Nowicki w głębokiej ciszy. - Ale opowiadasz! Zawsze mówiłem, że powinieneś wierszyska pisać!

\*\*\*

Ostatnią noc podróży statkiem Tomasz spędził z ojcem na pokładzie. Mieli sobie wiele do powiedzenia. Obu ogarnęła tak samo silnie fala smutku i tęsknota za przeszłością, rodziną, krajem...

- O czym myślisz, ojczy? - spytał Tomasz.

- O walce... O tym, że całe moje życie jest walką. I że taki sam los zgotowałem tobie.

- Sam go wybrałem, ojczy. I wierzę, że nie na darmo. Wrócimy kiedyś razem do Polski.

- Czasem wto wątpię - smutek brzmiał w głosie Wilmowskiego.



- Ja nie wątpię nigdy!

- Ty... Może wrócisz. Jesteś jeszcze młody...

- Nie mów tak. Wrócimy razem, ojciec. I to już niedługo.

Przed świtem dołączyli do nich Sally i Nowicki. Marynarz wskazał na blednące i różowiejące na wschodzie niebo.

- Ech! Słońce wszędzie wschodzi inaczej. Ale najpiękniej u nas, na Powiślu...

Sally zaś, uśmiechając się tajemniczo, powiedziała:

- Moi drodzy! Znowu śnił mi się Ozyrys...

- No i... - Nowicki nie pozwolił jej dokończyć i aż się wstrząsnął na samo wspomnienie snu o Ozyrysie.

- No i nic! - żartobliwie przekomarzała się z nim Sally. - Uśmiechał się po prostu.

W rozmowę niespodziewanie włączył się Smuga, który paląc swą fajkę, przysłuchiwał im się już od dłuższej chwili.

- A nie przyszło wam do głowy... - zaczął z namysłem i przerwał.

- Co takiego? - zaciekawiał się Tomasz.

- Czy nie przyszło wam do głowy, że "faraon" uciekł?

Pytanie zawisło nad nimi jak miecz. Inne napłynęło najcichszym szeptem, niczym echo dawno wypowiedzianych słów:

"Czy znasz historię Egiptu? Nie chcesz ze mną mówić..."

## Przypisy

[1] Muezzin - muzułmański duchowny ogłaszający porę modlitwy z galeryjki minaretu. Szkoli specjalnie głos; przy sprzyjających warunkach atmosferycznych słycać go na odległość 3 km.

[2] Imam - przewodnik, muzułmański duchowny przy meczecie.

[3] Sałat - najogólniej modlitwa obowiązująca każdego dorosłego muzułmanina. Należy ją odmawiać pięć razy w ciągu dnia: przed świtem, wczesnym rankiem, w południe, po zachodzie słońca, wczesnym wieczorem. Sałat jest nie tylko modlitwą, ale i pewnym rytuałem; obejmuje gamę przepisowych czynności, do których należy m.in. wykonywanie odpowiednich ruchów, skłonów ciała, a także sposób wymawiania tekstów.

[4] Mowa o słynnych starożytnych grobowcach faraonów w Gizie pod Kairem: Cheopsa (Khufu), Chefrena (Khafre) i Mykerinosa (Menkaure).

[5] Bakszysz - podarek pieniężny, napiwek, rodzaj zwyczajowej jałmużny, zwłaszcza w Północnej Afryce i południowo-zachodniej Azji.

[6] Mastaba - najstarszy typ grobowca w starożytnym Egipcie. Mastaba składała się z podziemnej komory grobowej, prowadzącego do niej pionowego szybu i trapezoidalnej budowli naziemnej z suszonej cegły lub z kamienia.

[7] W 1881 r. zbuntowani oficerowie, pod dowództwem Arabiego Paszy, stojącego na czele partii narodowej, walczącej z gospodarczą i polityczną ingerencją Wielkiej Brytanii i Francji, zmusili kedywa Tomekaufika do powołania rządu narodowego. Arabi Pasza pełnił funkcję ministra wojny. Kiedy Anglicy i Francuzi zażądali rezygnacji rządu narodowego i wydalenia Arabiego Paszy do Sudanu, w Kairze wybuchło powstanie ludowe i Arabi Pasza stanął na jego czele. Podczas rozruchów w Kairze i Aleksandrii zginęło 50 Europejczyków, ciężko ranny został konsul brytyjski Cookson. 25 okrętów brytyjskich zbombardowało Aleksandrię, a motłoch splądrował i spalił znaczną część miasta. Generał Sir Garnet Wolseley rozgromił powstańców egipskich i zajął Kair. Ujęto Arabiego Paszę i skazano na karę śmierci, zamienioną później na deportację na Cejlon.

[8] Mamelucy (ar. mamluk - biały niewolnik płci męskiej) - egipska gwardia dworska i trzon egipskiej armii, która później zbuntowała się i stworzyła własną dynastię (1210-1517). Pierwotnie złożona z brańców - niewolników tureckich i kaukaskich. Po sprowadzeniu do Egiptu uczono ich konnej jazdy i rzemiosła wojennego. Wpajano im przekonanie, że należą do elitarnej kasty wojskowej oraz że małżeństwo i rodzina uniemożliwiają wykonywanie zawodu żołnierza. Sami kupowali więc dzieci i wychowywali niewolników. W Egipcie zniechęcono mameluków jako cudzoziemskich tyranów. Wytępiono ich ostatecznie lub rozproszono w 1811 r. za rządów Muhammada Alego.

[9] Uczni francuscy, którzy towarzyszyli Napoleonowi w kampanii egipskiej (1798-1799), opublikowali później wyniki swych prac i badań w 18 tomach tekstu i plansz.

[10] Dominique Vivant Denon (1747-1825) - dramaturg, aktor, dyplomata, archeolog,

późniejszy dyrektor i organizator zbiorów Luwru.

[11] Jean Francois Champollion (1790-1832) - egiptolog francuski, profesor historii w Grenoble, od 1826 r. konserwator działu sztuki egipskiej w Luwrze. Pierwszy odczytał hieroglificzne pismo egipskie.

[12] Pismo demotyczne to uproszczony język egipski.

[13] Memfis - prawdopodobnie najstarsza stolica starożytnego Egiptu, założona około 3100 lat p.n.e. Jeszcze w czasach rzymskich było sporym miastem. Upadło po powstaniu w VII wieku Al-Fustat-Kahira (Kairu). Obecnie ruiny (około 30 km na południe od Kairu). Nekropolia memficka obejmuje piramidy i grobowce w Gizie, Abusir, Abu Gurab, Sakkarze i Dahszur.

[14] Józef Sułkowski (1773-1798) - uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r. i powstania kościuszkowskiego, oficer armii francuskiej, uczestnik kampanii włoskiej i egipskiej, znawca spraw, obyczajów i stosunków Wschodu. Znał język arabski i miał przygotować słownik arabsko-francuski. Był członkiem Sekcji Ekonomii Politycznej Instytutu Egipskiego, uczestniczył w wyprawach archeologicznych. Napisał pracę "Notes sur l'expédition d'Egypte", w której obok treści wojskowych umieścił geograficzny zarys Dolnego Egiptu, charakterystykę kraju i mieszkańców.

[15] Józef Feliks Łozowski (1759-1812) - generał brygady, w Egipcie pełnił funkcję naczelnego inżyniera wojskowego i kartografa. Wyróżniał się w pracach pozawojskowych podejmowanych przez ekspedycję napoleońską.

[16] Józef Zajączek (1752-1826) - generał, poseł na Sejm Czteroletni. Aresztowany po upadku powstania kościuszkowskiego, w 1795 r. emigrował do Francji i uczestniczył w wojnach napoleońskich. W 1815 r. namiestnik Królestwa Polskiego.

[17] Przed kilkunastu laty sfinksa odrestaurowano. Mimo to jest w fatalnym stanie. Ministerstwo Kultury Egiptu w 1988 r. zwróciło się do UNESCO z prośbą o powołanie międzynarodowej komisji ekspertów, która oceniłaby stan monumentalnego sfinksa. Niedawno z lewego ramienia odpadł kamienny blok ważący około 310 kg. Zdaniem specjalistów, podobny los spotka drugie ramię z powodu nieustannego niszczycielskiego działania burz piaskowych i deszczów.

[18] Karl Hagenbeck (1844-1913) - niemiecki treser i twórca menażerii cyrkowych, założyciel przedsiębiorstwa handlu zwierzętami egzotycznymi. W 1907 r. ufundował w Stellingu koło Hamburga ogród zoologiczny, w którym wprowadził nowoczesne metody aklimatyzacji, hodowli i tresury zwierząt (zamiast klatek np. zastosował głębokie jamy i ogrodzenie).

[19] Pandit - człowiek uczony; tytuł nadawany hinduskim uczonym. Często mianem tym określano Hindusów specjalnie przez Anglików wyszkolonych i przygotowanych do prowadzenia penetracyjnych wypraw geograficznych na terenie tych krajów Azji, do których cudzoziemcy nie mieli wstępu.

[20] Feluka - niewielki, wąski i szybki żaglowiosłowiec.

[21] Abajas - rodzaj męskiego, ciepłego, wełnianego płaszcza bez kołnierza, z szerokimi rękawami; najczęściej gładki lub w pasy.

[22] Jezus czczony jest przez wyznawców Mahometa jako jeden z proroków.

[23] Bolanda (arab.) - Polska.

[24] Fellach - egipski chłop, wieśniak, rolnik.

[25] Do najwybitniejszych i najbardziej znanych archeologów zajmujących się wykopaliskami w Egipcie należą: włoski awanturnik Giovanni Belzoni (1778-1823); Niemiec Richard Carl Lepsius (1810-1884); Francuz August F.E. Mariette (1821-1881), uznawany za twórcę archeologii starożytnego Egiptu, organizator tzw. Służby Starożytności (Service des Antiquites) oraz pierwszego muzeum sztuki egipskiej w Bulak; jego następca Gaston Maspero (1846-1916), twórca przepisów prawnych, regulujących działalność ekip zagranicznych archeologów; Niemiec Ludwik Borchardt (1863-1938), odkrywca (w 1908 r.) rezydencji i miasta faraona Echnatona w el-Amarna; Anglik W. Flinders Petrie (1853-1942), twórca metody szybkich poszukiwań; Francis L. Griffith (1862-1934); Amerykanie Georg A. Reisner (1867-1950) i Herbert E. Winlock (1884-1950).

[26] Panowała w Egipcie w latach 1555-1335 p.n.e.

[27] Carter Howard (1873-1939) - archeolog angielski, w Egipcie od 1890 r. Niemal od początku związany z pracami w Dolinie Królów. Od 1907 r. współpracował z lordem Carnarvonem. 7 listopada 1922 r. odkrył grobowiec Tutanchamona, dziwnym zrzędzeniem losu nie obrabowany przez złodziei. Była to wielka sensacja archeologiczna. Do dziś jego odkrycie uchodzi za jedno z najważniejszych w historii archeologii. Także dlatego, że wiąże się z wieloma legendami, między innymi o tzw. zemście faraona.

[28] Ramzes IX, jeden z jedenastu faraonów o tym imieniu. W latach 1168-1090 p.n.e. (XX dynastia) panowali kolejno Ramzesowie: od IV do XI.

[29] Teby - miasto w Górnym Egipcie, założone w III tysiącleciu p.n.e., uchodzące za najstarsze na świecie. Nazywane przez Greków "stubrame", w odróżnieniu od "siedmiobramych" Teb w Beocji. Egipcjanie nazywali je Wyset lub Niut-Amon (Miasto Amona). Upadek znaczenia po najazdach hord asyryjskich w VII w. p.n.e.

[30] Historia autentyczna, zawarta w zbiorze dokumentów egipskich wydanych w latach 1906-1907 w Chicago, skąd mógł zaczerpnąć ją Carter.

[31] Kompania Lloyda - angielska spółka akcyjna kupców i właścicieli statków, założona w XVII wieku, prowadząca m.in. biura podróży i obsługująca linie morskie.

[32] Węzeł - mila na godzinę. Mila morska - 1852 metry.

[33] Głuptaki (*Sula bassana*) gatunek z rodziny głuptaków (*Sulidae*), jedyny występujący w Europie. Długość ciała do 92 cm, ciężar około 4 kg. Rybożerny. Żyje w pobliżu przybrzeżnych wód mórz umiarkowanych i chłodnych.

[34] Irlandia - od 1864 r. notuje się tu odrodzenie zainteresowania celtycką

przeszłością. Powoduje to ożywienie uczuć narodowych i niepodległościowych oraz związanych z tym nastrojów antybrytyjskich.

[35] Historia opowiedziana w powieści *Tomek w krainie kangurów*.

[36] Żarłacz śledziowy (*Lamna cornubica*) - najczęściej spotykany rekin powierzchniowy; czasami występuje na głębokościach poniżej 150 m. Bardzo drapieżny, żeruje zwykle w niewielkich stadach. Niekiedy atakuje podobno ludzi, zwłaszcza gdy znajduje się w gromadzie. Przeciętna długość - 1,5 do 2 m, ale są osobniki osiągające 6 m.

[37] Siedem cudów świata - w różnych opisach spotyka się różne zestawy tych "dziwów", budowli i dzieł sztuki starożytnego świata. Najstarsze zachowane katalogi znaleźć można m.in. u Kallimacha (sławnego poety aleksandryjskiego z przełomu IV i III wieku p.n.e.) oraz w epigramie Antypatra z Sydonu z II wieku p.n.e. Pierwszy z tych zestawów wymienia latarnię na Faros. W obu umieszczono: posąg Zeusa dłuta Fidiasza, "wiszące" ogrody Semiramidy w Babilonie, kolosa z Rodos, piramidy egipskie, świątynię Artemidy w Efezie, mauzoleum w Halikarnasie.

[38] Czyli około 30 km.

[39] Gra słów. W wielu językach świata nazwa wyspy stała się bowiem synonimem latarni morskiej: *phare* (fr.), *faro* (wł.), *pharos* (ang.), *faro* (hiszp.).

[40] "Pulasky Day" - Dzień Pułaskiego, obchodzony przez Polonię amerykańską w rocznicę jego śmierci 11 października.

[41] Dynastię założył po śmierci Aleksandra Wielkiego, Ptolomeusz I Soter (gr. Zbawca - 367-282 r. p.n.e.), król Egiptu od 305 r. Uczynił Aleksandrię stolicą państwa i głównym ośrodkiem kultury hellenistycznej. Dynastia panowała do 30 r. p.n.e.

[42] Muhammad Ali (1769-1849) - namiestnik Egiptu od 1805 r., z pochodzenia Albańczyk. W latach 1798-1801 dowódca wojsk tureckich. Obwołany paszą, uzyskał faktyczną niezależność, co doprowadziło do wojny z Turcją. Mimo klęski w 1841 r. zachował dziedziczną władzę. Był reformatorem kraju i rzecznikiem jego europeizacji.

[43] Tu: dozorca domu.

[44] Mowa o wyprawie opisaną w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

[45] Warto wspomnieć o polskim wkładzie w odkrywanie zabytków Aleksandrii. W latach 1960-1967 Polska Misja Archeologiczna odkopła tu najstarszy w Egipcie, pochodzący z VI wieku, przepiękny teatr z białego marmuru. Ekipą kierował profesor Kazimierz Michałowski.

[46] Mudir (ar.) - tu: dyrektor.

[47] Nargile - fajka używana przeważnie na Bliskim Wschodzie (z perskiego - nargila - orzech kokosowy, z którego pierwotnie robiono lulki do nargilów), w której dym przechodzi przez naczynie z wodą i bardzo długi, giętki cybuch.

[48] Tak powszechnie, w skrócie, wykształceni Egipcjanie nazywają Aleksandrię.

[49] Nefercheperure Amenhotep IV (1379-1362 p.n.e.), czyli “ten, który jest miły Atonowi”.

[50] Według ówczesnej pisowni Toutankhamanou. Jego imię znaczy “błogosławiony przez Amona”.

[51] Autor przypuszcza, choć może się mylić, że owym znajomym Smugi mógł być lord Georg Edward Carnarvon (1866-1923), egiptolog, patron i opiekun H. Cartera w odkryciu grobu Tutanchamona. Wyjechał on do Egiptu w 1903 r., by po wypadku samochodowym podreperować zdrowie. Tu ogarnęła go pasja archeologiczna. Od 1907 r. rozpoczął ścisłą współpracę z H. Carterem. Zmarł w kilka miesięcy po odkryciu grobowca Tutanchamona, co przyczyniło się do powstania legendy o zemście faraona.

[52] W 1902 r. koncesję na prowadzenie wykopalisk w Dolinie Królów uzyskał amerykański milioner Theodor Davis i korzystał z niej przez 12 lat. Koncesje wydawał wówczas Generalny Dyrektor Służby Starożytności w Egipcie, którym zawsze był Francuz. Davis, przekonany, że w Dolinie można już niewiele znaleźć, chętnie odstąpił swoje prawa.

[53] Teodor Davis znajdował w Dolinie Królów rozmaite drobne przedmioty z imieniem Tutanchamona. Część z nich, nie przywiązując do nich wagi, przekazał w 1909 r. Herbertowi E. Winlockowi, który przesłał je do Nowego Jorku. Dzbany, kubki, a także inne gliniane przedmioty, nosiły pieczęcie Tutanchamona i pieczęcie królewskiej metropolii w Tebach. Świadczyłyby to o tym, że grobowiec Tutanchamona z pewnością jest w Dolinie. Winlock jednak twierdzi, że dokładnie przejrzał owe zabytki dopiero w 12 lat później i podzielił się wtedy swoimi spostrzeżeniami z Carterem. Ten zaś uważa, że Winlock już od 1909 r. zdawał sobie sprawę z wagi tego znaleziska. Autor zatem sądzi, że już wtedy Winlock mógł poinformować Cartera o dowodach na to, że grobowiec Tutanchamona z całą pewnością znajduje się w Dolinie Królów.

[54] Arab. - na lewo.

[55] Wybory parlamentarne w Anglii odbyły się 20 listopada 1910 r. Autor powieści opóźnił więc nieco ich termin.

[56] Kedyw (z tur. chediw, chidiw - władca, książę), tytuł wicekróla Egiptu w latach 1867-1914, rządzącego w imieniu sułtana tureckiego. W latach 1892-1914 był nim Abbas II Hilmi Pasza (1874-1944); za próby protestu przeciw okupacji angielskiej usunięty z tronu. Ludność Egiptu mówiła o nim “nasz effendi”. W latach 1882-1914, tzw. ukryty protektorat nad Egiptem sprawowała Wielka Brytania. W czasie pobytu naszych bohaterów w Egipcie konsulem generalnym był lord Horatio Herbert Kit-chener (1850-1916).

[57] Al-Dżamalija - najchętniej zwiedzana przez turystów dzielnica Kairu. Tu znajduje się sławny bazar Chan al-Chalili. Założono ją w XI wieku.

[58] Bismallah - skrót od “Bi ismi Allahi Ar-Rahmani Ar-Rahimi” (“W imię Boga Miłosiernego, Litościwego”), słów rozpoczynających Koran. Muzułmanie rozpoczynają od nich pracę lub ważne czynności. Sentencja ta, często pięknie wykaligrafowana, zdobi ściany domów i biur.

[59] Ful - narodowa potrawa egipska, bób gotowany półgęsto z oliwą.

[60] Szatta - ostra papryka, podawana w strączkach jako przyprawa do potraw.

[61] Al-Azhar - meczet wybudowany w X wieku, w którym kalif Al-Azis założył po siedmiu latach uniwersytet. Studia na tym uniwersytecie trwają 15 lat.

[62] Kufia (albo kafia) - arabskie nakrycie głowy; kwadratowy kawał płótna złożony w pół po przekątnej, zaciśnięty na głowie dwoma krążkami sznura, zwykle z koziej sierści.

[63] Tryktrak - gra przypominająca warcaby.

[64] Babilon - nazwa pochodzi od zbuntowanych niewolników babilońskich, którzy opanowali fortecę i wymusili na władcy Egiptu wprowadzenie pewnego rodzaju samorządu. Później twierdza rzymska, obóz jednego z legionów okupujących Egipt.

[65] Historia O'Donellów opisana jest w powieści *Tomek w krainie kangurów*.

[66] Koptowie - grupa ludności chrześcijańskiej w Egipcie. Uważa się ich za potomków starożytnych Egipcjan. Zarówno w czasie pobytu bohaterów tej powieści, jak i dzisiaj stanowią około 1,5 mln ludności kraju. Po podboju Egiptu często prześladowani przez Arabów. W czasie panowania patriarchy Cyryla V (1874-1927) ugruntował się pogląd, że religia należy do Boga, ojczyzna zaś do wszystkich. Najważniejszym dla Koptów miastem jest w Egipcie Asjut.

[67] Hammar (ar.) - poganiacz osła; himer - osioł.

[68] Kościół Abu Sarge (Św. Sergiusza) wzniesiony został przez Koptów w IV wieku nad grota, w której miała przebywać Św. Rodzina. Św. Sergiusz to męczennik prawdopodobnie z III wieku. Niektórzy utożsamiają go ze św. Jerzym, który wślawił się walką z legendarnym smokiem, a potem poniósł męczeńską śmierć. Według legend obaj (Św. Sergiusz i Św. Jerzy) mieli być oficerami rzymskimi.

[69] Osłami posługiwano się w Egipcie już w latach 2494-2345 p.n.e. Świadczą o tym m.in. grobowce Sakkary koło Memfis, gdzie w jednej z mastab można oglądać scenę zbierania zboża, a między innymi zwierzętami oślicę obładowaną ogromnym workiem pszenicy.

[70] Ikonostas - w cerkwi prawosławnej ozdobiona ikonami ściana z trzema drzwiami (środkowe noszą nazwę "carskie wrota"), oddzielająca część ołtarzową od nawy dla wiernych.

[71] Osioł domowy (*Equus asinus*) z rodziny koniowatych, mniejszy i słabszy, ale bardziej wytrzymały i mniej wymagający od konia. Występuje przede wszystkim w Afryce Północnej. Dobrze znosi upały, źle zimno. Ceniony zwłaszcza jako zwierze juczne, rzadziej pociągowe i wierzchowe. W Afryce występują jeszcze dwa podgatunki osła: nubijski (nieliczne stada w Sudanie) i somalijski (w Etiopii i Somalii).

[72] Łacińskie przysłowie średniowieczne: "osioł nad osłami na wieki wieków".

[73] Por. Lb 22, 21-35. (*Księga Liczb w Biblii*, rozdział 22, wiersze 21-35).

[74] Historia opisana w powieści *Tomek ,w Grań Chaco*;

[75] Fragment *Pieśni Filaretów* Adama Mickiewicza.

[76] Z Ewangelii św. Łukasza w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka, który jako jeden z pierwszych przetłumaczył *Biblię* na język polski (I wyd. 1599 r.). Łk 14, 31-32.

[77] Prawdopodobnie chodzi o ichneumona, czyli mangustę egipską (*Herpestes ichneumori*) - drapieżnika polującego w nocy, choć czasem za dnia, na drobne kręgowce, ale atakującego również węże, nawet jadowite. Żywi się także owadami i owocami. Osiąga długość do 50 cm, ciężar ciała do 8 kg. W starożytnym Egipcie zwierzę czczone i często balsamowane.

[78] Wolski Tomasz (1710-1736) - znany awanturnik, niespokojny duch. Wiele podróżował. Walczył z Turkami jako dowódca floty papieskiej.

[79] Trynitarze -jeden z zakonów powstałych podczas wypraw krzyżowych (1096-1291), wykupujący chrześcijańskich jeńców i niewolników z rąk mahometan. Powołany przez Jana z Maty i Feliksa z Valois w 1198 r. Do Polski sprowadził trynitarzy Jan III Sobieski w 1685 r. i osadził we Lwowie, skąd trzy lata później przybyli do Warszawy i osiedli na Solcu, budując, stojący do dzisiaj, kościół Św. Trójcy.

[80] Beniowski Maurycy August (1746-1786) konfederat barski, zesłaniec syberyjski, władca Madagaskaru. Dokładniejsze o nim informacje czytelnik znajdzie w powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

[81] W powieści *Tajemnicza wyprawa Tomka* Nowicki uchodził za niemieckiego pogromcę zwierząt, noszącego nazwisko Brol. *Junkier* - tu: pruski bogaty szlachcic, obszarnik.

[82] Historia ta opowiedziana jest w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

[83] Bulak - port rzeczny w Kairze; wówczas położony o ćwierć mili od miasta.

[84] Według innej pisowni "Kandzija".

[85] Reis, tu: kapitan statku.

[86] Dżinn - według staroarabskich wierzeń, przejętych przez islam, nieuchwytna istota przybierająca różne postacie, życzliwa lub wroga człowiekowi, obdarzona niezwykłą mocą. Często występuje w baśniach.

[87] Korbacz - bicz z krótkim trzonkiem i długim, plecionym rzemieniem.

[88] Tak czyniło wielu Polaków wędrujących po obcych krajach, np. Władysław Wężyk (1816-1848), gdy był w Egipcie. Czytelnicy pamiętają zapewne, że Staś Tarkowski, bohater powieści Henryka Sienkiewicza *W pustym i w puszczy*, a także Tomek Wilmowski podczas pierwszej wizyty w Afryce (*Tomek na Czarnym Łądzie*), kazali na czele swych wypraw nieść biało-czerwony sztandar.

[89] Kafassach - pleciona trzciniowa skrzynia.



[90] Pomnik Nilu przedstawia leżącego mężczyznę otoczonego gromadą szesnaściorga dzieci (obecnie w Watykanie).

[91] Feddan - 0,42 ha.

[92] Żmija rogata (*Cerastes cerastes*) - gatunek z rodziny żmijowatych. Ma grzbiet szary albo żółtobrązowy z dużymi, ciemnobrązowymi plamami. Zamieszkuje piaszczysto--kamienne pustynie. Porusza się niezwykle szybko i zwinnie. Bardzo jadowita. Zaklinacze węży używają jej, podobnie jak kobry, do swych przedstawień.

[93] Stanowiska urzędników egipskich: mudir - gubernator, naczelnik prowincji, także dyrektor; mamur - prefekt, naczelnik departamentu; nadir - naczelnik obwodu; szejk - wójt, naczelnik gminy.

[94] Smuga wyjechał wówczas do Indii. Historia jest opowiedziana w powieści *Tomek na tropach Yeti*.

[95] Effendi (ar.) - zwrot grzecznościowy.

[96] Żurawie (*Grus grus*) - gatunek ptaków z rodziny żurawi (*Gruidae*). Tu: prawdopodobnie żuraw koroniasty (*Balearica pavonica*), licznie występujący w Afryce. Osiąga długość 105 cm, rozpiętość skrzydeł - 50 cm. Zamieszkuje teren otwarty, często na skraju bagien i jezior. Żywi się małymi zwierzętami jak żaby, małe gady, owady, czasem zjada ziarno.

[97] Pelikany (*Pelecanidae*), rodzina z rzędu pełnopłetwych. Liczy 6-8 gatunków. Długość 125-185 cm. Dobrze latają, świetnie pływają i nurkują. Żywią się rybami i skorupiakami.

[98] Tomek wymienia ptaki z rzędu drapieżnych (*Falconiformes*).

[99] Ibisy (*Threskiornithidae*) rodzina z rzędu brodzących, licząca 28 gatunków, w tym m.in. ibisa czczonego (*Threskiornis aetiopica*), którego kult związany był z faktem, że pojawiał się liczniej w okresach wzrostu poziomu wody w Nilu. Długość do 60 cm, rozpiętość skrzydeł 130 cm.

[110] Czerwonak mały (*Phoeniconaias minor*), najliczniejszy gatunek z rodziny czerwonaków czyli flamingów, powszechny w południowo-wschodniej Afryce.

[101] Bej - tytuł nadawany w Turcji wyższym urzędnikom cywilnym i wojskowym.

[102] Nil - powszechnie uważany za najdłuższą rzekę świata. Jego długość wynosi 6670 km (od źródła Victoria Nyanza w Burundii, przez Biały Nil do delty).

[103] Źródła Nilu - odkryte w 1858 r. przez Johna Speke'a w nazwanym przez niego na cześć angielskiej królowej Jeziorze Wiktorii. Dla innych prawdziwym źródłem Nilu są źródła rzeki Kagera.

[104] Damietta i Rozetta - prawe i lewe ujście Nilu do Morza Śródziemnego.

[105] Miasto żywych - administracyjne centrum państwa i kultu, w przeciwieństwie do położonego na zachodnim brzegu Nilu - Miasta Umarłych, które już od czasów IX i X

dynastii stało się nekropolią.

[106] Chamsin (samum) - gorący, południowo-wschodni, porywisty wiatr pustynny, wiejący z przerwami przez 50 dni.

[107] Portyk czy pylon to monumentalna budowla przed wejściem np. do świątyni. Westybul - przedsionek. Hypostyl - sala o wielu kolumnach. Reliefy - płaskorzeźby.

[108] Historia opisana w powieści *Tomek w krainie kangurów*.<sup>10</sup>

[109] Suk (ar.) - targ.<sup>10</sup>

[110] Bieńkowski Piotr (1865-1925) - archeolog, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, inicjator i kierownik pierwszej w Polsce Katedry Archeologii Klasycznej. W latach 1910-1913 brał udział w pracach wykopaliskowych austriackiej ekipy archeologicznej. W kwietniu 1911 r. Bieńkowski mógł przebywać na terenie Doliny Królów, ze względu na przerwę w pracach swej wyprawy. W późniejszych wyjazdach do Egiptu towarzyszyli mu inni Polacy: Karol Hadaczek (1873-1914), profesor Uniwersytetu Lwowskiego oraz Tadeusz Wałek.<sup>10</sup>

[111] Maspero Gaston (1846-1916) francuski egiptolog i archeolog. Dyrektor francuskiej misji archeologicznej i egipskiej służby konserwatorskiej w Egipcie.

[112] Kolosy Memnona - nazwę tę nadali Grecy: Memnon poległ w wojnie trojańskiej zabity przez Achillea. W rzeczywistości są to posągi Amenhotepa III (z greckiego: Amenofisa III), faraona z XVIII dynastii, panującego w latach 1417-1379 p.n.e., którego następcą był Echnaton.

[113] Deir el-Bahari, czyli Klasztor Północny - nazwa pochodzi od koptyjskich mnichów.

[114] Deir el-Medina, czyli Klasztor Południowy.

[115] Stwierdzono to z pewnością dopiero w 1948 r.

[116] Hatszepsut (1504-1482 p.n.e.). Obok jej świątyni znajdują się dwie inne: Mentuho-tepa I (XI dynastia) i Tutmesa III (XVIII dynastia). Tę ostatnią odsłoniła w latach 1961-1965 Polska Misja Archeologiczna kierowana przez profesora Kazimierza Michałowskiego, pracująca przy rekonstrukcji świątyni Hatszepsut.

[117] Dżebel (ar.) - łańcuch górski.

[118] Pierwszym faraonem pochowanym w ten sposób w Dolinie Królów był Tutmes I (1545-1515).

[119] Sabbach - kurz powstały ze sproszkowanych śmieci i naniesionego piasku. Po rodzaju tego pyłu niektórzy archeologowie (np. profesor Kazimierz Michałowski) potrafią rozróżnić, z jakiej mniej więcej epoki pochodzą wykopaliska.

[120] Sala Obu Prawd (czyli dobra i zła) w domu Ozyrysa w Krainie Zmarłych, to miejsce, gdzie według staroegipskich wierzeń, odbywał się sąd nad zmarłym faraonem.

[121] A. Stadnicki i T. Koziębrodzki (1860-1916) byli w tym czasie pracownikami poselstwa austro-węgięskiego w Kairze. Koziębrodzki od 1904 r. pełnił funkcję konsula generalnego, a potem ministra pełnomocnego.

[122] T. Smoleński (1884-1909) - jeden z pierwszych polskich egiptologów. Wyjechał do Egiptu w 1904 r., przyjęty życzliwie przez dyrektora Service des Antiquites, Gastona Maspero, odbył u niego studia i wkrótce osiągnął wybitne rezultaty. Kierował pracami wykopaliskowymi w Górnym Egipcie. Jako pierwszy z Polaków przetłumaczył na język ojczysty baśnie, wydane pod tytułem "Na dworze Cheopsa". W 1909 r. był Sekretarzem Komitetu organizacyjnego II Międzynarodowego Kongresu Archeologów Klasycznych w Kairze. W tym samym roku zmarł na suchoty w Krakowie. W testamencie pisał: "Niech nikt nie zapomina o niedoli kraju; niech, strzegąc się występku znieprawienia, spełnia wytrwale obowiązki sumienia w sprawie publicznej nauką i cnotą". Pięknę wspomnienie o nim, w formie nekrologu, napisał Gaston Maspero.

[123] Sahara ma powierzchnię ponad 8 milionów km. Długość 5100 km, a szerokość 2100 km. Jest największą pustynią świata. Serrir (serir) - pustynia piaszczysto--żwirowa. Hammada (hamada) - pustynia kamienisto-piaszczysta. Sahel - teren położony między pustynią a sawanną, czyli inaczej - półpustynia.

[124] Gurta - buklak na wodę ze skóry młodego koźlęcia. Zszyta wzdłuż linii brzucha, ma wieszak z wielbłądziego włosa, służący jednocześnie do zamykania włqiu.

[125] Uady (uadi, wadi, waadi) - z arab. suche łozyska rzek na pustyniach, które wypełniają się wodą jedynie w porze deszczowej na skutek gwałtownej ulewy.

[126] Suchorośla - rośliny pustynne, przystosowujące się do niedostatku wody. Mają np. liście o małej powierzchni utrudniającej parowanie wody i bardzo rozbudowany system korzeni. Korzenie mają czasem długość 25-30 m, a sięgają na głębokość 20-25 m.

[127] Gekkony (*Gekkonidae*) - rodzina gadów z podrzędu jaszczurek. Występuje w klimacie gorącym. Prowadzi nocny tryb życia. Osiąga długość od 5 do 30 cm (połowa z tego to ogon). Ciało pokryte miękką skórą i guzowatymi łuskami. Większość gatunków ma palce zakończone nie pazurami, a przylgami, co umożliwia chodzenie po pionowych ścianach i suficie. Żyją od 7-9 lat.

[128] Skoczek egipski (*Jaculus jaculus*), zwany bywa również skoczkiem pustynnym, zamieszkuje pustynie Afryki północnej i południowo-zachodniej Azji. Drobny ssak, gryzoń. Waży około 50-70 gramów, długość - 10 cm, z ogonem 25 cm. Wierzch ciała barwy piaskowej, ogon z białą kitą na końcu. Porusza się nocą skokami. Dzień spędza w norach. Żywi się roślinami stepowymi i nasionami.

[129] Stepówki (*Pteroclididae*) - rodzina z rzędu gołębiowatych, obejmująca szesnaście gatunków. Zamieszkują okolice pustynne i półpustynne. O świcie lub zmroku odbywają masowe przeloty do wodopoju, oddalonego nawet o 60 km. Występują głównie w Afryce i Azji.

[130] Sucha mgła - powoduje czasem tak wielkie zaciemnienie, że gazy wbiegają

między karawanę i mieszają się w niej z ludźmi i zwierzętami.

[131] Choroba, na którą zapadł Nowicki, to prawdopodobnie trachoma, czyli jaglica lub inaczej egipskie zapalenie oczu. Do dziś stanowi jedną z najczęstszych chorób w Egipcie.

[132] Powszechnie spotykane na pustyni żaby: ropuchy *Bufo regularis* i *Bufo mauritanicus*.

[133] Anch - znak życia wiecznego w mitologii egipskiej, przypominający chrześcijański znak krzyża.

[134] Opis przypomina schemat budowy grobu królewskiego z Doliny Królów.

[135] Grób Tutanchamona został odkryty przez H. Cartera dopiero w 1922 r. Okazało się, że i on był obrabowany, ale złodzieje nie dotarli do sarkofagu faraona i dlatego odkrycie stało się jedną z największych sensacji archeologicznych XX wieku.

[136] Morse Samuel Finley (1791-1872) - amerykański malarz i wynalazca. Konstruktor elektromagnetycznego telegrafu, do którego w 1840 r. stworzył alfabet, składający się z systemu kropek i kresek.

[137] Kompleks sakralnych budowli w okolicach Medinet Habu powstawał na przestrzeni tysiąca lat, od Tutmesa I (XVI wiek) aż do VII wieku p.n.e. Sama wioska została założona przez Koptów na przełomie VI i VII wieku. Na ruinach faraonских budowli wzniesiono nawet bazylikę. W VII wieku, po inwazji arabskiej, chrześcijańska ludność uciekła na południe i nigdy już tu nie powróciła.

[138] Abbuna - z arabska: ojciec, w sensie duchownego.

[139] Edfu (Idfu) - w latach 1936-1939 prowadziła tu prace wykopaliskowe polsko--francuska ekspedycja, z Kazimierzem Michalowskim na czele.

[140] Asuan, także As-suuan lub Assuan, antyczne Sy-e'ne (Suan), miasto na prawym brzegu Nilu, położone poniżej pierwszej katarakty. Popularne uzdrowisko, zwłaszcza w zimie, z nowoczesnymi hotelami.

[141] Mann Maurycy (1814-1876), dziennikarz. Był w Egipcie w 1853 r.

[142] Sękowski Józef (1810-1858), polski orientalista, profesor Uniwersytetu w Petersburgu. Podróżował po Syrii (spędził tam kilka miesięcy w klasztorze maronickim) i Egipcie (1820 r.) oraz Etiopii i Nubii (1821 r.). Wpłynął na zainteresowania Adama Mickiewicza Wschodem.

[143] Węzyk Władysław (1816-1848) - przyjaciel Cypriana K. Norwida, poeta, działacz kulturalny. Podróżował w latach 1839-1841 po Bliskim Wschodzie. Autor literackiej relacji z tej podróży, wykorzystanej zresztą w jednym z rozdziałów niniejszej powieści. Węzyk zmarł, niosąc pomoc ludności, w czasie zarazy na Górnym Śląsku.

[144] Mamur - tu: gubernator departamentu od Esne do Asuanu.

[145] W Paryżu na Placu Zgody w 1836 r., a w Nowym Jorku w 1881 r.

[146] Katarakty na Nilu - progi rzeczne, w których usytuowane są skalne przeszkody. Rzeka dzieli się tam na wiele potoków i wodospadów wciśniętych między ogromne bloki skalne. Prąd jest bardzo silny, co w zasadzie uniemożliwia żeglugę. Opisano 6 katarakt na Nilu w Egipcie właściwym - koło Asuanu; w Sudanie - obok Wadi Halfa; Nubii - poniżej Dongola; Sudanie - poniżej Meroe; Sudanie - poniżej Barber; Sudanie - poniżej Chartumu.

[147] W odległości 7 km na południe od Asuanu, na początku pierwszej katarakty, znajduje się, zbudowana w latach 1898-1902, tama o długości 2100 m i wysokości 40 m. Jej projektantem był angielski inżynier William Willcox. Spiętrza ona wody Nilu do wysokości 27 m, a utworzony w ten sposób zbiornik gromadzi około 5 miliardów m wody. Dzięki temu można nawodnić 210100 ha nieużytków. Tama została poświęcona 10 lutego 1902 r. W 1908 r. i 1912 r. podwyższano ją, co powodowało powodzie w Nubii. W latach 1960-1972 wybudowano w Asuanie inną tamę, zwaną wielką, która gromadziła 160 miliardów m wody i utworzyła sztuczne morze o długości 510 km, a szerokości od 10 do 17 km. Spowodowała ona zalanie wielu starożytnych zabytków.

[148] Nie ma Boga prócz Allacha, a Mahomet jest wysłannikiem Allacha.

[149] Abu Simbel - wysoka, pionowa skała tuż nad brzegiem Nilu w odległości 210 kilometrów na południe od Asuanu. W jej wnętrzu mieści się, wykuta w kamieniu, świątynia Ramzesa II i jego żony Nefertari (XIII wiek p.n.e.). Wejścia strzegą cztery posągi faraona w postaci siedzącej, wysokie na 20 metrów. Świątynia była tak budowana, by wschodzące słońce mogło dosięgać swym blaskiem do najdalszego, najświętszego, pomieszczenia, gdzie siedział na tronie król w otoczeniu bogów. Skała została zatopiona przez wody Jeziora Namera, sztucznego zbiornika, powstałego na skutek budowy wielkiej tamy. W wyniku międzynarodowej akcji UNESCO, świątynie zostały przeniesione na skałę wyższą o 64 metry i w ten sposób ocalone przed zatopieniem. Tą fascynującą akcją kierował m.in. polski archeolog, egiptolog i historyk sztuki Kazimierz Michałowski (1901-1981).

[150] Ryłło Maksymilian (1802-1848), misjonarz. Po wypędzeniu jezuitów z Rosji w 1820 r. duszpasterz więźniów w Rzymie. Wsławił się tam m.in. pielgrzymką 1310 więźniów, zwolnionych na przepustkę za jego poręczeniem, do tzw. św. schodów. Później pracował w Bejrucie, gdzie założył chrześcijańskie kolegium dla Azji. W 1846 r. mianowany wikariuszem apostolskim dla Afryki Centralnej, podjął wyprawę w głąb Afryki. Umarł w Chartumie i tam został pochowany.

[151] Ryłło został pochowany w ogrodzie misyjnym w Chartumie, skąd w 1910 r. zwłoki przewieziono do grobowca zakonnego na cmentarzu Matarich pod Kairem.10

[152] Derwisz - żebrzący mnich muzułmański. Anglicy nazywali tak żołnierzy Mahdiego.

[153] W źródłach podaje się od dwóch do dziesięciu tysięcy zabitych madystów.

[154] Wingate był gubernatorem Sudanu do 1916 r.

[155] Atba:a - pierwszy dopływ Nilu (prawy), jeśli patrzeć od Morza Śródziemnego, a

ostatni - od źródeł.

[156] Sahel - z arabska: skraj, brzeg.

[157] *Acacia verec* (seyal) i *Acacia ferriginea* - śluz wydzielany przez te rośliny twardnieje na słońcu, łatwo rozpuszcza się w wodzie, służy do wyrobu klejów, farb artystycznych i leków jako tzw. środek osłaniający. Zbiera się po porze deszczowej.

[158] Gazele - nazwa nadawana grupie gatunków z rodziny krętorogich, należących do antylop. Gazele różnią się od nich niewielkimi rozmiarami i budową ciała. Przystosowane są do szybkiego biegu. Addaks lub adaks (*Addaks nasomaculatus*), dorkas (*Gazeta dorcas*), oryks (*Oryx gazella*) - gatunki gazeli zamieszkujące m.in. Sudan.

[159] Linie tę utworzył lord Kitchener 27 lutego 1912 r.

[160] Tornado - powstaje na skutek zderzenia wiatru zwanego hammatan, wiejącego od północy, i monsunu wiejącego z południa. Na pograniczu obu wiatrów wywiązują się straszliwe burze, zwane tornadami.

[161] Zastąpienie charakterystycznych dla klimatu suchego, pustynnego, palm daktylowych przez baobaby oznacza zmianę klimatu na wilgotniejszy. Jest to równocześnie naturalna granica między sahelem a sawanną.

[162] Jezioro Nau (No) stanowi najbardziej na zachód wysuniętą część Nilu (podobnie jak III katarakta).

[163] Nil stał się żeglowny w tej części od 1910 r. dzięki angielskim żołnierzom i misjonarzom.

[164] Tam-tam to prawdziwy telegraf dżungli. Wydrążony pień drzewa, obciążony z obu stron małą skórą, wydaje dźwięk o takiej częstotliwości, że nie tłumią go drzewa i rośliny. W dżungli nie słychać często strzału karabinowego z odległości kilometra, a są takie tam-tamy, których głos dochodzi z kilku, a nawet kilkunastu kilometrów.

[165] Luta Nziga - w języku tubylców Jezioro Alberta. Nazwa w tłumaczeniu na język polski: "światłość, która zabija szarańczę".

[166] Bunyoro - jedno z ówczesnych królestw na terenie dzisiejszej Ugandy (pozostałe to: Buganda, która pierwsza przyjęła protektorat brytyjski oraz Toro i Ankola).

[167] Misjonarze pojawili się w tej części Afryki pod koniec pierwszej połowy XIX wieku. W Ugandzie znaleźli się najpierw anglikanie, wezwani przez Stanley'a w 1877 r., a w dwa lata później przybyli tam Ojcowie Biali (rzymscy katolicy). Wszyscy oni zostali wypędzeni w 1882 r., gdy król Mtesa, a po nim Mwanga przyjęli islam. Zakończyło się to prześladowaniami, w wyniku których dwudziestu dwóch młodych chrześcijan z Karolem Lwangą na czele, poniosło śmierć, w okresie od 26 maja 1886 r. do 27 stycznia 1887 r. Najmłodszy z nich, Kizito, miał 14 lat. Kościół rzymskokatolicki czci ich jako świętych.

[168] Według wierzeń fetysyzmu, złe duchy nosiły imiona i osadzały się w różnych częściach ciała człowieka, m.in. w jego stopach. Fetysz (z fr. - fetiche, z port. feitico - czary) - w religiach pierwotnych przedmiot obdarzony magiczną siłą, lub uważany za wcielenie

bóstwa.

[169] Termity - jest ich ponad 1100 gatunków, opisane są tylko niektóre. Ich społeczeństwo jest znakomicie zorganizowane wokół królowej, 20 do 30 razy większej od robotnic, które pełnią rolę architektów i budowniczych oraz żołnierzy, broniących termitier i zdobywających nowe tereny. Budują potężne budowle, bardzo odporne na zmiany atmosferyczne, twarde jak skały.<sup>10</sup>

[170] Metys - tu: mieszaniec arabsko-murzyński. Mulat - mieszaniec czarno-biały.

[171] W 1891 r. w Brukseli kraje europejskie podpisały umowę, zobowiązując się do walki z niewolnictwem w Afryce. Zniesiono je w Stanach Zjednoczonych po wojnie secesyjnej (1861-1865); na Kubie (1881 r.); w Brazylii (1888 r.); w afrykańskich posiadłościach Belgii (1890 r.); na Zanzibarze (1909 r.); w Sierra Leone (1928 r.).

[172] Askari - żołnierz.

[173] Zeribą (z arab. zaribah - krzaki, zagroda) - sztuczne ogrodzenie z kolczastych krzewów, budowane dla ochrony przed napaścią dzikich zwierząt.

[174] Ingeleza - Anglik.

[175] Wazungu - Europejczycy.

[176] Tumbo modje - znaczy to, że mają wspólną matkę (dosłownie: jeden brzuch).<sup>10</sup>

[177] Tabu - zakaz kontaktowania się z pewnymi przedmiotami, osobami, dla uniknięcia kary ze strony sił nadprzyrodzonych.

[178] Borna - centralny plac w wiosce, miejsce publicznych spotkań.

[179] Dawa kali sana - lekarstwo bardzo mocne.

[180] Powszechnie znana przepowiednia głosiła, że Uganda zostanie podbita, jeśli biały człowiek wkroczy do niej od północy. Wykorzystał to sprzyjający Arabom Mwanga, jeden z murzyńskich królów, który w 1885 r. rozkazał zamordować pierwszego biskupa anglikańskiego: Jamesa Hanningtona.

[181] Busingizi - śpiączka.

[182] Bassi - dosyć!

[183] Hawala, buana - dobrze, panie.

[184] Impala (*Aepyceros melampus*) - gatunek z rodziny krętorogich, z grupy gazeli. Długość ciała - do 2 m, rogów - do 0,75 m, wysokość - do 1 m, waga - do 90 kg. Płowoszare lub rudawe. Pod brzuchem i na nogach jaśniejsze, często białe. Rogi tylko u samców. Zamieszkuje tereny otwarte we wschodniej i południowej Afryce.

[185] Maczan - platforma do polowania.

[186] Jard (yard) - angielska miara długości, 1 jard = 91,44 cm.

[187] Jeden z bohaterów powieści *Tomek na Czarnym Łądzie*.

[188] Głos lamparta przypomina chrząkanie pawiana, o którym mówi się też, że “szczeka”, podobnie jak pies.

[189] Lampart mierzy do 140 cm, a waży około 60 kg. Lew, odpowiednio - 240 cm i 180 kg.

[190] Stopa - angielska miara długości (około 30 cm).

[191] Impala, gnu, bawolec, tomi - gatunki antylop.

[192] W 1907 r. myśliwy Jim Corbet (1875-1955) zastrzelił w Indiach tygrysicę z Champawat, której przypisywano 436 ofiar ludzkich. W trzy lata później zabił lamparta z Panar, zabójcę 410 osób. Mając 63 lata, rozprawił się z tygrysicą z Thah, którą zwabił naśladować zew samca. Miał wielki szacunek dla zwierząt. Nazywał tygrysa “mężnym gentlemanem”. Jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę na konieczność ochrony zwierząt.

[193] Było to w 1898 r.

[194] Niektóre plemiona tak właśnie polują na antylopę bongo. Wokół karmnika z solą budują zagrodę z bambusów.

[195] Eland (*Taurotragus oryx*), zwana także “kanna” lub “oreas”. Gatunek z rodziny krętorogich, należy do antylop. Żyje w niewielkich stadach w Afryce równikowej i południowej.

[196] W 1886 r. po Jeziorze Alberta pływały dwa parostatki “Kedyw” i “Njanza”, które po pewnym czasie zatonięły.

[197] Na terenie dzisiejszej Tanganiki handlowano niewolnikami jeszcze w latach dwudziestych XX wieku.

[198] Marabut afrykański (*Leptoptilos crumeniferus*) - gatunek z rodziny bocianowatych. Zamieszkuje sawanny i wybrzeża wód w Afryce, z wyjątkiem południowych i północnych jej kresów. Trybem życia przypomina sępy, często szybuje w powietrzu. Gnieździ się na drzewach i skałach, tworząc kolonie. Osiąga długość około 130 cm, a rozpiętość skrzydeł - do 260 cm

[199] Niemal równocześnie do Ugandy dotarli misjonarze. Sprzeciwiali się oni między innymi wielożeństwu, z czym trudno było pogodzić się wodzom i królom murzyńskim.<sup>10</sup>

[210] Kuja - chodźcie

[201] Buana! Kuja! - panie, chodźcie.

[202] Trzewikodziób (*Balaeniceps rex*) jedyny gatunek rodziny trzewikodziobów. Długość ciała - około 120 cm, rozpiętość skrzydeł - do 70 cm, zamieszkuje brzegi bagien i wód śródlądowych. Występuje na stosunkowo niewielkim obszarze we wschodniej części Konga, w południowym Sudanie, Ugandzie i nad jeziorem Czad.

[203] Z pewnością chodzi tu o polskiego antropologa i etnografa Jana Czekanowskiego, który w czasie naukowej wyprawy leczył Murzynów z przejedzenia środkami na przeczyszczenie. Czekanowski Jan (1882-1965) polski antropolog i etnograf,



profesor uniwersytetów we Lwowie, Lublinie i Poznaniu, prowadził badania antropologiczne w środkowej Afryce. W latach 1907-1909 wziął udział w niemieckiej wyprawie, ale większość badań prowadził samodzielnie. Pracował na terenie Ugandy, Ruandy (dziś: Rwanda) i południowego Sudanu. Przebył w czasie tej wyprawy około 7100 km.

[204] Tuaregowie - koczownicze plemiona pochodzenia berberyjskiego zamieszkujące środkową Saharę. Trudnią się pasterstwem, handlem i rzemiosłem. W czasach, gdy toczy się akcja powieści, niewiele o nich było wiadomo.

[205] Tak było rzeczywiście, a ów barwnik to indygo otrzymywane z liści indygowca - tropikalnej rośliny.

[206] Skorpion chwyta ofiarę kleszczami, a w razie oporu poraża ją jadem, umieszczonym w maleńkiej banieczce w kolcu na końcu ogona. Opisany tutaj skorpion jest typowy dla Sahary.

[207] Ahaggar (Haggar) - masyw górski w centralnej Saharze (obecnie Algieria), najwyższy szczyt Tahat - 3310 m.

[208] Prowadził z Asjut przez oazy Charga, Selima, Bir Natrum do Der Fur w południowo-zachodnim Sudanie. Nazywany był przez Arabów "Derb el Arabain" - drogą czterdziestu dni. Znany faraonom i biblijnemu królowi Salomonowi, który sprowadzał nim złoto i drzewo na budowę świątyni jerozolimskiej.

[209] Chodzi o francuskiego misjonarza, Karola de Foucauld (1858-1916). W młodości był oficerem, potem w 1904 r. osiadł jako pustelnik na Saharze, właśnie wśród Tuaregów. Ułożył m.in. słownik francusko-tuareski i tuaresko-francuski, zebrał i przetłumaczył poezje, opowiadania i przysłowia tuareskie.

[210] Muszelki kauri przywożone do Afryki ze Wschodu, były od XI wieku stałym środkiem płatniczym w Sudanie. Później do użytku weszły banknoty, ale jeszcze w 1911 r. za nabyty towar płacono częściowo tymi muszelkami. Koń kosztował od 60 do 120 tysięcy muszelek.